



*Chłopak,
który o mnie walczył*

POWIEŚĆ AUTORKI BESTSELLERA

„Chłopak, który zakradał się do mnie przez okno”

KIRSTY MOSELEY

Kirsty Moseley

**Chłopak, który o mnie
walczył**

Tłumaczenie:
Danuta Fryzowska

Dla Terrie Arasin,
Gdyby nie Ty, ta książka nigdy by nie powstała

Prolog

„Lepiej jest kochać i stracić niż nigdy nie zaznać miłości”. Tak stwierdził kiedyś poeta lord Alfred Tennyson w jednym ze swoich wierszy. Według mnie lord Tennyson bredził.

Być może nigdy nie doświadczył prawdziwej miłości. A może nigdy na nikim nie zależało mu bardziej niż na nim samym, bo gdyby zależało, gdyby kochał kogoś tak mocno, że byłby gotów oddać życie za tę osobę, nie wypisywałby takich głupot. Rzecz jasna, to tylko moje domysły. Nie jestem uczonym i nie wiem nic o tym gościu; znam tylko ten jeden cytat. Oto dlaczego absolutnie się z nim nie zgadzam.

Ponieważ byłem raz zakochany.

Tylko raz.

I ją straciłem.

A teraz oddałbym wszystko, co mam na tym pieprzonym świecie, żeby móc cofnąć czas i nigdy nie zaznać jej miłości. O nie, z całą pewnością nie jest lepiej kochać i stracić.

Chrzanić miłość. I chrzanić lorda Tennysona.

Rozdział 1

JAMIE

Jego pięść zderzyła się mocno z moją szczęką. Natychmiast przeszył mnie ból, rozlewając się na całą twarz i szyję. Głowa odskoczyła mi w bok, a gałki oczne zaszyły mgłą od siły ciosu. Facet najwyraźniej chciał mieć to szybko za sobą.

Zrobiłem krok w tył i uniosłem dłoń do brody, masując miejsce po uderzeniu. Moje usta rozciągnęły się w leniwym uśmiechu, a z gardła wydobył się niski, zdławiony chichot. Wytarłem twarz, ignorując rozmazaną na dłoni krew.

- No! Dawaj jeszcze - zachęcałem go prowokacyjnie. Nie podniosłem nawet rąk do gardy. Mijałoby się to z celem, dla którego tu przyszedłem.

Koleś rozejrzał się po stojących kołem widzach, ewidentnie zaniepokojony moją pozorną brawurą i odpornością na ból. Tłum, zgromadzony w wielkim, opuszczonym magazynie, który dziś zamienił się w arenę nielegalnych walk, dopingował nas i wrzeszczał - jedni krzyczeli, żebym się pozbierał i rozniósł tego gościa, inni podjudzali mojego rywala, żeby zgniótł mnie na miazgę. Domagali się szybkiego zakończenia pojedynku, ale ja chciałem przeciągnąć go jak najdłużej. Ból tak przyjemnie odwracał uwagę od kotłujących się we mnie emocji. Byłem szczęśliwy, myśląc o czymś innym, o czymkolwiek, byle nie o niej.

- No, stary, chyba stać cię na więcej - drażniłem się z nim, spluwając cierpką w smaku krwią na podłogę. Ręce trzymałem szeroko rozstawione, wystawiając się na czysty strzał. - Pokaż, co potrafisz.

Mężczyzna zmrużył oczy, wykrzywił usta w drwiącym uśmiechu i podszedł bliżej, wymierzając mi szybki cios w brzuch. Całe powietrze uszło mi z płuc. Zgiąłem się wpół, próbując złapać oddech, a wtedy wbił mi kolano w twarz. Przewróciłem się do tyłu, uderzając o zimny beton z wielkim hukiem, który odbił się echem w moich kościach.

Z tłumu podniósł się ogłuszający krzyk. Zamknąłem oczy i odchyliłem głowę, podśmiechując się cicho pod nosem. Hektolitry alkoholu, które spożyłem przed dzisiejszymi walkami, wciąż przelewały się w moim ciele, zaburzając orientację i zobojętniając mnie na wszystko, nawet na ból, który z pewnością poczuję rano, gdy wytrzeźwieję.

- Młody, co ty, do cholery, wyprawiasz? Wiedziałem, że nie powinienem być się na to godzić! Przerywam tę farsę!

Z ogromnym trudem podniosłem powieki i, przekręciwszy ołowianą głowę, ujrzałem Jensena stojącego z boku prowizorycznego ringu. Na twarzy malowało mu się przerażenie, wymieszane z troską i niedowierzaniem. Jako właściciel i założyciel nielegalnego klubu mógł stracić mnóstwo pieniędzy, gdybym dziś przegrał. Najwyraźniej Jensenowi nie podobało się, jak sobie z nim pogrywam, ryzykując jego niezbyt ciężko zarobioną forszę.

- Ani się waż. Poradzę sobie. Ochłoń i poszukaj swoich jaj, bo chyba gdzieś je zgubiłeś - rzuciłem żartobliwie. Nawet ja

słyszałem, że bełkoczę. Przetoczyłem się niezdarnie na bok, podparłem się rękami i wstałem, chwiejąc się na nogach.

Kątem oka dostrzegłem, jak Jensen wyciąga komórkę i mówi szybko do telefonu, nie spuszczając mnie z oczu.

- Jesteś już? To się wymyka spod kontroli. Okej, pospiesz się, do cholery!

Ściągnąłem brwi.

- Proszę, naskarż na mnie, sprowadź tu moją niańkę - prychnąłem i, zanosząc się drwiącym śmiechem, dodałem: - Pieprzony kapuś.

Ponieważ nie uważałem albo po prostu mój przeciwnik był tchórzem, który lubił atakować od tyłu, buchnął mnie w plecy, ścinając z nóg, i obaj poleciliśmy do przodu. Tłum się rozstąpił, chcąc uniknąć obryzganego krwią, więc gruchnęliśmy w bok ciężarówkę, zaparkowaną na skraju ringu. Mój rywal dyszał szybko, zadając mi cios za ciosem w krzyż i żebra.

Czułem ból w każdej części mojego ciała i przekonałem się, że dobrze zrobiłem, przychodząc tutaj. Właśnie tego potrzebowałem.

Mężczyzna chwycił mnie za bark i szarpnął do tyłu. Znow leżałem na ziemi, ciężko oddychając.

- Młody! - Jensen oczywiście zadzwonił do Raya, swojego kuzyna i jednego z moich najlepszych przyjaciół.

Ray przebił się przez tłum widzów i przypadł do podłogi. Odwróciłem się do niego i zobaczyłem troskę w jego brązowych oczach.

- Sie masz, stary! - wybełkotałem, siląc się na uśmiech, ale byłem pewny, że wyszedł z tego tylko dziwny grymas.

- Co cię napadło, do jasnej cholery? Jensen mówi, że piłeś! Co z tobą? - syknął, kręcąc głową z niedowierzaniem. Zauważyłem z ulgą, że nie przerwał kręgu i nie próbował mnie dotknąć; to byłoby wbrew zasadom i skutkowałoby walkowerem.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, mój przeciwnik złapał mnie oburącz za koszulkę i podciągnął do pionu. Wzdrygnąłem się, czekając na kolejny cios jak na powitanie ze starym przyjacielem. Gdy wbił mi pięść w kość policzkową, usłyszałem wściekły głos Raya:

- Jensen, przerwij tę cholerną walkę albo ja to zrobię!
- Okej, okej - szybko zripostował Jensen.

Zagotowałem się ze złości. Jeśli teraz przerwą pojedynek, przegram.

- Nie! - warknąłem wściekle. Młody Cole zawsze wygrywał.

Wiedziałem, co powinienem zrobić. Przegrana nie wchodziła w rachubę. Zabawiłem się trochę i osiągnąłem swój cel - chwilę zapomnienia - ale najwyższy czas przejąć kontrolę i to zakończyć.

Złapałem rywala za rękę, którą mnie przytrzymał. Jego źrenice nieznacznie się rozszerzyły, a ciało gwałtownie spięło - najwyraźniej sądził, że się poddałem i to będzie ostatni cios, którym zapewni sobie wygraną i tytuł zwycięzcy wieczoru. Jakże się mylił.

- Chyba pora, żebym przestał się opierniczać. - Uderzyłem go głową w twarz z taką siłą, że trzask pękającego nosa słychać było nawet wśród ryku tłumu. I to by było na tyle. Wystarczająco długo się z nim przekomarzałem, dając mu się

okładać dla własnej przyjemności. W jednej chwili jego nieprzytomne ciało osunęło się bezwładnie na ziemię.

Zatoczyłem się, mrugając powiekami, żeby odzyskać ostrość widzenia, i ignorując łomotanie w głowie. Zaschło mi w ustach, język wydawał się szorstki. Rozpaczliwie pragnąłem się napić, ponieważ alkohol powoli przestawał działać.

Ray i Jensen rzucili się w moim kierunku. Jensen dopadł do mnie pierwszy, chwycił moją rękę i unióś triumfalnie w górę.

- Zwycięzcą dzisiejszego wieczoru został... Młody Cole!

Tylko połowa czeredy wiwatowała; pozostała część gniotła kupony zakładów, ciskając je z wściekłością na ziemię lub klęła pod nosem. Albo byli tu nowi i nie wiedzieli, że lepiej nie obstawiać przeciwko mnie, albo zmyliło ich to, że wyłopałem taką ilość alkoholu, jaka powaliłaby konia. Cóż, pozory mylą.

Uśmiechnąłem się krzywo, wspierając się na Rayu, który objął mnie w pasie i poprowadził w kierunku wolnego krzesła. Opadłem na nie ciężko i o mały włos nie runąłem na podłogę, nie panując nad odrętwiałym ciałem.

Ray ukląkł przede mną i podał mi butelkę wody, którą wyczarował nie wiadomo skąd.

- Pij, Młody. Kiepsko wyglądasz - stwierdził, krzywiąc się na mój widok.

Odepchnąłem butelkę i z szerokim uśmiechem wskazałem skórzaną kurtkę wiszącą na oparciu krzesła.

- Podasz mi kurtkę?

Posłusznie spełnił moją prośbę, patrząc na mnie z niepokojem.

Bez słowa sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni i zacisnąłem

dłoń na gładkiej szklanej buteleczce. Na widok w połowie opróżnionej flaszki whiskey Ray jęknął z niezadowoleniem.

- Młody, chyba żartujesz!

Mrugnąłem do niego, odkręcając nakrętkę posiniaczonymi i oblepionymi krwią palcami. Pociągnąwszy spory łyk, poczułem przyjemne pieczenie w gardle.

- Chcesz? - wybełkotałem niezrozumiale.

Nie odpowiedział, tylko wyrwał mi butelkę i postawił na ziemi.

- Młody, co z tobą? Jensen powiedział mi przez telefon, że przyszedłeś zalany w trupa i nalegałeś, żeby dopuścił cię do walk. Wyglądasz koszmarnie. Ten typ prawie cię rozniósł!

- Nie dałby rady - zakpiłem. Panowałem nad sytuacją.

- Na moje oko spuścił ci niezły łomot! Jeszcze jeden cios i byłoby po tobie.

Zaprzeczyłem zdecydowanym ruchem głowy.

- Robił tylko to, na co mu pozwalałem i czego sam chciałem.

- Chciałeś, żeby cię zatłukł na śmierć? Naprawdę chciałeś tego? - Wskazał wymownie ręką na moją zmasakrowaną twarz.

Wzruszyłem ramionami, odwracając wzrok od jego dociekliwych oczu. Ray czytał we mnie jak w otwartej książce i zwykle wiedział, co myślę. Nie znośłem tego.

- Młody, o co chodzi? - spytał z westchnieniem, kładąc mi rękę na ramieniu i lekko je ściskając. - Gdy widzieliśmy się wcześniej, zachowywałeś się normalnie, a potem się narąbałeś i przyłazłeś tu szukać guza. Nie rozumiem cię. - Jego łagodny głos zdradzał troskę.

- Po prostu musiałem zagłuszyć myśli. Nie chciałem tu przychodzić, sądziłem, że dwa drinki dobrze mi zrobią, ale z dwóch zrobiły się trzy, potem cztery i... - Spojrzałem na niedopitą butelkę whiskey, nie przyznając się, że była już drugą tego wieczoru. Przełknąłem ślinę i pokręciłem ze smutkiem głową. - Alkohol nie pomógł i walka wydała mi się dobrym pomysłem. Pomyślałem, że może ktoś wybije mi to z głowy siłą. Ale nic z tego. Wciąż tam siedzi. - Uderzyłem się kilkakrotnie otwartą dłonią w czoło, próbując pozbyć się natarczywych myśli.

- Młody, bredzisz bez ładu i składu.

W piersi czułem silny ból i nie miało to nic wspólnego z walką. Pojawił się już przed trzema godzinami, kiedy natknąłem się na coś w wiadomościach. Sięgnąłem do kieszeni kurtki i wyciągnąłem artykuł, który wydrukowałem ze strony internetowej CNN, zanim oddałem się destrukcyjnemu pijackiemu szaleństwu.

Podąłem mu go i zamknąłem oczy.

Ray rozłożył kartki i zaczął czytać na głos. Z każdym słowem serce zaciskało mi się coraz bardziej.

- „Dzisiaj po południu na międzystanowej I-95 doszło do wypadku samochodowego, w którym zginęła jedna osoba, a druga walczy o życie. Z doniesień policji wynika, że kierowca Michael Pearce, lat 45, poniósł śmierć na miejscu, gdy pędzący z dużą prędkością ciemnoniebieski ford pikap zjechał na jego pas, spychając samochód na barierki. Prowadzący pikapa nie zatrzymał się i uciekł z miejsca wypadku.

Pasażerka, żona zmarłego kierowcy, Ruth Pearce, lat 44, trafiła do szpitala w stanie krytycznym.

Policja prosi o kontakt świadków zdarzenia oraz osoby posiadające jakiegokolwiek informacje na temat pikapa lub jego kierowcy”.

Ray ponownie skupił uwagę na mnie.

- Kim są Michael i Ruth Pearce?

Westchnąłem ciężko.

- To rodzice Ellie.

Ray wzdrygnął się i natychmiast zrozumiał.

- O cholera. - Zapadła cisza i dopiero po minucie ponownie przemówił. - To chyba znaczy, że... ona wróci, co?

Spuściłem wzrok na podłogę i opadłem na krzesło. Wiedziałem, że Ellie będzie zdruzgotana, kiedy się dowie. Była ukochaną córeczką tatusia, strata ojca zapewne mocno ją dotknie, tym bardziej że mogła stracić również matkę. Pragnąłem ją przytulić, ale nie widzieliśmy się i nie rozmawialiśmy od przeszło trzech lat, od tamtej rozmowy telefonicznej, która obojgu nam złamała serce.

- Na to wygląda.

Rozdział 2

ELLIE

Nuda. Byłam tak znudzona, że przez ostatnie pięć minut maltretowałam paznokcie z obrzydliwymi odrostami, bezlitośnie zeszkubując z nich żelowy lakier. Laura, moja manikiurzystka, zapewne nie ucieszy się na widok zdartej emalii i odprysków, gdy pojawię się u niej za tydzień, ale nie mogłam się powstrzymać. Nie potrafiłam stać beczynn timer i obijać się. Do wyboru miałam skubanie lakieru albo przekąsek, które leżały w kartonowych pudłach za moimi plecami. Coś musiało odwrócić moją uwagę od piekącego bólu stóp po długim dniu na nogach. Na szczęście wieczór miał się już ku końcowi, jeszcze tylko dwie godziny.

Westchnęłam i rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym się zająć. Ostatecznie zdecydowałam się ponownie przetrzeć wypucowany potężny mahoniowy kontuar.

Jak na piątkowy wieczór w barze wiało pustką. O tej porze King's Arms zazwyczaj pękał w szwach. W tym staromodnym, typowo angielskim pubie, wykończonym w ciemnym drewnie, z kwiecistą tapetą i czerwoną wzorzystą wykładziną, po pracowitym tygodniu zwykle roilo się od miejscowych. A teraz można było zliczyć raptem dziewiętnastu klientów. I każdy z nich miał pełny kufel - dlatego tak się nudziłam. Ze wszystkim uporałam się przed czasem: zmywarka do naczyń

opróżniona, szkło wypolerowane i odstawione na półki pod barem, toalety sprawdzone i umyte. Po wyjściu ostatnich klientów wystarczyło już tylko po nich sprzątnąć i zamknąć lokal. Właściwie nie było nic więcej do roboty.

Podeszłam do Toby'ego, mojego menadżera, i odchrząknęłam.

- Przepraszam, że przeszkadzam - wtrąciłam się, uśmiechając się przepraszająco do dwóch stałych klientów, z którymi rozmawiał.

Starszy z nich, Chuck, wyszczerzył zęby w uśmiechu, ukazując zmarszczki w kącikach oczu.

- Nic nie szkodzi, taka urocza osóbką może nam przeszkadzać do woli. - Mrugnął, gładząc się po zmierzwionej, siwej brodzie, którą zapuścił na zimę i wkrótce miał ściąć z okazji nadchodzącej wiosny. Kiedyś wyjaśnił mi, że hodował ją każdej zimy, żeby było mu ciepło w twarz. Chuck był jednym z moich ulubionych klientów; zawsze uprzejmy i radosny - przypominał mi trochę dziadka ze strony ojca, gdy jeszcze żył.

Toby zarechotał.

- Przestań flirtować z moją obsługą. Już ci to mówiłem - skarcił Chucka, przewracając żartobliwie jasnozielonymi oczami. Toby był z krwi i kości londyńczykiem - typowy *cockney*, urodzony i wychowany we wschodniej części miasta. Z początku trochę trudno mi było zrozumieć jego akcent, zresztą jak wszystkich tutaj; to, jak miejscowi wymawiali niektóre słowa, było co najmniej dezorientujące. Ale po prawie dwóch latach spędzonych w Londynie zdążyłam do tego przywyknąć. W zasadzie ten dialekt nawet mi się podobał.

Może z wyjątkiem slangowych grypsów i rymowanek, z których połowa nadal była dla mnie niezrozumiała.

Chuck uniósł pomarszczone ręce w geście kapitulacji.

- Nie moja wina, żeś najął najładniejszą amerykańską barmankę w mieście.

- Jestem jedyną amerykańską barmanką w mieście - zakpiłam, wywołując salwę śmiechu, po czym zwróciłam się do Toby'ego. - Ponieważ mały dziś ruch, może zrobiłabym remanent lub coś w tym rodzaju? Strasznie się nudzę. - Inwentaryzacja zajęłaby mi co najmniej godzinę.

Wzruszył ramionami i nadal się śmiejąc, odgarnął włosy z czoła.

- Uhm, dobry pomysł. Muszę jutro złożyć zamówienie w browarze, więc zaoszczędziłabyś mi rano sporo roboty. Dzięki.

- Nie ma sprawy - rzuciłam, odwracając się i zmierzając na zaplecze po arkusze spisowe.

Po drodze do piwnicy zauważyłam na tablicy ogłoszeń przypięty grafik na przyszły tydzień. Przystanęłam, żeby sprawdzić swoje dyżury i dni wolne, i spochmurniałam, widząc swoje imię przy sobocie. Wyraźnie powiedziałam Toby'emu, że nie mogę pracować tego dnia. I nagle, jak na zawołanie, Toby wyłonił się zza kotary. Sięgnął do pudła z chipsami i wyjął paczkę serowo-cebulowych.

- Toby, dlaczego jestem zapisana w grafiku na sobotę? Nie mogę wtedy pracować, mam pewne plany - oświadczyłam, wskazując swoje imię w rubryce.

Zmarszczył się i podszedł do mnie od tyłu, spoglądając przez

moje ramię.

- Zmień je.

- Nie mogę. - Odwróciłam się twarzą do niego, opierając ręce o biodra. - Ty zmień swoje i weź zamiast mnie kogoś innego.

Toby uniósł brwi i wykrzywił usta w figlarnym uśmiechu, a w jego oczach pojawił się szelmowski błysk.

- Okej, znajdę kogoś na zastępstwo, pod warunkiem że będziesz się dziś ze mną kochać.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, jeszcze mocniej marszcząc czoło.

- To molestowanie seksualne!

- Donieś na mnie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie.

- Może tak zrobię! - zawołałam, odprowadzając go uśmiechem, i przeniosłam wzrok na grafik. Wyciągnęłam długopis, wykreśliłam swoje imię i wpisałam w to miejsce Toby'ego, po czym ruszyłam do piwnicy, by spisać remanent.

Tuż przed jedenastą, kiedy zabrzmiał dzwonek na ostatnie zamówienia, dokończyłam naprędce spis, notując, ile zostało nam paczek solonych orzeszków, i wróciłam na górę.

Pub praktycznie opustoszał; zostało raptem sześć osób. Toby zebrał już większość szklanek i ustawił na kontuarze do mycia.

- Panie i panowie, dopijamy i zamykamy! Nie macie domów, czy co? - rzucił żartem, zakładając krzesła na stoły, tak aby rano można było odkurzyć podłogę.

Kilku stałych klientów jęknęło z niezadowoleniem, prosząc,

by pozwolił im jeszcze zostać, ale wszyscy widzieli podkrążone oczy Toby'ego, więc nie naciskali.

Gdy ostatnia para opuściła lokal, Toby zamknął ciężkie drzwi na klucz i odwrócił się do mnie.

- Remanent zrobiony?

- Uhm, wszystko gotowe - przytaknęłam.

Ziewnął, wyciągając ręce nad głowę, i wrócił za bar.

- Dzięki.

Otworzyłam zmywarkę do naczyń i wstawiłam do środka dwie szklanki. Gdy sięgałam po kolejne, poczułam na biodrach czyjeś ręce. Przestraszona podskoczyłam, a wówczas Toby przywarł swoim ciepłym ciałem do moich pleców.

- Jesteśmy dogadani w sprawie soboty, czy wolisz pracować? - wyszeptał, owiewając mój policzek i szyję gorącym oddechem. Ścisnął mnie mocniej za biodra, jeszcze bardziej na mnie napierając i ocierając się krocem o skrawek mojej nagiej skóry wyzierający spod topu.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze w płuca, a moje ciało pokryło się gęsią skórką.

- Twoje zachowanie jest w najwyższym stopniu niestosowne - odparłam, czując, jak napinają mi się wszystkie mięśnie.

- Uhm - mruknął z ustami przy mojej szyi. - Daruj już sobie sprzątanie, zajmę się tym rano.

Zrezygnowana, odwróciłam się do niego. Jego jasnozielone oczy płonęły pożądaniem, gdy przesuwiał wzrokiem po mojej twarzy.

- Chyba jednak potrzebuję tego wolnego dnia - wymamrotałam, wpatrując się w jego usta i język, którym

przejechał wolno po dolnej wardze.

Cofnął się i z szerokim uśmiechem wyciągnął ku mnie rękę. Odstawiłam ostatnią szklanę na bar i podałam mu swoją dłoń, pozwalając, by pociągnął mnie przez kotarę i poprowadził korytarzem oraz schodami do części mieszkalnej znajdującej się na piętrze. Po drodze zsunęłam najpierw jeden, potem drugi but, zostawiając je tam, gdzie upadły, a potem Toby zrobił to samo.

Gdy weszliśmy na górę, przestał się kontrolować i dał się ponieść namiętności.

Przyciągnął mnie do siebie i wpił się we mnie ustami. Jego ręce były wszędzie. Nieporadnie, zataczając się do tyłu, dotarliśmy do sypialni, praktycznie przez cały czas złączeni pocałunkiem. Pozbyłam się szybko bluzki, a jego palce sprawnie rozprawiły się z guzikiem u moich spodni. Tyłem kolan uderzyłam o brzeg łóżka i runęliśmy na materac, zamieniając się w plątaninę kończyn i rozgrzanych oddechów. Zachichotałam, bo wylądował na mnie, niemal mnie miażdżąc, lecz szybko się poprawił i nakrył mnie swoim ciałem.

Odchylił się do tyłu, a ja ściągnęłam mu koszulkę przez głowę. Pożerając mnie głodnym wzrokiem, niespiesznie zsunął ze mnie dzinsy. Czułam, jak łaskocze mnie palcami po zewnętrznej stronie ud.

- A tak w ogóle, to co takiego porabiasz w sobotę? - zapytał szeptem i pochylił się, delikatnie całując zagłębienie u nasady mojej szyi. Jego jednodniowy zarost rozkosznie drażnił moją skórę.

Przesunęłam dłońmi po jego nagich plecach, wpijając się

w jego barki, a moim ciałem wstrząsnął dreszcz przyjemności.

- Idę na targi ślubne z twoją matką - odparłam lekko chropawym głosem.

Zaśmiał się, wywołując uśmiech również na mojej twarzy.

- Poważnie? Dlaczego dajesz się jej zaciągać na takie imprezy? - zapytał, przewracając oczami.

Wzruszyłam ramionami, wiercąc się pod jego ciałem.

- Bardzo się ekscytuje ślubem. Powtarzam jej ciągle, że nie zamierzamy się spieszyć, ale... wiesz, jaka jest. Chyba po cichu liczy na to, że zobaczę jakąś wystrzałową suknię lub dekorację z balonów i zechcę w końcu wyznaczyć datę.

Na chwilę przybrał poważną minę.

- Wiesz, co wystarczy zrobić, żeby dała ci spokój?

- Zerwać z tobą? - zasugerowałam, chichocząc, a Toby za karę wwiercił mi palec między żebra.

- Albo po prostu wyznaczyć datę...

Westchnęłam głęboko, powoli tracąc ochotę na figle.

- Możemy o tym teraz nie rozmawiać? Myślałam, że mieliśmy zgorszyć łóżko... - Żeby dać mu to wyraźnie do zrozumienia, przejechałam delikatnie paznokciami po jego plecach, po czym chwyciłam go mocno za pośladki i przyciągnęłam do siebie.

Mężczyźni są tacy prości w obsłudze. Wystarczy wspomnieć o seksie, zaproponować go, czy choćby poczynić drobną aluzję na ten temat, by jedli ci z ręki. Z moim narzeczonym było tak samo.

Niestety, zanim się dobrze rozkręciłam, było już po wszystkim. Nie, żeby Toby był marnym kochankiem - był

naprawdę cudowny, kiedy poświęcał na to więcej czasu. Jednak tej nocy czuł się zmęczony, a to oznaczało, że musiałam się obejść bez gry wstępnej i bez czułych słówek. Przeszedł od razu do sedna i po chwili opadł na mnie bezwładnie, ciężko dysząc. Oczywiście robiłam to, co robi większość kobiet podczas seksu: trochę poudawałam, by nie urazić jego ego, ale tylko troszeczkę - lubiłam się z nim kochać, tylko że tym razem zabrakło w pełni „szczęśliwego zakończenia”.

Pocałował mnie w policzek i stoczył się ze mnie z uśmiechem wyrażającym zaspokojenie.

- O tak, zdecydowanie warto było dać ci dziś wolne - wymamrotał z przymkniętymi oczami i przyciągnął mnie do siebie, leniwie przewieszając zmęczoną rękę przez mój brzuch. - I nie przejmuj się moją matką. Jeszcze raz z nią porozmawiam.

Przyłgnęłam do niego, wtulając głowę w zgięcie jego szyi.

- Okej, dzięki.

- Dla ciebie wszystko - odpowiedział. Jego oddech zaczął się wyrównywać i pogłębiać, jakby zapadał w sen.

- Nie zasypiaj, muszę się jeszcze umyć - powiedziałam i cmoknęłam go w czubek nosa.

Nie otworzył oczu.

- Pospiesz się, zanim zamoczysz całe łóżko. Nikt nie lubi spać na mokrej plamie.

- Toby! - wrzasnęłam, chichocząc. - Wolałabym usłyszeć coś bardziej romantycznego po seksie.

Wzruszył ramionami bez cienia skruchy.

- E tam, naczytałaś się za dużo romansideł. Nie tak to

wygląda w prawdziwym życiu - zażartował.

- Najwyraźniej - odparłam sarkastycznie.

- Te książki tylko zwodzą kobiety, prezentując nierealistyczną wizję związków. My, mężczyźni, musimy się z nią mierzyć każdego dnia. Niestety, nie jesteśmy w stanie jej sprostać. - Pokręcił głową z udawanym smutkiem. - Prawdziwa intymność jest wtedy, gdy facet puszcza bąka pod kołdrą, a potem nakłada ją dziewczynie na głowę. O tym nigdzie nie przeczytasz!

Nabrałam powietrza i zamachnąwszy się poduszką, grzmotnęłam nią w jego twarz.

- Tylko spróbuj mi tak zrobić, a przysięgam...

Parsknęłam śmiechem. Toby posiadał wyjątkowy dar i zawsze potrafił mnie rozśmieszyć. To przede wszystkim ta cecha mnie w nim zauroczyła. Poznaliśmy się przed dwoma laty. Zaproponował mi wtedy dorywczą pracę, która pozwoliłaby mi na zwiedzanie Londynu. Był pierwszą osobą, przy której tak naprawdę mogłam się rozerwać i zapomnieć - choćby na chwilę - o trawiącym mnie od środka bólu. Z początku byliśmy tylko przyjaciółmi, lecz wkrótce nasza znajomość przerodziła się w coś głębszego. Żadne z nas tego nie planowało. Z czasem zapomniałam o cierpieniu, dzięki niemu znowu się otworzyłam i zaufałam mężczyźnie. Można powiedzieć, że zdobył moje serce śmiechem. Spotykaliśmy się już od półtora roku, a od sześciu miesięcy byliśmy zaręczeni.

Nasz związek był harmonijny i nieskomplikowany, oparty na wzajemnym szacunku. Być może nie zawojował moim światem, nie zwałił mnie z nóg jednym namiętnym spojrzeniem

ani rozbrajającym uśmiechem, ale kochał mnie, a ja kochałam jego. Był porządnym facetem; spolegliwym, godnym zaufania i niezawodnym – wszystkim, czego tak pragnęłam. Toby nigdy nie złamałby mi serca czy raczej tego, co z niego zostało – byłam tego pewna. Uwielbiałam go za to, że mnie uleczył i sprawił, że świat odzyskał jasne barwy. Naprawdę, wiele to dla mnie znaczyło.

Chwycił mnie za przeguby rąk i przyciągnął lekko do siebie, składając pocałunek na moich wciąż roześmianych ustach.

– Idź już się umyć, skoro musisz – rzekł, puszcżając moje nadgarstki. – I przy okazji zwiąż włosy, okej? Nie chcę później przez cały dzień wypluwać twoich kłaków. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo, gdy wstawiałam z łóżka. Uśmiechnęłam się do niego przez ramię, podniosłam z podłogi jego T-shirt, narzuciłam go na siebie przez głowę i poczłapałam boso do łazienki.

Wzięłam prysznic, zmyłam makijaż i wyszczotkowałam zęby. Zanim wróciłam do naszej sypialni, zatrzymałam się przy sąsiednim pokoju i cicho uchyliłam drzwi, po czym zakradłam się na palcach do piętrowego łóżka. Zajrzawszy na górę, uśmiechnęłam się.

Pusto. Tak jak się spodziewałam.

Pochyliłam się, omiatając wzrokiem dolne łóżko. Dwaj synowie Toby'ego z poprzedniego małżeństwa spali spokojnie skuleni na jednym materacu, a obok leżała otwarta książka; latarka, przy której czytali, wciąż się świeciła, choć już słabo. Podniosłam ją i wyłączyłam, odnotowując w pamięci, żeby kupić nowe baterie, gdy przyjadą tu następnym razem.

Christian i Sam - pierwszy miał siedem, a drugi pięć lat - byli jeszcze w tej „uroczej” fazie i czytanie ksiązek ukradkiem przy blasku latarki traktowali jako przygodę.

Delikatnie pocałowałam każdego z nich w czoło i nakryłam kołdrą. Postanowiłam nie ruszać Christiana i nie próbować przenieść go na górę. Wymknęłam się bezszelestnie z pokoju i, zamknąwszy za sobą drzwi, ruszyłam w kierunku naszej sypialni.

- Chłopcy smacznie śpią, a Chris znów na dole. Chyba... - urwałam nagle, widząc, że Toby leży na plecach z jedną ręką pod głową i cicho chrapie.

Nici z przytulania...

Spięłam włosy w niski kucyk, a potem zgasiłam światło i krocząc z wyciągniętymi rękami przez pokój pogrążony w ciemnościach, próbowałam wymacać brzeg łóżka. Wczołgawszy się pod kołdrę, przysunęłam się do Toby'ego i wtuliłam w jego ciało, kładąc mu rękę na klatce piersiowej. Toby w śnie przewrócił się na bok i objął mnie ciężkim ramieniem. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem tuż przy jego piersi i niemal natychmiast zasnęłam.

Zaledwie po kilku minutach ze snu brutalnie wyrwał mnie dzwonek telefonu. Przetoczyłam się z jękiem, próbując otworzyć piekące oczy i odczytać cyferki na wyświetlaczu budzika.

Toby podniósł się.

- Niech to szlag! Czwarta nad ranem. Kto wydzwania o tej porze? - zrzędził, pochylając się, by podnieść słuchawkę telefonu stacjonarnego, który nadal zadawał tortury naszym

uszm. - Co jest? - warknął, włączając nocną lampkę. Światło uderzyło mnie w oczy. - Nie, przepraszam. Tak, jest tu. Coś się stało? O cholera... Momencik, już ją daję. - Dotknął mojego ramienia, lekko mną potrząsając. Niepotrzebnie; słysząc nagłą zmianę w jego głosie, natychmiast się rozbudziłam. Czułam, że ktokolwiek dzwonił, nie miał dobrych wieści. - Ellie, to twoja babcia. Mówi, że zdarzył się wypadek.

Rozdział 3

Zdarzył się wypadek.

Wypadek... To słowo wciąż tłukło mi się w głowie, kiedy sięgałam po telefon. Wciągnęłam pospiesznie powietrze i poczułam bolesny ucisk w sercu. Z nerwów ścisnęło mnie w żołądku i momentalnie zaschło mi w ustach. Przyłożyłam słuchawkę do ucha, trzymając ją tak mocno, że pobieleły mi kostki palców.

Proszę, oby to nie było nic poważnego! - błagałam w myślach.

Ale dobrze wiedziałam, że to na nic. Nie dzwoni się do ludzi o czwartej nad ranem tylko po to, by powiedzieć, że uderzyłeś się w palec u stopy albo złamałeś rękę. Stało się coś złego; po prostu to czułam.

Popatrzyłam na Toby'ego, licząc na pokrzepienie, lecz jego mina tylko wszystko pogorszyła. Na widok jego pełnego współczucia spojrzenia i zaciśniętych ust serce zaczęło mi walić w piersi. Chciałam się odezwać, ale głos uwiązł mi w gardle. Toby położył mi dłoń na kolanie, delikatnie je ściskając. Odchrząknęłam dziwnie i spróbowałam jeszcze raz.

- Halo? - wykrztusiłam niemal szeptem i usłyszałam łzawe pociągnięcie nosem.

- Ellie, kochanie. - Choć głos był chrapliwy i rozemocjonowany, natychmiast go rozpoznałam. Należał do

matki mojego ojca, babci Betty.

- Babciu, co się stało? Wszystko w porządku? - Do oczu cisnęły mi się łzy.

- Nie... och, Ellie, nie wiem, jak to powiedzieć.

Przełknęłam ślinę, czując w gardle rosnącą gulę oraz ból w płucach od wstrzymywania oddechu. Szykowałam się na to, co miała do powiedzenia, moja wyobraźnia szalała. Zaczęłam panikować, zastanawiając się, co to za wypadek, kto jest ranny, jak bardzo jest źle.

- Babciu, proszę. Co się dzieje?! - błagałam z desperacją w głosie.

- Doszło do wypadku. Twój rodzice...

Zaczerpnęłam gwałtownie powietrza.

- Boże, nic im nie jest? - Wolną dłoń zacisnęłam w pięść i przyłożyłam do piersi, chcąc uspokoić walące serce. Czulałam na sobie wzrok Toby'ego, który starał się rozgryźć, o co chodzi, i nadal trzymał mnie za kolano.

- Twoja mama doznała poważnych obrażeń. Ma pękniętą czaszkę i krwotok wewnętrzny, i jeszcze jakiś krwiak. Zabrali ją na operację, żeby naprawić, co się da.

Z moich ust wydarł się jęk. Ponownie przełknęłam ślinę, zamykając powieki.

- Operację? - Słowo to z trudem przeszło mi przez gardło. - Ale wyjdzie z tego, prawda? - Zacisnęłam szczęki w oczekiwaniu na słowa otuchy, które uciszą szalejące we mnie emocje przybierające na sile w zatrważającym tempie. Ogarnęła mnie panika, a ręce zaczęły się trząść.

- Dowiemy się dopiero, gdy skończą. Robią wszystko, co

w ich mocy, ale na razie bardzo z nią źle. - Odpowiedź babci nie przyniosła mi pociechy, na którą liczyłam.

- Ja... ja... - Mój mózg nie mógł za tym nadążyć. Serce ścisnęło mi się boleśnie. Mama była operowana; miała pękniętą czaszkę i walczyła o życie. Na tę myśl zadrżała mi warga. Oczy zapiekły od łez. Nie mogłam jej stracić. Po prostu nie mogłam. - Babciu, czy ona...? - Urwałam nagle, nie mogąc wydusić z siebie ostatniego słowa. Oznaczało koniec i nie mogłam tego znieść. Mój głos brzmiał tak obco; bełkotałam, ale jakimś cudem babcia wiedziała, o co chciałam zapytać.

- Nie wiem, skarbie. Naprawdę nie wiem. - Te słowa były dla mnie jak cios w brzuch. Brutalna prawda, bez osładzania.

Każda cząstka mojego ciała pragnęła być teraz w szpitalu i czekać, aż mama wybudzi się po operacji. Tata i siostra potrzebowali mnie; powinniśmy być tam razem i wspierać się nawzajem. Przez to, że nie było mnie przy nich, smutek wymieszał się z potwornym poczuciem winy.

- Jak się trzymają tata i Kels? - spytałam zachrypłym głosem.

- Kelsey ma się dobrze. Była wtedy ze mną. Rodzice podrzucili ją do mnie na weekend i gdy wracali do domu... - Zawiesiła głos i odchrząknęła, by pozbyć się chrypki, głośno pociągając nosem. - Jest teraz ze mną w szpitalu. Wyszłam tylko na chwilę, żeby do ciebie zadzwonić.

Pokiwałam głową, czując ogromną ulgę, że Kelsey nie było wtedy w aucie.

- Okej. A tata? Dlaczego sam do mnie nie zadzwonił?

W odpowiedzi usłyszałam głuche milczenie. Niepokojąca

cisza przedłużała się niemiłosiernie, a mnie coraz bardziej skręcało w żołądku.

- Babciu?!

- Och, Ellie. Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale... Twój tata nie dał rady. - Jej głos załamał się, a moje serce pękło, roztrzaskując się na małe kawałeczki. - Nie żyje.

Nie żyje.

Gdy dowiedziałam się o mamie, sądziłam, że nic gorszego nie może mi się już przytrafić. Jak bardzo się myliłam.

Nie żyje.

Poczułam, jakby nóż szarpał moje wnętrzności. Panika ścisnęła mi płuca, z trudem łapałam powietrze. Mój ojciec, pierwszy mężczyzna, którego kochałam, podziwiałam i do którego porównywałam wszystkich facetów - nie żyje. Serce dudniło mi w uszach.

Tata. Nie żyje.

Z gardła wydarł mi się jęk. Cały świat rozmył mi się przed oczami w strugach łez spływających po policzkach. Uchyliłam usta, by coś powiedzieć. Tylko co? Mama walczyła o życie, a najcudowniejszy mężczyzna, który mnie wychował, dał mi wszystko, zachęcał do tego, bym była sobą, do którego biegłam po pomoc, moje oparcie we wszystkim... nie żyje. Żadne słowa nie były w stanie wyrazić tego, co czułam.

Przypomniałam sobie uśmiech taty, zuchwały błysk w jego brązowych oczach i to, jak mrugał do mnie porozumiewawczo, gdy zmawialiśmy się przeciwko mamie. Przypomniałam sobie, jak mnie przytulał, jak obejmował wielkimi ramionami, sprawiając, że czułam się maleńka. Naraz wróciły wszystkie

dobrze wspomnienia: święta Bożego Narodzenia, urodziny, naleśniki, jego koszmarne żarty, jego słabość do białej czekolady, jego śmiech...

To było dla mnie za trudne. Nie mogłam się z tym pogodzić.

- Ellie? Słońce, co się stało? - zapytał Toby, przysuwając się bliżej i lekko masując dłonią moją nogę. Jego słowa dobiegały jakby z oddali.

Potrząsnęłam głową, daremnie próbując rozproszyć mgłę, która zasnęła mój umysł.

Nie żyje.

Emocje zaczęły mnie przerastać. Przegrywałam ze smutkiem, w którym coraz bardziej się pogrążałam.

Telefon wyslizgnął mi się z dłoni i upadł z łomotem na podłogę. Powiodłam za nim bezwiednie wzrokiem, nie rozumiejąc, co się dzieje. Wspomnienia, żal, poczucie winy, przerażenie, smutek - to wszystko wirowało mi w głowie, mącąc się i płacząc zupełnie bez sensu. Obraz rozmył się we łzach, które nadal spływały potokami po moich policzkach i szyi, mocząc kołnierzyk przy koszulce Toby'ego, którą miałam na sobie.

Toby ukląkł przede mną, przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił, a ja szlochałam, rozpaczając.

- Mój tata, on... - przycisnęłam twarz do jego policzka, jeszcze bardziej zanosząc się płaczem. - Mama jest operowana, a mnie przy niej nie ma. Nie ma mnie tam! - zawodziłam, tracąc nad sobą kontrolę.

- Tak mi przykro, naprawdę mi przykro - powtarzał szeptem Toby. Zmrużył oczy ze współczuciem i wykrzywił twarz w żalu,

ubolewając wraz ze mną nad ludźmi, których nigdy nie spotkał.

- Muszę natychmiast jechać. Muszę tam być. Tyle jest do zrobienia. Muszę zarezerwować lot i spakować się, muszę... - Wstałam, ale nogi ugięły się pode mną. Toby objął mnie i podtrzymał. W jego oczach dostrzegłam troskę.

- Oddychaj, Ellie. Oddychaj głęboko i uspokój się. - Pochylił głowę i pocałował mnie w czoło. - Po prostu oddychaj.

Zamknęłam powieki i zatopiłam się w jego ramionach, pozwalając, by mnie tulił, aż się uspokoję.

Rozdział 4

JAMIE

Rude włosy rozwiały się wokół jej twarzy, kiedy spojrzała na mnie przez ramię. Gdy jej wyjątkowe, szare oczy napotkały moje spojrzenie, powietrze zastygło w napięciu. Jej usta wygięły się w figlarnym uśmiešku. Subtelne piegi tańczyły jej na policzkach, gdy cichutko chichotała, powoli się do mnie zbliżając.

- Młody. - Jej głos zabrzmiał mi w uszach niczym muzyka. - Młody? - powtórzyła, kładąc smukłą dłoń na moim ramieniu i delikatnie je ściskając.

Kiedy dotarło do mnie, co powiedziała, zadowolenie na mojej twarzy zastąpiła podejrzliwość. Nigdy się tak do mnie nie zwracała.

Ucisk na moim ramieniu stał się silniejszy, poczułem nawet lekkie szarpnięcie, które wyrwało mnie z zamroczenia, i nagle zrozumiałem, że tylko śniłem. Ona nie była prawdziwa. Mocno zaciskając oczy, próbowałem zatrzymać ten sen. Piękna iluzja powoli znikwała i wreszcie umknęła, rozplywając się we mgle konsternacji. Dopiero teraz zacząłem odbierać dźwięki dobiegające z otoczenia: brzęk szkła, szelest zgniatanego papieru i miarowe dudnienie muzyki gdzieś w oddali.

Strząsnąłem rękę, która mnie zbudziła. Otarłem policzkiem o coś twardego i poczułem ból głowy, który nasilał się

z każdym, nawet najmniejszym ruchem.

- O, żyje - stwierdził sarkastyczny głos zza moich pleców. Nie musiałem się oglądać, wiedziałem, że należał do Dodgera, jednego z moich najbliższych przyjaciół i mojej prawej ręki.

Powoli dźwignąłem głowę, mrugając piekącymi powiekami. Podniosłem rękę do policzka i zerwałem z niego samoprzylepną karteczkę, krzywiąc się przy każdym ruchu, bo wszystkie mięśnie miałem zeszywniałe.

- Chrzań się, Dodge - burknąłem.

Uderzył mnie silny odór alkoholu. Mój gabinet powoli nabierał ostrości. Przypominał dom bractwa studenckiego po weekendowej fecie, która wymknęła się spod kontroli.

Nagle poczułem wzbierające w gardle wymioty. Stłumiłem nieprzyjemny odruch i odwróciłem się do Dodgera. Nie wyglądał na zadowolonego, kiedy schylał się po opróżnioną w połowie butelkę dobrej brandy, którą częstowałem ważnych klientów. Marszcząc czoło z dezaprobatą, zakręcił flaszkę i podszedł do barku, w którym ją zwykle trzymałem.

- Niezłe pobojuwisko - wymamrotał, spoglądając pochmurnie na zagracony kredens. - A ty wyglądasz jak śmierć - dodał.

I tak też się czuję, pomyślałem.

- Dzięki.

Dodger podniósł z podłogi kosz na śmieci i zgarnął do niego pięć czy sześć pustych butelek, strasznie przy tym hałasując. Moją głowę przeszył rozdzierający ból. Przycisnąłem dłonie do skroni i zamknąłem oczy, starając się nie zwymiotować.

- A to co, do cholery? - zapytał, kierując szyjkę butelki

w stronę biurka, które tej nocy posłużyło mi za prowizoryczne łóżko.

Spuściłem wzrok i zobaczyłem podejrzany biały proszek rozsypany na blacie. Przejechałem spuchniętym językiem po szorstkich zębach i wzdrygnąłem się, czując ohydny, mdły posmak trawionego alkoholu. Potrząsnąłem głową, aby oczyścić umysł. Czyżby zaćmiły go narkotyki? Być może. Nie miałem pewności.

Wróciłem pamięcią do wczorajszego wieczoru. I nagle mnie olśniło. Walczyłem. Upiłem się w klubie i pojechałem się bić, a potem zjawił się Ray i zabrał mnie do domu. Ale nie mogłem zasnąć, więc przyjechałem tu, licząc, że znajdę jeszcze jakiś zapas gorzałki. I znalazłem, sądząc po walających się wokół butelkach.

Dodger westchnął głęboko i pokręcił głową, w milczeniu podnosząc kolejną flaszkę i wrzucając ją do pełnego już kosza. Niezdarnie wyciągnąłem rękę w kierunku tajemniczego proszku, zbierając palcem kilka białych grudek i wkładając je do ust. Ich smak wywołał kolejny odruch wymiotny, ale i tym razem, z wielkim trudem, zdołałem się powstrzymać.

- Sól. - Ulżyło mi, że to nie kokaina. Odepchnąłem się na obrotowym krześle i wyciągnąłem nogi. Wszystko mnie bolało.

- Pewnie piłem tequilę.

Na te słowa z Dodge'a zeszło napięcie.

- Masz szczęście, bo dzisiaj odwiedza nas policja. Pamiętasz?

Potwierdziłem ruchem głowy. Wiedziałem o tym dzięki detektywowi, którego opłacałem od półtora roku. Nie, żebym

się czegoś obawiał. Klub był jednym z moich nielicznych „legalnych” biznesów. Gliny nie znalazłyby tu niczego, co mogło wzbudzić ich podejrzenia albo powiązać mnie z moimi mniej legalnymi przedsięwzięciami. Niemniej jednak byłem wdzięczny za ostrzeżenie.

Nie zawsze tak było. Ja też nie zawsze byłem taki. Kiedyś robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby tak nie skończyć i nie stać się tym, kim byłem teraz - zawszonym, nikczemnym, handlującym prochami złodziejem samochodów, który żył z dnia na dzień i nie dbał o nic innego. Dawny Jamie Cole, który starał się zrobić coś pożytecznego ze swoim życiem, nigdy nie upiłby się na tyle, żeby zdemolować własny gabinet, a potem zasnąć i nie wiedzieć, czy blat uświniony jest solą czy narkotykami. Kiedyś tliła się we mnie jeszcze jakaś nadzieja; teraz - niekoniecznie.

Już raz niemal udało mi się uciec od takiego życia. Trzy lata temu niewiele brakowało, żebym zerwał z przeszłością i odleciał w stronę zachodzącego słońca z dziewczyną moich marzeń. Ale jedna noc wszystko przekreśliła. Jedna noc zburzyła cały mój świat. Gdyby nie to, jakże inne byłoby dziś moje życie.

W nocy poprzedzającej dzień, w którym ja i moja dziewczyna Ellie mieliśmy wszystko rzucić i udać się w podróż po świecie, mój dawny szef Brett Reyes dał mi do wykonania ostatnie zadanie. Ostatni robota i miałem odejść na dobre. Wydawało się proste. Ale nie było. Za kilka godzin miałem odebrać Ellie i pojechać z nią na lotnisko, gdy nagle sprawy przyjęły niepożądany obrót. Policja przeprowadziła nalot.

Wywiązała się strzelanina i każdy członek siatki Bretta oraz konkurencyjnej organizacji rodziny Lazlo, z którą się wówczas spotkaliśmy, został albo zabity, albo aresztowany.

Poniekąd na moje nieszczęście nie zginąłem, tylko poszedłem siedzieć. Pod wieloma względami byłoby lepiej, gdybym nie przeżył; przynajmniej wtedy nie musiałbym dzwonić do Ellie i niszczyć jej marzeń. Śmierć oszczędziłaby mi wykręcającej bebechy agonii, jaką przeżywałem, kiedy musiałem skłamać, łamiąc jej serce, żeby nie dowiedziała się, że łajdak, który był jej chłopakiem, ponownie trafił za kratki, tam gdzie jego miejsce. Ellie nie zasługiwała na to, by być dziewczyną skazańca odwiedzającą go raz na kilka tygodni. Nie mogłem obarczyć jej tym piętnem i kazać jej czekać, aż mnie wypuszczą. Dlatego zrobiłem to, co uważałem za słuszne. Zwróciłem jej wolność.

Utrata jedynej rzeczy, na której ci zależy, potrafi odmienić człowieka nie do poznania.

Dzięki mojemu adwokatowi Arthurowi Barringtonowi zamiast spędzić w więzieniu resztę mojej młodości, odsiedziałem tylko półtora roku.

Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy po wyjściu dowiedziałem się, że Brett Reyes, nie mając dzieci, uczynił mnie swoim jedynym spadkobiercą i tym samym szefem i prezesem trzech firm składających się na wielomilionowy interes. Klub, na którego zapleczu męczył mnie teraz kac, firma ochroniarska, którą zarządzałem, zanim mnie przyskrzyniono, oraz przedsiębiorstwo przewozowe – to wszystko, zgodnie z jego życzeniem, należało do mnie.

Mogłem wyjść na prostą i prowadzić te firmy najlepiej, jak potrafiłem, naprawdę do czegoś dojść. Jednak wraz z utratą Ellie straciłem motywację, by stać się lepszym człowiekiem. Kiedy więc ktoś z dawnych współpracowników Bretta zwrócił się do mnie z ofertą biznesową, przyjąłem ją bez wahania i już nigdy nie oglądałem się za siebie. Bycie złym chłopcem wychodziło mi znacznie lepiej. I tak wszyscy się tego po mnie spodziewali, więc po co walczyć? Przez ostatnie półtora roku, odkąd wyszedłem na wolność, wiodłem iście przestępcze życie, z którym kiedyś z uporem starałem się zerwać, i byłem w tym naprawdę dobry. „Jak już coś robić, to z rozmachem” – takie miałem teraz motto. A rozmachu z całą pewnością mi nie brakowało.

- Która godzina? – mruknąłem, wstając i chwytając się mocno krzesła, kiedy świat przechylił się w lewo. Zdecydowanie przesadziłem wczoraj z alkoholem.

- Po dziesiątej – odparł Dodger, zerkając na zegarek.

Mrugnąłem kilka razy i pokiwałem głową, próbując dźwignąć ją do pionu. Policja miała się zjawić w porze lunchu – przynajmniej taki dostałem cynk. To oznaczało, że miałem mniej więcej dwie godziny, żeby doprowadzić biuro do porządku i zatrzeć wszelkie ślady moich pijackich wybryków.

Dodger odstawił kosz i spojrzał na mnie z troską.

- Ray powiedział mi o rodzicach Ellie. Chcesz o tym pogadać?

- Nie – zaprzeczyłem kategorycznie.

- W porządku. Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, że możesz na mnie liczyć.

Nie odpowiedziałem. Skoro wcześniej nie chciałem o tym rozmawiać, to dlaczego miałbym chcieć teraz? Sięgnąłem po leżący na biurku telefon i podniosłem go, strzepując sól z ekranu.

Gdy go odblokowałem, zauważyłem cztery nieodebrane połączenia i jedną wiadomość głosową – wszystkie od Eda.

- Młody, mam tę informację, o którą prosiłeś. Zadzwoń do mnie.

Zdumiony zmarszczyłem czoło. Ma informację, o którą prosiłem? Z trudem próbowałem zebrać myśli. Nie pamiętałem, żebym go o coś prosił – chyba że wczoraj na rauszu. Ed załatwiał dla mnie sprawy, którymi sam nie miałem czasu się zająć. Bardzo możliwe, że coś mu zleciłem, ale nie miałem pojęcia, co to mogło być.

Gdy Dodger wyszedł z biura, dźwigając kosz pełen śmieci, wybrałem numer Eda, który odebrał po drugim dzwonku.

- Cześć, Młody, odsłuchałeś w końcu moją wiadomość?

- Tak, o jaką informację chodzi?

- Zadzwoniłeś do mnie w nocy i poprosiłeś, żebym dowiedział się czegoś o tej dziewczynie, której rodzice nie żyją. Pamiętasz?

A więc po pijanemu kazałem mu szpiegować Ellie. Super.

- Taaa, pamiętam – skłamałem.

- Jasne. Chciałeś wiedzieć, czy wraca. Poprosiłem naszego człowieka w Londynie, żeby miał ją na oku. Wczesnym rankiem pojechała na lotnisko. Widział, jak dokonuje odprawy na lot o dziewiątej rano do Nowego Jorku. Zgodnie z numerem rejsu, który mi podał, powinna wylądować na JFK za kilka

godzin.

Ścisnęło mnie w piersi. Spodziewałem się, że wróci do Stanów, ale nie tak szybko. Nie miałem czasu, żeby się na to przygotować.

- O której ląduje? - spytałem chrapliwym głosem.

- O dwunastej dwadzieścia pięć.

- Okej, dzięki. - Skinąłem głową, która coraz mocniej pulsowała.

- Młody, jeszcze jedna rzecz - dodał szybko, zanim zdążyłem się rozłączyć. - Odprawiła się sama. Jej narzeczony odwiózł ją na lotnisko, ale nie wszedł do samolotu.

Sama? Leciała sama? Tuby puścił ją samą, pogrążoną w żalobie i rozbitą emocjonalnie? Kawał drania! Zgrzytnąłem zębami, wszystko skręcało się we mnie ze złości. Rozłączyłem się i potrząsnąłem głową, próbując oczyścić umysł z morderczych myśli. Jak mógł pozwolić, żeby udała się w podróż sama? Dopiero co straciła ojca, jej matka była w stanie krytycznym - powinien być przy niej cały czas, ocierać jej łzy, wspierać ją i pocieszać. Co za złamas!

Nigdy nie przepadałem za Tobym Wallisem - w końcu był z moją dziewczyną - ale szanowałem tego gościa, ponieważ ją kochał; sprawił, że na jej twarz wrócił uśmiech, dał jej wszystko, czego potrzebowała. Tyle wiedziałem, wychodząc na wolność. Tajny nadzór, prowadzony przez szwagierkę Raya, skończył się w chwili, gdy po roku wspólnych podróży Ellie postanowiła nie wracać do domu z Natalie. Wówczas wdrożyłem inne środki kontroli. Zatrudniłem prywatnego detektywa, który ją śledził i co pewien czas składał mi raporty

o jej poczynaniach.

Zanim opuściłem więzienie, detektyw dostarczył mi dowodów na to, że Ellie była szczęśliwa, że wreszcie się otrząsnęła i że ten cały Toby Wallis, który skradł mi dziewczynę, tak naprawdę był dla niej dobry. Po dokładnym prześwietleniu okazało się, że był porządnym facetem bez kryminalnej przeszłości; od trzech lat rozwiedziony miał dwójkę dzieci i ciężko pracował. Tylko dlatego po wyjściu z paki nie wsiadłem w pierwszy lepszy samolot i nie pognałem do niej, by wyznać całą prawdę i błagać o przebaczenie. A ten gnojek pozwolił jej lecieć samej? Może wcale nie był taki porządny, jak początkowo myślałem.

* * *

Dwie godziny później byłem już w hali przylotów międzynarodowych na lotnisku JFK. Nie mogłem się powstrzymać. Dodger musiał sam sobie poradzić z policją. Nie miałem żadnego konkretnego planu. Chciałem po prostu ją zobaczyć, przytulić i odstawić cało, gdzie tylko by zechciała – prawdopodobnie do szpitala, bo zapewne tam była teraz cała jej rodzina.

Stałem nieco na uboczu, z dala od tłumu, oparty o ścianę Starbucksa, i w napięciu jej wyglądałem.

Samolot Ellie już wylądował, więc teraz pewnie przechodziła przez odprawę celną i odbierała bagaż.

Kiedy oczekujący ludzie zaczęli się tłoczyć i nerwowo podrygiwać, wyprostowałem się, wstrzymując powietrze. Pasażerowie wychodzili małymi grupkami, pchając przed sobą

wózki z bagażami, machając i piszcząc radośnie na widok przyjaciół, bliskich i krewnych.

Serce podeszło mi do gardła, ale cierpliwie czekałem, i wreszcie się pojawiła, ciągnąc za sobą walizkę.

Rozejrzawszy się, odeszła na bok i zaczęła coś pisać na komórcie. Jej miedziane włosy opadały wokół twarzy, wijąc się niedbale spletanymi pasmami. Były krótsze niż wtedy, kiedy widziałem ją po raz ostatni - ledwie sięgały jej do ramion. Przesuwając po niej wzrokiem, poczułem w środku znajomy ból; ogarnęła mnie tęsknota. Trochę się zaokrągliła od naszego ostatniego spotkania - jej biodra i uda były pełniejsze, brzuch już nie tak płaski jak dawniej, ale w niczym jej to nie ujmowało. Wyglądała równie pięknie jak w dniu, w którym ją poznałem.

Kiedy podniosła wzrok, jakby szukała czegoś lub kogoś, dostrzegłem cienie pod jej oczami. Serce ścisnęło mi się w piersi. Sprawiała wrażenie wyczerpanej, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie.

Pragnąłem podejść do niej i wziąć ją w ramiona. Chciałem ją pocieszyć, pocałować we włosy, pogłaskać po plecach, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, i zapewnić, że już nigdy jej nie opuszczę. Ale moje nogi ani drgnęły. Stałem bez ruchu, ukryty za tłumem ludzi, i zastanawiałem się, co zrobi, jeśli mnie zobaczy. Czy tak byłoby lepiej czy gorzej? Co by zrobiła, gdyby ujrzała mnie pokrytego sińcami, śmierdzącego wczorajszym alkoholem, z cudzą krwią zaschniętą na butach. Przyjechałem, by ją zobaczyć i wesprzeć, ale teraz, gdy tu stałem, zrozumiałem, że tylko pogorszyłbym sytuację, gdybym

się jej pokazał. I tak wiele już przeszła. Konfrontacja z facetem, który złamał jej serce, w niczym by nie pomogła.

Kiedy tak stałem, bijąc się z myślami, w tłumie mignęły blond włosy. Oczy Ellie drgnęły; jej usta wykrzywiły się lekko w smutnym uśmiechu, kiedy blondynka wpadła na nią jak burza.

Westchnąłem, tracąc nadzieję na jakiegokolwiek pojednanie. Stacey głaskała Ellie po włosach i pocieszała ją, trzymając w objęciach - też tak chciałem. Jeszcze nigdy nie byłem zazdrosny o dziewczynę, aż do teraz.

Odwróciłem się z posępnym wzrokiem i wymknąłem chyłkiem z lotniska, zanim zdążyły mnie zauważyć.

Rozdział 5

ELLIE

W hali odbioru bagażu na lotnisku JFK panował straszny harmider. Ludzie kręcili się wokół mnie i przepychali wózkami, dyskutując, gdzie najlepiej stanąć, aby szybko zgarnąć walizkę. Z ekscytacją rozprawiali o swoich planach wakacyjnych, o tym, skąd rozjeżdżały się autobusy; śmiali się, żartowali. Patrzyłam na nich jak otępiała.

Powoli przeciskałam się wśród tłumu, co chwila zerkając na wyświetlacz komórki. Wyłączyłam tryb samolotowy, gdy tylko opuściłam pokład, ale telefon długo próbował wykryć sieć, z którą mógłby nawiązać połączenie. Gdy zatrzymałam się przy taśmociągu obsługującym mój lot, nadal szukał sygnału.

Mniej więcej po minucie w lukę obok mnie wcisnęła się typowa brytyjska rodzina, która przez osiem godzin siedziała za mną w samolocie. Ich córeczka, która nie mogła mieć więcej niż sześć lat, narzekała, że jest zmęczona i znudzona, i wciąż dopytywała, kiedy wreszcie zaczną się ich wakacje. Od jej pisków, które z każdą sekundą przybierały na sile, pękała mi głowa.

W samolocie nieustannie trajkotała o tym, co najpierw chciała zrobić i zobaczyć w Nowym Jorku, snuła domysły na temat hotelu i tego, jak ciepła będzie woda w basenie. Przez wiele godzin siedziała grzecznie w fotelu, oglądając filmy

i śmiejąc się do ekranu. Jednak teraz sprawiała wrażenie wyraźnie zniecierpliwionej i chciała jak najprędzej opuścić lotnisko.

Spojrzałam na nią, ale tak naprawdę jej nie widziałam. Od czternastu godzin, to jest od rozmowy telefonicznej, która zburzyła mój świat, na niczym nie mogłam się skupić. Działalam w trybie autopilota, bezwiednie wykonując rutynowe czynności: pokazać paszport, odebrać bilet, wsiąść na pokład, wsiąść z samolotu, pokazać paszport, odebrać bagaż; wciąż byłam na tym ostatnim etapie.

- Przepraszam, jest trochę podekscytowana. I nie spała w samolocie. To był długi dzień.

Oderwałam wzrok od dziewczynki - teraz zaaferowanej paczką cukierków, którą dostała od mamy - i przeniosłam go na jej tatę, który uśmiechał się do mnie przepaszająco. Graham, tak miał na imię; dowiedziałam się podczas lotu.

Choć było mi trudno, zmusiłam się do uśmiechu.

- Nic nie szkodzi, proszę nie przepaszzać - wymamrotałam.

Dziewczynka wyciągnęła swoją małą dłoń i chwyciła tatę za rękę. Na widok tego drobnego gestu ścisnęło mi się serce. Czegoś takiego nigdy już nie doświadczę. Odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć na tę przeuroczą trzyosobową rodzinę, i nagle przypomniały mi się chwile spędzone z ojcem: wspólne wycieczki, podróże samolotem, trzymanie się za ręce. Chciałam powiedzieć Grahamowi, żeby nie brał za pewnik tego, co ma, żeby cenił i pielęgnował każdą chwilę spędzoną z rodziną, bo nigdy nie wiadomo, kiedy los postanowi mu to odebrać.

Zacząłam jednak stukać w ekran telefonu, próbując nawiązać połączenie, żeby móc sprawdzić, czy przysły jakieś wieści od babci. Kiedy wsiadałam do samolotu w Londynie, stan mamy był stabilny. Operacja przebiegła bez komplikacji, a mamę przewieziono na salę wybudzeń. Później musiałam przełączyć komórkę w tryb samolotowy, więc nie dowiedziałam się niczego nowego. Wszystko się mogło wydarzyć w ciągu tych ośmiu potwornie długich godzin lotu. Modliłam się tylko, żeby nadal żyła i walczyła, bo nie wiedziałam, jak sobie poradzę, jeśli zabraknie ich obojga.

W chwili gdy na taśmociągu pojawiły się pierwsze bagaże, mój telefon gwizdem kosogłosa z *Igrzysk śmierci* zasygnalizował nadejście wiadomości. Wreszcie połączył się z siecią i dostałam naraz dwa esemesy. Wstrzymałam oddech i odblokowałam ekran, wstukując hasło.

Pierwsza wiadomość była od Stacey, mojej najlepszej przyjaciółki, druga od Toby'ego. Odetchnęłam z nieukrywaną ulgą, że żadna z nich nie pochodziła od babci. Brak wieści to dobre wieści – chyba tak to szło? W tym przypadku brak wiadomości oznaczał, że mama jeszcze nas nie opuściła i dochodziła do siebie po operacji. Przynajmniej taką miałam nadzieję.

Najpierw odczytałam wiadomość od Stacey: „Jestem w drodze! Jak zwykle spóźniona. Stoję w korku. Będę niedługo XXX”.

Uśmiechnęłam się; akurat tę cechę Stacey lubiłam najmniej – jej notoryczne spóźnialstwo. W pewnym sensie tego też mi brakowało. Zadzwoiłam do niej jeszcze przed wejściem na

pokład i zapytałam, czy mogłaby mnie odebrać z lotniska. Po tak długiej samotnej podróży chciałam ujrzeć jakąś przyjazną twarz. Stacey z miejsca się zgodziła, tak jak przypuszczałam. Nie mogłam się już doczekać, kiedy ją zobaczę – zdecydowanie za długo się nie widziałyśmy.

Nie odpisałam; była już w drodze, więc niedługo i tak tu dotrze. Otworzyłam wiadomość od Toby'ego: „Kocham Cię. Napisz, gdy wylądujesz, i zadzwoń, jak będziesz mogła XX”.

Tym krótkim ciepłym esemesem ujął mnie za serce. Od chwili, gdy dowiedziałam się o wypadku, był dla mnie niesamowitym wsparciem. Stał na wysokości zadania i wszystkim się zajął: pocieszał mnie i zaparzył mi herbatę na uspokojenie – to takie brytyjskie lekarstwo na wszystko. Zadzwoił ponownie do babci, żeby dowiedzieć się dokładnie, co się stało, ponieważ nadal nie chciało mi to przejść przez gardło. A potem zarezerwował najbliższy lot do Nowego Jorku i nawet spakował za mnie walizkę. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Niestety, nie mógł ze mną lecieć. Nie od razu. Opiekował się dziećmi; ich matka wyjechała na wczasy, więc nie mógł ich wcześniej odesłać do domu. Poza tym prowadził pub, a znalezienie zastępstwa zajęłoby kilka dni, nawet gdyby nie miał u siebie dzieci. Próbował mnie przekonać, żebym poczekała i nie leciała sama, ale nie mogłam tego zrobić. Musiałam tu być. Musiałam zobaczyć się z siostrą, przytulić ją, wspólnie popłakać i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze.

Ponownie odczytałam jego wiadomość i nagle ogarnęła mnie

straszna samotność; poczułam ściskanie w żołądku i gęsią skórę na ciele, choć w terminalu nie było szczególnie zimno. Objęłam się mocno ramionami, patrząc na przesuwane się wolno bagaże – żaden nie był mój.

Gdy wreszcie wyjechała moja walizka, nie byłam w stanie jej udźwignąć – fakt, że się poruszała, nie ułatwił mi zadania. Dopiero Grahamowi, głowie stojącej obok rodziny, udało się podnieść ją z taśmociągu i postawić na ziemię.

- Dziękuję – wydukałam.

Matka dziewczynki zmarszczyła brwi, mrużąc oczy z troską, i ujęła mnie za łokieć.

- Moja droga, nic ci nie jest? Wyglądasz trochę blado. Dobrze się czujesz?

Próbowałam się uśmiechnąć, lecz moje usta odmówiły współpracy, więc tylko skinęłam głową.

- Tak, po prostu jestem zmęczona – skłamałam. - Udanych wakacji! - Bez zbędnych ceregieli odwróciłam się i podążyłam za tłumem pasażerów, którzy odebrali już swoje bagaże i teraz kierowali się wyjściem dla podróżnych niemających nic do oclenia do hali przylotów.

Omiotłam wzrokiem kręcących się tam ludzi – jedni trzymali w rękach kartki z nazwiskami, inni kwiaty, a jedna pani powitalny transparent – lecz nie dostrzegłam wśród nich Stacey. Stałam więc gdzieś z boku, opierając się o ścianę, i wysłałam krótkiego esemesa do Toby'ego z informacją, że dotarłam cało i zadzwonię do niego później.

Staralam się nie podnosić oczu, uparcie wpatrując się w podłogę, żeby nie widzieć uścisków i pocałunków, które

z pewnością towarzyszyły radosnym piskom osób witających się z krewnymi i bliskimi. Niestety, nie wytrzymałam i rozejrzałam się, patrząc, jak wpadają sobie w ramiona, uśmiechają się, radują i przytulają. Gdy zobaczyłam, jak pewien facet w garniturze wychodzi prosto w objęcia kobiety czekającej z własnoręcznie wykonanym transparentem z napisem „Witaj w domu”, ogarnęła mnie zazdrość. Rodzina siedząca za mną w samolocie także już wyszła; dziewczynka była teraz w lepszym nastroju - przycupnęła na walizkach, a jej tata toczył przed sobą wózek bagażowy. Ponownie rozejrzałam się po hali z cichą nadzieją, że Stacey zdążyła dotrzeć. Nie chciałam już dłużej stać sama. I wtedy, jakby w odpowiedzi na moje nieme prośby, wleciała jak strzała przez drzwi, przemykając zwinnie między ludźmi i mamrocząc co chwila: „Przepraszam”.

Gdy ją ujrzałam, trochę zeszło ze mnie napięcie i po raz pierwszy spróbowałam się uśmiechnąć. Ruszyłam naprzód, ciągnąc za sobą walizkę, a Stacey rzuciła się na mnie z siłą, która niemal zwała nas obie z nóg. Objęła mnie mocno ramionami, wbijając mi palce w plecy i ściskając tak kurczowo, że zabrakło mi tchu. Ogarnęło mnie błogie ciepło i poczułam, że mur, który wzniosłam wokół siebie na pokładzie samolotu, zaczyna się kruszyć i pękać. Zamknęłam oczy, starając się opanować i nie rozkleić. Nie mogłam sobie pozwolić, by znów ulec emocjom; tym razem Toby nie pomógłby mi się pozbierać. Musiałam być silna. Teraz to ja powinnam zatroszczyć się o innych i być podporą dla mojej trzynastoletniej siostry. Na co jej histeryzująca, zapłakana

i rozsypana na kawałki kupka nieszczęścia?

Odsunęłam się i spojrzałam w zaczerwienione oczy Stacey.

- Cześć - przywitałam ją ochrypłym głosem.

Przyciągnęła mnie do siebie i zamknęła w kolejnym miażdżącym uścisku.

- Och, Ellie, tak mi przykro. Brakuje mi słów, ale jeśli mogłabym jakoś pomóc, jakkolwiek...

Nie musiała kończyć, wiedziałam, co chciała powiedzieć. Pokiwałam głową, przygryzając od środka policzek, wystarczająco mocno, by ból odwrócił moją uwagę od innych myśli. Ludzie mijali nas obojętnie, nie zdając sobie sprawy z naszego cierpienia.

Stacey, pociągając nosem, wyjęła z kieszeni jednorazową chusteczkę i zaczęła wycierać sobie oczy. Wyglądała tak samo jak przed trzema laty - wysoka, szczupła, naturalnie piękna, nawet z tym byle jak upiętym kokiem i przekrwionymi oczami.

Jej ciepły i przyjazny uśmiech sprawił, że na sercu zrobiło mi się jakby lżej.

- Chodź, odstawię cię do domu.

- Zabierz mnie prosto do szpitala - poprosiłam.

Stacey wzięła mnie pod rękę i poprowadziła do wyjścia.

- To nie pora odwiedzin, nie wpuszczą cię. Twoja babcia powiedziała, żebym przywiozła cię najpierw do domu, a później pojedziecie do szpitala.

- Aha. - Owinęłam się mocniej kurtką przed mroźnym powietrzem i podążyłam za przyjaciółką. Po drodze zatrzymała się, żeby zapłacić za postój, po czym poprowadziła mnie do samochodu - nowiutkiego mercedesa klasy S coupé.

Z trudem wcisnęłam bagaż do małego kufra. Całe szczęście, że spakowałam tylko średnią walizkę i nie próbowałam przytaszczyć wszystkich moich rzeczy w jednej dużej; nic większego by się tam nie zmieściło.

- Fajne auto - zauważyłam w zadumie, wsiadając do środka.

- Dorobiłaś się małej fortuny, jak mnie nie było? - zażartowałam, usadawiając się wygodnie w miękkim, skórzanym fotelu i podkrecając ogrzewanie, ponieważ w marcu panowały tu nieco niższe temperatury niż te, do których przywykłam w Londynie.

- Nie jest moje, tylko mojego szefa, Owena - odparła, uruchamiając silnik.

- I twój szef, ot tak, pożycza ci swój samochód? - spytałam, próbując podtrzymać konwersację i uniknąć ciszy. Bo kiedy zapadała cisza, zaczynała się gonitwa myśli, a ból stawał się nie do zniesienia.

Wzruszyła ramionami, posyłając mi szeroki uśmiech, po czym wycofała samochód i ruszyła w kierunku wyjazdu.

- Owen lubi mnie uszczęśliwiać, bo wie, że wówczas ja również go uszczęśliwię. Jeśli wiesz, co mam na myśli... - zawiesiła wymownie głos, pozwalając, bym sama dopowiedziała sobie resztę.

Wtedy zrozumiałam.

- Sypiasz ze swoim szefem? - spytałam, zaszokowana, że wcześniej nie podzieliła się ze mną tą sensacyjną nowiną. Wiedziałam, że Stacey była osobistą asystentką jakiegoś bogatego biznesmena, który zbił majątek, obracając nieruchomościami, ale ani razu, ilekroć rozmawialiśmy, nie

wspomniała, że spotyka się z nim także prywatnie.

- Owszem, kiedy mam na to ochotę - przyznała i wydeła usta, zerkając na mnie kątem oka.

Miałam wrażenie, że podróż z lotniska do domu ciągnie się w nieskończoność. Stacey praktycznie przez całą drogę trajkotała - nie musiałam jej nawet zachęcać ani brać udziału w rozmowie, za co byłam jej wdzięczna, ponieważ nie miałam głowy do towarzyskich pogawędek.

Gdy wjechałyśmy w moją ulicę, przemierzając drogę, na której uczyłam się jazdy rowerem, mijając drzewa, na które się wspinałam, i drzwi, do których pukałam w Halloween, zrobiło mi się ciężko na duszy. Na widok znajomego białego domu serce zamarło mi w piersi. Chłonełam wzrokiem każdy szczegół: lśniące szyby w oknach, nieskazitelnie przystrzyżoną murawę, wiosenne kwiaty ledwie wyzierające spod świeżo wzruszonej ziemi na rabatach, idealnie wykończone obrzeża trawnika - wszystko tak swojskie i znajome, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżała.

Oszołomiona, odpięłam pas i wysiadłam z samochodu - moje ciało samo podejmowało decyzje, a głowa próbowała za nim nadążyć. Stacey była szybsza ode mnie; wyjęła walizkę z bagażnika i czekała na mnie przy krawężniku ze smutnym uśmiechem na twarzy. Otoczyła mnie ramieniem i ruszyłyśmy kamienną ścieżką ku niebieskim drzwiom.

Zatrzymawszy się u progu, wyciągnęłam rękę, lecz zawahałam się z dłonią na gałce, niepewna, czy miałam dość siły, by wejść do środka. Moi bliscy byli pogrążeni w żałobie, tak jak ja, i cierpieli - musiałam ich jakoś podnieść na duchu.

A jeśli nie dam rady? Co, jeśli się załamie i wszystko tylko pogorszę?

Nie było mi dane dokończyć myśli, ponieważ drzwi nagle się otworzyły i ujrzałam w nich babcię w kwiecistej sukience i fartuchu przewiązonym w talii. Wyraźnie zmizerniała od ostatniego razu, gdy ją widziałam, zmarszczki wokół jej oczu i ust pogłębiły się, włosy się przerzedziły, a policzki zapadły. Niegdyś krzepka drobna postura teraz wydawała się wątła. Cienie pod oczami zdradzały, jak bardzo była zmęczona. Kąciki wąskich ust drgnęły w uśmiechu, a gdy wyciągnęła ku mnie ręce, jej oczy zaszklily się łzami.

Padłam w jej objęcia i zamknęłam ją w swoich ramionach. Pod palcami czułam kości jej kręgosłupa i żebra przyciśnięte do moich piersi. Strasznie się zmieniła przez te trzy lata. Sporo schudła. Nagle dotarło do mnie, jak bardzo się postarzała.

- Ellie, jak dobrze, że jesteś. - Odchyliła się do tyłu i spojrzała na mnie błyszczącymi oczami, delikatnie przykładając chłodną dłoń do mojego policzka.

Wciągnęłam powietrze w płuca, licząc, że słowa same popłyną.

- Babciu, stęskniłam się za tobą.

Uśmiechnęła się serdecznie, ale w jej oczach dostrzegłam ogromny smutek. Wyglądała na wyczerpaną i bliską załamania. Gładząc moją twarz, patrzyła na mnie wzrokiem przepelnionym rozpaczą. Cisza przedłużała się i żadna z nas nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie babcia mrugnęła kilkakrotnie i cofnęła się, uchylając szerzej drzwi.

- Wchodź do środka, ciepło ucieka - stwierdziła, uśmiechając się słabo. - O, witaj, Stacey.

Znajomy widok holu przywołał wspomnienia: stojak na parasole, obraz olejny podarowany przez tatę mamie, gdy byłam mała, stolik i staroświecki telefon z tarczą numerową, który w zasadzie nie działał, tylko stał tam dla ozdoby, ponieważ mama uważała, że jest uroczy. Poczułam jeszcze większy ból, jakby ktoś dźgnął mnie nożem w brzuch.

Wzięłam głęboki oddech i przestąpiłam próg. Uderzyła mnie panująca cisza. Tak cicho nie było tu nigdy. Telewizor lub radio zawsze grały, Kelsey śpiewała i tańczyła po kątach, a w tle cicho niósł się dźwięk z taśm do nauki języka obcego i głos mamy powtarzającej słowa, których do końca nie potrafiła wymówić. W domu zawsze było ciepło, jasno i głośno. A teraz wydawał się zimny i pozbawiony życia.

Wolno przesuwając wzrokiem po otoczeniu. Na widok pary równiutko ustawionych lśniących czarnych półbutów serce zamarło mi w piersi. Buty taty. Moje ciało przeszył chłód. Objęłam się ramionami i spojrzałam na babcię.

- Co z mamą? - spytałam, czując drapanie w gardle.

Babcia spuściła wzrok na podłogę, bezwiednie wycierając rękę w fartuch.

- Jeszcze się nie ocknęła. Odesłali nas do domu kilka godzin temu i obiecali, że zadzwonią, jeśli coś się zmieni.

Pokiwałam wolno głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Bałam się wspominać o tacie - nie byłam na to gotowa, i może nigdy nie będę.

- Dobrze się czujesz? Wyglądasz na zmęczoną.

Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić przykre myśli, a na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Nic mi nie jest, kochanie. Nie martw się o mnie. Właśnie szykuję lunch. Pewnie jesteś głodna. Jadłaś coś?

No tak. Jej odpowiedź na wszystko. Brytyjczycy częstowali herbatą, a babcia wszystkim wpychała jedzenie.

- Nie jestem głodna - odpowiedziałam automatycznie. Powinnam być; nie miałam nic w ustach przez cały dzień. Nie przestawiałam się jeszcze na czas amerykański: w Anglii była teraz pora obiadowa i opuściłam już trzy posiłki, jednak byłam zbyt spięta i roztrzęsiona, by czuć coś tak przyziemnego jak głód. W ogóle nie myślałam o jedzeniu.

- Na pewno? Może jednak się skusisz? - zachęcała i natychmiast pospieszyła do kuchni, skąd dobiegał charakterystyczny aromat chili z pięciu rodzajów fasoli, jej specjalności.

- Jadłam w samolocie - skłamałam, by zakończyć tę rozmowę. Babcia zatrzymała się i odwróciła w moją stronę, z rozczarowaniem zwieszając ramiona. Wiedziałam, że chciała jedynie zająć czymś myśli, ale nie byłam w stanie przełknąć ani kęsa. - Gdzie jest Kels? - zmieniłam temat, rozglądając się ponad jej głowę po pustym salonie.

Babcia jakby zeszywniała.

- Na górze, w swoim pokoju. Też nie chciała jeść.

Dobrze to rozumiałam.

- Jak się trzyma?

Nie odpowiedziała, ale nie musiała; jej załzawione oczy mówiły wszystko. Kelsey wcale nie miała się dobrze.

Skierowałam wzrok na schody, zbierając się na odwagę, by wejść na górę do młodszej siostry i dodać jej otuchy słowami, które miałam nadzieję, że w jakiś magiczny sposób przyjdą mi do głowy, ponieważ teraz miałam w niej pustkę. Po prostu nie było takich słów, które mogłyby pomóc.

- Zajrzę do niej, powiem, że jestem, i zapytam, czy nie chce zejść na dół.

Stacey nagle odchrząknęła.

- To ja już sobie pójdę, żebyś mogła się rozpakować i zadomowić - oświadczyła, uśmiechając się dziwnie. - Dzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Okej? Jeśli chcesz, mogę cię później podwieźć do szpitala - zaproponowała i objęła mnie swoimi długimi, szczupłymi ramionami.

- Dzięki. - Odwzajemniłam uścisk i przywarłam do niej; nie chciałam, żeby mnie zostawiała. Stacey odsunęła się ze smutnym uśmiechem na twarzy i wyszła.

W holu ponownie zapadła cisza. Okropna, ogłuszająca, mącąca w głowie cisza.

Babcia pociągnęła głośno nosem, podnosząc brodę i prostując plecy.

- Nałożę ci trochę. Wiem, że nie jesteś głodna, ale może zmienisz zdanie.

Zmusiłam się do uśmiechu i pokiwałam głową. Wiedziałam, że potrzebowała tego, by poczuć, że się nami opiekuje.

- Dobrze, babciu, dziękuję. - Zrzuciłam z siebie kurtkę i odwiesiłam na wieszak, po czym spojrzałam na trzynaście stopni prowadzących na górę, zastanawiając się, czy starczy mi sił, by się po nich wspiąć. Moje ciało wydawało się dziwnie

ciężkie i słabe. Marzyłam tylko o tym, by zwinąć się w kłębek i zalać łzami, ale zamiast tego wzięłam głęboki oddech i zmusiłam nogi do pracy, pokonując schodek po schodku.

Zatrzymałam się przy pokoju Kelsey, nasłuchując oznak życia. Nic, cisza. Podniosłam rękę i zapukałam – brak odzewu.

– Kelsey? – zapukałam ponownie, nadal nie słysząc odpowiedzi. Położyłam dłoń na gałce i przekręciłam ją, uchylając drzwi i zerkając do środka. Kelsey leżała na łóżku, wpatrzona w sufit; na głowie miała czerwone słuchawki Beats, a na brzuchu spoczywał jej iPhone.

Zdumiało mnie, jak wyrosła; była dużo wyższa, niż ją zapamiętałam w dniu wyjazdu, zwłaszcza gdy tak leżała wyciągnięta na łóżku. Brązowe włosy, takie same jak taty, opadały jej kaskadą do połowy ramion. Miała idealne proporcje ciała i już wyraźnie zaznaczone piersi, wcale nie mniejsze od moich, choć skończyła dopiero trzynaście lat. Na jej nastoletniej twarzy widniało kilka pryszczki, które ukryła pod źle dobranym korektorem, przez co jeszcze bardziej rzucały się w oczy.

Poczułam ścisk w gardle. Tyle mnie ominęło, gdy dorastała. Leżąc przedemną młoda panna w niczym nie przypominała tej małej dziewczynki, z którą się żegnałam. To już nie ta sama dziesięciolatka, która wszędzie za mną chodziła i zdecydowanie za głośno śpiewała piosenki One Direction; która skakała na moim łóżku i podkradała mi szminkę lub dezodorant, gdy nie patrzyłam.

– Kelsey? – odezwałam się niepewnie, otwierając szerzej drzwi i zaglądając do pokoju.

Zaskoczona podskoczyła, podnosząc głowę i szybkim ruchem ręki łapiąc telefon, który stoczył się jej z brzucha.

Uśmiechnęłam się słabo, bo nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Przepraszam, że cię przestraszyłam.

Nie odwzajemniła uśmiechu; zacisnąwszy usta w wąską kreskę, zdjęła z głowy słuchawki i zsunęła je na szyję. Przesunęła po mnie wzrokiem i usiadła, zwieszając nogi za krawędź łóżka.

- Och, jednak przyjechałaś. - Jej głos zdradzał, że coś jest nie tak; jego cierpkość mną wstrząsnęła.

- Przed chwilą. Stacey mnie podrzuciła. - Zagryzłam wargę, szukając słów, mądrych słów, które choć trochę uśmierzą jej ból.

- Miło, że się pofatygowałaś - rzuciła z urazą. Poderwała się, zrywając z szyi słuchawki i rzucając je niedbale na łóżko razem z telefonem.

Wzdrygnęłam się, słysząc ten ton. Skąd w niej tyle złości? Nie spodziewałam się tego, w ogóle nie byłam na to przygotowana.

- Przyleciałam najszybciej, jak się dało - wyjaśniłam, marszcząc czoło w zakłopotaniu.

Prychnęła szyderczo i założyła ręce na piersi, unosząc prowokacyjnie brwi.

- Najszybciej jak się dało? Trzeba było się bardziej postarać.

- Słucham? - wymamrotałam z niedowierzaniem, przytwierdzona jej stalowym spojrzeniem do framugi drzwi. -

Kelsey, przyleciałam pierwszym samolotem. Przyszłam do ciebie, żeby sprawdzić, czy wszystko okej.

Na jej ustach zakwitł drwiący uśmieszek. Spojrzała na mnie z miną, której nigdy wcześniej nie widziałam na twarzy mojej kochanej, młodszej siostrzyczki.

- Chciałaś sprawdzić, czy wszystko okej? Nie jest okej, do cholery! - Te mocne słowa kompletnie mnie zaszokowały. Zamrugalam szybko, próbując się z nimi oswoić. - Trochę na to za późno, Ellie. - Kelsey pokręciła energicznie głową. - Powinnaś tu być... dla mnie, dla mamy, dla taty. Powinnaś tu być, gdy przyjechał policjant i powiedział nam, co się stało; powinnaś tu być, gdy radiowozem wiozł nas godzinę do szpitala. - Mówiła coraz głośniej, a teraz prawie krzyczała. - Powinnaś tu być, gdy zabierali mamę na operację. Powinnaś tu być, kiedy wezwano babcię, żeby zidentyfikowała ciało taty. Powinnaś tu być, kiedy zalała się łzami i zemdląła, bo nie wytrzymała tego stresu. Potrzebowałyśmy cię, ale ciebie nie było! Włóczyłaś się gdzieś za granicą, niczym się nie przejmując, a w tym czasie mój świat się zawalił!

Jej ostre, pełne goryczy słowa głęboko mnie dotknęły. Poczucie winy, że nie było mnie tu z nimi, dusiło mnie w środku.

- Kelsey, to nie tak - zaprzeczyłam ochrypłym głosem ze łzami w oczach.

Uniosła brodę i utkwivszy we mnie spojrzenie, pokonała sześć czy siedem kroków, które nas dzieliły.

- Nie tak? A jak? Powinnaś tu być, ale cię nie było. Jeśli sądzisz, że zjawiając się po tak długim czasie, wszystko

naprawisz, grubo się mylisz. - Chwyciła drzwi i zamachnęła się, z całej siły zatrzaskując mi je przed nosem.

Rozdział 6

Przez kilka sekund stałam nieruchomo, wbijając wzrok w pomalowane na biało słoje drewna, nie mogąc pojąć, co się właściwie stało.

Zadrżałam i przełknęłam ślinę. Serce mi waliło. Siła, z jaką wypowiedziała te słowa, ten gniew, ten jad w jej głosie i ten celowo szorstki ton. Ona naprawdę tak myślała.

Po policzku spłynęła mi łza. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia i smutek. Czując, że uginają się pode mną kolana, podparłam się dłonią o ścianę. Nie mogłam znieść myśli, że moja biedna babcia musiała zidentyfikować zwłoki swojego syna, że jej wątłe ciało nie było w stanie udźwignąć takiego brzemienia, że Kelsey została sama, bez ojca, z matką leżącą na sali operacyjnej i babką słabnącą w szpitalu. To wszystko było ponad moje siły.

Oparłam czoło o zimne drewniane drzwi do pokoju Kelsey, zamknęłam oczy i, głęboko oddychając, próbowałam uspokoić szalejącą we mnie burzę uczuć. Chciałam jedynie dotrzeć do swojej sypialni, rzucić się na łóżko i zanieść płaczem. Słowa Kelsey mocno mnie dotknęły i nagle zrozumiałam, że miała rację. Nie wystarczyło tylko się pojawić; musiałam im to jakoś wynagrodzić – począwszy od tej chwili. Szlochanie w poduszkę nic nie da.

Otarłam załzawioną twarz i ruszyłam w kierunku schodów,

pozwalając Kelsey nieco ochłonać. Zamierzałam spróbować ponownie za jakiś czas, licząc, że będzie wtedy gotowa porozmawiać. Może po prostu potrzebowała chwili, by dojść do ładu ze swoimi uczuciami.

Zeszłam na dół i podążyłam za odgłosem pobrzękujących naczyń. Z kuchni unosił się cudowny zapach chili. Babcia stała przy kuchence i mieszała drewnianą łyżką w ogromnym garze. Przystanęłam w progu, patrząc na nią w milczeniu. Zawsze lubiłam się przyglądać, jak gotuje; w kuchni była niedoścignioną mistrzynią. Gdy byłam młodsza i zostawałam u niej na dłużej, pomagałam jej przy szykowaniu kolacji; podczas praktycznie każdej wizyty piekłyśmy ciasta i ciasteczka.

- Jak wam poszło?

Podskoczyłam zaskoczona. Celowo weszłam po cichu; nie zdawałam sobie sprawy, że jest świadoma mojej obecności. Spojrzała na mnie przez ramię i uśmiechnęła się smutno, nalewając chochlę chili.

Nie znalazłam właściwych słów, by jej odpowiedzieć. Wzruszyłam tylko ramionami i podeszłam do krzesła, dotykając miękkiego, skórzanego obicia; zauważyłam, że było nowe. Właściwie cała kuchnia wyglądała inaczej niż przedtem. Została przemalowana na blady odcień zieleni; ozdobna porcelana również była zielona, zamiast żółtej, która stała tu dawniej.

- Ma mi za złe, że... - wzięłam głęboki oddech, z trudem przełykając żal - ...że nie było mnie tu, gdy to wszystko się wydarzyło.

Babcia wypuściła przeciągle powietrze i pokiwała wolno głową, człapiąc do stołu, na którym postawiła miskę i talerz z chrupiącymi bułkami.

- Usiądź, odpocznij, pewnie jesteś wyczerpana po podróży.

Usiadłam posłusznie z rękami skrzyżowanymi na kolanach, wpatrując się w blat stołu.

- Kelsey jest po prostu przygnębiona. Jest młoda i nie potrafi się w tym wszystkim odnaleźć. Czasem łatwiej jest przeżyć złość niż smutek. - Usiadła naprzeciwko mnie i posłała mi czułe, pełne bólu spojrzenie. - Gniew jest jej sposobem na uporanie się z tą trudną sytuacją i odreagowuje go na tobie. Niestety, czasami krzywdzimy tych, których kochamy najmocniej. Przejdzie jej.

Przytaknęłam, mając nadzieję, że się nie myli. Babcia patrzyła to na mnie, to na miskę z potrawą, której nawet nie ruszyłam. Podniosłam z rezygnacją łyżkę. Widziałam, że napięcie powoli opuszcza jej ciało, gdy nabrałam chili i włożyłam do ust, wolno przeżuwając. Smakowało równie wybornie, jak pachniało, ale nadal nie czułam głodu. Zmusiłam się jednak i jadłam dalej, dla babci i jej świętego spokoju, wiedząc, że czuła się przez to lepiej.

Towarzysząca nam cisza była niemal nie do zniesienia, dlatego postanowiłam poruszyć temat wypadku. Przez telefon babcia powiedziała tylko, że chodzi o wypadek samochodowy, nie wdając się w szczegóły. Teraz, gdy ciszę przerywał jedynie brzęk uderzającej o miskę łyżki, owe szczegóły wydały mi się znaczące.

- Babciu, co do wypadku... - podjęłam łamiącym się głosem;

rozmowa na ten temat sprawiała, że stawał się bardziej realny - ... czy ktoś jeszcze w nim ucierpiał? - Skupiłam się na własnym cierpieniu i nawet nie pomyślałam, że ktoś inny również mógł zostać ranny lub zginąć.

Ściągnęła brwi, skubiąc nitkę wystającą z fartucha.

- Nie, nikt. Nie wiadomo do końca, jak do tego doszło. Był tylko jeden świadek, który jechał spory kawałek z tyłu, więc niewiele widział. Podobno jakiś niebieski pikap pędził jak wariat i gdy ich wyprzedzał, uderzył w bok samochodu twojego ojca, który stracił kontrolę nad autem i wpadł na barierki pośrodku jezdni. Ten drugi kierowca odjechał z piskiem opon, nie udało się go znaleźć.

Wzdrygnęłam się na te słowa. Sprawca nawet się nie zatrzymał? Nie mogłam pojąć, kto się nie zatrzymuje, biorąc udział w wypadku.

- Policja podejrzewa, że był pijany albo coś w tym stylu? - W głowie utkwiło mi to, że pędził jak wariat.

Babcia westchnęła głęboko i nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Nie mają pewności. Przejrzeli nagrania z kamer, ale nie widać na nich kierowcy, więc trudno stwierdzić, co tak naprawdę się wydarzyło.

Zgrzytnęłam zębami w przyływie gniewu.

- Nie martw się, znajdą osobę odpowiedzialną za to, co się stało, i wymierzą jej sprawiedliwość. - Babcia położyła swoją wiotką dłoń na mojej, delikatnie ją ściskając. Jej głos był zdeterminowany, pewny, stanowczy i nade wszystko przesycony złością. - Zostaw to policji. My mamy inne

zmartwienia.

Skinęłam głową, czując w gardle wielką gulę. Odłożyłam łyżkę i odsunęłam lekko miskę, wiedząc, że nie przełknę już ani kęsa. Babcia podeszła do zlewu, zeskrobując do młynka na odpadki ledwo tknięte jedzenie. Była przygarbiona, a ruchy miała spowolnione.

- Może się chwilkę zdrzemniesz? - zasugerowałam, podchodząc do niej. - Ja pozmywam. Wyglądasz na zmęczoną. - Objęłam ją ramieniem i lekko ścisnęłam dla zachęty.

Westchnęła, nie patrząc na mnie, i przytaknęła.

- Chyba tak zrobię. - Odwróciła się do mnie i pocałowała w policzek. - Obudź mnie, jeśli będą dzwonić. Kolejne odwiedziny o trzeciej, ale raczej pójdę wieczorem. Chyba że chcesz, żebym ci towarzyszyła?

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.

- Nie ma takiej potrzeby. Odwiedzę ją po południu, a wieczorem pójdziemy wszystkie razem.

Skinęła na znak zgody. Odprowadziłam ją wzrokiem, gdy wychodziła z kuchni, i zerknęłam na zegar: dochodziła druga. Jeszcze trochę ponad godzinę, zanim będę mogła zobaczyć się z mamą. Z westchnieniem sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam komórkę, kierując się w stronę rutera Wi-Fi, żeby sprawdzić hasło. Połączywszy się z siecią, opadłam na krzesło i wybrałam numer Toby'ego. Pewnie chodził już po ścianach w oczekiwaniu na wieści. Wiedziałam, że sam nie zadzwoni, żeby mi nie przeszkadzać, w razie gdybym była akurat w szpitalu.

Zanim się dodzwoniłam, minęło kilka sekund, ale odebrał już

po drugim sygnale.

- Cześć, słońce. Wszystko gra?

Zamknęłam oczy, przyciskając telefon mocniej do ucha. W tle słyszałam pikanie kasy fiskalnej, brzęk szklanek, szmer rozmów. Był w pracy.

- Hej! Dzwonię nie w porę? - spytałam.

- Dla ciebie zawsze znajdę czas. - Jego głos był ciepły i czuły. - Momencik. - Teraz odgłosy tła stały się jeszcze bardziej stłumione, jakby zakrywał telefon dłonią. - Trev, łypniesz na bar? Dzwoni Ellie. - I znów wrócił do rozmowy ze mną. - Przepraszam, słońce. Co u was? Jak mama?

Babcia wygląda, jakby zaraz miała zemdleć, a Kelsey mnie nienawidzi, pomyślałam.

- Wszyscy mają się dobrze - skłamałam. - Z mamą jeszcze się nie widziałam. Muszę poczekać na porę odwiedzin, ale babcia mówi, że nadal jest w śpiączce.

- Tak mi przykro, Ellie. Chciałbym być tam z tobą, martwię się o ciebie.

- Niepotrzebnie - wydukałam, spoglądając na stół i przesuając palcem po słojach drewna.

- A kto ma się martwić, jak nie ja?

- No tak - przyznałam. - U chłopców wszystko okej? - Gdy rankiem wsiadałam do taksówki, jeszcze spali. Nie zdążyłam się z nimi pożegnać przed wizytą matki Toby'ego, która przyszła ich popilnować, żeby jej syn mógł ze mną pojechać na lotnisko.

- Tak. Mam cię od nich pozdrowić. Christian narysował ci obrazek. Kazał mi go zabrać ze sobą, jak będę do ciebie

leciał.

To był naprawdę uroczy gest; dobre z nich dzieci.

- Przekaż im, że też ich pozdrawiam.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakieś dziesięć minut o zwykłych, przyziemnych sprawach, żadnych poważnych tematów. Głównie o moim locie, o Stacey, o pubie, o jego dzieciach i o chili w wykonaniu mojej babci. Na pożegnanie powiedział, że mnie kocha i ponownie przeprosił za to, że nie ma go teraz przy mnie. Wymógł na mnie obietnicę, że zadzwonię do niego wieczorem - i różnica czasu nie ma żadnego znaczenia! Wspomniał jeszcze, że załatwił sobie zastępstwo w pubie i zarezerwował bilet na środę, czyli za cztery dni, bo wtedy dzieciaki będą już u matki. Gdy się rozłączyłam, poczułam się trochę lepiej. Rozmawiając z kimś, kto nie był w to wszystko bezpośrednio zaangażowany, i słysząc w oddali gwar pubu, zapomniałam na chwilę o smutku i goryczy, które zżerały mnie od środka.

Uporawszy się szybko z myciem naczyń, przeszłam do salonu, gdzie w fotelu drzemała babcia. Przez kilka sekund patrzyłam, jak oddycha, zachodząc w głowę, co by się stało, gdyby jej tu nie było i Kelsey została sama, bez żadnego wsparcia. Byłam jej dozgonnie wdzięczna za to, że zaopiekowała się Kelsey pod moją nieobecność. Podeszłam do kanapy i wzięłam narzutę, po czym ostrożnie przykryłam nią babcię. Ani drgnęła.

Nie chciałam siadać, więc przespacerowałam się po domu, dotykając rzeczy, których od lat nie widziałam, i wodząc wzrokiem po rodzinnych fotografiach zdobiących ściany. Gdy

dotarłam do szafki na klucze wiszącej przy frontowych drzwiach, spostrzegłam mój stary sfatygowany brelok z kluczykami do volkswagena. Zdjęłam go z haczyka i nagle odżyły we mnie wspomnienia mojego małego poobijanego garbusa.

Myślałam, że rodzice dawno się go pozbyli.

Ściskając klucze, wyszłam przez drzwi prowadzące bezpośrednio do garażu. Stał tam. Mój kochany zielony żuczek.

Puchata zielona kostka do gry, którą dostałam od Stacey z okazji zdanego egzaminu na prawo jazdy, nadal zwisała z lusterka wstecznego. Uśmiechnęłam się, potrząsając głową z niedowierzaniem. Odszukałam właściwy kluczyk i nie tracąc ani chwili, wsunęłam go do zamka.

Gdy otworzyłam drzwi, uderzył mnie zapach pasty i skóry. Wślizgnęłam się do środka i zauważyłam, że auto było nieskazitelnie czyste. Ktoś, zapewne tata, dbał o nie przez cały ten czas – prawdopodobnie w nadziei na to, że któregoś dnia wrócę i zechcę nim jeździć. Dotykając miękkiej podartej skóry na siedzeniu, poczułam ukłucie w sercu. Zatrzasnęłam drzwi i pochyliłam się do przodu, opierając czoło o kierownicę. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek dojdę do siebie po stracie ojca. Wszystko wewnątrz mnie krzyczało z bólu. Zamknęłam oczy i ujrzałam jego uśmiechniętą twarz, jego promienne spojrzenie, usłyszałam jego śmiech.

Z mojego gardła wydarł się zdławiony szloch.

Wzięłam kilka szybkich oddechów, otworzyłam oczy i wlepiłam wzrok w podsufitkę, starając się nie myśleć o ojcu

i powstrzymać łzy. Musiałam coś zrobić, czymś się zająć, żeby nie pogrążyć się w rozpacz. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i wcisnęłam pedał gazu, przydeptując go energicznie jak za dawnych czasów. Silnik zaczął się krztusić, ale po chwili zgasł. Powtórzyłam próbę, tym razem szybciej pompując gazem. Staruszek miał jeszcze krzepę! Uśmiechnęłam się, z wielką radością nasłuchując głośnego warkotu silnika.

Gdy się zreflektowałam, że czas do szpitala, wysłałam do Stacey krótką wiadomość z informacją, że nie musi nas podwozić, bo mój samochód jest nadal sprawny. Odpisała błyskawicznie, prosząc, żebym później się odezwała i dała znać, czy jest jakaś poprawa.

Zostawiłam garbusa na chodzie w obawie, że po wyłączeniu silnika może już nie odpalić, i wróciłam do domu. Przemknęłam na palcach przez salon i wspięłam się cicho po schodach do pokoju Kelsey. Zapukałam lekko w drzwi i wzięłam kilka głębokich oddechów, szykując się na kolejny wybuch gniewu i żalu.

- Co?! - krzyknęła z pokoju.

Przekręciłam gałkę, lekko uchylając drzwi i wsuwając przez nie głowę. Leżała na łóżku z otwartym laptopem. Kiedy zorientowała się, że to ja, zeszywniała, marszcząc brwi.

- Jadę do szpitala. Babcia śpi na dole i powiedziała, że pojedzie wieczorem. Chcesz jechać ze mną?

Na jej twarzy pojawiło się niezdecydowanie, lecz po chwili pokręciła odmownie głową.

- Nie, pojedę później.

Miałam cichą nadzieję, że nie będzie chciała jechać - nie

mogłabym znieść bijącej od niej wrogości i niechęci - ale z drugiej strony przerażała mnie myśl o tym, że będę musiała zmierzyć się z tym sama. Potrzebowałam jej, potrzebowałam kogoś, kto przeżyłby to ze mną, a ona była dla mnie taka niemiła. Pewnie sądziła, że ma pełne prawo gniewać się na mnie. Nie było mnie przy niej, kiedy to ona mnie potrzebowała. Robiłam wszystko, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo mnie raniła.

- Okej. Zadzwonię, gdyby się coś zmieniło. - Zamknęłam szybko drzwi; nie chciałam dłużej przebywać tam, gdzie ewidentnie nie byłam mile widziana. Zeszłam na dół, chwyciłam torebkę oraz kurtkę i wymknęłam się ponownie do garażu.

Otworzywszy rolowaną bramę, wyjechałam na podjazd, mocno zaciskając dłonie na kierownicy. Już niemal zapomniałam, jak się prowadzi. Od trzech lat nie siedziałam za kółkiem, a kierowanie moim małym garbusem zawsze przychodziło mi z trudem - musiałam mocować się z drążkiem do zmiany biegów i używać dużej siły, żeby skrócić.

Gdy wreszcie zajechałam na parking przy szpitalu, trochę mi ulżyło. Prawie przez dwa lata byłam wożona samochodami lub taksówkami po Anglii i teraz trochę dziwnie się czułam, jadąc po prawej stronie ulicy. Zaskakujące, jak szybko człowiek się przyzwyczaja do nowych rzeczy.

Wysiadłam z auta i ruszyłam w stronę wejścia, starając się przygotować na to, co mnie czeka, choć tak naprawdę nie byłam pewna, czego się spodziewać. Nie chciałam sobie tego nawet wyobrazić.

W budynku szpitala panował większy zgiełk, niż myślałam. Musiałam stanąć w kolejce do recepcji, za innymi osobami odwiedzającymi swoich bliskich, żeby dowiedzieć się, gdzie leży mama. Skierowano mnie na OIOM. Szłam powoli długim korytarzem wiodącym na oddział intensywnej opieki medycznej, ignorując wszystkich dookoła, skupiając się tylko na własnych krokach. Gdy dotarłam na miejsce, spryskałam dłonie środkiem odkażającym, jak nakazywał znak wiszący tuż nad dozownikiem, i pchnęłam masywne drewniane drzwi.

W środku pachniało zupełnie inaczej. Na korytarzu nie było tak źle, za to tu specyficzny medyczny odór był tak intensywny, że zmarszczyłam nos i stanęłam jak wryta; nie byłam pewna, czy wytrzymam. Przytłaczający zapach, surowe linie, białe ściany i grube drewniane drzwi z nazwiskami pacjentów na białych tabliczkach – to było ponad moje siły. Nie chciałam iść dalej. Nie chciałam ujrzeć tam jej nazwiska; chyba byłam na to za słaba.

Teraz zrozumiałam, dlaczego babcia i Kelsey wolały pominąć popołudniową wizytę. Ja także nie chciałabym tu prędko wracać. Gdy tak chłostałam się w myślach za to, że przyszłam sama, obok mnie przeszła pielęgniarka. Na mój widok przystanęła i uśmiechnęła się serdecznie.

- Pomóc ci w czymś? – spytała, przechylając głowę i patrząc na mnie dobrotliwie.

Otworzyłam usta i natychmiast je zamknęłam. Zabrakło mi słów.

- Yyy... – podjęłam jeszcze raz. – Przyszłam do mamy, Ruth Pearce. – Gdy wypowiedziałam jej imię, ponownie ścisnęło

mnie w żołądku.

- A więc to ty jesteś Ellie - stwierdziła pielęgniarka, uśmiechając się szerzej. - Twoja babcia mówiła, że dziś przylatujesz. Z Anglii, jeśli mnie pamięć nie myli?

Kiwnęłam głową w osłupieniu, nie mogąc pozbierać myśli.

- Chodź ze mną. Pokażę ci, gdzie ma pokój. Od rana nic się nie zmieniło. Pan doktor ją monitoruje. Ciśnienie w normie, rytm serca prawidłowy. Nadal się nie obudziła, ale zważywszy na rodzaj jej obrażeń, można się było tego spodziewać. Chwilowo jest podłączona do respiratora, więc się nie przeraż. - Chwyła mnie za łokieć, prowadząc w głąb oddziału. Ulegając tej łagodnej perswazji, podążyłam za jej kojącym głosem. Zatrzymała się przy trzecim pokoju po prawej i dopiero wtedy mnie puściła. - Tu leży. Wejść z tobą? - zaproponowała, wskazując głową drzwi.

Wisiała na nich biała tabliczka z nazwiskiem mojej matki, zapisanym schludnym, odręcznym pismem.

Poczułam silny ucisk w klatce piersiowej, jakby ktoś na niej usiadł. Wszystko, co do tej pory dusiłam w środku, zaczęło do mnie powoli docierać: mój ojciec nie żyje, a matka jest w tym pokoju i walczy o życie. Mogłam stracić ich oboje. I co wtedy? Co wtedy pocniemy - Kelsey, ja i babcia?

- Dobrze się czujesz?

Zamrugałam, uświadamiając sobie, że pielęgniarka czeka na odpowiedź. Spojrzałam na nią, błagając w myślach, by tym razem głos mnie nie zawiódł.

- Tak. Chcę wejść sama. - To było kłamstwo. Najchętniej odwróciłabym się na pięcie i uciekła, ile sił w nogach, jak

najdalej od tego przerażającego koszmaru.

- W porządku, zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała albo chciała o coś zapytać. Powiem doktorowi, że jesteś. Chciał z tobą porozmawiać. - Posłała mi jeszcze jeden uśmiech pełen współczucia i oddaliła się pospiesznie do dyżurki pielęgniarskiej. Ponownie skupiłam wzrok na drzwiach, niepewnie wyciągnęłam rękę i pchnęłam je, cały czas wstrzymując oddech.

Mama leżała w łóżku na środku pokoju, nieruchoma i nieprzytomna, taka drobna; sprawiała wrażenie kruchej i bezbronnej.

Szybkim ruchem zasłoniłam dłonią usta, z których wydarł się cichy szloch. Mama wyglądała tak spokojnie, niczym śpiące dziecko. Z ust wystawały jej rurki i przewody, podłączone do respiratora, który utrzymywał ją przy życiu. Przejrzysty płyn sączył się do jej żył przez kroplówkę podłączoną do grzbietu jej dłoni. Weszłam do pokoju, pozwalając, by ciężkie drzwi zatrzasnęły się za mną. Przesunęłam wzrokiem po jej ciele - jej zwykle nieskazitelną, kremową skórę pokrywały sińce i rany. Zamiast idealnie prostych, starannie wymodelowanych włosów miała splątane strąki; dostrzegłam też brud pod jej paznokciami i zaniósłam się szlochem. Gdyby się teraz widziała, byłaby niepokieszona. Odnotowałam w pamięci, żeby następnym razem przynieść szczotkę i jakieś chusteczki do czyszczenia.

I nagle uświadomiłam sobie niedorzeczność tej myśli: jeśli się obudzi, na pewno nie będzie dbała o odrobinę brudu pod paznokciami, zwłaszcza kiedy się dowie, że taty już z nami nie

ma. Wstrzymałam oddech i z utkwionym w nią wzrokiem podeszłam do łóżka.

Aparat EKG monitorujący pracę serca pikał rytmicznie, a jej klatka piersiowa powoli unosiła się i opadała przy wspomaganiu respiratora. To były jedyne oznaki życia. Gdyby nie one, mogłabym przysiąc, że już odeszła, dołączyła do taty i wraz z nim patrzyła, jak stoję nad jej martwym ciałem.

Pogładziłam ją palcem po policzku, pogrążając się w coraz większym żalu.

- Och, mamó - szepnęłam. - Przepraszam, że mnie tu nie było. Tak mi przykro.

Dziś zobaczyłam ją po raz pierwszy od trzech lat, i to w takich okolicznościach - gdzie tu sprawiedliwość? Owszem, dzwoniłyśmy do siebie, prowadziłyśmy wideorozmowy i kilkakrotnie korzystałyśmy ze Skype'a, ale dziś po raz pierwszy od mojego wyjazdu do Rzymu mogłam jej dotknąć. Razem z Tobym planowaliśmy wkrótce spotkać się z rodzicami; mieli przylecieć do nas z Kelsey podczas ferii i spędzić w Londynie cały tydzień, ale teraz...

Zdławiłam łzy i wyciągnęłam rękę, ostrożnie ujmując jej dłoń.

- Tak mi przykro.

Nie wiem, jak długo tak stałam. Chyba długo, bo kiedy otworzyły się drzwi i do środka wszedł mężczyzna w średnim wieku, w białym kitlu i z pełnym współczucia uśmiechem, zapewne wyćwiczonym przed lustrem, od ciągłego patrzenia w dół na matkę rozboleła mnie szyja.

- Ellison? Jestem doktor Pacer. Możemy zamienić parę

słów? Muszę porozmawiać z tobą o kilku sprawach – oświadczył.

Skinęłam głową i cofnęłam się, zwilżając suche usta.

- Proszę mówić do mnie Ellie.

Podszedł do dwóch krzeseł stojących przy łóżku mamy.

- Może usiądziemy?

Usiądziemy? Czyli więcej złych wieści? Czy może być gorzej?

- Yyy, dobrze. - Opadłam na krzesło, taksując go wzrokiem. Lekarz złożył ręce na kolanach i nachylił się, patrząc na mnie w skupieniu.

- Trzeba załatwić pewne formalności. Nie wspominałem o tym twojej babci, ponieważ nie wiedziałem, jak to zniesie po wcześniejszym epizodzie, czy wytrzyma ten stres. Sprawia wrażenie nieco... wątpliej - wyjaśnił, ostrożnie dobierając słowa.

Wątpła, to słowo dobrze ją teraz opisywało. Przytaknęłam; właściwie byłam mu wdzięczna, że nie obciążył mojej zmizerniałej babci dodatkowym zmartwieniem.

- O jakie formalności chodzi?

Zacisnął usta w wąską kreskę.

- Pogrzebowe. Ciało twojego ojca spoczywa teraz w kostnicy. Zrobiliśmy wszystko, co do nas należało. Policja zezwoliła na przekazanie zwłok do domu pogrzebowego, więc możesz powoli zacząć wszystko planować.

- Och - wymamrotałam.

- Mogę kogoś poprosić, żeby ci pomógł w przygotowaniach, lub jeśli nie chcesz się tym zajmować, porozmawiam z twoją

babcią, gdy się tu zjawi. Wiem, że to przytłaczające; śmierć jednego z rodziców zawsze jest ciężkim przeżyciem, zwłaszcza w tych okolicznościach - rzucił szybkie spojrzenie na łóżko, w którym leżała moja matka.

Zdeterminowana i pewna swojej decyzji, pokręciłam energicznie głową.

- Proszę nie rozmawiać z babcią. Zajmę się tym, wszystko zorganizuję. Nie chcę angażować jej bardziej, niż to konieczne.

Rozdział 7

JAMIE

Minęły trzy dni od powrotu Ellie do Stanów, trzy pieprzone dni. To były chyba najdłuższe trzy dni w moim życiu.

Odkąd zobaczyłem ten artykuł, nie mogłem przestać o niej myśleć. Całkiem mnie zniewoliła, zawładnęła każdą moją myślą. A teraz wróciła i była tak kusząco blisko. Zmagalem się z decyzją, czy powinienem do niej pojechać, złożyć wyrazy współczucia albo zaoferować swoją pomoc. Kilka razy niemal uległem pokusie, ale zdołałem się opanować. Chciałem dla niej jak najlepiej – od zawsze – i byłem prawie pewny, że tym, co dla niej najlepsze, nie jestem ja. Nie opuszczało mnie jednak to samolubne, nieprzeparte pragnienie, by być przy niej, dotknąć jej twarzy, przeczesać palcami jej włosy, przyciągnąć ją do siebie i przytulić tak mocno, że żadną siłą by nas nie rozdzielono. Trzymać się od niej z dala, kiedy mieszkała na drugim końcu świata, to coś zupełnie innego, niż kiedy dzielił nas zaledwie rzut kamieniem.

Jęknąłem i ścisnąłem nożyk, który trzymałem w dłoni, spoglądając na tarczę do rzutek przytwierdzoną do ściany. Musiałem się napić, a raczej urznąć się tak, by nie móc ustać na nogach. Po raz setny w ciągu ostatnich trzech dni przemknęło mi przez głowę, o ile prostsze byłoby moje życie, gdybym nigdy nie poznał tej ponętnej rudej piękności.

Wtargnęła w nie niespodziewanie i pokazała mi świat, o jakim nawet nie śmiałem marzyć. Gdybym jej nie spotkał, gdyby nie rozkochała mnie w sobie do szaleństwa, nie czułbym teraz takiej pustki w sercu.

Ta cholerna pustka była znacznie gorsza niż ból, gorsza niż samotność, gorsza niż smutek.

Potrzebowałem czegoś, co odwróci moją uwagę, zajmie mój umysł i sprawi, że przestanę o niej myśleć. Ponieważ była dopiero jedenasta, nie mogłem się upić do nieprzytomności, tak jak chciałem; musiałem wymyślić coś innego. Zamknąwszy oczy, przerzuciłem w głowie kilka mniej ciekawych spraw, które powinienem załatwić - miałem kilka nieprzeczytanych maili dotyczących moich legalnych interesów, musiałem zatrudnić dwóch dodatkowych ochroniarzy w związku z nowym kontraktem, który dopiero podpisaliśmy, kilka osób czekało na mój telefon - ale nie ciągnęło mnie do żadnej z tych rzeczy.

Ręce świerzbiły mnie, żeby zrobić coś bardziej ekscytującego, coś, co przyprawi mnie o dreszczyk emocji. Mógłbym na przykład rąbnąć ukochaną brykę jakiemuś bogatemu dupkowi, a potem sprasować ją w kostkę na złomowisku, tak dla hecy. Ostatnio oddawałem się właśnie takim perwersyjnym rozrywkom. Nieustannie przesuwalem granice, pragnąc - nie, to za mało powiedziane - potrzebując coraz większych i silniejszych doznań.

„Jak już coś robić, to z rozmachem”. Moja mantra.

Niestety, wczesna pora ograniczała moje możliwości.

Walki odpadały. Nie doszedłem jeszcze do siebie po ciągach,

jakie zebrałem w piątkowy wieczór, na twarzy nadal miałem żółknące sińce. Przed weekendem nie szykowały się także żadne dostawy broni ani narkotyków. Jednym z moich ulubionych zajęć była kradzież samochodów – to jedna z rzeczy, dzięki którym czułem, że żyję, i które nadawały sens mojej nijakiej bezcelowej egzystencji – ale to też nie wchodziło w rachubę. Lubiłem ryzyko, ale nie na tyle, żeby kraść w biały dzień. Taka robota była dobra dla pozbawionego wyobraźni, prymitywnego, podrzędnego złodziejzka, który chciał jedynie zwinąć radio albo poszaleć w kradzionym wozie.

Ogólnie rzecz biorąc, dzisiaj nie miałem co ze sobą począć.

Nagle z dołu dobiegł głos Raya. Krzyknął moje imię, jakby wyczuł, że wsysa mnie czarna otchłań nudy. Przez podłogę przedarł się przenikliwy zgrzyt metalu o metal. Zamrugalem, otrząsając się z negatywnych myśli, i zamachnąwszy się ręką, posłałem nóż na drugi koniec pokoju, patrząc, jak trafia w podwójną szóstkę na tarczy, tuż obok pozostałych dwóch, które rzuciłem przed chwilą, zanim oczami wyobraźni powędrowałem ku rudym zakątkom. Typ, którego poznałem w więzieniu, miał słabość do noży; powiedział mi kiedyś, że aby okiełznać nóż, najpierw trzeba go zrozumieć, nauczyć się go szanować. Nie wiem, czy stałem się mistrzem w rzucie nożem, ale na pewno miałem w tym wprawę.

Podniosłem się z czarnego, skórzanego fotela i wyszedłem z gabinetu, który kiedyś należał do Bretta. Na dole mieścił się warsztat. Przesiedziałem tu w dzieciństwie wiele godzin, uciekając przed nieuchronnym laniem, które czekało mnie po powrocie do domu, i zarabiając na plany, których nigdy nie

zrealizowałem. Gdy dotarłem do ostatniego schodka, uderzył mnie zapach stęchłego potu i smaru. Uśmiechnąłem się półgębkiem. Ten warsztat był moim miejscem na ziemi.

Ray siedział z boku na stołku i dłubał przy układzie elektronicznym; cały stół zavalony był jego narzędziami. Podśpiewywał jakiś tandetny kawałek Kanye Westa, który dudnił w radiu za jego plecami.

Ray był ze mną od samego początku. Ledwo wyszedłem na wolność, odszukał mnie, zabrał do swojego domu, w którym mieszkał z żoną i córką, i próbował namówić, żebym wyszedł na prostą i trzymał się z dala od kłopotów, co sam uskuteczniał przez półtora roku, kiedy ja kiblowałem w więzieniu. Gdy tak jak wszyscy zrozumiał, że nie dam się przekonać, rzucił pracę mechanika i pomógł mi odzyskać dawne terytorium i biznes, który Brett zbudował przed śmiercią. Ed i Enzo również się przyłączyli, a ja dodatkowo zwerbowałem Dodgera. Zawężaliśmy naszą dawną działalność, rezygnując z rzeczy, za którymi nigdy nie przepadaliliśmy za kadencji Bretta – z napadów, wymuszania haraczy w zamian za ochronę i lichwy. Pozostaliśmy przy bardziej dochodowych przedsięwzięciach: narkotykach, broni i, rzecz jasna, samochodach. Z pewnością nie byliśmy tak wielkimi graczami jak Brett, który we wszystkim maczał palce, ale w naszych trzech dziedzinach nie mieliśmy sobie równych.

Jak już coś robić, to z rozmachem.

My poszliśmy na całość.

Inne lokalne gangi i siatki przestępcze nienawidziły nas za to, ponieważ sprzątałyśmy wszystkim sprzed nosa najlepsze

fuchy, zostawiając im do podziału ochłapy. Sprawiało mi to nieukrywaną przyjemność. To jedyna rzecz, z jakiej mogłem być dumny.

- Co tam, stary?! - krzyknąłem do Raya, który siedział tyłem.

- Cześć, Młody. - Odwrócił się do mnie i ciepło uśmiechnął, wycierając ręce w szmatę. - Tak myślałem, że to twój samochód stoi na zewnątrz. Mam coś dla ciebie.

- Co takiego?

Wskazał palcem małe białe pudełko na stole, więc wziąłem je do ręki i uniosłem wieczko. W środku znajdował się niewielki metalowy przedmiot, na widok którego moje serce podskoczyło z radości.

- Czy to jest to, co myślę? - zaczerpnąłem gwałtownie powietrza, mierząc Raya wzrokiem pełnym nadziei.

- A jakże! - przytaknął z zadowoleniem, zakładając ręce na piersi. - Podzwoniłem trochę i sprowadziłem go w nocy z Chin.

Wzniosłem pięść w powietrze; w żołądku poczułem skurcz z podniecenia. Miałem teraz zajęcie na kilka godzin.

- Jesteś wielki! Dzięki, stary. - Uśmiechnąwszy się szeroko, podszedłem i poklepałem go po plecach.

- Przestanieś się cieszyć, kiedy się dowiesz, ile to kosztowało - stwierdził, unosząc brwi.

Machnąłem lekceważąco ręką. Pieniądze nie stanowiły dla mnie problemu.

- Mam u ciebie wielki dług. Napijemy się później? - zasugerowałem. W odpowiedzi skinął głową. Podszedłem do zaparkowanego w rogu auta, które było moją dumą i radością,

i z szerokim uśmiechem na twarzy zerwałem zakrywającą je niebieską płachtę, odsłaniając subaru imprezę WRX z 2004 roku w limitowanej wersji Petter Solberg Edition. Westchnąłem rozmarzony. Cudo – gdy było sprawne, rzecz jasna. Ze wszystkich samochodów, które posiadałem lub dotychczas prowadziłem, ten należał do moich faworytów.

Dla mnie było to prawdziwe dzieło sztuki – bładoniebieski lakier, 316 koni mechanicznych, od zera do setki w 4,5 sekundy, no i limitowana edycja, ponieważ wyprodukowano tylko pięćset takich cacek. Sprowadziłem je na początku roku z Japonii, kiedy przez przypadek odkryłem w sobie nową pasję – wyścigi uliczne.

Niestety, od dwóch tygodni subaru stało nieużywane; podczas ostatniego wyścigu zerwała się linka sprzęgła.

- Załatwiłem ci też nowe świece. Wspominałeś, że chodzi trochę niemrawo – rzekł Ray, podchodząc do mnie od tyłu z kolejnym pudełkiem.

Uśmiechnąłem się do niego przez ramię.

- Dzięki, stary – rzuciłem, szukając w kieszeni kluczyków, i otworzyłem samochód.

- Może ci pomóc?

- Dzięki, nie trzeba – odparłem, kręcąc energicznie głową, i uradowany podniosłem maskę. Gwizdnąłem, patrząc z zachwytem na silnik subaru. Teraz, gdy moje myśli pochłonęło coś innego niż pogrążona w żałobie Ellie, poczułem, że trochę schodzi ze mnie napięcie.

Może mógłbym się dziś pościgać? To na pewno poprawiłoby mi humor. Wygrzebałem z kieszeni telefon i wysłałem

wiadomość do Rodrigueza - jednego z organizatorów wyścigów, w których brałem udział - z zapytaniem, czy coś się dziś szykowało. Nie doszły mnie żadne słuchy, więc raczej nie było takich planów. Szkoda.

Jednak na wszelki wypadek postanowiłem zadbać, by auto było sprawne i chodziło bez zarzutu.

* * *

Na naprawie wozu zeszło mi prawie całe popołudnie, ale teraz mruczał słodko jak kociak. Był gotowy i rwał się do jazdy. Po prostu coś pięknego! Skończywszy pracę, wgramoliłem się na ławkę i napiłem się z Rayem piwa, by to uczcić. Opróżniłem już połowę butelki, gdy nagle do środka wszedł Ed; miał pochmurną minę i zaciśnięte usta.

- Młody, dlaczego nie odbierasz, jak do ciebie wydzwaniam?
- zapytał, łypiąc gniewnie na piwo w mojej dłoni, jakby to ono było winne temu, że się nie odzywałem.

Wzruszyłem ramionami, spoglądając na komórkę leżącą obok na ławce, i faktycznie na wyświetlaczu widniały trzy nieodebrane połączenia od Eda.

- Przepraszam, musiałem przez przypadek wyłączyć dźwięk, gdy wyjmowałem telefon z kieszeni.

Wziąwszy go w ręce, zobaczyłem także odpowiedź od Rodrigueza, który potwierdził, że tego wieczoru nie odbywa się żaden wyścig, jednocześnie uprzedzając, żebym spodziewał się od niego wieści w ciągu kilku najbliższych dni. Oznaczało to, że wyścig wisi w powietrzu; szukali tylko odpowiedniej lokalizacji.

Ed westchnął, zaczesując do tyłu brązowe włosy idealnie wypielegnowaną dłonią. Zmarszczyłem brwi, pociągając kolejny łyk piwa i mierząc go wzrokiem. Wyglądał na bardziej zestresowanego niż zwykle; nawet nie zapiął dwurzędowej marynarki, a nie był to częsty widok. Ed przywiązywał dużą wagę do swojego wizerunku. Lubił afiszować się pieniędzmi i statusem, nosząc drogie garnitury i zegarki za trzydzieści tysięcy dolarów. Co z tego, skoro był zwykłym kmiotkiem na moich usługach, kimś, kto marzył o tym, by grać pierwsze skrzypce, ale nie miał na to szans. Wstrętny wazeliniarz z wybujałym ego. Kiedy pracował dla Bretta, miał więcej do powiedzenia – często występował w jego imieniu, był jego prawą ręką. Pod moimi rządami zajmował znacznie niższą pozycję, ale nie zrezygnował z drogich garniturów.

– Więc co jest grane? – zapytałem, przechylając głowę w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

Ściągnął brwi i wykrzywił usta z niesmakiem, wypluwając z pogardą dwa słowa:

– Bracia Salazar.

Słyszając to nazwisko, również się skrzywiłem. Salazarowie byli moją największą konkurencją w mieście. Bracia Alberto i Mateo przyjechali tu przed około dziewięcioma miesiącami z Meksyku, przywożąc ze sobą śmiesznie tanie narkotyki, i wpakowali się na moje terytorium. Początkowo chcieli wejść z nami w spółkę: mielibyśmy rozprowadzać ich towar – gównianą kokainę rozcieńczaną Bóg wie jakim świństwem. Ale kiedy kazałem im spadać na drzewo – no, może ująłem to bardziej dosadnie – staliśmy się rywalami. Jak dla mnie, byli

najgorszym ścierwem. Mieli gdzieś to, że ich prochy były doprawione trutką na szczury albo lewamizolem, środkiem do odrobaczania zwierząt, po którym, jak słyszałem, skóra dosłownie gniła na ludziach i schodziła płatami. Nie byli tacy jak my; nie mieli żadnych zasad moralnych i nie obchodziło ich to, ilu ludzi cierpiało albo umarło przez ich zanieczyszczony towar. Nieraz toczyliśmy z nimi wojny o terytorium i o to, gdzie „wolno” im było handlować. Mieliśmy z nimi układ.

- Co też znowu odstawiły te oślizgłe gnidy? - warknąłem, zaciskając mocniej palce na butelce.

- Wysłali wczoraj swoje cizie z prochami do jednego z naszych klubów. Jeden koleś dostał ataku padaczki na środku parkietu i teraz policja węszy, próbując ustalić, skąd wziął towar. Maglowali mnie przez cały dzień. Naprawdę powinienesz być odebrać! - rzucił oskarżycielskim tonem.

- Cholerne mendy! Dlaczego handlują w naszych klubach? - warknąłem. - Zadzwoń do Alberta i powiedz mu, że chcę się z nim widzieć. Dzisiaj! - rozkazałem, biorąc zamach i ciskając w złości butelkę przez cały warsztat. Usłyszałem, jak roztrzaskuje się o ścianę, ścieląc podłogę odłamkami szkła.

Zabiję tego sukinsyna!

Rozdział 8

ELLIE

Przez te trzy dni od powrotu do domu każda godzina ciągnęła się jak wieczność, którą wypełniał ból, a jednak ledwie starczyło czasu, żeby załatwić wszystkie niezbędne sprawy.

Od mojej pierwszej wizyty w szpitalu, kiedy lekarz zasugerował, abym wzięła sprawy w swoje ręce i zajęła się pogrzebem ojca, niczego innego nie robiłam. Nie miałam pojęcia, ile jest przy tym planowania i organizowania i ile czasu trzeba poświęcić na każde zadanie. Zwykle, proste rzeczy, a raczej takie, które wydawały się proste, jak na przykład wybór kwiatów, zajmowały całe godziny. Inne z kolei, takie jak projektowanie programu uroczystości i znalezienie porządnego miejsca, w którym można go wydrukować, trwały jeszcze dłużej. Niemal każdą wolną chwilę spędzałam na wyszukiwaniu zdjęć ojca, wybieraniu jego ulubionych utworów oraz cytatów, które byłyby odpowiednie na tę okazję. To była ciężka, niezwykle bolesna praca, która zdawała się nie mieć końca. Każda fotografia albo piosenka, która coś dla niego znaczyła, raniła moje serce. Ledwo się trzymałam i tylko czekałam, aż stoczę się w ziejącą otchłań rozpacz. Wiedziałam, że w końcu się rozsypię. Na szczęście dobrze mi szło powstrzymywanie emocji - przynajmniej do teraz.

Dziś jednak o mały włos nie pękłam. Zadanie, które miałam do wykonania, mocno nadwyrężyło moją psychikę.

Opuściłam wzrok na pięknie kaligrafowany adresownik mamy i przesunęłam palcem w dół strony, zatrzymując się przy ostatnim wpisie. Julie i Peter Watkinsowie. Pominęłam ich adres, odszukując numer telefonu i wystukując go na klawiaturze. Wsłuchując się w sygnał łączenia, zaczęłam masować czoło – liczyłam, że zmniejszy to nieco ból głowy, który dokuczał mi od dwóch dni z braku snu.

- Słucham? - w słuchawce odezwał się wesóły kobiecy głos.

Zamknęłam oczy, szykując się na kolejną bolesną rozmowę – czterdziestą drugą tego dnia; stopniowo przebijałam się przez adresownik mamy, zaczynając od litery A, aż doszłam do ostatniego nazwiska – państwa Watkins.

- Dzień dobry, czy rozmawiam z Julie Watkins?

- Owszem.

- Mówi Ellie Pearce. Pewnie mnie pani nie pamięta, widziałyśmy się ostatnio, gdy miałam szesnaście albo siedemnaście lat – wyjaśniłam. Wiedziałam, że rodzice utrzymywali kontakt z Watkinsami, z którymi przyjaźnili się od college'u, ale po raz ostatni widziałam ich przed kilkoma laty, na chrzcinach ich syna.

- Ellie! Oczywiście, że cię pamiętam – odparła ciepło i radośnie. - Jak się miewasz?

Otworzyłam oczy i spojrzałam na jej nazwisko w notesie, zdając sobie sprawę, że za chwilę jej głos straci radosny ton.

- Muszę przekazać pani złą wiadomość. - Przełknęłam ślinę, marszcząc brwi; bez względu na to, jak często to dziś

powtarzałam, nie było mi łatwiej. – W weekend rodzice mieli wypadek samochodowy. Ojciec nie żyje, a mama trafiła do szpitala w krytycznym stanie.

Nagły wdech na drugim końcu linii, chwila ciszy i wreszcie padły słowa, które słyszałam dzisiaj tak często, że przestały dla mnie cokolwiek znaczyć. Wiedziałam, że wypowiedano je w dobrej wierze, ale teraz były już tylko pustymi frazesami.

– Ellie, tak mi przykro! – krzyknęła.

Tak mi przykro; przykro mi z powodu twoich rodziców; przykro mi, że tak się stało. Przykro – wszystkim było przykro, jakby to oni zawinili.

– Dziękuję – wycedziłam. – Wiem, że przyjaźnili się państwo z mamą i tatą od wielu lat, dlatego dzwonię. Pogrzeb taty odbędzie się w piątek o trzeciej po południu, w domu pogrzebowym przy Everglade Drive, gdybyście chcieli w nim uczestniczyć. Po uroczystości zapraszam na poczęstunek u nas w domu.

– Oczywiście oboje się zjawimy – zapewniła mnie drżącym głosem Julie. – Jak się czuje teraz twoja mama?

Podczas każdej rozmowy starałam się nie wzruszać, nie myśleć o tym, co mówię, i nie zastanawiać nad tym, jak inni reagowali na tę smutną wiadomość. Było mi o wiele łatwiej, gdy udawałam, że chodzi o kogoś innego, o inną rodzinę, o jakąś osobę, która nic dla mnie nie znaczyła. Tylko w ten sposób mogłam to przetrwać. Gdybym dopuściła do siebie emocje, nie dałabym rady obdzwonić tych wszystkich ludzi i pewnie rozkleiłabym się już po pierwszym telefonie.

– Podczas wypadku doznała urazu głowy, w wyniku którego

pojawił się krwotok w obrębie mózgu. Chwilowo jest w śpiączce. Czekamy na dalszy rozwój sytuacji. - Mówiłam rzeczowo, bez emocjonalnego zaangażowania.

Krwiak, czyli krwotok w obrębie mózgu, o czym dowiedziałam się później, był z tego wszystkiego najgorszy. Lekarze poradzi sobie ze złamaniami, wewnętrznym krwawieniem i innymi urazami, ale krwiak powodował duży ucisk na mózg. Pierwszego dnia, gdy rozmawiałam z doktorem, sam na sam, błagałam go, by był ze mną szczery, i usłyszałam coś, czego tak naprawdę nie chciałam usłyszeć. Lekarze po prostu nie wiedzieli, czy się wybudzi; kazali mi się zająć planowaniem pogrzebu i nie czekać. Stan mamy był ciężki; czas miał wszystko pokazać. Istniało także duże ryzyko trwałego uszkodzenia mózgu, ale lekarze nie potrafili ocenić stopnia ubytków neurologicznych, dopóki się nie obudzi... jeśli w ogóle się obudzi.

- Mój boże, biedna Ruth! - zaskrzeczała Julie, pociągając nosem. - Wyjdzie z tego?

Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka.

- Nie wiemy. Mamy nadzieję.

- Ellie, tak mi przykro.

I znów to samo: przykro mi.

- Dziękuję. Niestety, muszę już kończyć i powiadomić pozostałych. Do zobaczenia w piątek po południu, jeśli da pani radę - odparłam.

- Myślami jestem przy tobie i Kelsey. Daj znać, jeśli będziecie czegoś potrzebować. Będę się modlić za waszą mamę - zasypała mnie oklepanymi frazesami, których już się

dziś nasłuchałam.

Nie byłam religijną osobą - tak jak reszta mojej rodziny - ale doceniłam ten gest. W takich chwilach ludzie robili to, co uważali za stosowne i co dawało im pewne pocieszenie. Niech się modli, skoro chce; na pewno nie zaszkodzi.

Nie odpowiedziałam, po prostu się rozłączyłam i rozparłam na krześle. Koniec. Spojrzałam na zegar, dochodziła czwarta - obdzwonienie tych wszystkich osób zajęło mi ponad trzy godziny. Odłożyłam telefon na duże dębowe biurko ojca, kilkakrotnie zaciskając i rozwierając pięść, żeby rozkurczyć zeszywniałe palce.

Powoli ogarnęłam wzrokiem gabinet taty. Czasem pracował tu wieczorami, a nawet okazjonalnie w weekendy. Utkwiłam spojrzenie w wypłowiałym przetartym obiciu fotela stojącego przy oknie. Mama nieraz suszyła mu głowę, żeby wyrzucił to szkaradztwo, ale tata bardzo lubił ten fotel i walczył jak lew, żeby go zatrzymać.

Wstałam i podeszłam do niego. Przesuwałam palcami po aksamitnym materiale, który obudził we mnie miłe wspomnienia. Tata czasami pozwalał mi tu siedzieć, kiedy pracował; odrabiałam wtedy lekcje, czytałam książkę lub jakieś gazetki, albo po prostu sobie rysowałam. Niekiedy tylko udawałam, że czytam, a tak naprawdę potajemnie przyglądałam się, jak siedzi za biurkiem i niestrudzenie stuka w klawiaturę laptopa albo rozmawia przez telefon z jakimś ważnym klientem. A kiedy mnie na tym przyłapywał, przybierał głupią minę - robił zeza i wystawiał język na bok - po czym wracał do rozmowy, jakby nigdy nic. Spędziłam tu

wiele godzin, ot tak, patrząc, jak pracuje, i tak jak on korzystając z okazji, by poczytać w spokoju. Czasami sadzał mnie sobie na kolanach i czytaliśmy razem. W tym fotelu wspólnie z tatą odkryłam magię Harry'ego Pottera.

Uśmiechnęłam się do siebie, badając palcem dziurę w podłokietniku. Właśnie takie drobiazgi, które kiedyś wydawały się nieistotne, z czasem nabierają największego znaczenia. Przypominają nam nagle o rzeczach, które braliśmy za pewnik, myśląc, że nasz świat nigdy się nie zawali.

Stałam tak jeszcze przez kilka minut, zanim wyszłam z gabinetu, zamykając za sobą drzwi, i udałam się do salonu. Zastałam tam Kelsey i babcię. Kelsey odwróciła się w moją stronę i zmrużyła oczy; na jej czole między brwiami pojawiła się cienka, pionowa linia. Wstała i bez słowa opuściła pokój. Poirytowana jej zachowaniem, zacisnęłam szczęki. Powtarzała ten rytuał od kilku dni - gdy tylko wchodziłam, wychodziła z pokoju, zaszywając się na dłuższy czas w swojej sypialni, i za każdym razem, gdy obrzucała mnie oskarżycielskim spojrzeniem, dawała mi odczuć swoją pogardę. Nie miałam pojęcia, jak ją pocieszyć ani co powiedzieć, by naprawić nasze relacje. Być może nigdy mi nie wybaczy, że nie było mnie, gdy to wszystko się wydarzyło.

Odwróciłam się i patrzyłam, jak przemierza hol, a potem wspina się po schodach do swojego pokoju. Zrobiło mi się ciężko na sercu. Nie widziała, że jej potrzebuję? Nie widziała, że ja też cierpię i chcę, by mnie przytuliła? Nie rozumiała, że mój świat także legł w gruzach? Nie byłam pewna, jak długo jeszcze dam radę udawać, że jej obojętność mnie nie boli.

Przez trzy ostatnie godziny siedziałam sama, zamknięta w pokoju, i powtarzałam w kółko, że ojciec nie żyje. Naprawdę potrzebowałam, by ktoś mnie teraz przytulił, lecz ewidentnie tym kimś nie miała być Kelsey, choćbym nie wiem, jak długo wpatrywała się w jej plecy i błagała, by tak się stało.

- Nic ci nie jest, skarbie?

Pociągnęłam nosem, oglądając się na babcię, która siedziała na kanapie, z ręczną robótką na kolanach, i patrzyła na mnie serdecznie, z czułością i wyraźnym współczuciem.

- Nie, babciu - skłamałam. - Załatwione, zadzwoniłam do wszystkich z notesu mamy, i jeszcze do paru osób, których numery znalazłam w wizytowniku taty.

Babcia pokiwała głową, wpatrując się we mnie.

- To dobrze, ale nie musiałaś robić wszystkiego sama.

- Już się stało - wzruszyłam ramionami i oparłam się o framugę drzwi, skubiąc nitkę wystającą z rękawa swetra. Zaoferowała, że też podzwoni - chciała pomóc - ale widziałam, że ledwo się trzyma. Wyglądała, jakby postarzała się o dziesięć lat, odkąd wróciłam. Nie radziła sobie z sytuacją. Zważywszy na jej wiek, chciałam oszczędzić jej zmartwień. Widziałam, jak cały ten stres wpływa na jej zdrowie - ból biodra znów się nasilił, a na twarzy malowało się ogromne zmęczenie. Zauważyłam też, że sukienki wisały na niej jak na wieszaku. Nieraz błędziła gdzieś myślami, na śmierć zapominając o swoich robótkach albo o jedzeniu, które gotowała, i gdy sądziła, że jest sama w pokoju, popłakiwała.

Chociaż robiłam, co w mojej mocy, byśmy przetrwali, moja rodzina rozsypywała się i nie byłam w stanie temu zapobiec.

Mogłam jedynie spróbować zdjąć z ramion moich bliskich jak najwięcej przytłaczającego ich ciężaru. Na rodziców mamy nie miałam co liczyć; zostali poinformowani o wypadku, ale oboje byli w podeszłym wieku i słabego zdrowia, więc nie nadawali się do podróżowania po kraju. Wątpiłam, czy w ogóle dotrą na pogrzeb.

- Zaparzę ci herbatę - powiedziałam szybko, wymykając się do kuchni, i zaczęłam ją przygotowywać jakby w transie.

Gdy wróciłam do salonu, niosąc dwa parujące kubki, babcia spała na kanapie; w dłoniach nadal ścisnęła robótkę. Z westchnieniem odstawiłam herbatę i ostrożnie wyplątałam z jej palców włóczkę i druty, chowając je w koszu u jej stóp. Potrzebowała snu. Słyszałam, jak w nocy krzątała się na dole, sprzątajac lub układając jakieś rzeczy, przygotowując jedzenie, którego nikt nie chciał jeść, zajmując czymś myśli. Pewnie sypiała mniej niż ja.

Ponieważ nie chciałam beczynnie siedzieć i rozpamiętywać, na czym zszedł mi dzień, postanowiłam pójść do swojego pokoju i położyć się. Po drodze zatrzymałam się pod drzwiami Kelsey i przez chwilę nasłuchiwałam. Nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk, więc poszłam dalej.

Mój pokój wyglądał tak samo, jak go zostawiłam trzy lata temu. Bibeloty wciąż zalegały na małych stolikach i parapecie, ale nie zarosły kurzem - mama nigdy by na to nie pozwoliła. Łóżko było posłane, a dywan odkurzony. Gdy przyleciałam i rozpakowałam się, tylko tu spałam, nie miałam okazji spędzić w nim więcej czasu.

Stałam na środku i rozejrzałam się. Dziwnie było znów

znaleźć się w swojej dziecięcej sypialni - miło, ale mimo wszystko jakoś dziwnie.

Podeszłam do biurka i podniosłam jeden ze szkicowników leżących na równej kupce. Powoli przewracałam kolejne kartki, patrząc na swoje rysunki, na ubrania, które wymyślałam całymi godzinami, a potem pozwalałam im ożyć na papierze. Wodząc dłonią po projektach, posmutniałam. Nie rysowałam od trzech lat, zwyczajnie brakowało mi weny i motywacji. Odłożyłam blok i wzięłam do ręki skrawki materiałów; pocierając je w palcach, przypomniałam sobie, jak kiedyś w mojej głowie roiło się od pomysłów i nie mogłam się doczekać, żeby przelać je wszystkie na papier. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Nie byłam już tą samą dziewczyną, która marzyła o projektowaniu mody.

Westchnęłam i przesunęłam wzrok po pozostałych rzeczach, zawieszając go na ścianie. To, co tam ujrzałam, napełniło mnie smutkiem.

Była to mapa świata, którą powiesiłam, planując swoje podróże. Umieszczałam na niej wycięte zdjęcia miejsc, które chciałam odwiedzić z Jamiem, tylko że teraz mapa wyglądała inaczej. Zaciekawiona, podeszłam bliżej.

I właśnie wtedy runął emocjonalny mur, którym się otoczyłam.

Do mapy przypięte były zdjęcia i pocztówki, które wysyłałam rodzicom, ilekroć przenosiłam się w nowe miejsce, wszystkie opatrzone datą mojego przyjazdu i odjazdu. Śledzili trasę mojej wędrówki; podróżowali wraz ze mną po Europie, zaznaczając moje przystanki pinezkami i małymi

chorągiewkami. Zadrżała mi broda i wybuchnąłam niekontrolowanym płaczem. Omiotłam wzrokiem wszystkie oznaczone przez nich kraje: Włochy, Niemcy, Cypr, Hiszpanię, Francję, Irlandię, Szkocję i wiele innych, zatrzymując się na fotografii umieszczonej przy Londynie, którą wysłałam przed sześcioma miesiącami. Byłam na niej ja i Toby, oboje szeroko uśmiechnięci; wystawiałam lewą rękę do aparatu, prezentując na palcu serdecznym nowy, błyszczący dodatek. Pod spodem widniała karteczka, na której mama swym pięknym pismem zanotowała: „Ellie w końcu przestaje uciekać”.

Zamknęłam oczy, mocno się obejmując. Łzy nadal ciekły mi po policzkach. I nagle poczułam wzbierającą we mnie złość; irracjonalną, dziką furie pożerającą mnie od środka. Otworzyłam oczy i utkwiałam je w mapie. Włóczyłam się po świecie i dobrze bawiłam – „uciekałam”, jak to nazwała mama – zamiast być tu, z nimi, zamieniając wspólnie spędzone chwile w piękne wspomnienia. Wyjechałam i nawet przez myśl mi nie przeszło, że może dojść do czegoś takiego. Gdy zegnałam się wtedy z nimi wszystkimi przed domem, nie przypuszczałam, że już nigdy więcej nie przytulę ojca, i być może także matki, jeśli się nie obudzi. Brałam ich za pewnik, zakładałam, że będę mogła wrócić, kiedy zechcę, i zacząć tam, gdzie skończyliśmy. Jakże się myliłam.

Wyciągnęłam rękę i bez opamiętania zaczęłam zdzierać ze ściany zdjęcia, mapę i pocztówki, nie dbając o fruujące pinezki, które upstrzyły dywan kolorowymi punkcikami, nie dbając o to, że papier kaleczył mi palce, kiedy rwałam mapę na strzępy. Z moich ust wydarł się krzyk pełen bólu. Schyliłam

się po największy kawałek mapy, przedarłam go na pół i zgniotłam obie części w kulkę, ciskając ją na zaśmieconą podłogę.

Z oczu płynęły mi łzy, mocząc mój różowy T-shirt. Choć z trudem łapałam oddech, kopałam w zdjęcia, rozrzucając je po całym pokoju. Gdy zabrakło mi sił w nogach, opadłam na podłogę, kryjąc twarz w dłoniach i zanosząc się płaczem.

Nie byłam pewna, jak długo tak siedziałam. Chyba długo, bo łzy w końcu wyschły, a oddech się wyrównał. Nie wstałam jednak, przesunęłam się tylko pod ścianę, opierając się o nią plecami i przyciągając kolana do piersi. Właśnie w takim stanie znalazła mnie Stacey.

- Ellie, co się tu stało? - spytała, wchodząc bez pytania do pokoju pogrążonego w chaosie.

Spojrzałam na nią i tylko wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Odwróciłam wzrok, by nie widzieć jej pełnych współczucia oczu. Nie odezwała się, tylko podeszła do mnie i osunęła się na podłogę tuż obok, obejmując mnie ręką. Przechyliłam głowę i położyłam jej na ramieniu. Przytuliłam się do niej jeszcze mocniej, czując wdzięczność za ten gest, którego tak rozpaczliwie dzisiaj potrzebowałam.

Stacey czule masowała moje ramię.

- Dzwoniła twoja babcia i poprosiła mnie, żebym wpadła po pracy. Mówiła, że będzie ci dziś ciężko i przyda ci się pocieszenie.

- Aha. - Zastanawiałam się właśnie, skąd się tu nagle wzięła. Pocałowała mnie delikatnie w czubek głowy.

- Wszystko w porządku? - wyszeptała.

Ponownie wzruszyłam ramionami, bo rzeczywiście nie byłam pewna.

- Nie do końca - przyznałam, odsuwając się i wycierając piekące oczy. - Chyba to wszystko mnie przerosło. Zobaczyłam mapę i moją mamę, ona... - Spojrzałam ponuro na zdjęcie wystające spod skrawka podartej mapy, na którym ja i Natalie zbieramy winogrona we Francji. - Sama nie wiem. Po prostu ogarnęła mnie złość.

- Na co? - dopytywała Stacey.

- Na siebie, za to, że wyjechałam. Powinam tu być. W ogóle nie powinnam była wyjeżdżać albo przynajmniej wrócić do domu przed dwoma laty, razem z Natalie. Żałuję, że zostałam w Londynie.

Stacey nie odzywała się przez chwilę. Nagle się pochyliła i sięgnęła po fotografię na tle wieży Eiffla. Popatrzyła na nią z uśmiechem.

- Gdy twoja mama dostała tę fotkę, przejechała pół miasta do kafejki, w której wtedy pracowałam, żeby mi ją pokazać. Opowiadała z ekscytacją, jak bardzo jest z ciebie dumna, jak się cieszy, że spełniasz swoje marzenie i zwiedzasz te wszystkie piękne miejsca. Obsługiwałam klientów, a ona stała przy ladzie, chwając się wszystkim czekającym w kolejce, że jej śliczna mądra córka podróżuje po świecie. Była z ciebie taka dumna, Ellie. Jak tu mieszkałaś, nigdy tego nie mówiła, Bóg wie dlaczego, ale po twoim wyjeździe wprost nie mogła się ciebie nachwalić.

Chłonąc słowa Stacey, spojrzałam w dół i skrzywiłam się na

widok swoich dłoni pociętych od papieru.

- Ellie, musiałaś wyjechać, tak było dla ciebie najlepiej. Potrzebowałaś czasu, żeby wyleczyć rany i dość do siebie - zrobiła wymowną pauzę i zazgrzytała zębami ze złości - po nim.

Po nim. Po Jamiem. Pięknym, skrzywdzonym chłopcu, który rozkochał mnie w sobie, by potem doszczętnie zrujnować mi życie. Przełknęłam ślinę, czując ścisk w gardle na jego wspomnienie. Minęły trzy lata, a rozmyślanie o nim nadal bolało i otwierało stare rany w sercu.

Wiedziałam, że Stacey ma rację. Mój wyjazd był koniecznością. Musiałam wyjechać; byłam załamana, zagubiona i tak bardzo zdruzgotana, że nie wiedziałam, czy kiedykolwiek się pobieram. Podróż za granicę dobrze mi zrobiła; pomogła mi Natalie, pomogło zwiedzanie miejsc, które mi o nim nie przypominały, i pomógł mi Toby.

- Powinnaś była znaleźć czas, by się z nimi zobaczyć, i w ogóle częściej z nimi rozmawiać. Odwiedzić ich. Przedstawić im Toby'ego. Tyle rzeczy powinnaś była zrobić inaczej - rozpaczalam.

- Człowiek mądrzeje po szkodzie - skwitowała oględnie Stacey.

Wyciągnęła ręce i ujęła moją dłoń.

- Zwariujesz, myśląc w ten sposób - stwierdziła, kreśląc kciukiem kółko na mojej dłoni. - Potrzebujesz chwili wytchnienia. Żyjesz teraz w wielkim stresie. Powinnaś zrobić sobie przerwę. Już wiem! - Wyprostowała się, a jej oczy rozbłysły. - Wieczorem wychodzimy. Na kolację, tylko my

dwie. A potem może wyskoczmy jeszcze na drinka. Musisz się trochę wyluzować, bo inaczej wybuchniesz. – Zmarszczyła czoło, obrzucając wzrokiem śmietnik w moim pokoju, i dodała:

– Po raz kolejny.

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie, nie mam ochoty.

Stacey uniosła idealnie wyregulowane brwi.

– Bez wykrętów. Od trzech lat nie miałaś w ustach porządnego amerykańskiego cheeseburgera. Zabieram cię na kolację. Koniec dyskusji.

Uśmiechnęłam się smutno, wiedząc, że spieranie się z tą dziewczyną nie ma sensu – Stacey zawsze wygrywała i była tego świadoma. Zresztą dobrze byłoby zająć myśli czymś innym, choćby przez godzinę lub dwie.

– Okej, przekonałaś mnie tym cheeseburgerem – zgodziłam się, wzdychając z rezygnacją.

– Zuch dziewczyna – pokazała zęby w uśmiechu. – Tylko może najpierw weź prysznic? Bez urazy, Ellie, ale... śmierdzisz. – Pomachała żartobliwie wypielęgnowaną dłonią przed nosem.

– Bezczelna bździągwa! – rzuciłam, śmiejąc się.

– Bździągwa? Jak uroczo! Podłapałaś za granicą nowe czułe słówka! – zakpiła.

Spuściłam głowę i powąchałam się pod pachą. Nie brałam prysznicza od wyjazdu z Londynu, nie miałam na to czasu ani ochoty. Cztery dni i jedna cholernie długa podróż samolotem. Miała rację, naprawdę cuchnęłam.

– Fuj, chyba faktycznie przyda mi się prysznic –

wymamrotałam, marszcząc nos z niesmakiem.

Rozdział 9

JAMIE

Podłoga i ściany w moim drugim najczęściej używanym gabinecie trzęsły się od potężnych basowych dźwięków dobiegających z dołu. Red's, mój najnowszy nabytek wśród klubów, w ciągu kilku ostatnich miesięcy zyskał nowy potężny system nagłośnieniowy i przeszedł estetyczną metamorfozę. Uznałem, że po odnowieniu lokal przyciągnie lepsze towarzystwo, wydające więcej na alkohol, i przy okazji będę mógł podnieść opłatę za wstęp. Jednak gdy whiskey w mojej szklance pod wpływem dudnienia zaczęła drżeć tak samo jak woda w scenie z *Parku Jurajskiego*, zrozumiałem, że popełniłem cholernie wielki błąd. Nie mogłem się skoncentrować, a to oznaczało, że jutro czekała mnie ponowna dłubanina w papierach. Ten biznes nie stanowił jedynie źródła dochodu - akurat pod względem rentowności był najmniej opłacalnym ze wszystkich moich zajęć. Należało do mnie osiem klubów i barów rozsianych po całym mieście, które służyły przede wszystkim jednemu celowi: praniu części pieniędzy pochodzących z moich nie całkiem legalnych przedsięwzięć. Musiałem się tylko wykazać odrobiną kreatywności przy papierkowej robocie - o resztę troszczył się mój słono przepłacany księgowy.

Gdy jedna piosenka przeszła płynnie w kolejną, jęknąłem

z bólu i zamknąłem oczy. Podniosłem dłonie do skroni, masując je kolistymi ruchami. Klamka zapadła – jutro każę wyciszyć biuro.

Moje wewnętrzne zrządzenie przerwało pukanie do drzwi.

- Co? – warknąłem, biorąc do ręki drink.

Dodger wystawił głowę przez szparę i oznajmił:

- Jest już Alberto Salazar. Przed chwilą zajechał pod klub.

- Okej. Niech Ed go tu przyprowadzi – poleciłem.

Na jego czole pojawiła się zmarszczka.

- Wygląda na to, że zabrał ze sobą Matea. – Praktycznie wypłuł to imię z wyraźną odrazą.

- Ech, wspaniale – prychnąłem, podnosząc szklankę do ust i wlewając sobie do gardła bursztynowy płyn, który połknąłem jednym haustem; spływając do żołądka, alkohol zostawił palący, przyjemnie rozgrzewający ślad. Chciałem się spotkać ze starszym z braci Salazar, nie z tym socjopatą Mateem, który był nieobliczalny i słynął z okrucieństwa. Przez większość czasu miał to szalone spojrzenie, jakby wyobrażał sobie, na ile różnych sposobów może cię zabić. Słyszałem też o nim wiele rzeczy, i to nieźle popaprzanych, jak to, że lubił się zabawiać z młodymi dziewczętami, którym jeszcze sporo brakowało do pełnoletności. Mateo Salazar był jedyną osobą na świecie, której z rozkoszą wpakowałbym kulkę między oczy. Z miłą chęcią poszedłbym także za to siedzieć, ponieważ dranie jego pokroju nie powinny chodzić bezkarnie po ulicy. Niestety, jego egzekucja wywołałaby wojnę o wpływy, a nie mogłem w to wplątać mojej ekipy.

W oczach Dodgera dostrzegłem troskę. Martwił się, pewnie

słusznie. Ostatnim razem, gdy znalazłem się z Mateem sam na sam w zamkniętym pomieszczeniu, ten mały gnojek próbował mnie zabić – w każdym razie mierzył do mnie z broni. W tej sytuacji zdecydowanie bezpieczniej byłoby się spotkać w jakimś bardziej tłoczonym miejscu.

– Wiesz co? Ponieważ przyszedł z nim ten zawszony kundel, lepiej zejźmy do nich na dół – zasugerowałem roztropnie.

Dodger odetchnął z ulgą i wyraźnie się rozluźnił.

– Dobry pomysł.

Wstałem i podniosłem mój ulubiony nóż sprężynowy, wsuwając go do kieszeni spodni, po czym podszedłem do Dodgera. Nie lubiłem nosić przy sobie broni – miałem od tego ludzi – ale nie zamierzałem zbliżyć się do Matea, nie mając ze sobą niczego do obrony.

– Chodź, stary. Przypomnimy tym śmieciom, kto rządzi w tym mieście. – Chwyciłem go za ramię i ścisnąłem dla otuchy. Dodger szczerze nienawidził tej części naszego biznesu; jego działką były samochody i nieraz próbował mnie nakłonić, żebym zostawił całą tę resztę innym organizacjom. Ale z założenia nie robiłem niczego na pół gwizdka. W miarę jak schodziliśmy, muzyka stawała się coraz głośniejsza. Dotarłszy na dół, rozejrzałem się po klubie i zgromadzonych w nim tłumach. Carl, jeden z moich ochroniarzy, który stał przy schodach prowadzących do mojego gabinetu i pilnował, żeby nie wchodził tam nikt niepowołany, pochylił głowę na powitanie.

– Szefie.

Zbliżyłem się do niego i wskazałem brodą stolik pod ścianą,

po drugiej stronie klubu, ledwie widoczny zza tabunu ludzi, którzy świetnie się bawili i wydawali swoją ciężko zarobioną forszę. Stolik znajdował się na przeciwnym końcu od didżejki i półtorametrowych głośników ustawionych na scenie. W tej chwili zajmowało go sześć kobiet rozpijających butelkę taniego białego wina stołowego.

- Carl, załatw mi tamten stolik. Przepróż panie za kłopot i daj im w podziękowaniu dwie butelki szampana - poleciałem. W klubie były inne wolne stoliki, ale ten wydał mi się najlepszy na tę okazję - stał w zacisznym kącie, ale wciąż na widoku; Mateo będzie się musiał kontrolować.

- Już się robi!

- Zaraz zjawi się tu jeszcze ktoś z ochrony. Mam spotkanie, więc trzymaj się z tyłu i miej oko na bawiących się gości, tak jak zwykle - poinstruowałem. Carl był zwykłym gorylem zatrudnionym ze względu na masywną posturę, kimś, kto miał pilnować porządku w klubie.

Patrzyłem, jak przywołuje na twarz swój najlepszy uśmiech, podchodzi do stolika i prosi kobiety o jego opuszczenie, tłumacząc, że potrzebuje go sam pan Cole. Nie czekałem na rozwój sytuacji, tylko zacząłem przeciskać się przez tłum ludzi. Obszedłem parkiet, witając się z każdym, kogo rozpoznałem, i grzecznie odmawiając drinków od stałych klientów, których powinienem był znać z imienia, lecz nie znałem.

- Chcesz, żebym też uczestniczył w spotkaniu? - zaoferował Ed, podchodząc do mnie z boku, gdy w końcu dobrnąłem do szatni.

Pokręciłem przecząco głową.

- Damy sobie radę z Dodgerem.

Nie umknęło mi, jak drgnęła mu powieka i rozczarowany zacisnął szczęki. Ed nie mógł znieść tego, że nie pozwalałem mu się bardziej angażować w życie organizacji; na pewno miał mi za złe, że przejąłem ekipę Bretta i odstawiłem go na boczny tor. Bądź co bądź, był już w tym wieku, że mógłby być moim ojcem. Na pewno strasznie go irytowało, że musiał się słuchać prawie o połowę młodszego szefa, który w dodatku go zdegradował. Miał, kurwa, pecha.

Otworzył usta, pewnie by zaprotestować i po raz kolejny zaznaczyć, jak bardzo może się przydać oraz że chciałby być bardziej zaangażowany w sprawy, ale wtedy otworzyły się drzwi i do środka wkroczyli bracia Salazar wraz z trójką swoich ludzi.

Pierwszy wszedł Alberto - wysoki, szczupły, pewny siebie - i wyciągnął do mnie rękę. Uniosłem brwi i spojrzałem na jego dłoń z niedowierzaniem, po czym przeniosłem wzrok na jego twarz, nie zadając sobie trudu, by odwzajemnić ten uprzejmy gest. Handlował na moim terenie; nie wezwałem go tu dla kurtuazji. Po chwili najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku i opuścił rękę.

- Młody, miło cię znów widzieć - przywitał się; w jego angielszczyźnie słychać było silny meksykański akcent.

Nie odpowiedziałem, tylko skierowałem wzrok na jego brata. Mateo nie był tak pewny siebie jak Alberto ani nie miał jego budowy, ale było w nim coś - może to, jak się nosił - co budziło we mnie niepokój. Znałem się na ludziach i coś mi

mówiło, że Mateo prędeziej by mnie zabił, niż zaszczycił spojrzeniem. Gdyby nie jego brat, który potrafił na niego wpłynąć, pewnie już dawno złamałby naszą umowę.

Mateo utkwiał we mnie swoje brązowe oczy, w których tańczyły iskierki rozbawienia; czarna łza wytatuowana w zewnętrznym kąciku jego prawego oka odznaczała się wyraźnie na tle oliwkowej cery, podobnie jak wielki tatuaz pająka z boku szyi. Kiedy uniósł lewą dłoń i podrapał się po szczęce, dostrzegłem cienkie, czarne linie, jakby kreski do zliczania, biegnące wzdłuż jego palca wskazującego - tego, którym pociągał za spust. Podobno każda z nich symbolizowała jedno popełnione przez niego morderstwo. Naliczyłem dwa razy po pięć kresek i jedną pojedynczą. Jak widać, nie próżnował od naszego ostatniego spotkania. Jeszcze przed dwoma miesiącami, kiedy mierzył do mnie z broni, było ich dziewięć.

Stał w milczeniu, lekko wykrzywając górną wargę z pogardą. Wpatrywałem się w niego badawczo, próbując ocenić, czy będą z nim dziś problemy. Jak zwykle był nieco nerwowy, co bez wątpienia było efektem ubocznym uzależnienia od heroiny, ale sprawiał wrażenie, jakby się kontrolował.

Ponownie przeniosłem wzrok na Alberta.

- Musiałeś przywlec ze sobą to coś? - spytałem i wskazałem brodą Matea, ignorując jego sarknięcie i wiązanke hiszpańskich bluzgów, którą mi puścił.

Alberto wzruszył ramionami, a w kącikach jego ust pojawił się uśmiech.

- Wolę nie zostawiać go samego - zażartował. Parsknąłem śmiechem. Przynajmniej obaj byliśmy szczerzy. Nie przepadałem za Albertem, nie podobało mi się to, jak prowadzi interesy i rozprowadza swój nędzny towar, ale trzeba przyznać, że był człowiekiem honorowym i, zazwyczaj, dotrzymywał danego słowa.

- Nie wpuszczamy do klubu z bronią. Jeśli jakąś macie, możecie ją tu zostawić, a potem odebrać, wychodząc - oświadczyłem, przywołując ręką jednego z moich ochroniarzy.

Mateo zmarszczył czoło i już chciał chwycić za gnata ukrytego pod brązową, skórzaną kurtkę, lecz Alberto skinął głową i, sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni swojej kurtki, wyjął czarny półautomat i położył go na tacy, którą przyniósł ochroniarz. Jego ludzie zrobili to samo. Mateo nadal ani drgnął.

Uniosłem brwi i wyprostowałem się, prowokując go do wykonania ruchu, na który miał ewidentną ochotę - widziałem to w jego oczach. I wtedy wystąpił Dodger.

- Jeśli chcesz, możesz pobawić się swoją pukawką w samochodzie, a tymczasem dorośli załatwią sprawy między sobą - zasugerował protekcjonalnym tonem. W uznaniu posłałem mu szeroki uśmiech.

Staliśmy tak przez kilka sekund, po czym Alberto odwrócił się do brata i powiedział coś w ojczystym języku, którego nie rozumiałem. Drgający mięsień w szczęce Matea zdradzał, że był zły, ale wyjął pistolet z rękojeścią z kości słoniowej oraz pasujący do niego nóż, i położył na kupce broni, patrząc tęskno za ochroniarzem, który podążył z tacą do biura

ochrony.

- Doskonale. Tędy, proszę. - Odwróciłem się bez zwłoki i ruszyłem przez dwuskrzydłowe drzwi do głównej sali zatłoczonego klubu, kierując się do stolika, o który wcześniej prosiłem. Niemal natychmiast podeszła do nas kelnerka; szczupła dziewczyna o złocistej opaleniznie i kruczoczarnych włosach przecisnęła się przez tłum i bez słowa postawiła na stole butelkę whiskey oraz cztery nalane do pełna szklanki, po czym niespiesznie się oddaliła.

Spojrzałem na Matea, który taksował ją wzrokiem.

- Myślałem, że cię wczoraj zwinęli - zagadnąłem, upijając łyk drinka.

Mateo pochwycił moje spojrzenie i uniósł ramiona w geście bezradności.

- Mieli za mało, by mnie zatrzymać.

Dowiedziałem się od mojego człowieka w policji, że Mateo został aresztowany za czynną napaść przy użyciu niebezpiecznego narzędzia. Z tego, co słyszałem, sprawa była oczywista. Kilkoro świadków miało zeznać, że to on wbił swojemu przeciwnikowi kij bilardowy w udo, kiedy z nim przegrał.

- Czyżby? Szkoda. - Szkoda jak cholera, pomyślałem.

- Świadkowie postanowili jednak nie składać zeznań - wyjaśnił z aroganckim uśmieszkiem.

Alberto pochylił się, ujmując szklankę w obie dłonie.

- Skończmy już z tymi podchodami. Tylko marnujemy czas, a jestem pewien, że obaj mamy lepsze rzeczy do roboty.

Bez owijania w bawełnę - to lubię.

- W porządku - zgodziłem się, ponownie skupiając na nim całą uwagę. - Macie się trzymać z dala od moich klubów. Jeśli jeszcze raz mnie znieważycie i przyślecie swoje wywłoki do któregoś z moich lokali, urządzę wam takie piekło, że się posracie. Wiecie, jaki jest układ. Pozwalamy wam handlować towarem, ale w granicach rozsądku. - Pochyliłem się, patrząc mu prosto w oczy, więc wiedział, że nie żartowałem. - Jeśli znów przeciągniecie strunę, obrócę w popiół wszystko, co zbudowaliście. Nie myśl, że nie wiem, gdzie pichcicie to wasze gówno. Jeden telefon i w ciągu kilku minut wasze wytwórnie spłoną do gołej ziemi. Jestem ciekaw, jak wtedy będziesz prowadził interesy.

Powiedziałem swoje. Salazarowi zadrgała powieka.

- Hola, Młody, bądźmy rozsądni.

Rozsiadłem się na krześle i podniosłem drinka, przyglądając się mu znad szklanki.

- Rozsądni? - powtórzyłem. - Czyli według ciebie zachowuję się nierozsądnie?

Wzdrygnął się lekko i stężał, słysząc pobrzmiewającą w moim głosie nutę groźby. Wiedział, że mógłbym go zgnieść jak karalucha.

- Nie, skądże znowu - zaprotestował. - Po prostu odnoszę wrażenie, że nie zdajesz sobie sprawy z korzyści płynących z naszego partnerstwa.

Ogarnął mnie pusty śmiech.

- Co mógłbym zyskać, jednocząc siły z takimi utrapieńcami jak wy? - Nalałem sobie kolejnego drinka, potrząsając głową z rozbawieniem.

Ludzie tłoczący się w pobliżu naszego stolika zrobili się nieco bardziej hałaśliwi; dwóch kolesiów wznosiło akurat gromki toast, stukając się butelkami. Zerknąłem w ich stronę i niemal natychmiast gdzieś w dali, przy podeście, przed oczami mignęło mi coś miedzianego. Nawet w ciemnym klubie ten kolor był nie do przeoczenia; niczym magnes przyciągał moje spojrzenie, absorbując całą uwagę.

Cholera. To niemożliwe. To nie może być ona. Skąd by się tu wzięła?... A może jednak?

Zatrzymałem szklankę w połowie drogi do ust i mrużąc oczy, przedarłem się wzrokiem przez tłum, błagając w duchu, by rudowłosa dziewczyna odwróciła się w moją stronę, choćby na chwilę, i pozwoliła mi ujrzeć swoją twarz. Czy to naprawdę ona?

Odwróć się. Proszę, odwróć...

- Cóż, dochowaliśmy się już sporej trzódki wiernych klientów - oświadczył Alberto, sprowadzając mnie z powrotem na ziemię.

- Trzódki? - prychnął sarkastycznie Dodger. - Brzmi, jakbyście byli jakąś pieprzoną sektą.

Przełknąłem ślinę i zamrugałem kilka razy, z wielkim trudem odwracając wzrok od rudej dziewczyny.

- Nie obchodzi mnie, ilu macie klientów. My mamy swoich, i to z najwyższej ligi. Nie musimy sobie zaprzętać głowy ulicznymi handlarzami. Już ci to mówiłem.

- Mogę się założyć, że nasze koszty ogólne są dużo mniejsze niż wasze. Na uncji zarabiamy dwa razy więcej niż wy - zaprotestował Alberto. - Gdybyś kupował towar od nas,

a potem rozprowadzał go wśród swoich klientów, obaj byśmy na tym skorzystali.

- Wasz towar to jakieś tanie świństwo. Moi klienci szybko przestaliby nimi być, gdybym spróbował wcisnąć im kokę z lewamizolem - odparłem spokojnie. Kiedyś już o tym rozmawialiśmy; moja odpowiedź brzmiała wtedy tak samo.

Powędrowałem bezwolnie wzrokiem w kierunku dziewczyny. Patrzyłem, jak jej włosy wirują w tańcu. Czarne dzinsy opinały jej biodra i kształtne pośladki. Nie mogłem usiedzieć spokojnie. Pragnąłem, by się odwróciła. I nagle, jakby wyczuła, że się w nią wpatruję i czekam w napięciu, by zobaczyć, czy jest tą, w której się zakochałem na zabój, wzięła się pod rękę z seksowną blondynką, z którą tańczyła, i obie, chichocząc, wykręciły młynka.

Kiedy ujrzałem twarz dziewczyny, która skradła mi serce jednym nieśmiałym rumieńcem oraz cudownym uśmiechem, zabrakło mi tchu. Ellie zawsze wywierała na mnie piorunujące wrażenie. I teraz po trzech latach nic się nie zmieniło. Była tak zjawiskowa, tak piękna, że moje serce zaczęło bić mocniej. Wszystko w niej było hipnotyzujące - od ognistych rudych włosów i pokrytego piegami nosa po stopy w jej ulubionych conversach. Wciąż była dla mnie całym światem.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Patrzyłem, jak stuka kieliszkiem o kieliszek przyjaciółki, którą - jak się okazało - była Stacey, po czym obie wychylają je do dna. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, widząc, jak Ellie się krzywi i przytyka wierzch dłoni do ust, marszcząc nos, tak jak zwykle po wypiciu shota. Brakowało mi tego. Tak bardzo, że ścisnęło mnie za

serce i poczułem podniecenie.

- Młody? - Głos Alberta odbił się w moim uchu ledwie słyszalnym echem, kiedy patrzyłem na Ellie jak w transie.

Stacey rzuciła okiem za siebie, a potem odwróciła się do niej i uśmiechając się szeroko, pociągnęła ją za rękę w kierunku jednego z podestów. To były niewielkie, podwyższone sceny, na których czasami w soboty wyginały się profesjonalne tancerki, ale w zwykłe dni były puste i dziewczęta chętnie się na nie wspinały, by mieć więcej miejsca do tańca. Ellie początkowo się opierała; potrząsała kategorycznie głową, czerwieniąc się, co było widać nawet w przyciemnionym świetle z drugiego końca klubu. Uśmiechnąłem się. Nigdy nie lubiła być w centrum uwagi. Jednak Stacey pozostała niewzruszona i wdrapała się na niespełna półtorametrowe podium, przywołując ją do siebie z błagalnym wyrazem twarzy. W końcu Ellie uległa i dołączyła do przyjaciółki.

- Młody! - Tym razem głos był bardziej donośny, więc odwróciłem się, posyłając Albertowi wrogie spojrzenie.

- Co? - syknąłem. Nie widział, do cholery, że jestem zajęty?
Uniósł krzaczaste brwi w zdumieniu.

- Wszystko w porządku? Wyglądasz na nieobecnego. - Jego ton był szorstki; ewidentnie rozzłościło go to, że nie poświęcałem mu całej uwagi. Mateo pochylił się do przodu, świdrując wzrokiem Ellie, która teraz tańczyła na podeście, nieco skrępowana, bo inni patrzyli.

- Znasz tę dziewczynę?

- Nie - zaprzeczyłem raptownie, może nieco ostrzej niż zamierzałem. - Fajny tyłek, ot co - rzuciłem od niechcienia,

wzruszając ramionami w nadziei, że mi uwierzyli.

Mateo odchylił się na krześle i powoli rozciągnął usta w uśmiechu, ukazując białą bliznę na dolnej wardze.

- Faktycznie, ma niezły tyłeczek - przyznał mi rację, sięgając po drinka i wolno upijając łyk. Jego bystre oczy przyglądały mi się badawczo.

Chwyliłem się krawędzi stołu tak mocno, że zaboląły mnie palce, byle tylko niczego po sobie nie dać poznać. Musiałem zachować zimną krew, nie mogłem okazywać emocji ani tego, jak ważna jest dla mnie Ellie. Rządziłem w tym mieście, ponieważ ludzie wiedzieli, że nie warto ze mną zaczynać - każdy miał więcej do stracenia niż ja. Mnie nie zależało na niczym, co można by było wykorzystać do zdobycia nade mną przewagi. Nie dbałem o to, czy będę żył, czy umrę, bo i tak nie miałem po co żyć. Samotność mnie zahartowała; byłem pewny siebie, zuchwały i praktycznie niezwyciężony. Bałem się mniej niż ludzie, którzy mieli więcej ode mnie do stracenia. I to nie mogło się zmienić.

- Wróćmy do rzeczy. Wezwałem was tu, by wam powiedzieć, że macie trzymać swoje prochy z dala od moich klubów. Chyba jasno się wyraziłem, a zatem spotkanie dobiegło końca - warknąłem.

Alberto westchnął głęboko, kręcąc głową.

- Młody, przepraszam, jeśli ktoś od nas handlował w twoim klubie. Nie wiem, kto to był, ale się dowiem i ukarzę. My tego nie zleciliśmy. Ta osoba pewnie działała na własną rękę, żeby sobie trochę dorobić. Nie pozwólmy, by ten incydent popsuł nasze relacje.

Mateo był zupełnie niezainteresowany rozmową; wystukiwał coś na telefonie z drwiącym uśmiechem na twarzy, który miałem ochotę mu zetrzeć pięścią.

- My nie mamy żadnych relacji. Pozwalam wam prowadzić interesy, za co jesteście mi wdzięczni - odparłem oschle. Daremnie próbowałem nie zwracać uwagi na Ellie. Cały byłem spięty, wierciłem się nerwowo na krześle, rozpaczliwie pragnąc wstać i podejść do niej. Ścisnąłem blat jeszcze mocniej, starając się pohamować.

- Ale nie musimy na tym poprzestawać. Możemy ci pomóc. Mamy ludzi i możemy być cennym dodatkiem do twojej organizacji - przekonywał Alberto.

- Cennym dodatkiem czy cholernym wrzodem na dupie? - wtrącił Dodger.

- Po co te złośliwości? - uniósł się Alberto.

Kątem oka zauważyłem dobrze zbudowanego mężczyznę przeciskającego się przez tłum w kierunku Ellie. Zatrzymał się pod sceną, na której stała. Uśmiechnąłem się krzywo, odsłaniając górne zęby i odruchowo zaciskając pięści. Facet był wysoki, miał blisko dwa metry, więc sięgał dziewczynom niemal do piersi. Pochylił się i coś im powiedział. Stacey zachichotała i pokręciła głową; Ellie wyglądała na mocno zażenowaną.

Do moich uszu dobiegały skrawki rozmowy Dodgera i Alberta, ale nie mogłem się skupić, nie mogłem oderwać wzroku od napakowanego sterydami mięśniaka, który nadal próbował zwrócić na siebie uwagę Ellie.

Wzdrygnąłem się, gdy jego wielka, mięsista dłoń musnęła jej

biodro. Ellie wykręciła się bokiem, potrząsając głową, i rzuciła mu coś na odczepkę, próbując zbyć go nerwowym uśmiechem.

Otaczający ich ludzie rozstąpili się, zostawiając im więcej miejsca. Patrzyli na niego z lekką rezerwą jak na osobę nietrzeźwą, którą lepiej omijać łukiem. Koleś powiedział coś do Ellie, która ściągnęła brwi i ponownie potrząsnęła głową; z ruchu jej ust odczytałem krótkie: „Nie, dzięki”. Następnie odwróciła się do niego plecami i wróciła do tańca ze Stacey. Widać było, że jest spięta; poruszała się sztywno i niepewnie.

Typ nie dał za wygraną; najwyraźniej nie potrafił zaakceptować odmowy. Roześmiał się tylko i wsunął ręce do kieszeni, wydając kilka szeleszczących jednodolarówek. Zmarszczyłem brwi, zakładając, że chce jej postawić drinka. Ale zamiast tego wyciągnął rękę i poklepał ją po ramieniu. Kiedy się odwróciła z uprzejmym, lecz nieco poirytowanym uśmiechem, szybko wychylił się do przodu, wtykając jej banknoty za dzinsy, jak jakiejś striptizerce. A potem zaczął klaskać teatralnie w rytm muzyki i szydzić z niej.

I wtedy wpadłem w szal.

Przestałem myśleć racjonalnie. Widziałem jedynie, jak ją obłapuje, jak ją znieważa i poniża. Poderwałem się, przy okazji przewracając krzesło, i pogałem do nich. Ellie była zajęta wyjmowaniem banknotów z za spodni; kipiała ze złości i nie widziała, jak się zbliżam.

On także nie był tego świadomy. Śmiał się i dopingował szyderczo:

- No dalej, cukiereczku, pokaż, jak się ładnie wyginasz.

Zdzieliłem go pięścią w tył głowy; poleciał do przodu,

upadając na kolana, i przywalił klatką piersiową o podest. Dłoń zapiekła mnie od ciosu, ale nie zważałem na to, tylko zrobiłem krok naprzód i kopnąłem go dwa razy kolaniem w żebra, upajając się jękiem bólu, jaki wydarł się z jego ust. Wszystko wokół rozplynęło się w czerwonej mgle; zostałem tylko ja, on i mój wściekły gniew. Chciałem, by zalał się krwią, chciałem wyjąć nóż z kieszeni i poderżnąć mu gardło, a potem patrzeć, jak charczy, próbując złapać powietrze. Musiałem się jednak hamować, bo przyglądał się nam tłum gapiów. Chwyciłem lewą ręką jego włosy, szarpnąłem głowę do tyłu i wpakowałem mu prawą pięść prosto w twarz.

Wystarczył jeden cios, żeby z nosa trysnęła krew, po drugim pękła mu skóra na kości policzkowej, przy trzecim uderzeniu podniósł ręce, próbując się bronić, a czwarty cios rozciął mu wargę. Zawrzałem niepokonaną złością i płytko dysząc, po raz piąty wbiłem mu zakrwawioną pięść w twarz. Jego ciało stało się wiotkie; chwiał się na kolanach, ręce opadły mu bezwładnie, a w oczach pojawiła się pustka. Gdy wyplątałem dłoń z jego włosów, mężczyzna osunął się na ziemię z głuchym łupnięciem. Jego twarz ociekała krwią na drewniany parkiet, który kazałem położyć zaledwie przed dwoma miesiącami.

Ludzie dookoła stanęli jak wryci. Z zastygłymi w szoku twarzami przyglądali się całej tej scenie z chorobliwym zainteresowaniem. Spoglądając w dół na skatowane, nieprzytomne ciało, poczułem, że wściekłość powoli ze mnie ulatuje, lecz gdy przyjrzałem się zbroczonej krwią twarzy, przeszedł mnie dreszcz niepokoju. Rozpoznałem go: był jednym z typków, którzy przyszli z Salazarami. Przeniosłem

wzrok na jego nagie przedramię; moje przypuszczenia potwierdził tatuaż świadczący o jego przynależności do bandyckiej ferajny – wąż owinięty wokół sztyletu z literą S wyrytą na rękojeści.

Rzuciłem przelotne spojrzenie na stół, przy którym niedawno siedziałem. Dodger stał z podejrzliwą miną; Alberto również się podniósł i patrzył szeroko otwartymi oczami, ale nie Mateo – on obserwował całe zajście, siedząc z rękami skrzyżowanymi na piersiach i przyklejonym, pełnym zadowolenia uśmiechem na ustach.

I wtedy zrozumiałem. To właśnie z tym gościem esemesował; najwyraźniej kazał mu przyjść na salę i ponarzucać się Ellie, żeby sprawdzić, czy to mnie rozdrażni. Nie uwierzył, że jej nie znam. Mateo to wszystko ukartował, a ja dałem się naiwnie podejść.

Nawaliłem. Na całej linii.

Odwróciłem się w stronę Ellie. Nadal stała na podeście; zamarła w bezruchu, trupio blada, i wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

– Chodź tu. W tej chwili! – wrzasnąłem.

Przełknęła ślinę, wpatrując się we mnie, i wyszeptała z niedowierzaniem:

– Jamie?

Rozdział 10

ELLIE

Krew, latające pięści, pojękiwania z bólu i wreszcie krzyki przerażenia wydobywające się z gardeł stojących wokół mnie ludzi – w jednej chwili facet, który przed sekundą wsunął mi plik banknotów za dzinsy i nazwał *putta*, co niemal na pewno po hiszpańsku znaczy „dziwka”, gruchnął nieprzytomny na ziemię.

Stacey wbiła paznokcie w moje ramię, próbując odciągnąć mnie do tyłu, bliżej siebie, ale ani drgnęłam, chłonąc wzrokiem każdy szczegół jego ciała. Bo to był on, z całą pewnością, choć przez chwilę sama nie mogłam w to uwierzyć. Ale tę twarz rozpoznałabym wszędzie, mimo iż jej piękne rysy wciąż wykrzywiała dzika złość. Wyglądał jak gniewny anioł zemsty, który przybył, by wybawić mnie z opresji.

Oddychał szybko, wpatrując się z pogardą w mężczyznę, którego właśnie skatował. Wtem podniósł głowę i odwrócił się w moją stronę.

Nasze spojrzenia spotkały się i na moment straciłam oddech.

Jamie Cole.

Nagle cały świat się dla mnie zatrzymał. Nie słyszałam już dudniącej wokół muzyki; widziałam tylko jego i te oczy, w które wpatrywałam się godzinami; znałam każdą ich

plamkę, głęboki, czekoladowy odcień brązu, w którym przed laty bez reszty się zatraciłam.

Miał teraz inną fryzurę; włosy, trochę potargane, kręciły mu się za uszami i na karku, jakby były za długie i wymagały strzyżenia. Jego szczękę pokrywał jednodniowy zarost. Na policzkach i z boku szyi widoczne były blednące sińce, a skórę tuż nad brwią przecinała kilkucentymetrowa blizna – kolejna w jego okazałej kolekcji. Nawet po tak długim czasie, pomimo krzywdy, jaką mi wyrządził, nadal pragnęłam jej dotknąć, przesunąć po niej opuszkami i zapytać, skąd się wzięła.

Jednak tym, co uderzyło mnie najbardziej, kiedy na niego spojrzałam, była jego wewnętrzna przemiana.

Ten człowiek w białej koszuli i czarnych wizytowych spodniach, który stał przede mną z pięściami zboczonymi cudzą krwią kapiącą na drewnianą posadzkę, nie był tym samym chłopakiem, którego kiedyś znałam. Coś go odmieniło, znieczuliło, zniszczyło.

Był napięty jak struna; wyglądał imponująco, drapieżnie, wściekle. U jego stóp leżał nieprzytomny mężczyzna, lecz twarz Jamiego nie zdradzała nawet cienia żalu. Nigdy go takim nie widziałam. Mrok czający się w jego spojrzeniu zmroził mnie tak, że ścisnęło mnie w żołądku.

- Chodź tu. W tej chwili! – warknął.

Przełknęłam z trudem ślinę, czując w gardle rosnącą gulę.

- Jamie? – Ledwo to z siebie wydusiłam, niemal szeptem, ale on i tak usłyszał. Mięsień w jego szczęce ponownie drgnął. Jamie poruszył się nieznacznie, lecz nie spuścił mnie z oczu. Zupełnie zdrętwiałam, mój umysł nie mógł za tym nadążyć.

Stałam twarzą w twarz z chłopakiem, przez którego miesiącami wypłakiwałam sobie oczy. Na jego widok wszystkie dawne uczucia wróciły z tą samą siłą, miażdżąc mnie i ponownie spychając w przepaść bólu, z której mozolnie próbowałam się wydostać.

To przez niego nie wróciłam do domu. Bałam się go spotkać, bałam się spojrzeć mu w oczy, bo wówczas musiałabym od nowa nauczyć się żyć bez niego, a nie byłam pewna, czy drugi raz mi się to uda.

- Złaź, powiedziałem! - powtórzył ostrym, rozkazującym tonem.

Oczy zapiekły mnie od łez. Walczyłam z nimi, smagana falą wspomnień o wspólnych dobrych czasach. Kochałam go bezwarunkowo; kochałam w nim wszystko, nawet tę jego mroczną stronę, której nie rozumiałam. Miał mnie całą, moją duszę i ciało, ale popełnił głupi błąd i nas przekreślił. Serce ścisnęło mi się boleśnie w piersi.

Jamie napiął się, posyłając mi szybkie spojrzenie przez ramię.

- Ellie, proszę cię, zejdz stamtąd. Na litość boską, rób, jak ci każę! - zażądał, wyciągając ku mnie rękę, by pomóc mi zejść z podestu, na który wspięłam się za namową Stacey.

I nagle moje uczucia się zmieniły. Szok, jakiego doznałam na jego widok, przedzierzgnął się w złość. Przed chwilą stłukł jakiegoś gościa na miazgę, choć sama sobie świetnie radziłam, a teraz jeszcze ma czelność mi rozkazywać... po tym, co mi zrobił?

Zacisnęłam pięści i otworzyłam usta, by zaserwować mu

jakąś celną ripostę, jedną z tych, które wymyślałam przez te wszystkie lata, coś, czym powinnam mu się odgryźć tamtego dnia przez telefon, zamiast błagać go o jeszcze jedną szansę. Jednak zanim zdążyłam przemówić, Jamie podszedł i chwycił mnie, bez trudu przyciągając do siebie i przerzucając sobie przez ramię. Po chwili zwisałam głową w dół, z wypiętymi do góry pośladkami. Jego ciepła ręka obejmowała moje uda, a moja głowa odbijała się niczym piłka od jego pleców.

Zapisałam zaskoczona, krew momentalnie napłynęła mi do głowy. Widziałam już tylko buty i rannego faceta leżącego na podłodze. Wciągnęłam gwałtownie powietrze, czując, że twarz płonie mi z zażenowania.

- Hej! - krzyknęła Stacey z podestu.

Otoczający nas tłum stóp rozstał się, gdy Jamie wykonał obrót, brnąc naprzód. Wisiałam na nim jak worek kartofli, przy każdym kroku moje ciało odbijało się od niego.

Złość zawrzała we mnie z siłą, jakiej się po sobie nie spodziewałam.

- Postaw mnie, dupku! - wrzasnęłam, wijąc się, kopiąc nogami i waląc pięściami w jego plecy. - Puszczaj! W tej chwili postaw mnie na ziemię! - zażądałam, chwytając się wszystkiego w zasięgu moich dłoni, wbijając mu paznokcie w ciało.

Nie uszedł nawet dziesięciu kroków, gdy jedna z moich szamoczących się nóg w coś uderzyła, prawdopodobnie w jego twarz. Zatrzymał się. Dostrzegłszy okazję, zaczęłam się jeszcze mocniej miotać, napierając na jego plecy, daremnie próbując się wyprostować i zsunąć na ziemię.

- Zabieraj łapy! - Uszczypnęłam go w bok, cały czas wierzgając jak koń, żeby się wyswobodzić.

- Jak chcesz! Ale uspokój się, do cholery! - Ugiął kolana, ciągnąc mnie w dół za nogi. Gdy dotknęłam stopami podłogi, poluzował chwyt. Złapałam go za ramiona, wspierając się na nich i odpychając w górę, by po chwili powrócić do pozycji stojącej. Nadal trzymał mnie za biodra i asekurował, dopóki sam się nie wyprostował, patrząc na mnie z surową miną i oczami płonącymi złością.

Jest wkurzony nie na żarty, pomyślałam.

Straciłam jego dłonie i zrobiłam krok w tył, aby zwiększyć między nami dystans. W głowie miałam mętlik. Nieprzytomnie zaczęłam poprawiać fryzurę, która zapewne ucierpiała w całym tym zamieszaniu.

- Odbiło ci? - spiorunowałam go wzrokiem; też byłam wściekła. - Wparowujesz tu znikąd i zaczynasz się bić pośrodku klubu jak jakiś oprych i jeszcze masz czelność mnie dotykać? Nie masz już prawa mnie dotykać! Rozumiesz? Nie masz prawa! - Moje słowa zabrzmiały ostrzej, niż zamierzałam. Były cierpkie i zjadliwe; złożyły się na to trzy lata bólu i cierpienia.

- Ellie - odezwał się, ściągając brwi i przyglądając mi się w skupieniu. Poruszył ustami, lecz nic już nie powiedział, tylko przeczesał dłonią włosy. Serce zabiło mi mocniej, gdy wymówił moje imię z taką czułością. Nie przypuszczałam, że jeszcze kiedyś usłyszę, jak pada z jego ust. Zadrżałam na dźwięk jego głosu.

O, nie! Nie miał prawa budzić we mnie pożądania, nie po

tym, jak złamał mi serce. A moje ciało nie powinno było mu na to pozwolić. Zdrajca!

- Nie odzywałeś się trzy lata i nagle wydaje ci się, że możesz zarzucić mnie sobie na ramię i paradować ze mną jak jakiś cholerny jaskiniowiec? - wymierzyłam w niego oskarżycielsko palec, próbując uspokoić oddech. Gniew powoli się wypalał, ale czułam, jak wzbierają we mnie inne emocje, które lada chwila mogły wybuchnąć. - Nie możesz udawać, że nic się nie stało, i zgrywać rycerza w lśniącej zbroi. Nie możesz udawać, że nie złamałeś mi serca. Nie po tym, co mi zrobiłeś. - Ostatnie słowa wypowiedziałam niemal szeptem z oczami pełnymi łez.

Emocje mnie przerosły; nie mogłam ich w sobie dłużej dusić. Byłam bliska płaczu, ale nie zamierzałam dać mu tej satysfakcji. Za jego plecami dostrzegłam Stacey schodzącą z podestu i zmierzającą w naszą stronę. Odwróciłam się na pięcie, szukając wzrokiem wyjścia - wiedziałam, że Stacey wyjdzie ze mną. I już miałam ruszyć ku drzwiom, gdy Jamie chwycił mnie za nadgarstek i pociągnął do tyłu, tak że nasze ciała się zderzyły.

Westchnęłam, podnosząc wzrok na jego twarz. Oczy płonęły mu jak rozżarzone węgle. Zacisnął szczęki i podszedł jeszcze bliżej, trzymając moją rękę w stalowym uścisku. Drugą dłonią ujął mój policzek, wsuwając palce w moje włosy, i zanim zdążyłam zareagować, przywarł do mnie ustami.

Zesztywniałam, czując, jak na mnie napiera i przenika swoim ciepłem. Pocałunek trwał tylko chwilę, ale Jamie nie odsunął się. Musnął mnie nosem, owiewając oddechem moje

usta i brodę. Puścił mój nadgarstek i położył dłoń na moim biodrze. Gdybym chciała, mogłabym się cofnąć, ale nie zrobiłam tego.

Poddałam się mu dobrowolnie i przywarłam do jego umięśnionego ciała. Było napięte, ciepłe i znajome. Serce załomotało mi w piersi. Otulona jego ramionami, wpatrywałam się w jego wargi, które kiedyś tak czule pieściły mnie centymetr po centymetrze, w usta, które szeptały: „Kocham cię”.

I nagle o wszystkim zapomniałam: o bólu, złamanym sercu, przelanych łzach, o klubie, w którym byliśmy, i obserwujących nas ludziach; to wszystko w jednej chwili zniknęło, poza nim i mną nie było nikogo.

Gdy więc ponownie musnął mnie wargami, zamknęłam oczy i również go pocałowałam, upajając się błogim stanem, w jaki potrafił mnie wprowadzić zwykłym całusem. Przesunął dłonią po moich plecach, przyciskając mnie do siebie. Poczułam tak silny głód i żądzę, że chwyciłam go kurczowo za koszulę i jeszcze głębiej zatopiłam się w jego ustach.

Zmiękły mi nogi, ale Jamie trzymał mnie mocno w pasie i nie pozwolił upaść. Porwała mnie namiętność, jakiej nie czułam od lat. Zwierzęca, niepohamowana namiętność, taka, że chciałam, by we mnie wszedł, w tej chwili. Namiętność, którą tylko on we mnie wzbudzał.

Kiedy rozchylił usta, delikatnie przesuwając językiem po mojej dolnej wardze, ogarnęła mnie boleśnie spragniona tęsknota – zdałam sobie sprawę, że poza Jamiem nikt mnie tak nie całował. To desperackie pragnienie bliskości drugiej osoby

czułam jedynie przy nim. Przy Tobym nigdy nie czułam tak silnych emocji, ani podczas pocałunku, ani podczas wspólnych pieszczot i godzinnej eksploracji naszych nagich ciał. Nigdy.

Ledwie jego imię pojawiło się w mojej głowie, cały czar prysł. Toby. Mój narzeczony. Ten, który dał mi pracę i powód, bym została w Anglii, kiedy tak strasznie nie chciałam wracać do domu, ten, który mnie uzdrowił i sprawił, że na mojej twarzy pojawiał się uśmiech, choć w środku czułam jedynie pustkę i przygnębienie. Słodki, uroczy i niezawodny Toby, który absolutnie na to nie zasługiwał.

Moje pożądanie w jednej chwili zastąpiła przeraźliwa złość i wypełniła mnie aż po końce palców.

Wsunęłam ręce między nasze ciała i odepchnęłam Jamiego, dysząc krótkim, urywanym oddechem. Byłam tak wściekła, że wręcz kipiałam. Pod wpływem impulsu podniosłam rękę i spoliczkowałam go. Mocno. Obserwujący nas tłum wstrzymał oddech i wytrzeszczył oczy. Za plecami Jamiego dostrzegłam Stacey – stała, wyraźnie zaszokowana.

Siła uderzenia była tak duża, że głowa Jamiego odskoczyła w bok, ale poza tym w ogóle nie zareagował. Złość zamgliła mi oczy. A może to łzy, których nie mogłam już dłużej hamować.

- Ty dupku! Jestem zaręczona! Nie możesz mnie tak całować. Miałeś swoją szansę, ale ją zmarnowałeś! Pokpiłeś sprawę, Jamie! - wykrzyczałam. Pokręciłam głową, spuszczać wzrok na podłogę, bo nie mogłam już dłużej patrzeć na jego zboliałą minę. - Naprawdę nie wiem, co sobie wyobrażałeś, podchodząc do mnie, a co dopiero całując mnie po tak długim czasie - dodałam. - Zostaw mnie w spokoju.

I tak mam dosyć zmartwień na głowie. Nie chcę, żebyś jeszcze bardziej mieszał mi w życiu i ożywiał sprawy, które należą do przeszłości.

Odwróciłam się i rzuciłam w tłum, przeciskając się między ludźmi wirującymi na parkiecie, kompletnie nieświadomymi tego, co wydarzyło się na tyłach klubu. Wbijając wzrok w podświetlony zielony znak z napisem „Wyjście ewakuacyjne”, uciekałam od niego i, jak sądziłam, od moich problemów. Jednak gdy wypadłam przez boczne drzwi na pogrążoną w mroku zaśmieconą uliczkę, zdałam sobie sprawę, że moje problemy tkwiły głęboko we mnie i tak łatwo się ich nie pozbędę.

Zatrzymałam się i oparłam o zimną ceglana ścianę; nadal kipiałam z wściekłości, rozpaczliwie próbując złapać oddech. Świeże powietrze osuszyło moje łzy tylko po to, bym ponownie się nimi zaląła, i wtedy dotarło do mnie, że nie wściekałam się na Jamiego. On był jedynie kozłem ofiarnym, bo łatwiej jest rzucić na kogoś odpowiedzialność, niż wziąć ją na siebie.

Odwzajemniłam jego pocałunek. Właśnie o to byłam zła. Pocałowałam go, chociaż byłam zaręczona z kimś innym. Rozkoszowałam się każdą sekundą naszego zbliżenia. I nienawidziłam siebie za to.

Rozdział 11

JAMIE

Patrzyłem, jak znika w tłumie, kierując się ku bocznemu wyjściu. Piekł mnie policzek. Wymierzyła mi silny cios, lecz ten ból był niczym w porównaniu z pogardą, jaką dostrzegłem w jej oczach, gdy na mnie spojrzała. Nie sądziłem, że aż tak mnie znienawidziła. To jej spojrzenie zmroziło mnie do kości.

„Miałeś swoją szansę, ale ją zmarnowałeś”, tak powiedziała. I miała rację. Zrezygnowałem z najlepszej rzeczy, jaka przytrafiła mi się w życiu. Jednak Ellie myliła się co do moich pobudek. Myślała, że ją zdradziłem, że jej nie kochałem, że nie chciałem z nią być, i nic dziwnego – usłyszała to wszystko z moich ust, ale nic z tego nie było prawdą. Zawsze ją kochałem i jej pragnąłem. Była całym moim życiem. Nie chciałem jednak, by marnowała czas na kogoś, kto na nią nie zasługuje, i właśnie przed tym próbowałem ją uchronić.

Teraz patrząc, jak jej miedziane włosy znikają za drzwiami klubu, zastanawiałem się, czy przed trzema laty nie popełniłem wielkiego błędu. Może gdybym wyznał jej prawdę, poprosił, żeby na mnie zaczekała, po wyjściu na wolność ułożyłbym sobie z nią życie, jeśli nadal by tego chciała. Może źle zrobiłem, decydując za nią.

Zgrzytnąłem zębami. Nadal nosiłem na ustach cień jej pocałunku, nadal czułem w ramionach ciepło jej ciała, jej smak

na języku. Tęskniłem za nią bardziej, niż chciałem przyznać.

I zanim to przemyślałem, ruszyłem za nią.

- Hej! - krzyknęła Stacey, zaciskając dłoń na moim ramieniu. Odwróciłem się i napotkałem jej lodowate spojrzenie. - A ty dokąd? Nie sądzisz, że wyrządziłaś już dosyć szkód? - syknęła, zastępując mi drogę.

Ściągnąłem brwi, szybko odnajdując Ellie wzrokiem i patrząc, jak zamykają się drzwi za jej plecami.

- Chcę z nią tylko porozmawiać.

Skrzyżowała ręce na piersi, marszcząc czoło z dezaprobatą.

- Masz tupet, Jamie, trzeba ci to przyznać. Ona nie chce z tobą rozmawiać!

- Posłuchaj, Stacey, możesz mnie straszyć spojrzeniem, ile chcesz, ale i tak to zrobię, a jeśli spróbujesz mi przeszkodzić, każę cię obezwładnić - ostrzegłem.

- Z ciebie naprawdę niezły kawał drania. Widziałam, co was łączyło, jak blisko ze sobą byliście. Dla ciebie zrobiłaby wszystko, a ty ją odtrąciłaś i złamałaś jej serce. Ona być może nie powie ci w twarz, jaką jesteś świnią, ale ja nie mam z tym najmniejszego problemu. Jamie Cole, jesteś podłą szują i lepiej jej bez ciebie.

Zaśmiałem się pod nosem, słysząc jej przesiąknięte jadem słowa. Nienawidziła mnie - to oczywiste! Jednak ja nienawidziłem siebie bardziej.

- Prosto z mostu, bez przebierania w słowach. Zawsze to w tobie lubiłem - odparłem. Nachyliłem się i spojrzałem jej w oczy, zanim zdążyła się odgryźć. - Słuchaj, jesteś dobrą przyjaciółką, a Ellie jest szczęściarą, że cię ma, ale i tak z nią

porozmawiam, czy ci się to podoba, czy nie.

Przywołałem Eda, który już wcześniej zmierzał w moją stronę, ale zatrzymał się w odległości kilku metrów. Ruchem głowy wskazałem Stacey.

- Przytrzymaj ją na pięć minut. Potem możesz ją puścić - przykazałem, ustępując na bok. Ed natychmiast zacisnął wielkie dłonie na jej ramionach, gwizdząc na jednego z ochroniarzy, aby podszedł i pomógł mu ją unieruchomić.

Nie bacząc na głośne protesty Stacey, szarpiąc się za moimi plecami, ruszyłem w kierunku drzwi. Zatrzymałem się obok Carla, szukając w kieszeni kluczyków samochodowych.

- Weź mój wóz i zaparkuj w bocznej uliczce. Za kilka minut zjawią się tam dwie dziewczyny. Odwieziesz je i zadbasz o to, by dotarły bezpiecznie do domu. Zrozumiano?

Carl skinął głową, więc upuściłem kluczyki na jego wyciągniętą dłoń i przepchnąłem się przez drzwi, wychodząc na alejkę. Skąpany w mrokach nocy, zmrużyłem oczy, pozwalając, by wzrok przyzwyczał się do ciemności. Usłyszałem ją, zanim zobaczyłem. Stała po drugiej stronie ulicy, oparta o mur, i cicho szlochała.

Moje serce zamarło. Nie mogłem znieść tego, że była smutna i że płakała przeze mnie. Gdy otworzyły się drzwi, podniosła oczy i cała się spięła, pospiesznie ocierając łzy.

- Miałaś zostawić mnie w spokoju - zaperzyła się.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko okej - tłumaczyłem. - Za dużo razem przeszliśmy. Nie chciałem, żeby tak brzmiały ostatnie słowa, jakie ze sobą zamienimy.

Pociągnęła nosem i utkwiała wzrok w dłoniach, ale nic więcej

nie powiedziała. Nigdy nie widziałem jej takiej przygnębionej. Ellie zazwyczaj tryskała radością, a teraz była przybita, jakby podcięto jej skrzydła. Pragnąłem się do niej zbliżyć i zamknąć ją w ramionach, osłonić ją przed cierpieniem, być dla niej oparciem. Na widok tego, jak się smuci, skręcało mnie z bólu.

- Sytuacja jest trochę niezręczna. Bo co tu powiedzieć facetowi, który cię zdradził i pozostawił na łasce losu w obcym kraju? - spytała z sarkazmem, wpatrując się w ziemię.

Jej słowa zraniły mnie niczym nóż, ponieważ mijały się z prawdą. Odchrząknąłem w nadziei, że głos nie uwięźnie mi w gardle.

- Hm, może coś w stylu: „Cześć, co słyhać?” - zażartowałem, próbując nieco rozluźnić napiętą atmosferę.

Zaśmiała się cicho, lecz niewesoło. Nie był to ani serdeczny śmiech, ani ten słodki chichot, za którym przepadałem. Był to śmiech przepełniony żalem, w którym chciałem jej jakoś ulżyć.

Westchnąłem i podszedłem do niej, opierając się o ścianę. Pragnąłem zmniejszyć dzielący nas dystans, wziąć ją za rękę, pogłaskać jej dłoń, unieść ją do ust i ucałować każdy z jej palców. Brakowało mi jej bliskości, nawet najmniejszego kontaktu. Z nikim innym nie doświadczyłem takiej intymności. Po Ellie nie było nikogo. Tylko ona się dla mnie liczyła.

- Faktycznie, jest trochę niezręcznie - przyznałem. - Słuchaj, przepraszam, że cię pocałowałem. Twój widok mnie zaszokował. Nie spodziewałem się ciebie w moim klubie i po prostu... Sam nie wiem... stałaś tam, a ja tak dawno cię nie widziałem... wyglądałaś tak cudownie i wymykałaś mi się. Nie mogłem na to pozwolić. Po prostu... - zawiesiłem głos,

spuszczając wzrok, zły na siebie, że nie potrafiłem się wysłować. Przy niej zawsze plątałem się w słowach i wygadywałem głupoty.

Cisza przeciągała się w nieskończoność, słyhać było jedynie dźwięki stłumionej muzyki przedzierającej się przez drzwi.

- To twój klub? - spytała wreszcie z niedowierzaniem Ellie, jakby celowo ignorując moją uwagę na temat tego, jak pięknie wyglądała.

- Owszem - odparłem, machając ręką w kierunku plakatów zdobiących boczną ścianę budynku, zapowiadających zbliżające się wydarzenia i zwykłe imprezy. Na szczycie jarzyło się logo klubu: rudowłosa dziewczyna w białym, odsłaniającym brzuch topie i czerwonych szortach, trzymająca w dłoni tacę z drinkami i uwodzicielsko puszczająca oczko. Ellie nic nie powiedziała. Byłem ciekaw, czy dostrzegła aluzję w nazwie klubu lub wizerunku rudej ślicznotki, który kazałem tam umieścić. - Mam jeszcze kilka barów po drugiej stronie miasta i dwa kluby w Queens, ale ten lubię najbardziej - wyjaśniłem.

Ellie oblizwała wolno wargi, jakby się zamyśliła.

- Czyli nie kradniesz już samochodów?

- Nie dziś - odparłem wymijająco.

Zmarszczyła nos, wykrzywiając usta w zadumie.

- Co się z tobą stało, Jamie? Przecież chciałeś się od tego odciąć. Mówiłeś, że chcesz wyjść na prostą... a może to też było kłamstwo? - zapytała, patrząc mi prosto w oczy.

Ty się stałaś. Brett się stał. Stało się wszystko... i nic.

- Chyba nie miałem już po co się zmieniać - stwierdziłem

z rezygnacją.

Jej czoło pokryło się zmarszczkami. Przez chwilę patrzyła na mnie badawczo, zanim znów przemówiła:

- Co ci strzeliło do głowy, żeby tak skatować tamtego gościa. Radziłam sobie. Nie musiałeś zgrywać twardziela. Pewnie będziesz miał przez to kłopoty.

Wzruszyłem ramionami, nie odwracając wzroku.

- Byłem zazdrosny - przyznałem zgodnie z prawdą.

Ellie opadła szczęką.

- Straciłeś do tego prawo.

- Wiem.

- Jestem zaręczona - ciągnęła dalej.

- Wiem - powtórzyłem.

- To naprawdę bardzo porządny facet, troszczy się o mnie.

Ja... Kocham go.

- To też wiem. - Skinąłem wolno głową, starając się nie okazywać bólu.

- Skąd miałbyś to wiedzieć? - spytała, zaskoczona moją odpowiedzią.

Uśmiechnąłem się smętnie, nie wiedząc, jak przyznać się do tego, że kazałem ją śledzić i sprawdzać, czy jest szczęśliwa. W tej samej chwili boczne drzwi klubu otworzyły się z piskiem, a gdy się odwróciłem, ujrzałem w nich Eda - jakby przeczuwał, że potrzebuję pomocy.

- Młody, minęło pięć minut - oznajmił.

Podniosłem w górę jeden palec.

- Jeszcze minuta lub dwie - odpowiedziałem, dając mu do zrozumienia, że ma jeszcze przetrzymać Stacey. Skinął głową

i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Ponownie spojrzałem na Ellie.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś cię zobaczę. Tak długo cię nie było. Myślałem, że nigdy nie wrócisz.

Kopnęła w mur piętą. Z jej gardła wyrwał się krótki szloch.

- Cóż, nie miałam innego wyjścia.

Westchnąłem, przeczesując palcami włosy, żeby zająć czymś ręce, które pragnęły jej dotknąć.

- Słyszałem, co się stało. Tak mi przykro z powodu twojego ojca. - Wezbrało we mnie poczucie ogromnego smutku i straty.

- Był takim dobrym człowiekiem.

Uniosła brodę i zaczęła szybko mrugać powiekami, by powstrzymać łzy.

Patrzyłem na nią uważnie, zapamiętując każdy centymetr jej boskiego ciała. Nie wiem czy to możliwe, ale była jeszcze bardziej olśniewająca niż przed trzema laty.

- Jak się czuje twoja mama? - spytałem, choć dobrze wiedziałem. Podzwoniłem tu i tam, trochę popytałem; wszędzie miałem swoich ludzi. Wyciągnąłem rękę, małym palcem muskając jej mały palec i upajając się dotykiem jej skóry. Szybko zabrała dłoń i objęła się, spoglądając na mnie gniewnie.

- Jakby cię to obchodziło - warknęła. - Nigdy za nią nie przepadałeś.

Drgnąłem, słysząc złość w jej głosie. Była jak mała dzika kotka, czujna i gotowa do ataku.

- A właśnie że obchodzi - zaoponowałem. To prawda, nigdy nie przepadałem za tą kobietą, zresztą z wzajemnością, ale

nie była mi obojętna, bo wiele znaczyła dla Ellie. Nigdy nie lekceważyłem rzeczy, które mogły zadać ból bliskim mi osobom.

Przez kilka sekund świdrowała mnie spojrzeniem, patrząc mi prosto w twarz. Wreszcie zadrżała jej warga i zamknęła oczy.

- Nadal jest w szpitalu. Respirator pomaga jej oddychać. Źle z nią.

- Przykro mi - wyszeptałem.

- Wszyscy to mówią. Jakby to była ich wina. Każda osoba, do której dziś dzwoniłam w sprawie taty, mówiła, że jej przykro. Każda, bez wyjątków. Już mi to zbrzydło - wypaliła.

Westchnąłem i przysunąłem się bliżej, opierając się lekko ręką o jej bok. Z zadowoleniem zauważyłem, że tym razem się nie odsunęła.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Zaprzeczyła energicznym ruchem głowy, chcąc nie chcąc, ocierając się o mnie.

- Wszystkim się już zajęłam i zaplanowałam pogrzeb. Nie pozostało zbyt wiele do zrobienia.

- Załatwiłaś już wszystkie formalności? - dopytywałem, nie mogąc znieść myśli, że musiała się zająć czymś tak przykrym.

- Tak.

- Kiedy pogrzeb? Chciałbym przyjść, jeśli nie masz nic przeciwko. - Michael Pearce był mi bliski i zawsze życzliwy, traktował mnie jak członka rodziny. Nigdy nie uważał, że nie zasługiwałem na jego córkę.

Odepchnęła się od ściany, ponownie obrzucając mnie

wściekłym spojrzeniem.

- Owszem, mam. Tobie będzie ze mną. Zresztą i tak jest mi wystarczająco ciężko.

- Ellie, proszę! Nawet mnie nie zauważysz, po prostu chciałybym złożyć wyrazy szacunku - nalegałem.

Na jej twarzy malowało się niezdecydowanie. Już miała odpowiedzieć, kiedy na końcu uliczki zatrzymał się samochód - czarne bmw i8. Oboje spojrzeliśmy na nie w tym samym momencie. Podniosłem w górę jeden palec, dając znak Carlowi, który opuścił szybę i pokiwał porozumiewawczo głową, po czym ponownie zasunął okno.

- Kto to? - spytała Ellie.

- Mój kierowca. Poprosiłem go, żeby zawiózł ciebie i Stacey do domu, ale najpierw chciałem z tobą porozmawiać. - Z westchnieniem podszedłem do metalowych drzwi i walnąłem w nie dwa razy pięścią. Po chwili otworzyły się. Skinąłem do Eda, który stał po drugiej stronie. Odwrócił się i pomachał ręką. I nagle obok mnie przemknęła rozwścieczona blondynka, bezceremonialnie przepychając się naprzód i celowo zawadzając mnie ramieniem.

- Ellie! - krzyknęła, kierując się wprost na nią. Stała u jej boku, otaczając ją ramieniem, i odwróciła się do mnie. - Jesteś skończonym dupkiem; chciałam już dzwonić na policję i powiedzieć im, że przetrzymujesz mnie wbrew mojej woli.

- Co takiego? - Ellie zmarszczyła brwi, patrząc to na mnie, to na nią.

Wzruszyłem ramionami.

- Carl odwiezie was do domu.

Stacey prychnęła z pogardą i odwróciła ode mnie wzrok.

Wziąłem od Eda płaszcz i podałem je Ellie.

- Dzięki - rzuciła pod nosem i skierowała się w stronę auta, ciągnąc za sobą Stacey.

- Hej, Ellie?! - zawołałem, gdy już się oddalała. Odwróciła się, wpatrując się we mnie zaczerwienionymi oczami. - Nadal nie wiem, czy mogę przyjść na pogrzeb.

Stacey jeszcze bardziej się nachmurzyła, lecz Ellie przytaknęła z westchnieniem.

- Możesz wziąć udział w ceremonii, ale nie chcę, żebyś przychodził do domu. Piątek o trzeciej, przy Everglade Drive.

- Dziękuję. - Uśmiechnąłem się z wdzięcznością.

Popatrzyłem jeszcze przez chwilę, jak wsiadają do samochodu, po czym przeniosłem wzrok na Eda, który nadal stał w przejściu.

- Salazarowie jeszcze tu są?

- Uhm. Dodger dotrzymuje im towarzystwa. Mateo chyba chciał poczekać, aż wrócisz - zameldował, podając mi papier toaletowy. - Ręka ci krwawi.

Wziąłem od niego papier i przytknąłem go do niewielkiej rany na kostce, podążając za nim w głąb lokalu. Muzyka dudniła, ludzie wokół tańczyli i śmiali się, nikt nie pamiętał już incydentu sprzed kilku minut. Minąłem jakiegoś typa, który obejmował dziewczynę, odsłaniając wszystkie zęby w szerokim uśmiechu, i nagle ogarnęła mnie zazdrość. Wszyscy byli tu ze swoimi przyjaciółmi lub kochankami, a ja byłem jak zwykle sam. Jeszcze tydzień - ba, jeszcze cztery dni temu - przeszedłbym obojętnie obok obściskującej się pary,

a teraz zżerała mnie zazdrość, bo ten facet miał swoją ukochaną, a ja nie.

Lawirując między tłumem gości, dostrzegłem Dodgera, który stał z boku i rozmawiał z koleśkiem z naszej ekipy. Gdy mnie zobaczył, podszedł do mnie ze zmartwioną miną.

- Hej, wszystko w porządku?

Potwierdziłem ruchem głowy i spojrzałem w kierunku Salazarów, którzy nadal sączyli whiskey, choć opróżnili już niemal pół butelki. Razem z nimi siedział typ, którego pobitem do nieprzytomności; wyglądał na lekko zamroczonego i przyciskał do nosa kawałek jakiejś szmaty, próbując zatamować krwawienie.

- Chodźcie ze mną - rozkazałem. Dodger i Ed ruszyli za mną do stolika. Obaj bracia Salazar zgodnie podnieśli oczy. Usta Matea powoli rozciągnęły się w uśmiechu; siedział rozparty arogancko na krześle, patrząc mi prosto w twarz.

- Co tu jeszcze robicie? Czyżbym o czymś zapomniał? - warknąłem, obrzucając ich kolejno wzrokiem. Koleś z zakrwawioną szmatą wzdrygnął się na krześle, uciekając przed moim spojrzeniem. Odwróciłem się do Alberta. - To spotkanie dobiegło końca. Zabierajcie swojego parszywego koleżkę, któremu się wydaje, że może bezkarnie obrażać kobiety, i jazda stąd. Nie chcę już więcej widzieć waszych zdzir i narkotyków w moich klubach, rozumiano? - Mój głos wypełniała wściekłość. Chciałem, by ten wieczór już się skończył; chciałem, by ten typ, który śmiał położyć swoje brudne łapska na Ellie, zniknął mi z oczu, zanim dokończę to, co zacząłem.

Alberto wstał z ciężkim westchnieniem, a pozostali dwaj natychmiast poszli za jego przykładem. Bez słowa odwrócił się na pięcie i odszedł, dając znać swoim ludziom, by opuścili lokal. Stałem spokojnie, z podniesioną brodą, i bacznie ich obserwowałem.

Mateo zatrzymał się przede mną z szerokim, zuchwałym uśmiechem.

- A jednak Młody Cole ma jakąś słabość.

Ponownie zagotowałem się ze złości. Chwyciłem go oburącz i przyciągnąłem do siebie. Nasze twarze były tak blisko, że widziałem, jak rozszerzają mu się źrenice, i czułem na sobie jego alkoholowy oddech.

- Jeśli tylko spojrzysz w jej stronę, zrobię z ciebie miazgę - warknąłem, zacieśniając chwyt. - Tylko spróbuj, a przysięgam, że cię zabiję. Ale najpierw zakatrupię twojego brata i każę ci na to patrzeć - ostrzegłem.

Alberto podszedł od tyłu do Matea, szarpnął go za ramię i odciągnął brata w kierunku drzwi. Wyglądał na zmartwionego. Dodger mnie przytrzymał, chyba też przeczuwając, że zaraz puszcza mi nerwy. Przez cały czas wpatrywałem się w Matea, dając mu do zrozumienia, że nie żartowałem. Gdyby zbliżył się do Ellie, zniszczyłbym go; wyrwałbym mu serce gołymi rękami.

Rozdział 12

ELLIE

- Ellie, kochanie, wstałaś już?! - zawołała z dołu babcia.

Jęknęłam i, mrużąc oczy, zerknęłam na zegar stojący na nocnym stoliku.

- Tak - odparłam, wsparta na łokciu, licząc, że mnie słyszała, choć mój głos przypominał raczej chrapliwy szept. - Za chwilę zejdem.

Źle spałam tej nocy; byłam rozdrażniona i rozchwiana emocjonalnie. Nie mogłam przestać myśleć o Jamiem i o tym, jak się poczułam, widząc go ponownie. To było bolesne spotkanie. Przywołało wiele wspomnień, które zakopałam gdzieś głęboko i nie przypuszczałam, że kiedykolwiek powrócą. A wystarczyła chwila, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Od tamtej pory miałam mętlik w głowie; wciąż odtwarzałam w pamięci to, co powiedział i czego nie powiedział, jak na mnie patrzył i jak smakował jego pocałunek. Nie mogłam zasnąć przez wiele godzin, rozmyślając o tym, jak dobrze nam było razem i jak bardzo bolało, gdy dowiedziałam się o jego zdradzie i zerwaliśmy. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiego bólu. Nie przypuszczałam, że wystarczy kilka prostych słów, by mnie złamać.

Targały mną przeróżne emocje. Nie chciałam o tym rozmawiać zeszłego wieczoru, kiedy Stacey próbowała

nakłonić mnie do zwierzeń na tylnej kanapie samochodu, ale teraz zaczęłam się zastanawiać, czy to nie był błąd. Może pomogłoby, gdybym to z siebie wyrzuciła.

Tylko jak przełożyć te wszystkie uczucia na słowa? Nie wiedziałam nawet dokładnie, co czuję ani dlaczego.

Jeszcze do wczoraj myślałam, że już mi przeszło. Byłam pewna, że wreszcie udało mi się wyczołgać z tego długiego, mrocznego tunelu, chociaż jeszcze może nie do końca się wyleczyłam. Jakaś część mnie nadal nie chciała się otworzyć, nawet przed Tobym; zawsze zachowywałam lekki dystans, bojąc się tego, co może się stać, jeśli komuś zawierzę i oddam całą siebie. Już raz to przerabiałam. Kochałam Jamiego bezwarunkowo, bez względu na wszystko. Zranił mnie, dlatego nie potrafiłam w pełni zaufać innemu mężczyźnie. Sprawił, że stałam się nieprzystępna i tak przerażona wizją kolejnego zawodu miłosnego, że odbiło się to na moim związku z Tobym.

Poczułam gniew. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio ktoś wzbudził we mnie taką złość. Tylko on wyzwalał we mnie tak silne emocje – dobre i złe.

Postanowiłam zapomnieć, że nasze spotkanie w ogóle miało miejsce. I tak miałam dość zmartwień; po co jeszcze zaprzętać sobie głowę byłym chłopakiem, który tylko udawał, że się o mnie troszczy. Usiadłam w łóżku, rozprostowując palce, które nieświadomie zacisnęłam w pięści, i popatrzyłam na odbite na dłoniach półokrągłe ślady po paznokciach. Jamie zmarnował wystarczająco dużo mojego czasu; nie mogłam mu na to więcej pozwolić.

Zwiesiłam nogi z łóżka i wstałam. Chwyciłam szlafrok i wyszłam z sypialni, podążając za przyjemnym zapachem bekonu i kawy, dolatującym z kuchni. Zatrzymałam się nagle na widok Kelsey siedzącej przy stole; była już ubrana, a na krześle obok leżał spakowany plecak. W tym tygodniu ani razu nie była w szkole – nie chciała tam iść, więc zadzwoniłam w poniedziałek do administracji, tłumacząc, że nie wiem, kiedy wróci.

Odchrząknęłam i uśmiechnęłam się lekko, gdy spojrzała w moją stronę, unosząc widelec do ust.

- Dzień dobry – przywitałam się, licząc, że nie odburknie i nie wyjdzie z pokoju, jak przez ostatnie pięć dni.

Skinęła głową, po czym ponownie skupiła się na śniadaniu i iPhone. Babcia odwróciła się z promiennym uśmiechem i podniosła dzbanek, by nalać mi filiżankę kawy.

- Dzień dobry. Głodna? – zapytała.

Opadłam na jedno z wolnych krzeseł.

- Troszeczkę – odparłam, po czym zwróciłam się do Kelsey:
- Idziesz dzisiaj do szkoły?

- Lepsze to niż siedzenie tutaj i obijanie się – odpowiedziała łamiącym się głosem, obrzucając mnie spojrzeniem.

Skinęłam głową, uśmiechając się z wdzięcznością do babci, która postawiła przede mną filiżankę parującej kawy.

- To dobry pomysł. Dzięki temu szybciej wrócisz do normalności – stwierdziłam roztropnie.

- Normalności? Czy ta sytuacja wydaje ci się normalna? – warknęła Kelsey.

- Nie to miałam na myśli – zaparłam się, próbując wyjaśnić

jej mój punkt widzenia. - Chodziło mi o to, że przebywanie wśród przyjaciół ułatwi ci powrót do dawnej rutyny. Zajęcie czymś myśli też dobrze ci zrobi.

- Wszystko mi jedno - prychnęła, odkładając widelec i odsuwając talerz z niedojedzonym posiłkiem.

- Kels, jak długo zamierzasz się na mnie dąsać?

Odepchnąwszy krzesło z głośnym zgrzytem, wykrzywiła twarz w gniewie i zmarszczyła nos.

- Dopóki znów nie wyjedziesz i mnie nie opuścisz! - Chwyła torbę i wybiegła z kuchni, nie czekając na moją odpowiedź. Zresztą i tak nie wiedziałam, co powiedzieć. Ze zdumienia odebrało mi mowę. W głowie powtarzałam w kółko słowo „opuścisz”. Czyżby o to chodziło? Uważała, że ją opuściłam? Wiedziałam, że nie chciała, żebym wyjeżdżała, ale nie sądziłam, że będzie żywić za to do mnie urazę.

Spojrzałam na babcię, licząc, że powie coś mądrego, ale tylko wzruszyła ramionami, przywołując na twarz smutny, pełen współczucia uśmiech.

- Nie zrażaj się, w końcu zmieni zdanie - skwitowała, nakładając mi na talerz puszysty naleśnik i kilka plasterków bekonu. - Jedz, skarbie. Musisz mieć siłę.

- Dziękuję.

- Podwieziesz mnie dziś do domu, żebym zabrała parę rzeczy? - zapytała.

- Oczywiście.

- Dziękuję, Ellie. Tę sukienkę prałam już trzy razy w tym tygodniu. Myślałam, że pożyczę coś od waszej mamy, ale jej ubrania na mnie nie pasują. Niestety, jest ode mnie bardziej

obszerna w biuście – stwierdziła, wskazując swoją praktycznie płaską klatkę piersiową. – Jak to dziś mówi młodzież, Ruth ma „niezłe zderzaki”.

Parsknęłam śmiechem i niemal zachłysnęłam się kawą. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek usłyszę te słowa z ust mojej babci.

* * *

Podróż do Poconos, gdzie mieszkała babcia, była jak zwykle przyjemna. Kiedy zatrzymałyśmy się przed znajomym domem, z elewacją z drewnianych listew, mimowolnie uśmiechnęłam się. Miałam stąd wiele wspaniałych wspomnień. Dziadkowie mieszkali tu, odkąd pamiętam; chcieli wieść spokojniejsze życie na emeryturze. Niestety, sześć lat temu dziadek zmarł i babcia została sama. Przyjeżdżaliśmy do niej tak często, jak mogliśmy; rodzice zaglądali tu w każdą sobotę i spędzali z nią cały dzień, po czym wracali do domu. Kelsey i ja także odwiedzałyśmy ją często w weekendy, a poza tym babcia Betty miała tu koleżanki i stowarzyszenia, w których się udzielała. Była przewodniczącą klubu miłośników wina oraz klubu kręglarskiego.

– Miło jest wyrwać się z tego miejskiego zgiełku – westchnęła, otwierając drzwi. – Och, stęskniłam się za tym zapachem.

Z sąsiedniego domu wyszła jedna z leciwych przyjaciółek babci, Nora. Pomachała do Betty i ruszyła w naszym kierunku, zatrzymując się na pogaduchy. Zamknęłam oczy, prążąc się w promieniach słońca, i wtedy dotarło do mnie, że tutejsze

powietrze rzeczywiście było inne, świeższe, czystsze. Człowiek przyzwyczaja się do życia w mieście i tego nie zauważa – Londyn był taki sam; na ulicach pełno smogu i spalin. Zapomniałam już, jak pachnie górskie powietrze.

Rodzice myśleli o tym, by pewnego dnia też się tu przeprowadzić. Tata marzył o domu nad brzegiem jeziora, w którym mógłby urządzić pensjonat. Mama zajmowałaby się gośćmi i szykowała śniadania, a on z pomostu na tyłach uczyłby pływania kajakiem. Byłoby idealnie. „Byłoby” to właściwe słowo. Żadne z tych marzeń nie mogło się już spełnić.

Oczy zapiekły mnie od napływających łez. Zmusiłam się, żeby nie myśleć o tym, jak mogłoby być, i odwróciłam się w stronę babci. Kończyła właśnie cichą pogawędkę z sąsiadką; domyśliłam się, że rozmawiają o wypadku rodziców, więc chwilę poczekałam i wolnym krokiem ruszyłam do domu. Podążyły za mną i uściskały się przy drzwiach; Nora kazała babci zadzwonić, gdyby czegoś potrzebowała, i już miała odejść, gdy jej pełne współczucia oczy napotkały moje spojrzenie. Była uroczą panią; każdego lata w ogrodzie na tyłach jej domu opiekałyśmy pianki z czekoladą nad żeliwnym paleniskiem.

– Ellie, wyrosłaś na piękną, silną kobietę. – Podeszła i przytuliła mnie mocno, roztaczając piżmową woń perfum. – Zaopiekuj się babcią, dobrze?

– Oczywiście – odparłam zdecydowanie, wyplątując się z jej objęć i cofając o krok.

Powoli oddaliła się do swojego domu tuż obok. Stałam

i przyglądałam się małej wiewiórcie poszukującej jedzenia, a babcia w tym czasie otworzyła drzwi. Zanim przekroczyła próg, postanowiłam poruszyć temat, który nie dawał mi spokoju od kilku dni.

- Wiesz, babciu, nie musisz się do nas wprowadzać, jeśli nie chcesz. Wróciłam i mogę zająć się Kels. Jeśli chcesz tu zostać, nie widzę przeszkód - zaoferowałam. Nie rozmawialiśmy o tym, ale wiedziałam, że nie cierpi miasta i z pewnością tęskniłaby za swoim domem i łóżkiem. Na początku pomieszkiwała u nas, ponieważ miała stamtąd bliżej do szpitala i tam był dom Kelsey, ale skoro przyjechałam, nie było potrzeby, żeby wracała.

- Próbujesz mnie spławić? - zażartowała, szturchając mnie ramieniem.

- Skądże znowu, uwielbiam twoje towarzystwo i tęskniłabym strasznie za twoją kuchnią - odparłam, uśmiechając się z zakłopotaniem. - Ale... Kelsey i ja damy sobie radę same, jeśli wolisz nie opuszczać domu.

Spojrzała mi w oczy, przybierając poważny wyraz twarzy.

- Ellie, dobrze wiesz, że twoja mama może się już nie obudzić. Musisz być na to gotowa, tak na wszelki wypadek.

Wzdrygnęłam się, zaskoczona tym nagłym zwrotem w rozmowie.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Pokiwała głową, kładąc pomarszczoną dłoń na moim policzku.

- Jeśli tak się stanie, trzeba będzie podjąć pewne kroki w sprawie Kels. Jest jeszcze małoletnia i będzie potrzebować

prawnego opiekuna. Jadę z wami teraz, by później, gdy sprawa się przesądzi i będzie wiadomo, co nas czeka, zadbać o Kelsey. Ułożyłaś sobie życie za oceanem i nie mogę obarczać cię tym brzemieniem.

Poczułam ucisk w gardle. Uniosłam rękę do twarzy i położyłam ją na dłoni babci, uśmiechając się z wdzięcznością.

- Naprawdę jesteś najlepszą babcią, jaką można sobie wymarzyć - stwierdziłam. - Jeśli jednak spełni się najczarniejszy scenariusz, zostanę tu i zaopiekuję się Kels. Nie musisz się martwić o żadną z nas. Dam sobie radę, obiecuję. - To była najłatwiejsza decyzja, jaką podjęłam w życiu; w ogóle nie musiałam się nad tym zastanawiać. Nigdy nie oczekiwałam od babci, że przyjmie na wychowanie nastolatkę.

Przez kilka sekund stałyśmy w ciszy, którą zakłócało jedynie ćwierkanie ptaków, gdy nagle do oczu napłynęły jej łzy. Wyciągnęłam ku niej rękę i zamknęłam ją w objęciach.

- Nie mogę w to uwierzyć. Twoi rodzice byli takimi dobrymi ludźmi. Dlaczego złe rzeczy spotykają porządnych ludzi? - zapytała głosem stłumionym przez moje ramię.

- Nie wiem, babciu - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Odsunęła się i wyjęła z kieszeni chusteczkę.

- Rozmawiałaś już z narzeczoną o tym, co zrobicie, jeśli sprawdzą się nasze najgorsze obawy?

Spuściłam wzrok na ziemię, ściągając brwi.

- Później z nim to omówię. - Za kilka godzin miałam odebrać Toby'ego z lotniska. Dotychczas unikaliśmy rozmowy na ten temat, ale nie mogliśmy odkładać jej w nieskończoność. Nie

byłam pewna, jak by to miało wyglądać, ponieważ on miał swoje obowiązki w Anglii, a ja tu. Obawiałam się, że nie uda nam się zawrzeć kompromisu.

- Módlmy się, żeby do tego nie doszło, żeby Ruth się ocknęła i wszystko się ułożyło. Znam ją, jest twarda, i pewnie martwimy się na zapas - stwierdziła, ściskając mnie za dłoń.

Przytaknęłam, lecz w duchu i tak myślałam o tym, żeby tu zostać, bez względu na wszystko. Już raz opuściłam swoich bliskich, marnując czas, który mogłam spędzić z nimi, i chyba nie byłam wystarczająco silna, by znów ich porzucić. Miałam prawdziwy dylemat. Nie wiedziałam, jaki los czeka mamę, ale sądziłam, że już wiem, co czeka mnie.

* * *

Później tego samego dnia wypatrywałam Toby'ego za oszklonymi drzwiami w hali przylotów, czekając z mocną, czarną kawą w lewej dłoni i kanapką z pieczonym mięsem w prawej, tak jak prosił w esemesie. Najwyraźniej jedzenie serwowane w samolocie było godne pożałowania i, jak sam twierdził, umierał z głodu.

W hali odbioru bagażu pojawił się jako jeden z pierwszych, wraz z kobietą w średnim wieku, z którą prowadził ożywioną rozmowę. Na mój widok jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

Przygryzłam wargę, obrzucając go badawczym spojrzeniem - miał na sobie dżinsy i niebieską koszulkę klubu piłkarskiego Millwall, na nogach znoszone buty sportowe (albo, jak on wolał, trampki) i sweter luźno zawiązany na biodrach. Szedł

z poduszką podrózną, wciąż zaczepioną na szyi, i plecakiem przewieszonym przez ramię, a za sobą ciągnął małą walizkę. Jego włosy były w nieładzie, przyklepane z jednej strony, jakby spał na tym boku. Sądząc po jego podkrążonych oczach, już odczuł zmianę strefy czasowej.

Powiedział coś do kobiety, która mu towarzyszyła, a ta spojrzała na mnie i machając ręką, posłała mi skromny uśmiech. Uniosłam kawę w geście pozdrowienia, ponieważ miałam zajęte ręce, i również się uśmiechnęłam. Tobi łatwo nawiązywał kontakty; gdyby go zamknąć w pokoju pełnym obcych ludzi, już po chwili rozmawiałby z nimi jak ze starymi kumplami i znałby ich historie.

- Cześć - powiedziałam, gdy zatrzymał się przede mną.

Podszedł bliżej i przyciągnął mnie do siebie. Gdy jego usta dotknęły moich, zapiszczałam, trzymając dziwnie wyprostowane ręce, żeby nie wylać mu kawy na plecy. W końcu mnie puścił, przerywając pocałunek, i spojrzał na mnie zmęczonymi oczami.

- Pyszny widok! - oświadczył na powitanie.

- Ja czy kawa? - zażartowałam, podając mu kubek.

- Mmm... - zamruczał i wyjął go z mojej dłoni, upijając spory łyk.

Nagle uderzył mnie nieprzyjemny zapach zjełczałego mięsa lub czegoś w tym rodzaju i zmarszczyłam nos z niesmakiem.

- Fuj, co tak śmierdzi?

Jęknął i pokręcił głową.

- Ojej, to mogę być ja. - Pochylił głowę, nieśmiało wachając swoją koszulkę. - Miałem ciężki lot; wymiotowałam, i to

sporo. Większość udało mi się złapać do tych beznadziejnych papierowych torebek, ale mojej koszulce chyba też się oberwało.

- Biedactwo - rzuciłam sarkastycznie.

Pokiwał głową, robiąc dla żartu smutną minę.

- Żebyś wiedziała! Mówiłem, że nie powinienem latać. W dodatku boli mnie kark. Musiałem kupić w samolocie cholerną poduszkę, która kosztowała fortunę. Ale czego to się nie robi dla narzeczonej, no nie? - Westchnął żartobliwie, rozcierając sobie szyję.

- To prawda, przyjąłeś to na klatę - odparłam, uśmiechając się z wdzięcznością. - Cieszę się, że tu jesteś. - Nie kłamałam. Toby zawsze potrafił podnieść mnie na duchu i wprowadzić wszystkich w radosny nastrój. Taką już miał naturę.

- Stęskniłem się za tobą - rzekł, nachylając się i ponownie mnie całując.

- Ja za tobą też. - Spojrzałam na niego, prosząc w duchu, by przeskoczyła między nami jakaś iskra namiętności. Nie widziałam go od wielu dni, powinnam więc pragnąć zedrzyć z niego ubranie, jednak oprócz delikatnego kołatania serca oraz wdzięczności za to, że przyleciał, niczego nie poczułam. Ale z drugiej strony, trudno było pożądać faceta, który wyglądał jak śmierć i cuchnął wymiocinami. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyłam.

- No chodź, zabiorę cię do domu i wsadzę pod prysznic - zaproponowałam, machając ręką przed nosem w drodze do wyjścia. - Chyba będziemy musieli jechać z otwartymi szybami - dodałam, pokazując wszystkie zęby w uśmiechu.

Wstrzymał oddech, udając przerażenie.

- Oj nie, bo fryz mi się zepsuje! - zażartował, mrugając do mnie. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, zatrzymał się i rozejrzał. - Czyli to jest to słynne Wielkie Jabłko?

- Owszem - przytaknęłam. - Witaj w Nowym Jorku. I co ty na to?

Spojrzał w lewo, w prawo i w górę, na pochmurne niebo. Wciągnął głęboko powietrze w płuca i zakasłał teatralnie.

- Smród jak w Londynie.

Parsknęłam śmiechem. Po raz pierwszy od wielu dni szczerze się roześmiałam. Nie dało się ukryć, że Toby miał talent do rozbawiania.

Rozdział 13

JAMIE

Jak to możliwe, że choć otaczają cię ludzie, czujesz się samotny? Tak bardzo przywykłem do samotności, że nawet tego nie dostrzegałem. Jednak teraz, gdy ponownie ujrzałem Ellie, przytuliłem ją i pocałowałem – mimo iż trwało to tylko ułamek sekundy – wciąż było mi mało. Wokół mnie siedziała połowa zespołu, słuchając planu Dodgera na skok, który szykowaliśmy w weekend, ale do mnie prawie nic nie docierało.

- Potrzebujemy dwóch ludzi na sobotni wieczór, żeby odprowadzili auta, które Młody i ja zwiniemy – oznajmił Dodger, rozglądając się po obecnych. - Ktoś na ochotnika? Wiem, że kilku z was wybiera się na imprezkę do Shauna.

Shaun nie należał już do naszej ekipy. Po wyjściu z więzienia postanowił znaleźć sobie uczciwe zajęcie. A właściwie w podjęciu tej decyzji „pomogła” mu jego dziewczyna, która urodziła dziecko, gdy Shaun siedział za kratkami. W ten weekend brali ślub. Byłem zaproszony i zamierzałem pojawić się na uroczystości, ale urwać się wcześniej z przyjęcia.

Dodger zgodził się na tę akcję, jednak zapomniał, że połowa jego najbardziej zaufanych pracowników znała Shauna z dawnych lat i też się tam wybierała. Teraz brakowało mu ludzi.

- Wchodzę w to - zgłosił się Chase, który niedawno dołączył do naszej ekipy; był młody, na mój gust trochę narwany, ale lojalny.

Dodger pokiwał głową, gryzmołąc jego imię na tablicie, po czym rozejrzał się za kolejnym śmiałkiem.

Ed pochylił się na krześle.

- Ja też się piszę. I tak nie planowałem iść na wesele. - Uśmiechnąłem się pod nosem. Przede wszystkim nie dostał zaproszenia. - Co prawda kradzieże to nie moja działka, ale mogę odprowadzić jakiś wóz - zaoferował.

- Świetnie! - Dodger skinął z uznaniem, biorąc do ręki tablet. - A zatem postanowione. Młody i ja rąbniemy bryki, Ed i Chase je odprowadzą, a Ray dopilnuje spraw na miejscu i zajmie się załadunkiem.

Uniosłem palec wskazujący, żeby się chwilę wstrzymał.

- Potrzebuję Eda na sobotę. Jeśli będę zajęty całą noc, ktoś musi mnie zastąpić na warcie - oznajmiłem, wzruszając ramionami, gdy Dodger jęknął poirytowany. Przeniosłem wzrok na Eda, który patrzył na mnie posępnie, wyraźnie wkurzony, że wykluczam go z akcji i biore do roboty, którą bez wątpienia uważał za niewdzięczną. Nie widziałem w tym nic niewdzięcznego. Dla mnie było to najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek zleciłem. - Dostaniesz taką samą stawkę jak inni. Po prostu ktoś powinien mieć ją na oku i zadbać o to, żeby Salazarowie się do niej nie zbliżyli.

Przez ostatnie dwa dni moi ludzie czatowali na okrągło przed domem Ellie, pilnując, żeby Mateo nie zrobił niczego głupiego i nie podpisał na siebie wyroku śmierci. Kilka razy

sam pełniłem wartę, zwykle wieczorami, ale potrzebowałem pomocy. Jak dotąd nic złego się nie wydarzyło. W zasadzie z wyjątkiem wczorajszego dnia, kiedy pojechała do babci i wyskoczyła na lotnisko po tego typa, którego nienawidziłem z całego serca, ponieważ miał coś, czego tak bardzo pragnąłem na wyłączność, nie wypuszczała się dalej niż do szpitala i sklepu spożywczego.

Ale ostrożności nigdy za wiele – wiedziałem, że mam rację, choć wszyscy patrzyli na mnie jak na wariata. Zasada numer jeden w tym biznesie: nigdy nie daj po sobie poznać, że na czymś ci zależy. Trzymaj emocje na wodzy i nigdy nie okazuj słabości – ktoś zawsze patrzy, czekając na okazję, żeby uderzyć w twój czuły punkt. Zawsze znajdą się ludzie tacy, jak Mateo, pragnący zdobyć nad tobą przewagę. We wtorek nawaliłem po całości i teraz rozpaczliwie starałem się wszystko naprawić, zadbać o bezpieczeństwo Ellie i o to, żeby nie próbowali jej wykorzystać, chcąc mnie dopaść. Nie miałem pewności, że tak zrobią, ale wolałem dmuchać na zimne.

Dodger westchnął, lecz po jego oczach widziałem, że mnie rozumie. Wiedział, co czułem do Ellie i ile dla mnie znaczyła. Tylko jemu i Rayowi się z tego zwierzyłem.

– Okej, w takim razie potrzebuję jeszcze jednego ochotnika... – rozejrzał się wolno po pomieszczeniu.

Dzięki odrobinie perswazji Enzo zgodził się wreszcie wyjść ze mną wcześniej z przyjęcia. Takie pieniądze nie mogły mu przejść koło nosa, zwłaszcza że starał się o wymarzone mieszkanie.

– Ustalone. Dzięki, chłopaki. Jesteście wolni, nie zanosi się

dzisiaj na żadną robotę – oświadczył Dodger, machając na obecnych, żeby się rozeszli. Gdy zostaliśmy sami, odwrócił się do mnie i spytał: – A ty jakie masz plany? Może wyskoczymy coś zjeść?

– Pewnie, czemu nie? – przytaknąłem ochoczo. Nagle w mojej kieszeni zabzyczał telefon, sygnalizując nadejście wiadomości. Wyjąłem go i w tym samym czasie Dodger wyciągnął swoją komórkę. Gdy odczytałem wiadomość w oknie podglądu, serce zabiło mi mocniej w piersi. Za trzy godziny startował uliczny wyścig. Dodger podskoczył z radości w miejscu, wznosząc pięść w powietrze.

– Najwyższa pora! – stwierdziłem z ekscytacją, bębniąc palcami o stół. Moment był doskonały, akurat w tym tygodniu zdążyłem naprawić moje wyścigowe cacko.

– Skopię ci dziś tyłek. – Dodger wyszczerzył się, chowając telefon z powrotem do kieszeni. – Nie martw się, pomacham ci z podium. – Mrugnął do mnie i ruszył w stronę drzwi. – Idę zatankować moją dzidzię.

– Czyli nici z jedzenia?! – zawołałem za nim, śmiejąc się.

* * *

Miejsce zostało ustalone – jakieś senne miasteczko w North Fork na Long Island. Dochodziła północ. Powoli, tak aby jak najmniej rzucać się w oczy, jechałem za wozem Dodgera – czerwonym fordem shelby GT500 – do wyznaczonej strefy startu.

W ciągu godziny, jaką zajęło nam dotarcie do celu, nie mogłem opanować podniecenia, a ręce wręcz mnie świerzbiły.

Nie można było lepiej trafić z czasem. Ściganie się pozwalało mi osiągnąć wewnętrzny spokój. Moc silnika, prędkość – to wszystko dawało mi ogromny zastrzyk adrenaliny, dreszczyk emocji, który tak lubiłem. Po ostatnich wydarzeniach potrzebowałem czegoś takiego, żeby uwolnić umysł od innych spraw i skupić się na chwili obecnej, nawet jeśli miałyby ona trwać tylko piętnaście minut.

Na końcu drogi Dodger zwolnił, a jakiś typ z krótkofalówką pochylił się i zaczął z nim rozmawiać. Widziałem, jak Dodger pokazuje mu świecący wyświetlacz komórki, a potem facet wymownym ruchem ręki kazał mu jechać dalej. Potoczyłem się za nim, trzymając w dłoni przygotowany telefon z zaproszeniem na wyścig. Koleś spojrzał na esemesa i też machnął ręką, pozwalając mi przejechać.

Jechałem wolno, mijając ciągnący się wzdłuż jezdni sznur ostro podrasowanych samochodów w jaskrawych kolorach oraz kręcących się wokół nich gapiów, którzy rozpływali się nad autami i ich kierowcami. Wtoczyłem się na wolne miejsce obok Dodgera i otworzyłem maskę. Takie imprezy zawsze zaczynały się od oględzin silników przez widzów i uczestników wyścigu rozwodzących się nad wprowadzonymi modyfikacjami.

Wysiadłem i natychmiast poczułem zapach benzyny, którym przesiąknięte było powietrze. Dodger spotkał się ze mną przy samochodzie i razem zaczęliśmy przedzierać się przez tłum, przyglądając się rywalom parkującym wzdłuż drogi. Wypatrzyłem kilku biorących udział w większości wyścigów, ale było też paru nowych.

Jęknąłem, kiedy ujrzałem dwa auta wyróżniające się na tle pozostałych krzykliwym malowaniem i przesadnie dużymi spoilerami zamocowanymi z tyłu. Dwa sportowe mitsubishi lancer evolution - jeden pomalowany na pomarańczowo z limonkową błyskawicą po bokach, drugi limonkowy z pomarańczową błyskawicą. Należały do dwóch braci, bliźniąt Regana i Harleya. Wielu nazywało ich „bliźniakami kamikaze”, wcale nie dlatego, że byli lekkomyślni, tylko nieustraszeni. Moi najgroźniejsi przeciwnicy. Tak samo jak ja i Dodger wygrywali na zmianę niemal każdy wyścig. Jeździli z głową, płynnie i na kompletnym luzie. Uchodzili za gwiazdy na torze kartingowym. Słyszałem, że na ulicach Los Angeles i Miami też rozgramiali konkurencję. Choć byli aroganckimi dupkami, przez których od czasu do czasu przegrywałem, i tak ich lubiłem. Grali sportowo i zawsze po wszystkim podchodzili, żeby uścisnąć mi rękę.

- Im też skopię tyłki - stwierdził zuchwale Dodger, wskazując palcem oba wozy.

Zarechotałem i podeszliśmy do grupki kierowców stłoczonych na końcu rzędu samochodów. Takie nielegalne wyścigi przyciągały zawodników z różnych środowisk - nie tylko łobuzów czy typów z gorszej dzielnicy. Jednym z częstych bywalców był elitarny prawnik, innym - marnie opłacany nauczyciel. Zwykli ludzie mijani codziennie na ulicy, którzy wieczorami oddawali się swojej ryzykownej pasji. To jedna z rzeczy, które w tym sporcie lubiłem; wszyscy byli tu po prostu z miłości do aut i prędkości.

- Jak leci, brachu? - Ktoś podszedł do mnie ukradkiem.

Odwróciłem się, żeby zobaczyć, kto to.

- Cześć, yyy . . . Harley? - strzeliłem.

Znalazłem się twarzą w twarz z jednym z bliźniaków, choć nie miałem pojęcia z którym. Jak dla mnie, wyglądali identycznie, może z wyjątkiem fryzury - obaj byli blondynami i mieli włosy tej samej długości, ale jeden je sobie stawiał, a drugi zaczesywał na bok.

Pokręcił przecząco głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Regan - poprawił. Jego brat, który wyrósł obok, wystawił pięść do przybicia, co też zrobiłem.

- Kiedyś w końcu trafi - wtrącił się Dodger, pochylając się i również przybijając z nimi żółwiki.

- Nie sądzę - skwitowałem.

Bliźniacy zgodnie wzruszyli ramionami, przywołując na twarze tak samo szerokie uśmiechy.

- A jednak się zjawiłeś. Szczerze mówiąc, po cichu liczyliśmy, że już po twoim wozie i dziś się nie pokażesz - oświadczył Regan z wyraźnym rozbawieniem. - Trudno, większa pula dla mnie.

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, lecz powstrzymało mnie głośne chrząknięcie po naszej lewej. Stał tam facet w kamizelce odblaskowej z częściowo wypalonym papierosem w ustach i czarnym płóciennym workiem w ręku.

- Wpisowe - mruknął, strącając popiół na duży, wystający brzuch i strzepując go w roztargnieniu dłonią.

Każdy z nas wyjął po pięćset dolarów i bez słowa wrzucił do worka.

- Zapoznajcie się z trasą i zajmijcie swoje pozycje, żebyśmy

mogli zacząć - polecił kierowcom Rodriguez. Wszyscy przenieśli wzrok na wielką mapę z nakreślonym naprędce czerwonym koślawym kółkiem. Na dole widniała lista ulic i losowo wybranych miejsc startowych.

Wraz z Dodgerem ruszyliśmy powoli do naszych wozów, pozwalając, by otaczający je tłumnie widzowie rozproszyli się w kierunku linii startu.

- Na pewno jesteś na to gotowy? - zapytał Dodger, gdy składałem podpórkę maski, która opadła z trzaskiem i zaskoczyła na swoje miejsce.

- Tak, teraz chodzi jak marzenie. Wiszę Rayowi wielką przysługę za sprowadzenie tej części - odparłem, gładząc z lubością lakier.

- Nie o to mi chodziło - zaprzeczył Dodger, zakładając ręce na piersi. - Ostatnio byłeś trochę rozkojarzony. Chcę mieć pewność, że jesteś dziś skupiony. Nie możesz się ścigać, jeśli błędzisz myślami gdzie indziej. Tak dochodzi do wypadków, w których giną ludzie.

A więc chodziło mu o Ellie. Tego się nie spodziewałem. Czy naprawdę byłem na to gotowy? Tak. I to jak! Potrzebowałem tego. Wiedziałem, że gdy tylko wystartuję, instynktownie skupię się na zadaniu i przestanę o niej rozmyślać i zamartwiać się. Przynajmniej taki był plan.

- Wszystko w porządku. - Wyciągnąłem ku niemu rękę i poklepałem go lekko po ramieniu. - Ale dzięki za troskę. Będzie z ciebie zacny przydupas.

Przewrócił oczami, po czym podszedł do swojego samochodu i zaśmiał się do mnie.

- Do dzieła!

Ja także posłałem mu szeroki uśmiech i wśliznąłem się na wyprofilowane skórzane siedzenie, wciskając zapłon. Kiedy przekręciłem kluczyk w stacyjce, silnik ożył, rycząc głośno i drapieźnie, a ja poczułem podniecające mrowienie. Westchnąłem z zadowoleniem, przesuwając dłońmi po kierownicy. Na myśl o tym, że już za kilka minut będę grzał ulicami, przeszedł mnie dreszcz ekscytacji.

Upewniwszy się, że na drodze za mną nikogo nie ma, wycofałem się i udałem na prowizoryczną linię startu, gdzie inni kierowcy już czekali z włączonymi silnikami.

Prześledziłem w myślach trasę, wyobrażając sobie ulice i zakręty i to, jak może być na nich ciasno. Przesuwając nogą nad pedałem gazu, poczułem w żyłach pulsowanie adrenaliny. Utkwiłem wzrok w Rodriguezie, który pomaszerował kilka metrów za linię startową i uniósł w górę trąbkę pneumatyczną.

Wciągnąłem powietrze i zacisnąłem szczęki. Stopa drgała mi niecierpliwie. I wreszcie rozległ się przejmujący sygnał trąbki. Moje ciało zareagowało momentalnie. Wrzuciłem bieg i wdepnąłem gaz do oporu. Opony zapiszczały, silniki ryknęły, w powietrze wzbily się kłęby białego dymu i kurzu, i wystrzeliliśmy niemal równo do przodu, a nagłe przyspieszenie wcisnęło nas w fotele.

Gdy dotarłem do końca krótkiej prostej, gnałem już ponad setką. Nie spuszczając wzroku z drogi i toczącej się przede mną walki między pomarańczowym mitsubishi i bmw M3, wszedłem w pierwszy zakręt z uślizgiem. Opony zawyły,

próbując odzyskać przyczepność, a mój żołądek ścisnął się z podniecenia.

Gdy tak prulem coraz prędzej i prędzej przez umykające w tył ulice, poczułem, że trzymające mnie od kilku dni napięcie powoli ze mnie schodzi. Z każdą szybką zmianą biegów odzyskiwałem po trochu kontrolę nad sytuacją, którą od powrotu Ellie chyba częściowo straciłem.

Ulice były puste. Uśmiechnąłem się, widząc, że wóz przede mną za szybko wyhamował przed zakrętem, dzięki czemu bez trudu przemknąłem obok niego. Teraz byłem drugi, tuż za pomarańczowym kamikaze. Zerknąwszy w lusterko, zobaczyłem za sobą Dodgera, wyprzedzającego samochód, z którym przed chwilą sam się uporałem; teraz napierał, walcząc z limonkowym kamikaze o utrzymanie trzeciej pozycji. Zawsze tak się kończyło: nasza czwórka rywalizująca o to, kto tym razem zajmie pierwsze miejsce.

Zacisnąwszy szczęki w skupieniu, skręciłem gwałtownie i odskoczyłem na drugą stronę jezdni, szukając luki, żeby przebić się na czoło stawki. Zasuwałem prawie dwieście na godzinę. Pomarańczowy kamikaze przyspieszył, zaśmiał się do mnie, i pognaliśmy w długą, pozostawiając za sobą hałas, dym, spaliny... i pewnie wyrwanych ze snu, ciskających przekleństwa mieszkańców.

Zjechałem do prawej strony, zrównując się z pomarańczowym kamikaze. Goniący z tyłu Dodger bezskutecznie próbował się przedrzeć. Zacisnąłem palce na kierownicy, podchodząc do kolejnego zakrętu z maksymalną prędkością. W ostatniej chwili wyhamowałem i ostro

skręciłem. Tylne opony na ułamek sekundy straciły przyczepność, ale szybko skontrowałem i wyszedłem z zakrętu z uślizgiem. Włoski na rękach jeżyły mi się w przyływie adrenaliny, gdy prulem naprzód z pedałem gazu wciśniętym w podłogę. Chwilę później w tyle rozległ się przeraźliwy pisk opon.

- Jeszcze dwa zakręty - mruknąłem do siebie, ponownie zerkając w lusterko: cała trójka jechała na mojej szóstej, z trudem próbując mnie dogonić. Przed następnym zakrętem trochę za późno nacisnąłem hamulec; nie zdawałem sobie sprawy, jaki był ostry. Jęknąłem, mocując się z kierownicą, żeby zacieśnić łuk, po czym wyprostowałem koła i wypadłem na prostą.

Nagle przed oczami mignęła mi twarz Ellie i ot tak, w jednej chwili, opuściła mnie brawura. Przez cały ten czas, odkąd zacząłem się ścigać, nie przejmowałem się tym, czy zostanę ranny lub zginę. Ani razu się nad tym nie zastanawiałem. Straciłem wszystkich, dla których warto byłoby żyć. Ale gdy tylko jej słodka buzia pojawiła się w mojej głowie, zmroził mnie strach. Gdyby coś mi się stało, nie mógłbym jej pomóc, a bardzo mi na tym zależało. Jednak miałem dla kogo żyć, nawet jeśli tak naprawdę jej nie miałem.

Odwróciłem wzrok i ujrzałem limonkowego kamikaze - teraz na drugiej pozycji - jadącego prawie koło w koło ze mną. Z determinacją na twarzy ścisnął mocniej kierownicę i dodał gazu. Kolejny zakręt był już w zasięgu wzroku, ale bliźniak nawet nie myślał o hamowaniu. Przełknąłem ślinę, nie mogąc zapomnieć o Ellie, która jutro miała pochować ojca. Musiałem

tam być. Musiałem.

Puściłem pedał gazu, zwalniając, i niemal natychmiast zostałem w tyle za limonkowym kamikaze oraz Dodgerem, którzy przemknęli obok mnie i weszli w zakręt, podczas gdy ja hamowałem, tym razem w pełni panując nad maszyną. To nie było tego warte, nie mogłem ryzykować.

Na ostatniej prostej utrzymałem pozycję i przekroczyłem metę jako trzeci, widząc wokół ludzi nagrywających i oklaskujących zatrzymujące się auta. Wyłączywszy silnik, zamknąłem oczy i oparłem głowę na zagłówku. Dodger miał rację, nie powinienem był dzisiaj startować. Nie mogłem zebrać myśli i prawie straciłem kontrolę nad wozem. Gdyby nie mój szybki refleks, zaliczyłbym dachowanie. Przy takiej prędkości pewnie nie wyszedłbym z tego cało.

Głośne pukanie w okno wyrwało mnie z zadumy. Obok stał jeden z bliźniaków i uśmiechał się szeroko, odsłaniając rząd zębów. Opuściłem szybę.

- Prawie mi się udało - rzuciłem, zmuszając się do uśmiechu, żeby nie zdradzić po sobie, że coś jest nie tak.

Wzruszył ramionami i przeczesał palcami włosy.

- Prawie, ale obleciał cię cykor na ostatnim zakręcie.

- Jak sobie chcesz - odparłem z udawaną irytacją.

- Do następnego razu. Bezpiecznej drogi! - Błysnął zębami i wystawił pięść, a ja ją przybiłem.

- Tak, do następnego - potwierdziłem, choć nie byłem pewny, czy w ogóle do niego dojdzie; w każdym razie dopóki Ellie nie zniknie z mojego życia, wyjeżdżając do Anglii ze swoim Brytolem. Gdy tylko o tym pomyślałem, natychmiast

zrozumiałem, jak bardzo tego nie chcę. Nie chciałem, by ponownie zniknęła z mojego życia; nie chciałem, by wyszła za kogoś innego i urodziła mu brytyjskie dzieci; nie chciałem, by nadal mnie nienawidziła, żyjąc w przeświadczeniu, że nie kochałem jej dostatecznie mocno.

Nie chciałem takiego życia. Odkąd wyszedłem z więzienia, tylko się oszukiwałem, że odpowiada mi to, co mam, a tak naprawdę było wręcz przeciwnie. Może najwyższa pora na szczerść, pokazanie, jaki jestem naprawdę, przyznanie, że warto ze mną zaryzykować. Może jednak na nią zasługiwałem. Może...

Rozdział 14

ELLIE

Bip... bip... bip...

Stojący przy łóżku budzik przeraźliwie hałasował i natychmiast pożałowałam, że nie ustawiłam jakiegoś miłego ćwierkania albo spokojnej melodii w aplikacji na telefonie.

- Ech, powiedz, że to nie rano, a ten szmelc się zepsuł - burknął Toby, zasłaniając twarz ręką, kiedy się nachyliłam, żeby wyłączyć alarm.

- Niestety, już jest rano - rozwiąłam jego nadzieje, trąc zmęczone oczy. W głowie czułam tętniący ból. Jakby ten dzień nie był wystarczająco ciężki, pomyślałam. Ból głowy był efektem kolejnej prawie nieprzespanej nocy. Leżałam aż do bladego świtu, wpatrując się po ciemku w sufit i przerabiając w myślach wszystko, co trzeba było załatwić, to, co powinnam dziś zrobić lub powiedzieć. Zastanawiałam się, jak to przetrwam. Dzisiaj zegnaliśmy mojego tatę, a ja powinnam być silna i wspierać moją rodzinę. Tylko jak, do diabła, miałam tego dokonać?

Odwróciłam się do narzeczonego, spoglądając na niego spod przymrużonych powiek - były spuchnięte od cichego łkania, które wreszcie utuliło mnie do snu. Toby posłał mi smutny uśmiech; oczy miał jeszcze zaspane i półzamknięte. Opadłam z powrotem na łóżko i przysunęłam się bliżej niego, kładąc mu

głowę na piersi. Objął mnie, otulając ciepłem swojego ciała i całując w czubek głowy. Opleciona jego rękami jak kokonem czułam się naprawdę bezpiecznie. Było mi wygodnie i nie chodziło tylko o pozycję do spania. Taki był cały nasz związek: wygodny i nieskomplikowany.

- Słońce, wszystko gra? - zapytał Toby szeptem.

Oparłam brodę o jego klatkę piersiową, tak by go widzieć.

- Toby, chyba tego nie przeżyję. Nie dam rady - wyznałam.

Spojrzał na mnie czule zielonymi oczami, ujmując dłońmi moją szyję.

- Poradzisz sobie. Będę przy tobie i jakoś temu podołasz. Jesteś silniejsza, niż myślisz.

- Być może - odezwałam się chrapliwym głosem, nie całkiem o tym przekonana. Dzisiejszy dzień był najtrudniejszy ze wszystkich, a ledwo do niego dotrwałam.

Będę musiała pożegnać się z tatą. Będę tam stała, wysłuchując, jakim to był wspaniałym człowiekiem i ile życia miał jeszcze przed sobą. Jak, do licha, miałam to przetrwać i nie załamać się na oczach tych wszystkich ludzi?

- Zrobisz coś dla mnie? - spytałam.

- Pewnie - pokiwał ze smutkiem głową.

- Zaopiekuj się dziś babcią, okej? O mnie się nie martw, jakoś będzie, ale proszę, bądź przy niej i pomóż jej przez to przejść. Wszyscy to przeżywamy, ale ona będzie dziś żegnać swojego syna, a żadna matka nie powinna tego robić.

Toby przesunął dłonią po moich plecach i przyciągnął mnie bliżej, przyciskając mocno do siebie.

- Oczywiście. Zaopiekuję się wami wszystkimi.

- Dziękuję - wymamrotałam, wtulając twarz w jego ramię i jeszcze mocniej do niego przywierając. Najchętniej w ogóle bym się stąd nie ruszała i zaszyła się tu na zawsze, z dala od wszystkich problemów. Niestety, życie nie działa na takich zasadach. Odsunęłam się od niego, całując go delikatnie w policzek, i wstałam.

Była dopiero siódma, ale czekało mnie mnóstwo przygotowań przed dzisiejszym pogrzebem. Ponieważ nie miałam pojęcia, jak kosztowne są takie sprawy, a i tak ledwo przędłam, wraz z babcią same przyrządzałyśmy jedzenie na stypę, żeby trochę zaoszczędzić. Zabrałyśmy się do tego już poprzedniego wieczoru, piekąc minikiełbaski, nadziewając gniazdka z ciasta ptysiowego różnymi rodzajami farszu i szykując rozmaite przekąski. Skończyłyśmy grubo po północy, ale dziś trzeba było jeszcze zrobić kanapki i jajka faszerowane, przygotować zimny bufet i pokroić warzywa. Przynajmniej na chwilę zajmiemy czymś myśli.

Narzuciłam na siebie szlafrok i zeszłam na dół.

* * *

Po kilku godzinach wszystko było z grubsza gotowe, a ja miałam już tak serdecznie dość maleńkich pizz i panierowanych kawałków kurczaka, że chętnie wyrzuciłabym je za okno. Stół w salonie był zastawiony jak na lilipucie wesele. Babcia w kółko powtarzała, jak bardzo spodobałoby się to tacie, podkreślając jego zamiłowanie do takich bankietowych smakołyków. Miała rację; zawsze twierdził, że miniaturowe jedzenie smakuje lepiej.

Podczas gdy Toby i Kelsey sprząтали dom, babcia kończyła układać wędliny na półmisku. Zgarnęłam śmieci do worka i jeszcze raz rzuciłam okiem na wszystko.

- Na pewno nie chcesz jechać ze mną do szpitala? - spytałam, zaglądając do salonu. Musiałam podnieść głos, by przekrzyczeć odkurzacz, który Kelsey popychała po podłodze.

- Nie, zostanę tu i dokończę - odpowiedziała szybko, wyłączając odkurzacz. Kelsey nie odwiedzała mamy tak często jak ja. Nie chciała o tym rozmawiać, ale miałam wrażenie, że wolała nie oglądać jej w takim stanie. Muszę przyznać, że ja też.

- Okej. Niedługo wrócę - rzuciłam w jej stronę i odwróciłam się do Toby'ego.

- Pamiętasz o babci?

- Spokojnie, będę miał na nią baczenie - odparł z uśmiechem i cmoknął mnie w policzek.

- Co będziesz miał? - zapytała Kelsey.

- Baczenie - powtórzył Toby. Zaśmiałam się na widok Kelsey, która uniosła brwi w zdziwieniu. Przezabawnie było patrzeć, jak moi bliscy próbują zrozumieć, co Toby ma na myśli.

Zostawiłam ich z tym i ruszyłam w kierunku drzwi, po drodze zabierając worek ze śmieciami. Maszerując ścieżką wiodącą z domu, spojrzałam w górę na chmury deszczowe, które zasnuły niebo, po cichu licząc, że do trzeciej się rozpogodzi. Pogrzeb w deszczu - jeszcze tego mi brakowało! Choć z pewnością świetnie by pasował do mojego nastroju.

- Ellie, skarbie, potrzebujesz dziś przy czymś pomocy? - Nasza sąsiadka, pani Egbert, podbiegła na skróty przez

trawnik; nadal miała wałki we włosach, a jej słusznej postury ciało okrywała koszula nocna.

- Nie, dziękuję. Wszystko jest pod kontrolą. Ale chciałam panią zapytać, czy będzie można później skorzystać z pani podjazdu - odparłam. Zamierzałam załatwić to wczoraj, ale byliśmy zbyt zajęci robieniem zakupów na stypę.

- Oczywiście. Poproszę Dereka, żeby wprowadził nasze auta do garażu, więc będzie można śmiało parkować - oświadczyła, kładąc mi rękę na ramieniu. - To przykre, co was spotkało. Współczuję wam. I w dodatku twoja biedna mama... - Cmoknęła językiem i pokręciła ze smutkiem głową. - Oboje się za nią modlimy.

- Dziękuję - wycedziłam przez zęby. - Muszę się zbierać. Jadę jeszcze do szpitala.

- W takim razie uściskaj od nas mamę.

Skinęłam na zgodę, pożegnałam ją uśmiechem i skierowałam się w stronę swojego auta. Nagle moją uwagę przykuł bordowy sedan. Stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mojego domu. Był tam też wczoraj, ale nie należał do żadnego z sąsiadów. Dzisiaj siedzący za kierownicą mężczyzna - przystojny czarnoskóry dwudziestoparolatek - wyraźnie mi się przyglądał i chyba lekko się przestraszył, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Zaraz, zaraz... Przecież wczoraj siedział tam starszy facet o ciemnych włosach i był z pewnością biały. To nie mógł być ten sam samochód...

Zmrużyłam oczy, by przyjrzeć się lepiej kierowcy, bo wydał mi się dziwnie znajomy. W tej samej chwili mężczyzna uruchomił silnik i wytoczył się na jezdnię, podnosząc komórkę

do ucha. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął za horyzontem. Być może myliłam się co do wczoraj; w ostatnim czasie byłam roztargniona i wciąż lekko oszołomiona.

Otrząsnęłam się z zadumy i ruszyłam do samochodu, starając się nie myśleć o tym, co miało nastąpić za cztery godziny.

* * *

Choćbym nie wiem jak często tam bywała, nie mogłam przywyknąć do tego specyficznego szpitalnego zapachu. Zupełnie, jakby w powietrzu wisiał zapach śmierci, który próbowano zamaskować płynem czyszczącym i wybielaczem. Odwiedzałam mamę dwa, niekiedy trzy razy dziennie i zawsze ten okropny odór – zwłaszcza na jej oddziale – drapał mnie w gardle i piekł w nos.

Jak zwykle po drodze wstąpiłam do dyżurki pielęgniarskiej z prośbą o aktualne informacje na temat stanu mamy, i jak zwykle usłyszałam, że jest bez zmian.

To trwało już za długo. Od wypadku minął tydzień i jeszcze się nie ocknęła. Z każdym dniem rokowania były coraz gorsze. Czułam się okropnie, wiedząc, że nie ma na to rady. Można było jedynie zapewnić jej komfortowe warunki i czekać. Nie podobało mi się, że nad niczym nie miałam kontroli.

Niewygodne krzesło stojące obok łóżka zaskrzypiało, gdy na nie opadłam. Odstawiłam torebkę na ziemię i pochyliłam się do przodu, ujmując dłoń mamy.

- Dzień dobry - wymamrotałam. Pielęgniarki i lekarze zachęcali nas, by do niej mówić, twierdzili, że to pomoże.

Czułam się trochę głupio, ale postanowiłyśmy spróbować, nawet Kels. – Nie mogę dziś długo zostać. Wpadłam się tylko przywitać. – Odchrząknęłam. – No więc, hm... – Rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu tematu do rozmowy. – Znosi się na deszcz. – Nic lepszego nie wymyśliłam. Żenada.

Z westchnieniem pochyliłam się na krzesło i oparłam brodę o brzeg łóżka, patrząc, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada w takt cichego posykiwania respiratora.

– Przepraszam, że nie zaczekaliśmy z pogrzebem taty, aż się obudzisz.

Naprawdę było mi przykro z tego powodu. Chciałam poczekać, ale lekarze przekonywali, że najlepiej będzie zrobić to teraz. Mówili, że nawet jeśli się ocknie, cały ten stres może jej tylko zaszkodzić.

– Szkoda, że ciebie tam nie będzie. – Cisza panująca w pokoju dzwoniła mi nieznośnie w uszach. – Mamo, nie wiem, czy dam sobie radę. Staram się być silna i wszystkich wspierać, ale w środku się sypię. Czuję na sobie ogromną presję. Każdy liczy, że wszystkim się zajmę, bo babci też jest trudno i próbuję ją jakoś odciążyć, ale to wszystko mnie przytłacza i naprawdę nie wiem, ile jeszcze będę w stanie wytrzymać.

Przełknęłam ślinę i, zamknąwszy oczy, ciągnęłam dalej:

– Wydaje mi się, że zrobiliśmy wszystko, co trzeba. Wybrałam jedzenie, kwiaty i muzykę na dzisiejszy dzień. I nie martw się, posprzątałyśmy w domu. Wiem, jak bardzo dbasz o pozory – zachichotałam smutno. – Mam nadzieję, że wszystko się uda. Tylko szkoda, że tego nie zobaczysz.

Ścisnęłam jej dłoń i odchyliłam się na krześle, patrząc na jej falującą klatkę piersiową i ze łzami w oczach rozmyślając o dzisiejszym popołudniu.

* * *

Gdy wróciłam ze szpitala, dom lśnił czystością, ale sprawiał wrażenie opuszczonego. Słyszałam, że na piętrze leci woda, lecz na dole było pusto. Spojrzałam na zegarek. Wpół do drugiej. Za nieco ponad godzinę miał się zjawić samochód i zawieźć nas do domu pogrzebowego.

Odłożyłam torebkę i podążyłam za odgłosami życia dobiegającymi z góry. Zatrzymałam się przed pokojem gościnnym, który zajmowała babcia. Słyszac szum suszarki do włosów, poszłam dalej, zmierzając do swojej sypialni, by wziąć prysznic i przebrać się. W połowie drogi moje uszy wychwyciły ciche łkanie. Zmarszczyłam czoło i wytężyłam słuch, skradając się do pokoju Kelsey, którego drzwi były tylko lekko przymknięte. Z każdym krokiem jej płacz stawał się coraz głośniejszy. Serce ścisnęło mi się boleśnie.

Gdy zajrzałam przez uchylone drzwi, zobaczyłam, że siedzi przy toalecie, ze szczotką w jednej ręce i wsuwką w drugiej. Tonąc w strugach łez, skręcała kosmyki z przodu głowy, a potem odciągała je do tyłu, próbując przypiąć wsuwką. Nagle szczotka poszybowała na drugi koniec pokoju i uderzyła o ścianę z wielkim hukiem.

- Durne kłaki! - wrzasnęła, podrywając się ze stołka i, zamachnąwszy się oburącz, jednym ruchem zmiotła na podłogę zawartość toaletki, rozrzucając wsuwki na wszystkie

strony. Przełknęłam ślinę; wiedziałam, że nie złościła się na włosy.

- Kels, może pomogę ci się uczesać? - zaproponowałam łagodnie.

Zaskoczona drgnęła i podniosła wzrok, patrząc na moje odbicie w lustrze. Jej śliczną twarz wykrzywił grymas gniewu i irytacji. Pchnęła stołek i ruszyła marszem w moją stronę. Wyciągnęła rękę, chwytając drzwi, ale ja byłam na to przygotowana i zatrzymałam je, zanim się zatrzasnęły. Otworzyłam je szerzej i weszłam do środka bez pytania.

To się musiało skończyć. Nie mogłam dłużej godzić się na to, żeby robiła sobie ze mnie worek treningowy do rozładowania emocji.

- Kelsey, skończ z tym! Przestań się na mnie wyżywać i zachowywać jak jędra. Wiesz, mnie też jest ciężko! Naprawdę myślisz, że to wszystko mnie nie boli? Nie ty jedna cierpisz! Ja też go straciłam. Tęsknię za nim i za mamą tak samo jak ty! - krzyczałam, wylewając na nią całą frustrację. - Nie możesz mnie ciągle karać za to, że nie było mnie tu, kiedy to się wydarzyło. To nie fair. - Modliłam się, żeby mnie wysłuchała i pozwoliła do siebie dotrzeć. - Potrzebuję cię, Kels. Sama nie dam rady. Musisz przestać mnie odpychać. Teraz mamy tylko siebie. Wspólnymi siłami jakoś to przetrwamy. Ale nie możesz się na mnie zamykać.

Kelsey zalała się łzami. Po raz pierwszy od mojego przyjazdu widziałam, jak płacze. Podeszłam do niej, otaczając ją ramieniem i przyciągając do siebie. Trzymałam ją mocno i nie puszczałam, choć strasznie się wiała, próbując mnie

odepchnąć. Po chwili przestała się opierać i objęła mnie w pasie, odwzajemniając mój uścisk.

Zamknęłam oczy i wtuliłam twarz w jej włosy. Kelsey szlochała w moje ramię, w końcu wyrzucając z siebie wszystkie emocje. Pogłaskałam ją po plecach, dziękując Bogu za ten maleński przełom i licząc, że nie był to tylko jednorazowy epizod.

Po kilku minutach cofnęła się i pociągnęła głośno nosem, ocierając twarz wierzchem dłoni. Nie zdejmując rąk z jej ramion, pochyliłam lekko głowę i spojrzałam w jej zaczerwienione oczy.

- Kocham cię, bąbelku, jak worek cukierków. Wiesz o tym, prawda? - wyszeptałam jej do ucha. Mówiliśmy tak do siebie, gdy byliśmy młodsze; sama to wymyśliła, bo jako dziecko przepadała za cukierkami.

- Ja ciebie też.

Uśmiechnęłam się i ujęłam jej włosy, pociągając za nie figlarnie.

- To może dasz mi się uczesać, jak za dawnych czasów? - zaproponowałam, modląc się w duchu, by znów mnie nie odtrąciła po tym wymuszonym uścisku.

- Okej. - Był to niewielki gest, ale dla mnie miał ogromne znaczenie. Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością i podniosłam szczotkę z podłogi.

- Może z przodu zrobimy warkocz, a z tyłu loki? - zasugerowałam. Tak wielokrotnie czesała mnie Stacey.

- Starczy nam czasu? Nie musisz się umyć i przebrać? - dociekała, lustrując moje dzinsy i sweter.

Machnęłam lekceważąco ręką. Mogło być krucho, ale najwyżej pominę prysznic i szybko narzucę coś na siebie, jak skończymy, pomyślałam.

- Mamy mnóstwo czasu.

Siedziała przy toaletce, a ja w milczeniu dobierałam kolejne pasma, wyczarowując jej nad czołem uroczy warkocz francuski. Ukrywszy końcówki pod resztą włosów, sięgnęłam po lokówkę i zaczęłam je kręcić.

- Wyjeżdżasz w środę z Tobym? - spytała ni stąd, ni zowąd.

- Nie. Dlaczego pytasz? - Zmarszczyłam brwi, nawijając kolejne pasmo na lokówkę.

Kelsey wzruszyła ramionami, skubiąc nerwowo skórki przy paznokciach.

- Myślałam, że będziesz chciała wyjechać zaraz po pogrzebie.

- Przyjechałam się tobą zaopiekować - odparłam stanowczo.

- Od tego jest babcia.

Odłożyłam lokówkę na toaletkę i przykucnęłam, praktycznie zrównując się z nią wzrokiem.

- Kelsey, zaopiekuję się tobą, bez względu na wszystko - przyrzekłam. - To dlatego byłaś na mnie taka wkurzona? Bo myślałaś, że przyleciałam tylko na pogrzeb i nie zamierzałam zostać?

Ponownie wzruszyła ramionami i zaczęła obgryzać paznokcie. Wiedziałam, że trafiłam w sedno. Sądziła, że ją opuszczę przy najbliższej okazji.

- Nie wsiądę w pierwszy lepszy samolot i nie zostawię cię samej, obiecuję.

- A co, jeśli mama się nie obudzi? - spytała szeptem, otwierając szeroko oczy ze strachu. Gdy na mnie spojrzała, dostrzegłam w nich rozpacz.

- Obudzi się, wiem to - odparłam, starając się brzmieć pewniej, niż się czułam. Tak naprawdę nikt nie wiedział, co się wydarzy, nawet lekarze.

- A co jeśli nie? - nie dawała za wygraną.

Uśmiechnęłam się, próbując dodać jej otuchy.

- Jeśli nie, to zawsze będziesz mieć mnie. I to musisz wiedzieć. - Pocałowałam ją w czubek głowy, przeczesalam loki palcami i uśmiechnęłam się do niej w lustrze. - Gotowe. Ślicznie.

Gdy pochwyciła moje spojrzenie, w kącikach jej ust również pojawił się uśmiech.

- Dzięki, Ellie.

Rozdział 15

Kiedy czarna limuzyna ze mną, moją siostrą, babcią i Tobym w środku zajechała przed dom pogrzebowy, w którym miała się odbyć ceremonia, tak ścisnęło mnie w piersi, że nie mogłam złapać oddechu.

Kelsey chwyciła mocno moją dłoń, aż zaszczypało.

- Chyba nie dam rady - wymamrotała, potrząsając głową i znów płacząc. Mówiła to samo co ja rano.

Obróciłam się na siedzeniu, aby móc spojrzeć jej w oczy.

- Dasz. Wszystkie damy radę - powiedziałam z przekonaniem. - No już, poradzimy sobie. - Wyciągnęłam rękę i położyłam ją na pomarszczonej dłoni babci. - Cała nasza trójka.

Babcia skinęła głową, a Toby otworzył drzwi samochodu. Wsiadł jako pierwszy i pomógł staruszce. Wzięłam głęboki oddech, zbierając się na odwagę i recytując w myślach mantrę, którą powtarzałam w kółko przez ostatnią godzinę.

Tylko nie płacz. Tylko nie płacz. Tylko nie płacz.

Podniosłam brodę do góry i wysiadłam z auta, dołączając do Kelsey, która stała wyraźnie przerażona i wpatrywała się w złowieszczą budowlę z cegły i szkła. Położyłam jej dłoń na plecach, a ona spojrzała na mnie i uśmiechnęła się nieśmiało, jednak w jej oczach widziałam ból i strach.

Z lewej strony dobiegało ciche łkanie. Odwróciłam się

i zobaczyłam babcię; była w rozsypce i co chwila przytykała chusteczkę do twarzy. Tobi z pełną powagi miną obejmował ją ramieniem. Czując ściskanie w żołądku, wzięłam Kelsey pod rękę - chciałam jak najszybciej mieć to za sobą. Miałam nadzieję, że pożegnawszy się z tatą, poczujemy się trochę lepiej i powoli zaczniemy się dźwigać z dołka.

- Chodźmy, babciu - powiedziałam, przywołując ją drugą ręką. Tobi opuścił ramię, wypowiadając bezgłośnie: „Kocham cię”. Widząc dumę w jego oczach, zrobiło mi się ciepłej na sercu. Babcia przytuliła się do mojego boku i objęła mnie w pasie, chwytając się mojej czarnej marynarki. Podniosłam głowę i we trójkę, ramię w ramię, ruszyliśmy w kierunku sklepionego łukiem wejścia, by pożegnać najwspanialszego człowieka, jakiego znałam.

Tobi poszedł przodem, lecz przystanął przy ciężkich drewnianych drzwiach, by nas przepuścić. Przełknęłam ślinę, powtarzając w myślach: „Tylko nie płacz”, i modląc się w duchu, by nie zabrakło mi sił. Gdy przekroczyliśmy próg budynku, moje oczy rozszerzyły się ze zdziwienia na widok zgromadzonych w środku tłumów. Wszystkie ławki były zajęte - tylu przyjaciół i krewnych taty zjawilo się, by złożyć mu wyrazy szacunku. Po lewej stronie stało jeszcze z dwadzieścia osób, wszyscy w odświętnych ubraniach. Znajomi, koledzy z pracy oraz klienci - ludzie z różnych środowisk przyszli tu, by oddać cześć tacie. Czułam, jak wypełnia mnie duma i wdzięczność. To, ilu ludzi będzie za nim tęskniło, świadczyło o jego charakterze. Byłby zaszczycony, wiedząc, dla ilu osób był ważny.

Zatrzymałyśmy się przy wejściu, gdzie rozdawano programy ceremonii, nad którymi tyle ślęczałam. Wzięłyśmy jeden, lecz zanim ruszyłyśmy dalej, przyszedł pastor i z pełną współczucia miną wyciągnął obie ręce, ujmując dłoń babci.

- Moje kondolencje. Chyba wszyscy się już zjawili. Jeśli jesteście gotowe, mogę włączyć pierwszy utwór.

- Dziękuję - odpowiedziałam.

Puścił dłoń babci, zapraszając nas naprzód. Gdy kroczyłyśmy środkiem do ławki w pierwszym rzędzie, zarezerwowanej dla najbliższej rodziny, ludzie witali nas skinieniem głowy, uśmiechając się ze smutkiem i rozrzewnieniem.

Nieco z boku pośród stojącego tłumu dostrzegłam młodego czarnoskórego mężczyznę w stylowym garniturze i czarnej koszuli. Jego twarz wydała mi się znajoma, ale nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie ją widziałam. Gdy podniósł wzrok, nasze spojrzenia spotkały się, i nagle mnie olśniło: to on siedział dziś w sedanie przed moim domem.

A tuż obok niego stał... Jamie Cole.

Moje serce na chwilę zamarło. Zapomniałam już, jak dobrze się prezentował w garniturze. Kiedy zapytał, czy może przyjść na pogrzeb, uznałam, że to tylko pokazówka i tak naprawdę nie zamierzał się pojawić, ale w duchu miałam nadzieję, że to zrobi. I oto stał, we własnej osobie, nieziemsko przystojny.

Zmusiłam się, żeby na niego nie patrzeć, przenosząc wzrok na trumnę, spoczywającą na wielkim dębowym podwyższeniu. Boki i wieko trumny zdobiły kwiaty. Na lewo i prawo od podium stały drewniane stojaki z dużymi tablicami, do których

przypięte były zdjęcia.

Nogi miałam jak z waty, ale jakoś wspólnymi siłami dotarłyśmy na przód i zasiadłyśmy w ławce – babcia po mojej lewej, siostra po mojej prawej stronie. Toby wcisnął się w wolne miejsce obok babci. Niemal natychmiast rozbrzmiały dźwięki „That's Life” Franka Sinatry. Tata twierdził, że to jeden z największych utworów tego legendarnego wykonawcy, który przy okazji był jego idolem. Dlatego właśnie wybrałam tę piosenkę na rozpoczęcie ceremonii.

Gdy muzyka umilkła, spojrzałam na pastora, próbując przygotować się na to, co miało nastąpić.

Podczas uroczystości nie mogłam się skupić; mój wzrok nieustannie wędrował ku pękniętej płytce na podłodze tuż u moich stóp. Musiałam walczyć z napływającymi do oczu łzami. Przez cały czas, kiedy zgromadzeni śpiewali hymny, do których jedynie poruszałam bezgłośnie ustami, i gdy kilkoro najbliższych przyjaciół taty odczytywało przygotowane fragmenty, które ledwie do mnie docierały, siedziałam uczepiona kobiet po moich bokach. W końcu pastor wygłosił laudację; wywołała kilkakrotnie śmiech wśród zebranych – taki był mój zamiar, gdy ją pisałam. Chciałam, by była zabawna i urzekająca, bo taki był tata.

Sama jednak siedziałam w milczeniu, otępiała i zdruzgotana. Ścisnęło mnie w piersiach i nie mogłam oddychać, jakby ktoś zgniatł mój tułów w imadle. Powoli przegrywałam walkę z emocjami. Gdy podniosłam wzrok na zdjęcie taty, na którym tak serdecznie się uśmiechał, poczułam, że opuszczają mnie siły. Nie mogłam tego znieść, musiałam wyjść, musiałam się

stąd wydostać i uciec jak najdalej od wieńców, śpiewników i tych wszystkich ludzi siedzących wokół. Chciało mi się wyc i krzyżeć z poczucia niesprawiedliwości całej tej sytuacji. Miałam ochotę rzucać rzeczami i wszystko roztrzaskać. Chciałam wykrzyżeć na głos: „Dlaczego?!”. W uszach słyszałam bębnienie własnego serca. Niemal czułam, jak moje skronie pulsują w jego takt.

Jeszcze chwila i straciłabym nad sobą kontrolę, lecz wtedy Kelsey pociągnęła nosem i ścisnęła moją dłoń, pochylając głowę i kładąc ją na moim ramieniu. Owinąwszy drugie ramię wokół mojej ręki, przyciągnęła ją do siebie, chowając się za nią, jakby miało ją to ochronić przed tym, co się działo. I w tym momencie ogarnął mnie spokój. Zrobiło mi się lżej na sercu. Potrzebowała mnie. Po prostu. Nie mogłam się załamać, musiałam się nią zaopiekować.

Spojrzałam na trumnę z ciemnego drewna i w myślach złożyłam ojcu obietnicę, że zadbam o Kelsey i zawsze przy niej będę. Zawsze. Bez względu na to, co stanie się z mamą. Zapewniłam go po cichu, że wszystko jest w porządku i może spocząć w spokoju, wiedząc, że damy sobie radę. Razem.

Wciągnęłam głęboko powietrze przez nos i wypuściłam powoli przez usta, powtarzając tę czynność kilkakrotnie, aby stłumić nadciągający atak paniki.

Uroczystość zbliżała się ku końcowi. Wygłoszono wszystkie odczyty i pozostało już tylko kilka słów na zakończenie oraz ostatni utwór.

- A zatem mówcie o nim często, dzielcie się anegdotami, często go wspominajcie. Dzięki temu pamięć o nim pozostanie

w nas żywa, a jego duch nigdy nie umrze - rzekł pastor i uśmiechnął się do nas. - Bliscy Michaela prosili, bym zaprosił was wszystkich na stypę, która odbędzie się w ich domu. Wraz z krewnymi zmarłego chciałem podziękować wam za to, że przybyliście tu dziś, by go pożegnać. Na zakończenie uroczystości rodzina przygotowała jego ulubioną piosenkę. - Odwrócił się trochę niepewnie i skinął na jednego ze swoich pomocników, który nastawił muzykę.

W eterze rozbrzmiała głośna, piękna harmonia głosów.

Nagle ktoś za mną parsknął śmiechem, gdy zdał sobie sprawę, jaki to kawałek. Chwilę później doszły gitary i głośna perkusja, i od ścian odbiły się dźwięki „Fat Bottomed Girls” zespołu Queen. Uśmiechnęłam się pomimo bólu, który trawił mnie od środka. Tata miał wiele piosenek, które lubił, ale ta, o dziewczynach o tłustych tyłkach - cokolwiek niestosowna na tę okazję - była jego ulubioną i pochodziła z repertuaru jego ulubionej grupy. Nie mogłam jej nie puścić ten ostatni raz.

Obok mnie babcia zachichotała. Puściła moją rękę i zaczęła klaskać do muzyki. Uśmiechnęłam się do niej, widząc, że ludzie robią to samo - wystukują rytm stopami, nieśmiało kołyszą ramionami, a niektórzy nawet poruszają ustami do słów piosenki. Chyba wszyscy, ze mną włącznie, przynajmniej raz w życiu widzieli, jak tata gra do tego numeru na niewidzialnej gitarze. Nikt nie wyszedł, dopóki nie przebrzmiały ostatnie dźwięki.

Gdy utwór dobiegł końca i żałobnicy podnieśli się z ławek, atmosfera w pomieszczeniu stała się bardziej radosna - mój nastrój także się poprawił.

Przyjaciele taty, nasi krewni, sąsiedzi i jego współpracownicy, wszyscy zaczęli powoli kierować się ku bocznym drzwiom wiodącym do przyległego ogrodu. Przechodząc obok nas, niektórzy zatrzymywali się, by złożyć kondolencje, inni chwalili nasz wybór pożegnalnej piosenki, a pewien znajomy taty roześmiał się nawet i wyznał, że oczyma wyobraźni widział, jak tata w niebie macha włosami do tego utworu. Uśmiechałam się i potakiwałam głową, dziękując zgromadzonym za przybycie i zapraszając ich do domu na stypę.

- Piękna ceremonia - zauważyła ciotka Shelly. - Laudacja ku czci Michaela nie mogła być bardziej adekwatna. Pamiętam go jako dziecko. Niezły był z niego urwis, ale miał taki ujmujący uśmiech, że nie sposób było się na niego gniewać. - Zaśmiała się do siebie, a babcia przytaknęła ruchem głowy.

Położyłam rękę na ramieniu Shelly, która stała trochę niepewnie na nie najmłodszych już nogach.

- Ciociu, dziękuję za przybycie. Wybiera się ciocia do nas na skromny poczęstunek?

- Owszem. Powiem Errolowi, żeby jechał za wami. Ja nie pamiętam drogi, a on nigdy u was nie był - wyjaśniła, kiwając głową do swojego nowego chłopaka, choć w zasadzie słowo „chłopak” to nie najlepsze określenie - miał chyba z osiemdziesiąt lat jak nie więcej.

Gdy opowiadała, jak wolno Errol jechał i jak długo trwała ich podróż w tę stronę, pobiegłam wzrokiem w lewo. Jamie szedł w rzędzie, za grupką znajomych taty z pracy. Zagryzłam zęby, a gdy nasze spojrzenia się spotkały, wszyscy inni przestali dla

mnie istnieć - liczył się tylko chłopak, który złamał mi serce. Skinął nieznacznie, ale dostrzegłam ten gest i zrozumiałam, co oznacza. Dziękował mi, że pozwoliłam mu przyjść. Odpowiedziałam mu tak samo skinieniem, po cichu modląc się, by do mnie nie podszedł. Toby stał niecały metr ode mnie, poza tym w ogóle nie byłam dziś na to gotowa. Ale Jamie pozostał wierny swoim słowom i przeszedł obok w milczeniu, kierując się wraz z tłumem ku wyjściu.

Odetchnęłam z ulgą, starając się zignorować niestosowne w tej chwili ukłucie rozczarowania. Jakaś część mnie chciała, żeby podszedł, żeby zbliżył się na tyle, abym mogła poczuć jego wodę kolońską i ciepło bijące od jego ciała; chciała, by wziął mnie w objęcia i wyszeptał mi do ucha, że wszystko będzie dobrze, że pomoże mi przez to przejść. Ta część pragnęła go równie mocno, jak dawniej - i ani odrobinę mniej.

Zmusiłam się, by na niego nie patrzeć, czując rumieniec wpełzający na moje policzki na myśl o naszym wtorkowym pocałunku i iskrach pożądania, które w nas rozniecił.

Odwróciłam się do Toby'ego, który w pomocnym geście zaoferował babci i ciotce swoje ramię, by poprowadzić je krętą ścieżką na parking. Na ten widok serce ścisnęło mi się boleśnie; ogarnął mnie smutek i poczucie winy, zupełnie jakby ktoś wylał na mnie kubek zimnej wody. Toby był naprawdę porządnym facetem; żałowałam, że sprawy nie miały się inaczej. Że nie byłam inna. Że byłam tak zdruzgotana, kiedy się poznaliśmy; że głupio uwierzyłam, że już jest dobrze, bo szczerze mówiąc, ujrawszy Jamiego, zdałam sobie sprawę, że tylko wszystkich oszukiwałam. Nie przestałam go kochać ani

trochę i za to czułam do siebie wstręt.

Rozdział 16

JAMIE

Wesele Shauna trwało w najlepsze. Ceremonia ślubna przebiegła bez problemów i teraz odbywało się wieczorne przyjęcie. Państwo młodzi postanowili urządzić je kameralnie – ogromny bufet i open bar zamiast zasiadanej uczy. Sam też bym to tak zorganizował – więcej zabawy, mniej formalności. Kilku kolesiów z mojej ekipy zrobiło użytek z darmowego baru i nieco się już wstawiło, właściwie tak jak większość obecnych, a zwłaszcza Shaun.

- Czyli nie brakuje ci tego? – zagadnąłem go, widząc, jak opiera się ciężko o barowy kontuar i siorbie drinka.

Wzruszył jednym ramieniem.

- Poniekąd. Brakuje mi chłopaków. I pieniędzy. – Westchnął tęsknie. – Ale nie brakuje mi więzienia.

- Jesteś pewien, że nie chcesz do nas wrócić? Przydałby nam się ktoś taki jak ty – zaproponowałem.

Shaun zaśmiał się i spojrzał na mnie; wzrok miał już mętny od nadmiaru wypitego alkoholu.

- Nie mogę. Ciężko jest żyć od wypłaty do wypłaty, ale za nic w świecie bym się nie zamienił. Mam małego synka i piękną dziewczynę...tfu, żonę – poprawił się, spoglądając na złotą obrączkę na palcu. – To dwie rzeczy, których nie można kupić za pieniądze, dlatego będę harował i oszczędzał na swoje

zachcianki.

- Tak trzymaj! Cieszę się z twojego szczęścia. - Uśmiechnąłem się i poklepałem go z uznaniem po ramieniu. Szanowałem jego decyzję. Szczerze mówiąc, gdy byłem z Ellie, pieniądze i samochody także nie miały dla mnie znaczenia. Kiedy kocha się kogoś ponad życie, wszystko inne przestaje się liczyć. Brakowało mi tego.

- Dzięki, stary - wybełkotał Shaun.

Podeszli do nas Enzo i Ray, który objął Shauna ramieniem i rzucił półzartem:

- Przystopuj trochę z tą gorzałką, Shaun, żebyś był dziś jeszcze w stanie skonsumować małżeństwo.

- Mogę je skonsumować w każdej chwili i w każdym stanie - odparował, wykrzywiając usta w uśmiechu.

Ray przeniósł wzrok na mnie.

- Zbieramy się, Młody? Jutro muszę wcześniej wstać - skłamał.

Zrozumiałem aluzję. Pora iść. Czekala na nas robota.

- Jasne. Dzięki za zaproszenie, Shaun. I jeszcze raz gratuluję zaobrączkowania - zażartowałem, wyciągając dłoń do uścisku. - Wpadaj do klubu, kiedy tylko chcesz. Oczywiście dla ciebie i twojej pani wstęp wolny.

- Dzięki, Młody. Skorzystam.

Gdy Ray i Enzo pożegnali się z Shaunem, ruszyliśmy do mojego samochodu, żeby przystąpić do akcji. Do magazynu mieliśmy tylko kilka minut jazdy. Przez całą drogę Ray rozpląwał się nad Shaunem i nad tym, jak dobrze wyglądał. Trzeba przyznać, że służyło mu życie rodzinne. Staralem się

zignorować uczucie zazdrości, które objawiło się ściskaniem w dołku. Gdybym nie został aresztowany, dzisiaj to ja mógłbym brać ślub z Ellie. Gdybym nie zgodził się na tę przeklętą robotę, moje życie wyglądałoby teraz zupełnie inaczej.

Dodger, Chase i Ed czekali już w magazynie, gotowi do drogi. Dodger i Chase podstawiali właśnie trzy kontenery do wywózki, tak aby były przygotowane, kiedy wrócimy z samochodami.

Chwyciłem ze stołu torbę ze sprzętem, którego używałem podczas kradzieży, i podszedłem do Eda; w tym czasie Ray i Enzo poszli się przebrać.

- Słuchaj, jak będziesz dziś czatował przed domem Ellie, zachowaj szczególną ostrożność. Widziała wczoraj Dodgera i jestem niemal pewny, że rozpoznała go na pogrzebie, bo dziwnie na niego patrzyła. Nie chcę, żeby o tym wiedziała, więc zaparkuj nieco dalej i bądź wyjątkowo czujny - pouczyłem Eda, przeszukując torbę i sprawdzając, czy jest wszystko, czego dziś potrzebowałem. - Jeszcze jedno: nie bierz sedana, tylko jakiś inny wóz z parkingu - dodałem po namyśle, wskazując głową drzwi, za którymi czekało pięć samochodów. Kupiłem je dla moich ludzi, by korzystali z nich w razie potrzeby. Niczym się nie wyróżniały, ale do pewnych zadań bardziej nadawały się właśnie takie niepozorne auta, które trudno z kimś powiązać. Do pilnowania Ellie były jak znalazł.

- Okej, Młody. - Ed westchnął, opadając ciężko na stołek. - Na pewno nie chcesz odwołać nadzoru? Gdyby bracia Salazar szykowali jakiś ruch, na pewno już by go wykonali.

- Jeszcze nie teraz - odparłem, wyjmując z torby nożyce do metalu i kładąc je na blacie z zamiarem nasmarowania, w razie gdyby okazały się dziś niezbędne. - Masz o nich jakieś wieści? Co porabia Mateo? - zapytałem, rzucając Edowi ukradkowe spojrzenie

- Nadal siedzi w Meksyku - oświadczył, wzruszając ramionami. Przypiąłem ogon obu Salazarom. Z tego, co słyszałem, Mateo zatrzymał się u krewnych w swojej rodzinnej wiosce.

- A co z Albertem? - drążyłem dalej.

Ed przewrócił oczami.

- Alberto nie odważyłby się, ot tak, zaatakować. O ile mi wiadomo, to on kazał bratu przycząć się gdzieś na trochę po tej drace w klubie. Wydaje mi się, że w ich szeregach trwa rozłam.

- To dobrze.

Nadszedł przebrany w dżinsy i bluzę Enzo, dmuchając w złożone dłonie, żeby je ogrzać.

- Zimna dziś noc - wymamrotał. - Gotowy? Dodge powiedział, że jadę z tobą, a on zabiera Chase'a.

- Muszę się jeszcze przebrać i możemy jechać - odpowiedziałem, pośpiesznie wkładając cały sprzęt z powrotem do torby. Następnie zwróciłem się do Eda: - Jedź zastąpić Spencera pod domem Ellie. Zwolnię cię po akcji.

Przytaknął i ruszył w kierunku drzwi.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Tak będzie - odparłem pewnie. Zawsze się udawało.

* * *

Z pierwszym i drugim samochodem poszło jak z płatka – dwa śliczne rolls-royce'y dawn, ociekające elegancją i luksusem.

Dwa z głowy, zostało siedem.

Była prawie druga w nocy, gdy zajechaliśmy w pobliże podjazdu, na którym stało zaparkowane trzecie auto – ciemnoniebieski jaguar F-Type.

- Enzo, widzimy się w magazynie – rzuciłem, łapiąc za torbę. Rozejrzałem się uważnie po ulicy, wypatrując oznak życia, wyskoczyłem i podbiegłem do samochodu. Gdy wszedłem na podjazd, nad moją głową zapaliła się lampka, która niczym sceniczny reflektor rzuciła na mnie snop jasnego światła. Zamarłem, błędząc wzrokiem dookoła. To był czujnik ruchu, ale ostrożności nigdy za wiele. Auta parkujące na prywatnych posesjach trudniej było zwędzić, ale nie tak trudno, jak te stojące w garażach, do których trzeba się było najpierw włamać.

Spojrzałem na lampkę; wisiała tuż nad garażem i nietrudno było ją dosięgnąć. Ci ludzie nigdy się nie nauczą! Przewracając oczami, ściągnąłem torbę z pleców, wyłowiłem z niej lateksowe rękawiczki i naciągnąłem je na dłonie. Potem wyjąłem czarną plastikową reklamówkę i zakradłszy się do garażu, wspiąłem się na palce, zasłaniając nią lampkę. Ulica znowu pogrążyła się w mroku. Światło nadal przeświecało przez spód i uchwyty reklamówki, ale nie dość mocno, żeby widać było, jak kradnę cenny wóz, gdyby akurat ktoś wyjrzał przez okno.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu do Enza, który pokazał mi uniesiony w górę kciuk, i podszedłem do auta. Wyciągnąłem

z torby cienki wytrych – najcenniejsze narzędzie złodzieja – i wsunąłem go przez okno. Zamek odblokował się w kilka sekund. Wskoczyłem do środka i odciąłem kable od alarmu, szybko go resetując. Następnie przy użyciu łomu wyłamałem kolumnę kierownicy i przeciąłem przewody, a kiedy je zwarłem, wóz ożył, ponętnie mrucząc, aż westchnąłem z radością.

- Bułka z masłem – wymamrotałem, wrzucając bieg i wytaczając się z podjazdu tak wolno, jak to możliwe, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Gdy zajeżdżałem pod magazyn, po drodze minąłem się z Dodgerem i pomachałem mu. Pewnie właśnie odstawił jakieś auto i jechał po kolejne. Zatrzymałem się przy jednym z kontenerów i wysiadłem. Zamykając drzwi, zauważyłem ogromną białą rysę biegnącą wzdłuż boku samochodu.

- Psiamać! – zakląłem pod nosem. Wczoraj tu tego nie było. Sam oglądałem ten wóz i dobrze się mu przyjrzałem. Durny właściciel musiał go zarysować w ciągu ostatniej doby. – Ray! – krzyknąłem, widząc, jak wychodzi z warsztatu i wyciera ręce w szmatę. – Ten ma z boku rysę jak skurczybyk. I zanim wyciągniesz pochopne wnioski, nie, to nie moja sprawka.

Zmrużył gniewnie oczy i podszedł do mnie. Pochyliwszy się, przejechał palcami po zadrapaniu.

- Wygląda na płytką. Spokojna głowa, wypoleruję ją – stwierdził wreszcie, gdy już zaczynałem się martwić, że nie dostarczymy wszystkich wozów z listy albo będziemy musieli dostarczyć jeden uszkodzony.

- Na pewno?

Pokiwał głową i wyprostował się.

- Tak, żaden kłopot. Jedź po ostatni. Dodgerowi też został tylko jeden.

Dodger miał do zwinięcia więcej aut niż ja, ale wszystkie znajdowały się w bliższej odległości. Przy odrobinie szczęścia obrócilibyśmy w ciągu godziny.

- Okej, to na razie - rzuciłem.

- Młody, i tym razem postaraj się go nie zarysować! - krzyknął Ray, mrugając do mnie, i ruszył do magazynu po zestaw naprawczy.

- Boki zrywać - burknąłem pod nosem, wsiadając ponownie do samochodu wraz z Enzem. Nie byłem już tak nakręcony; haj prawie minął. Chciałem załatwić to jak najszybciej, by móc sprawdzić, co z Ellie.

Z czwartym wozem nie było już tak łatwo. Stał na prywatnym podziemnym parkingu luksusowego apartamentowca. Bariery na wjeździe i wyjeździe zostały wyposażone w kamery monitoringu i tylko mieszkańcy mogli tu parkować. Na szczęście nie miałem problemów ze zdobyciem przepustki. Wszystko dało się załatwić za odpowiednią kwotę.

Gdy dostrzegłem samochód, który miałem podprowadzić, dłonie drgnęły mi z ekscytacji. Nowiutkie audi R8 V10 plus coupé, czerwone z czarnymi akcentami karoserii. Było cudowne i miało niespełna tydzień - auto o wartości stu osiemdziesięciu tysięcy dolarów tylko czekało, żeby je zwinąć. Z mojego gardła wyrwał się cichy jęk podniecenia. Podeszedłem, rozglądając się na boki, by mieć pewność, że

jestem sam.

Nie widząc nikogo w pobliżu, zabrałem się do pracy. Z drzwiami i alarmem uporałem się w niecałą minutę. Następnie dorwałem się do kolumny kierowniczej i zwarłem przewody. Spodziewałem się usłyszeć znajomy pomruk silnika, ale nic się nie wydarzyło. Ściągnąłem brwi i spróbowałem jeszcze raz. Znowu nic. Oczy rozszerzyły mi się ze zdziwienia. Zsunąłem się na podłogę i przejechałem dłonią pod deską rozdzielczą, szukając wyłącznika zapłonu odcinającego dopływ benzyny do silnika. Miało go mnóstwo eleganckich i kosztownych wozów. Gdybym go nie znalazł, nie mógłbym odpalić auta. Nie było o nim wzmianki w moim pakiecie z instrukcjami.

Po bezowocnych poszukiwaniach uznałem, że wyłącznik musi znajdować się gdzieś pod maską. Otworzyłem ją i wyśliznąłem się z wozu, upewniwszy się, że parking nadal jest pusty. Wyjąłem z torby latarkę, podniosłem przednią klapę i przesunąłem dłonią po wewnętrznej stronie nadwozia. Bingo! Wyłączniki zapłonu stanowiły naprawdę skuteczne zabezpieczenie, jeśli były dobrze ukryte. Wcisnąłem przycisk i powoli opuściłem maskę.

Z szerokim uśmiechem na twarzy wróciłem na miejsce kierowcy. Po cichu zamknąłem za sobą drzwi i ponownie zwarłem kable, śmiejąc się, kiedy silnik zaczął pracować. Rzuciłem torbę na siedzenie pasażera i naciągnąwszy czapkę na oczy, ruszyłem w stronę barierki. Wyjąłem z portfela podrobioną kartę dostępu i przeciągnąłem nią szybko przed czytnikiem, a wtedy żółto-czarny szlaban uniósł się.

Choć już miałem ochotę świętować, z pochyloną głową i twarzą odwróconą od kamery wytoczyłem się wolno na ulicę. Wyjechawszy na główną drogę, nie mogłem przestać się uśmiechać. Postanowiłem sprawdzić, ile da się wycisnąć z tego cacka. Wdepnąłem mocniej gaz i dałem się ponieść. Na drodze nie było żywej duszy. Jazda tym cudem była niezwykle emocjonująca, jakby pod maską siedziała dzika bestia i próbowała się wyrwać na wolność, ilekroć dodawałem gazu. Podjąłem decyzję, że też sobie takie kupię.

Dokończenie spraw w magazynie nie trwało długo. Gdy rozliczyłem się z chłopakami i każdy dostał swoją dołę, Chase, Enzo i Dodger wsiedli do trzech ciężarówek i pojechali na punkt zborny, gdzie mieli spotkać się z klientem. Ray miał jechać za nimi i przywieźć ich tu z powrotem, by odebrali swoje samochody. Ja z kolei miałem inne plany na resztę wieczoru. I nie chodziło wcale o sen.

* * *

- Hej. Jak akcja? - zapytał Ed, gdy przyszedłem go zwolnić z warty.

- Jak zwykle, łatwizna - odparłem od niechcenia, wzruszając ramionami. Ruchem głowy wskazałem dom Ellie - Coś się działo? - zapytałem, zaglądając do wnętrza auta. Na siedzeniu zauważyłem iPad i kilka kolorowych magazynów, a także papierki po cukierkach, którymi usłana była podłoga po stronie pasażera.

- Nic a nic. Nie wychodziła z domu, reszta też. Na chwilę wpadła do niej przyjaciółka, ta odlotowa blondynka, ale wyszła

około jedenastej. Dwie godziny temu zgasły światła. – Ziewnął, spoglądając na zegarek, po czym sięgnął po napój gazowany i pociągnął łyk z puszki.

Pokiwałem głową i chwyciłem za klamkę, otwierając drzwi samochodu.

– Okej, dzięki. Jesteś już wolny. Weź mój samochód i po prostu zostaw go pod magazynem.

Ed wysiadł z wozu, przeciągając się z jękiem.

– Masz kogoś na jutro, czy mam się tym zająć? – zapytał i wskazał palcem iPad leżący na siedzeniu. – Podasz mi to?

– Spencer przyjedzie mnie zmienić – odparłem, podając mu tablet, i siadłem na jego miejscu. Nie podobało mi się, że było jeszcze ciepłe od jego tyłka.

– W porządku. Dobrej zabawy. – Poklepał drzwi i odszedł.

Gdy tylne światła jego wozu zniknęły w mroku nocy, wlepiłem wzrok w dom Ellie. Usadowiwszy się wygodniej w fotelu, sięgnąłem po napój energetyczny, który ze sobą przyniosłem. W domu faktycznie panowała cisza. Żadnych świateł, żadnych oznak życia. Zacząłem się zastanawiać, co też Ellie mogła tam robić. Czyżby smacznie spała, a może przewracała się z boku na bok, martwiąc się o matkę? Czy mówiła przez sen? Czy leżała przytulona do swojego narzeczonego? A może nie był typem faceta, który lubi się przytulać? Westchnąłem, żałując, że nie jestem nim, że ona nie jest moja i że marznę w niewygodnym aucie, zamiast tulić się do jej ciała w sypialni. Do dupy z takim życiem.

Rozdział 17

ELLIE

Dla Toby'ego był to ostatni dzień w Nowym Jorku. Nie chciał wyjeżdżać, ja też tego nie chciałam, ale udało mu się załatwić zastępstwo w pubie tylko na tydzień. Wspaniale było mieć go przy sobie; odwrócił moją - a raczej naszą - uwagę od tej okropnej sytuacji, w jakiej się znalazłyśmy. Jego obecność i wsparcie zmniejszyły stres.

Oczywiście zauroczył babcię do tego stopnia, że ta codziennie piekła mu jego ulubione ciasta, i nawet zdołał wywabić Kelsey z tej jej skorupy, ucząc ją swoich grypsów i londyńskiego rymowanego slangu. Toby miał złote serce i naprawdę nie chciałam, żeby wyjeżdżał i zostawiał mnie samą.

W tym krótkim czasie, jaki został nam po pogrzebie, starałyśmy się pokazać mu najważniejsze atrakcje miasta. W poniedziałek zwiedziliśmy Empire State Building, Times Square, Rockefeller Center i Central Park. Wczoraj obejrzelśmy spektakl na Broadwayu. A dzisiaj czekał nas gwóźdź programu, na który Toby najbardziej się cieszył - Statua Wolności. Spośród wszystkich rozrywek, jakie mógł sobie zafundować, będąc tutaj, zwiedzenie Statuy było na szczycie jego listy. Nie dlatego, że był to zabytek kultury - o nie, nic z tych rzeczy - tylko dlatego, że w filmie Pogromcy

duchów Statua ożyła za sprawą różowego szlamu i przechadzała się ulicami Nowego Jorku w takt melodii „(Your Love Keeps Lifting Me) Higher and Higher”. Co robić – zaręczyłam się z dziwakiem.

Gdy dotarliśmy do Battery Park, było jeszcze dość wcześnie. Stanęliśmy w kolejce do kontroli bezpieczeństwa, czekając na pierwszy tego dnia prom. Niestety, ponieważ nie zarezerwowaliśmy biletów z kilkutygodniowym wyprzedzeniem, nie mogliśmy wejść na koronę, ale Toby i tak cieszył się jak dziecko czekające na spotkanie ze Świętym Mikołajem.

- Selfie w kolejce – oznajmił, wyciągając telefon komórkowy.
- Wyślę je mamie, skręci się z zazdrości. – Uśmiechnęłam się i przysunęłam do niego, w ostatniej chwili wystawiając język i chichocząc, kiedy dźgnął mnie palcem w bok. Zawiesił rękę na moim ramieniu i spojrzał na wodę.

- Jest super. Szkoda, że to mój ostatni dzień, nie chcę cię opuszczać. – Odwrócił się do mnie, wykrzywiając usta w gorzkim grymasie, i przyciągnął mnie bliżej siebie.

- Ja też nie chcę, żebyś wyjeżdżał – oznajmiłam niewyraźnie, wtulając twarz w jego szyję i wdychając jego zapach. Wylatywał o szóstej po południu, a na lotnisku musiał się zjawić dwie godziny wcześniej, więc zostało nam tylko kilka wspólnych godzin. Nie chciałam zmarnować ani chwili.

Gdy otwarto bramki, kolejka bardzo sprawnie się przesunęła i szybko dopłynęliśmy na wyspę. Z każdą minutą Toby był coraz bardziej podekscytowany; gdy podeszliśmy do Statuy, jego drobna twarz rozpromieniła się. Osłonił oczy

dłonią i odchylił się do tyłu, sięgając wzrokiem na sam szczyt. Narobiliśmy mnóstwo zdjęć, nachodziliśmy się co niemiara, i mając już dość, po prostu siedliśmy, żeby nacieszyć się majestatycznym pięknem Statuy, gdy nagle Toby zaintonował pod nosem tytułową piosenkę z Pogromców duchów. Siedzący obok mężczyzna - na oko czterdziestoparolatek - z drogim aparatem fotograficznym na szyi roześmiał się i też zaczął nucić.

To potwierdziło, że Toby potrafił się zaprzyjaźnić z każdym i wszędzie, nawet bez słów.

- Ile razy widziałaś już Statuę Wolności? Idę o zakład, że dawno ci zbrzydła, prawda? - zapytał Toby, kładąc mi głowę na ramieniu, i objąwszy mnie wpół, przytulił się do moich pleców.

Uśmiechnęłam się.

- Nawet nie pytaj - odparłam, obracając się w jego ramionach, tak aby być z nim twarzą w twarz. - Ale z ręką na sercu mogę powiedzieć, że jeszcze nigdy nie podobało mi się tak bardzo jak dziś. - Widziałam w jego oczach podekscytowanie i zachwyt, i mnie także udzielił się jego entuzjazm.

Nagle zaburczało mi głośno w brzuchu i cały urok chwili przysł.

- Co ty na to, żebyśmy splądrowali sklep z pamiątkami i skoczyli coś zjeść? - zaproponował Toby z szerokim uśmiechem.

Skinęłam głową.

- Dobry pomysł, nie chciałbyś mnie widzieć, kiedy jestem

głodna.

- Słońce, mam to już za sobą. To był horror.

Objuczeni śnieżnymi kulami, których nigdy nie udawało mu się dowieźć do domu w jednym kawałku, oraz otwieraczami do butelek i notesami ozdobionymi motywem Statuy Wolności, wskoczyliśmy ponownie na prom i wróciliśmy na stały ląd. Zaprowadziłam go do świetnej pizzerii, w której często bywałam ze Stacey.

W środku unosił się znajomy cudowny zapach. Było dopiero południe, lecz już roilo się od ludzi. Wzięłam Toby'ego za rękę i pociągnęłam do kasy, żeby coś zamówić. Na widok gotowych pizz, wystawionych za ladą i grzejących się pod lampą, wytrzeszczył oczy.

- A niech mnie, ale giganty!

Zaśmiałam się i ustąpiłam, by przepuścić stojącą przede mną osobę, która odeszła od kasy, niosąc tacę z jedzeniem.

- Co chcesz? - zapytałam Toby'ego, po czym skupiłam uwagę na młodym, pryszczatym kelnerze za ladą. - Poproszę jeden kawałek z pepperoni i dietetyczną colę. - Odwróciłam się do Toby'ego, czekając, aż złoży swoje zamówienie.

- Dla mnie to samo - mruknął, patrząc, jak obsługujący nas chłopak wkłada do pieca dwa olbrzymie kawałki pizzy, po czym wraca, by nalać nam napoje. Kiedy gorące porcje wylądowały przed nami na jednorazowych talerzach, nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu, widząc, jak Toby pożera je wzrokiem. - Ja stawiam. Mam kupę dolców, które muszę wydać - zawyrokował, gdy przetrząsałam torebkę w poszukiwaniu drobnych.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Wzięłam z lady jedzenie i ruszyłam w stronę pustego boksu na tyłach lokalu, uważając, by cienkie papierowe tacki się nie zgięły.

Przysiadłam na plastikowej kanapie, która zaskrzypiała pod moim ciężarem. Po chwili nadszedł Toby z napojami; podał mi kubek i zajął miejsce po drugiej stronie stołu.

- Byłaś tu kiedyś? - zapytał, przysuwając sobie talerz.

Potwierdziłam ruchem głowy, pociągając łyk przez słomkę.

- Uhm, wpadałyśmy tu ze Stacey, będąc na zakupach.

Toby skinął nieprzytomnie głową, przestawiając serwetnik i zaglądając za niego z nachmurzoną miną.

- A gdzie sztuce?

Pokazałam zęby w uśmiechu, kręcąc pobłaźliwie głową.

- Jesteś w Nowym Jorku, więc jedz jak wszyscy - rękami, eleganciku!

Mama Toby'ego dobrze go wychowała, i nigdy nie widziałam, żeby jadł pizzę bez noża i widelca.

- Serio? - Ledwie wziął swój kawałek do ręki, gdy ten natychmiast oklapł, zwisając smutno nad talerzem. Toby ściągnął brwi, podtrzymując ciasto drugą ręką, by chwycić w zęby węższy koniec.

- Wy, Brytyjczycy, jesteście beznadziejni w jedzeniu pizzy - zażartowałam, mrugając do niego.

- Akurat. Amerykanie to dziwaki.

- Patrz, jak to się robi. - Podniosłam swój kawałek, zginając go wzdłuż na pół i odgryzając spory kęs. Gdy poczułam na języku tłusty, ciągnący się ser, zamruczałam z uznaniem.

Zrobił tak jak ja: złożył pizzę na pół i odgryzł olbrzymi kęs,

rozkoszując się jej smakiem z zamkniętymi oczami. Uśmiechnęłam się, wolno przeżuując i rozglądając się po tłoczonym lokalu.

- Stało się. Już nigdy nie spojrzę tak samo na angielską pizzę. Od teraz każdą będę porównywał do tej nowojorskiej - oświadczył Toby i odgryzł kolejny wielki kęs. - Niebo w gębie - wymamrotał z pełnymi ustami.

- Nie to, co te wasze ohydne placki mięsne z tłuczonymi ziemniakami i jakimś zielonym świństwem, które wy, londyńczycy, nazywacie jedzeniem - zawtórowałam. Nigdy nie ciągnęło mnie do knajpek serwujących to danie, którym Toby tak się zachwycał: purée było ciężkie i bez masła, placek mdły, a ciasto jakieś dziwne, i na domiar złego wszystko pływało w okropnym sosie pietruszkowym. Jakby już to nie przyprawiało o mdłości, większość osób dodawała do tego jeszcze ocet. Obrzydlistwo.

- Ej, nie obrażaj naszej tradycyjnej kuchni - skarcił mnie żartobliwie Toby, unosząc wymownie brwi.

Zaśmiałam się i dalej przeżuwałam w ciszy, a potem rozmowa zeszła na nieuchronny temat - jego powrót do domu. Unikaliśmy go przez cały ranek.

- Ellie, tak mi przykro, że nie mogę dłużej zostać. Czuję się jak tłuć, że wracam do domu i zostawiam cię tu samą - oświadczył ze skrucą i zanurzył zęby w pizzy.

- Nie jestem sama. Nic mi nie będzie. Obiecuję.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, odkładając przypieczoną skórkę, po czym odchylił się do tyłu i pomasaował po brzuchu ze smakiem.

- Więc jak długo jeszcze będziesz musiała tu zostać? Mam już planować kolejną podróż i załatwić sobie zastępstwo na dwa tygodnie, czy może zdążysz wrócić do tego czasu? - zapytał, przyglądając mi się uważnie.

Nie byłem pewna, czy jesteśmy gotowi na tę rozmowę ani na to, by poradzić sobie z jej konsekwencjami.

- Nie mam pojęcia, Toby... - przełknęłam ślinę i zapatrzyłam się w talerz, wycierając palce w serwetkę. Straciłam apetyt. Ze strachu i nerwów ścisnęło mnie w żołądku. - Nie wiem, co się wydarzy. Jeśli mama się nie ocknie... - Zamknęłam oczy, czyniąc sobie wyrzuty, że w to wątpiłam, ale minęło już półtora tygodnia; miała nikłe szanse. - Trzeba będzie pomyśleć o Kelsey - dokończyłam.

Skinął głową, stukając palcem w blat stołu, wyraźnie zaniepokojony tym, w jakim kierunku zmierza ta dyskusja.

- Jeśli zdarzy się najgorsze i twoja mama się nie obudzi, to co wtedy?

Nie spodobał mi się nerwowy ton jego głosu.

- Przejmę opiekę nad Kelsey - wyszeptałam, przenosząc na niego wzrok. Nie mogłabym jej znowu zostawić. Obiecałam, że tego nie zrobię.

Pokiwał wolno głową i rozsiadł się na kanapie, jakby celowo starając się wyglądać na rozluźnionego.

- Myślisz, że będzie chciała się przenieść do Anglii?

Powoli wypuściłam powietrze z płuc. Nie rozmawiałam z nią na ten temat, nie chciałam się przyznać, że mam wątpliwości, czy mama przeżyje, ale nie wydawało mi się, żeby tego chciała. Musiałaby rozstać się z przyjaciółmi, zostawić dom,

zrezygnować ze szkoły tylko po to, żeby pojechać za siostrą do obcego kraju, w którym nikogo nie znała. Nawet bez pytania jej o zdanie byłam prawie pewna, że nie było to coś, co by chętnie zrobiła. I nigdy bym jej do tego nie zmuszała. Tu był jej dom; nie miałam prawa jej stąd zabierać wyłącznie dla własnych korzyści.

- Nie sądzę - wymamrotałam.

Drgnęła mu powieka, a jabłko Adama podskoczyło, gdy przełknął ślinę.

- Ja też.

- A ty byś się tu przeprowadził? - zapytałam, ale w głębi duszy znałam odpowiedź. Toby zostawił w domu dzieci; był świetnym ojcem, cieszył się każdą spędzoną z nimi chwilą, i nigdy by się nie przeniósł do innego kraju. Szczerze mówiąc, nie chciałam tego. Kochałam jego dzieci i nigdy nie pozbawiłabym ich ojca.

Toby pochylił się do przodu, kuląc ramiona, i ujął moją rękę leżącą na stole. Zmrużywszy przeprasząco oczy, zacisnął usta w wąską kreskę.

- Ellie, przecież mam chłopców - wyszeptał.

Pokiwałam energicznie głową.

- Wiem.

Wypuścił przeciągle powietrze z płuc i przeczesał palcami włosy.

- Nie wiem, co nam pozostało. Musielibyśmy znaleźć jakiś kompromis, jeśli to w ogóle możliwe.

Nasza sytuacja nie dawała żadnego pola do kompromisu - oboje to wiedzieliśmy, ale baliśmy się przyznać.

- Związki na odległość nigdy się nie sprawdzają - wymamrotałam łamiącym się głosem, a moje serce przepełnił ogromny smutek.

Toby przełknął ślinę. Moje słowa zawisły w powietrzu. Przez długą chwilę po prostu patrzeliśmy na siebie w ciszy. Nie był naiwny; wiedział, co to znaczy.

Nagle potrząsnął głową i lekko ścisnął moją dłoń.

- Nie dajmy się zwariować. Martwimy się o coś, co być może nigdy nie nastąpi. Twoja mama może się obudzić lada dzień, a gdy poczuje się lepiej, zaopiekuje się Kelsey, i będziesz mogła wrócić do domu.

Dom. Na dźwięk tego słowa poczułam się jeszcze gorzej. Po powrocie zrozumiałam, że mój dom jest właśnie tutaj. Tam, w Anglii, tylko się oszukiwałam i ukrywałam przed problemami, próbując być kimś, kim nie byłam. Jednak teraz po śmierci taty i tym wszystkim, co działo się z mamą, w głębi duszy wiedziałam, że już nie chcę stąd wyjeżdżać, nawet jeśli mama wyzdrowieje. Już raz wyjechałam i straciłam cenne chwile, które mogłam spędzić z rodziną. Chciałam być blisko nich, żeby zawsze mogli na mnie liczyć. Niestety, to oznaczało, że nie mogłam być z Tobym. Wybór był niezwykle trudny, ale moje serce, chociaż rozdarte bólem, już go dokonało. I on chyba też to wiedział. Wpatrywał się we mnie wzrokiem pełnym zrozumienia, ale widziałam, że cierpi.

W końcu odchrząknął dziwnie.

- Zostawmy to na razie. Pomyśli się, jak przyjdzie co do czego. Nie ma co martwić się na zapas. Twoja mama może wyzdrowieć. - W jego głosie pobrzmiwał sztucznie radosny

ton, który dało się wyczuć na kilometr.

Wiedział, tylko nie chciał tego przyznać. Żadne z nas nie chciało. Tak dobrze nam się układało, a tu jeden wypadek i jeden telefon praktycznie przekreśliły cały nasz związek. Nigdy nie udałoby nam się wrócić do tego, co mieliśmy. Ta świadomość sprawiła, że zrobiło mi się słabo.

Zmusiłam się do uśmiechu, starając się, by wyglądał szczerze.

- Racja, skupmy się na chwili obecnej - przytaknęłam. - Zobaczymy, co się wydarzy. - Spojrzałam na zegarek; dochodziła pierwsza. - Chodźmy, czas na nas.

Pociągnąwszy jeszcze jeden łyk napoju, pokiwał głową i wstał, zgarniając z kanapy torbę z pamiątkami i podając mi rękę. Z uśmiechem wsunęłam w nią moją drobną dłoń i wyszłam za nim z pizzerii, zmierzając ruchliwą ulicą w kierunku przystanku autobusowego.

Droga powrotna minęła nam głównie w ciszy, zakłócanej jedynie przez buczenie silnika i szmer rozmów pozostałych pasażerów. Było trochę niezręcznie. Oboje cierpieliśmy, ale zamiast się sobie zwierzyć woleliśmy uporać się z tym na własną rękę.

Gdy dotarliśmy do domu, Toby spakował śnieżne kule i inne drobiazgi do walizki, i zaczął żegnać się z moją rodziną. Babcia sprawiała wrażenie bardzo zasmuconej jego wyjazdem; w tym krótkim czasie zdążył jej przypaść do serca. Kelsey przytuliła go mocno i kazała mu obiecać, że zadzwoni, bo inaczej „będzie miał fest przetentegowane” - trzeba przyznać, że doskonale opanowała jego powiedzonka.

Patrzyłam na to ze ściśniętym gardłem. Widząc, jak swobodnie rozmawia z moimi bliskimi i jak dobrze rozumie się z moją młodszą siostrą, czułam, że pęka mi serce. Zamrugalam, żeby odpędzić łzy, smutek i wzbierające we mnie przygnębienie.

- Gotowy? - zapytałam i odchrząknęłam.

Spojrzał na mnie i potwierdził ruchem głowy.

- Tak. - Odwrócił się ponownie do babci i posłał jej czarujący, lekko przekrzywiony uśmiech, ukazując urocze zmarszczki w kącikach oczu. - Dziękuję za gościnę. I za jedzenie na drogę. - Pokazał wszystkie zęby w uśmiechu i poklepał plecak.

- Nie ma za co, słodziutki. Odwiedź nas wkrótce - żegnała go babcia, pochylając się i jeszcze raz całując w policzek. Wyszłam z domu i skierowałam się do samochodu, by nie patrzeć na ich pożegnanie. Chyba już starałam się zdystansować. W dużej mierze to dzięki Toby'emu doszłam do siebie po Jamiem; tak wiele mu zawdzięczałam, a teraz to wszystko miało się skończyć. Nie chciałam tego.

Toby dołączył do mnie po chwili, wepchnął walizkę na tylne siedzenie, a potem zajął przy mnie miejsce dla pasażera.

- Twoja babcia zapakowała mi trochę ciasta bananowego na podróż.

Uśmiechnęłam się i, ścisnąwszy mocno kierownicę, uruchomiłam silnik.

- Ale wiesz, że nie wpuszczą cię z nim do samolotu?

- Wiem - przytaknął. - Chyba po prostu chciała się poczuć potrzebna. Nie byłaby sobą, gdyby nie nakarmiła wszystkich dookoła. - Rozgryzł ją zaledwie w tydzień. Pokiwałam głową

z uśmiechem, a potem znowu zapadła cisza. Staralam się nie smucić, lecz gdy dotarliśmy na lotnisko, byłam już bliska płaczu i ledwo się trzymałam.

Wysiadłszy z auta, Toby spojrział w bok i uśmiechnął się, po czym zaczął grzebać w plecaku, z którego wyjął papierową torbę pełną kanapek, ciastek, chipsów i soków w kartonikach.

- Zaraz wrócę - rzucił pod nosem i gdzieś pobiegł. Osłoniłam oczy przed słońcem, patrząc, jak podchodzi do bezdomnego mężczyzny, który przeszukiwał kubły na śmieci, i wręcza mu torbę. Wdzięczność bezzębnego mężczyzny widać było nawet z daleka.

Serce zabiło mi mocniej w piersi i ponownie ogarnął mnie żal, że sprawy nie ułożyły się inaczej i że nie mogłam z nim zostać.

Gdy wrócił, uśmiechnął się do mnie i wziął mnie za rękę; w drugiej dłoni ścisnął walizkę, którą ciągnął za sobą w kierunku ruchliwego terminalu. Przekroczywszy jego próg, poczułam się trochę nieswojo - ostatnio, gdy stąd wylatywałam, byłam sama i miałam złamane serce. Teraz, gdy znów tu stałam, szykując się na pożegnanie osoby, która pomogła mi się pozbierać, serce ponownie mi krwawiło.

Po odprawie bagażowej podeszliśmy do ludzi czekających w kolejce do kontroli bezpieczeństwa - dalej nie wolno mi było iść. Toby odwrócił się, posyłając mi ten uroczy, przekrzywiony uśmiech, i nie mogłam już dłużej walczyć ze łzami, które zaczęły spływać strumieniami po moich policzkach. Objął mnie, przyciskając do siebie tak mocno, że niemal mnie zmiażdżył. To nie był zwykły uścisk na pocieszenie - trwał

znacznie dłużej, jakby on też nie chciał mnie puścić. Staliśmy tak uczeplieni siebie, a krzątający się wokół ludzie przechodzili obok nas obojętnie, zupełnie nieświadomi naszego bólu.

W końcu Toby oderwał się ode mnie i ujmując moją głowę, wbił we mnie szkliste spojrzenie jasnozielonych oczu, w których dostrzegłam zrozumienie, akceptację, ale też smutek. Czaiła się w nich boleść niewypowiedzianego rozstania. Wiedział, że nie wrócę do Anglii, i to rozumiał.

- Naprawdę cię kocham, wiesz o tym? - powiedział szeptem. Przytaknęłam, zanosząc się szlochem.

- Ja ciebie też. - I rzeczywiście kochałam; być może nie była to obezwładniająca, porywająca i upajająca miłość, jaką przeżyłam w przeszłości, ale kochałam go szczerze.

Uśmiechnął się słabo i pochylił, całując mnie delikatnie, lecz zapamiętałe w usta. Włożył w to tyle uczucia, że niemal zważyło mnie z nóg. Załkałam i ściskając w dłoniach jego koszulę, przywarłam jeszcze mocniej do niego, chłonąc każdy szczegół, starając się zachować jak najwięcej w pamięci, by nigdy nie zapomnieć tego cudownego - nie namiętnego, ale czułego - pożegnalnego pocałunku.

Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął mi z oczu. Czułam się, jakbym żegnała najlepszego przyjaciela - pusta w środku i przytłoczona.

Nie mogłam jednak pozwolić, by ogarnęło mnie przygnębienie, bo już nigdy bym się z niego nie otrząsnęła. Musiałam zająć czymś głowę. Jeszcze przyjdzie czas na łzy; teraz nie mogłam się rozkleić.

Zamiast wrócić do domu postanowiłam złożyć krótką wizytę

przedsiębiorcy pogrzebowemu, żeby zapewnić go, że wkrótce ureguluję rachunek. Potrzebowałam jeszcze kilku dni, żeby wszystko załatwić, i chciałam mu to wyjaśnić.

Zaparkowałam na niewielkim parkingu obok biura Zakładu Pogrzebowego Mortimer & Witcombe i chwyciwszy torebkę, ruszyłam w kierunku wejścia. Gdy dzwonek zawieszony nad drzwiami dźwięcznie oznajmił moją obecność, puszysta kobieta o włosach pokrytych niebieską płukanką podniosła wzrok i rozciągnęła usta w życzliwym uśmiechu.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

- Czy mogłabym zamienić słowo z panem Mortimerem? Nazywam się Ellie Pearce. Pan Mortimer zajmował się w zeszłym tygodniu pochówkiem mojego taty - powiedziałam, nerwowo pocierając dłonie. Nie lubiłam tego miejsca. Było przesiąknięte śmiercią i smutkiem. Już od progu poczułam się jeszcze gorzej niż przed godziną, kiedy żegnałam się z Tobym.

- Oczywiście. Akurat ma przerwę między spotkaniami. Zaprowadzę panią do jego gabinetu - odparła, otrzepując spódnicę od blad różowego kostiumu. Podążyłam za nią wolnym krokiem, zatrzymując się dopiero przed pokojem, w którym urzędował pan Mortimer; wiedziałam, że należał do niego, ponieważ w ostatnim czasie często tu bywałam. Recepcjonistka zapukała delikatnie do drzwi. - Maurice, przyszła do ciebie pani Pearce.

- Dziękuję, Beryl. Niech wejdzie.

Odwróciła się i przywołała mnie ruchem dłoni, otwierając drzwi na oścież. Uśmiechnęłam się w podzięcie i weszłam do środka, zawieszając wzrok na panu Mortimerze, który siedział

za biurkiem. Mężczyzna wstał i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką, by się przywitać.

- Witaj, Ellie! Jak się masz? - Uścisnął mi dłoń, a drugą ręką chwycił mnie za przedramię; zapewne doskonalił ten gest przez wiele lat, aby wyrażał szczere współczucie - jeśli można tak powiedzieć o uścisku dłoni.

- Dziękuję, dobrze. Chciałam panu osobiście podziękować za pomoc przy pogrzebie. Wszystko przebiegło nadzwyczaj sprawnie - oświadczyłam, ale on już to wiedział. Był na miejscu i wszystko nadzorował.

- Nie ma za co. - Wskazał ręką, żebym usiadła, a sam przycupnął na brzegu biurka twarzą do mnie.

- Chciałam także zapewnić pana, że wkrótce ureguluję rachunek. Napotkałam drobne trudności, bo niedawno wróciłam z zagranicy, ale obiecuję, że za kilka dni wszystko będzie załatwione. Dzwoniłam już do mojego banku w Anglii i mają przelać pieniądze na moje stare konto w Stanach, żebym mogła je wypłacić, ale trochę to potrwa. Nie przypuszczałam, że będą z tym takie problemy - wyjaśniłam.

Na szczęście miałam odłożone pieniądze na ślub. Teraz jednak wyglądało na to, że znajdą inne przeznaczenie.

- Ależ wszystko zostało już uregulowane - zauważył pan Mortimer i nie kryjąc zmieszania, ściągnął brwi.

- Za nic jeszcze nie płaciłam - zaprzeczyłam, kręcąc głową.

Wykrzywił twarz w uśmiechu, który sugerował, że jest mu mnie żal, jakby rozmawiał z kimś niezupełnie zdrowym na umyśle.

- Wszystkie koszty zostały pokryte w całości w piątek rano.

- Co, proszę?

- Nic nam nie jesteś winna. Jakiś mężczyzna zadzwonił w dniu pogrzebu, żeby upewnić się, że wszystko jest gotowe na uroczystość. Zapłacił kartą. Twierdził, że jest przyjacielem rodziny i robi to na twoją prośbę.

Zaniemówiłam. Chodziło o tysiące dolarów; niemożliwe, by ktoś zadzwonił, ot tak, i spłacił mój dług. Chyba że... był to Toby? Czyżby zrobił to bez mojej wiedzy, żeby odjąć mi chociaż jedno zmartwienie? Jeśli tak, to dlaczego nie przyznał się po fakcie? I nagle zrozumiałam, że to nie mógł być on, ponieważ siedział przy mnie, gdy w poniedziałek dzwoniłam do banku z prośbą o przelanie środków.

- Kto to był? Kto za to zapłacił? - chciałam wiedzieć.

Zmarszczył czoło i obszedł biurko, siadając na swoim krześle.

- Niejaki pan Colt albo Cole, czy coś w tym stylu. Tak z głowy nie potrafię powiedzieć. Muszę sprawdzić - odparł, otwierając szufladę z aktami i przeszukując dokumenty.

Pan Cole. Jamie Cole. Gdy usłyszałam jego nazwisko, zeszywniałam, a moje oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Jamie zapłacił za pogrzeb mojego ojca? Czyżby wiedział, że krucho u mnie z pieniędzmi i ledwie mi starczy na pokrycie kosztów? Z wrażenia odjęło mi mowę.

Na tę myśl powrócił dawny sentyment i serce ścisnęło mi się w piersi. Właśnie dlatego się w nim zakochałam; był taki troskliwy i pełen współczucia.

- O, już mam - oświadczył triumfalnie pan Mortimer, wyciągając jasnozielony kwit i przebiegając go wzrokiem. -

Zgadza się, pan J. Cole. Opłacone w całości. – Położył kartkę na biurku i pchnął ją w moją stronę. – Nie powinienem był przyjmować od niego płatności? Nie znasz nikogo takiego? – Jego oczy zwięziły się w niepokoju; wyglądał teraz na lekko zmartwionego.

– Znam – przyznałam cicho.

Zacisnęłam usta, niepewna, co o tym wszystkim sądzić. Opuściłam wzrok na dłonie, bijąc się z myślami. Czyżby zrobił to celowo, licząc, że się o tym dowiem i będę mu coś winna? Nie, on by się tak nie zachował. Ale z drugiej strony, nie znałam go tak dobrze, jak mi się zdawało. Jedno wiedziałam na pewno: będę musiała się z nim spotkać i dowiedzieć się, dlaczego, do licha, mieszał się w sprawy, które jego już nie dotyczyły. Wcale mi się to nie uśmiechało.

– Ellie, wszystko w porządku? – zapytał z troską pan Mortimer, dotykając mojego łokcia.

Podskoczyłam zaskoczona. Nie zauważyłam, że znów obszedł biurko i przykucnął przy moim krześle.

– Tak, wszystko gra – przytaknęłam, zmuszając się do uśmiechu. – Po prostu nie miałam pojęcia, że pan Cole już zapłacił. Cieszę się, że otrzymał pan pieniądze i przepraszam, że zajęłam panu czas. – Wstałam, pragnąc jak najszybciej opuścić pokój.

Mężczyzna wsparł się na podłokietniku i także wstał.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Wyglądasz na roztrzęsioną.

Przywołując na twarz uśmiech, pokiwałam energicznie głową i wyciągnęłam ku niemu rękę.

- Jeszcze raz dziękuję za przepiękną ceremonię. -
Uścisnęłam jego kluchowatą dłoń i zwróciłam się w stronę drzwi, pospiesznym krokiem przemierzając korytarz. Nie odwróciłam się, nawet gdy recepcjonistka krzyczała za mną: „Do widzenia”.

Zatrzymałam się dopiero za drzwiami. Odeszłam na bok, tak aby kobieta mnie nie widziała, i oparłam się o ścianę, głęboko oddychając. Znowu czułam ucisk w klatce piersiowej i zbliżający się atak paniki.

Dlaczego? Dlaczego on mi to zrobił? Dlaczego nie zostawił mnie w spokoju? Po co wywlekał na wierzch dawne uczucia, które powinny zostać dokładnie tam, gdzie ich miejsce - w przeszłości?

Rozdział 18

Czuwając na niezbyt wygodnym szpitalnym krześle przy łóżku matki, zastanawiałam się, ile jeszcze byłam w stanie wytrzymać.

Wiele się nawarstwiło: śmierć taty, jego pogrzeb, perspektywa przejęcia opieki nad Kelsey, gdyby doszło do najgorszego, wczorajsze pożegnanie z Tobym oraz świadomość tego, że nasz związek właściwie przestał istnieć z powodu decyzji, którą już dawno podświadomie podjęłam. I jeszcze, na domiar złego, Jamie spłacił mój dług. Podobno diamenty powstają pod presją, byłam jednak pewna, że ta presja powoli zetrze mnie w pył.

Westchnęłam i pochyliłam się, ostrożnie ujmując dłoń matki.

- Mamo, nie wiem, czy mnie słyszysz, ale jeśli tak, obudź się, proszę - wyszeptałam. Przymknęłam powieki i przycisnęłam jej dłoń do policzka. - Potrzebuję cię. Kelsey także cię potrzebuje. Nie wiem, jak długo jeszcze dam radę; tyle się dzieje, tyle jest smutku i cierpienia. Robię dobrą minę do złej gry, ale ciężko mi nad tym wszystkim zapanować. Czuję się, jakbym tonęła, i nie wiem, co robić. Staram się być dobrej myśli, ale ilekroć tu przychodzę, ogarnia mnie strach, że ty też mnie opuścisz, a tego już chyba nie zniosę. Nie mam już siły walczyć, więc proszę, jeśli mnie słyszysz, obudź się.

Otworzyłam oczy, przenosząc wzrok na miarowy sygnał

pojawiający się na monitorze EKG. Żadnych zmian. Nic a nic. Gdyby mnie słyszała, na pewno czymś by się to objawiło.

- Proszę cię, mamó. Nie mogę organizować kolejnego pogrzebu. Ani ja, ani Kels nie możemy stracić kolejnego rodzica. Jesteś nam potrzebna, więc się nie poddawaj. Proszę, obudź się - błagałam, ponownie spoglądając na monitor pracy serca. Bez zmian.

Przełknęłam ślinę, czując gdzieś w środku rozczarowanie. Miałam ochotę zaszyć się w ciemnym pokoju, skulić się w sobie i zatopić w ciszy. Ogarniało mnie coraz większe przygnębienie, powoli spychając mnie w mroczną otchłań. Gdybym na to pozwoliła, całkowicie by mnie pochłonęło i pogrążyło w bezdennym smutku. Ale nie mogłam na to pozwolić. Nie mogłam się poddać ze względu na Kelsey. Ciężko mi było zachować optymizm czy choćby jego pozory, ale byłam to winna młodszej siostrze i nie mogłam jej zawieść.

- Muszę już iść. Przyjdę później z Kels i babcią. - Wstałam i nachyliłam się nad mamą, całując ją w policzek. - Śpij smacznie, tylko obudź się wkrótce. - Odeszłam od łóżka, zabrałam torebkę i czasopisma, i skierowałam się do wyjścia. Przemierzając szpitalny korytarz, zastanawiałam się, ile jeszcze razy będę musiała tu przyjść, zanim będzie wiadomo, co ją czeka.

W drodze do samochodu wyciągnęłam z torebki telefon i wyłączyłam tryb samolotowy. Już miałam go schować z powrotem, gdy nadeszła wiadomość od babci.

„Jak będziesz wracać, kup, proszę, trochę mielonego, pomidory i jajka”.

Odpisałam jej krótko „OK” i wsiadłam do samochodu. Zamknęłam oczy i zacisnęłam palce na kierownicy – tak mocno, że zaboląło.

- Nie chcę już być dorosła – wymamrotałam do siebie.

Wzięłam kilka głębokich oddechów, by uspokoić skołatane nerwy, i przekręciłam kluczyk w stacyjce, pompując gazem, ale silnik męczył się i nie chciał odpalić. Mój wóz nigdy nie był niezawodny; najwyraźniej ostatnie dwa tygodnie ciągłego jeżdżenia nadwyrężyły staruszkę. Za drugim podejściem silnik ruszył, a w tylnym oknie zatrzepotał wielki pióropusz czarnego dymu, który nie rokował dobrze. Chyba wkrótce trzeba będzie kupić nowe auto, pomyślałam. Skoro miałam być odpowiedzialna za Kels, nie mogłam jeździć takim gruchotem.

Kolejne zmartwienie...

Zajechałam pod sklep znajdujący się w połowie drogi między szpitalem a domem, wyskoczyłam szybko z wozu i zgarnęłam z półek wszystko, o co prosiła babcia, oraz batonik czekoladowy. Potrzebowałam zastrzyku energii.

Stojąc w kolejce do kasy, przed głównym wejściem dostrzegłam wysokiego mężczyznę o oliwkowej cerze – na oko trzydziestoparolatek, ubrany w ciemne dżinsy, czarną koszulkę z długimi rękawami i skórzaną, motocyklową kamizelkę. Odniosłam wrażenie, że gapi się na mnie. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, szybko odwrócił wzrok, upuszczając niedopałek papierosa na ziemię i przydeptyując go ciężkim czarnym glaniem. Było w nim coś niepokojącego: to, jak stał i zdawał się mi przyglądać, a potem prędko umknął

wzrokiem w bok, przejęło mnie dreszczem – aż włosy zjeżyły mi się na karku.

- Dziewięć osiemdziesiąt pięć.

Podskoczyłam zaskoczona i spojrzałam na kasjerkę, młodą dziewczynę głośno przeżuwającą w ustach gumę do żucia, która czekała z wyciągniętą ręką i znudzoną miną. Nie zauważyłam, kiedy dotarłam do kasy. Otworzyłam torebkę, wyjęłam z niej dziesięciodolarowy banknot i podałam dziewczynie, po czym szybko schowałam zakupy do torby. Gdy ponownie spojrzałam na drzwi, typa już nie było, a nieprzyjemne uczucie w moim brzuchu minęło.

Pewnie coś sobie ubzdurałam.

Zawiesiłam torebkę na ramię, zabrałam zakupy i rozerwałam zębami opakowanie batonika. Zmierzając przez pusty parking na tył sklepu, łapczywie pożerałam go wielkimi kęsami, nie tracąc czasu na delektowanie się smakiem. Po prostu potrzebowałam cukru. Gdy doszłam do garbusa, zaczęłam szukać w kieszeni kluczyków, zonglując w rękach torbą z zakupami i batonikiem.

Nawet się nie zorientowałam, kiedy coś pchnęło mnie z tyłu. Przywaliłam brzuchem i klatką piersiową w samochód; stęknęłam ciężko, wydając z siebie głośne „uch!”, a wszystko, co niosłam, runęło na ziemię. Coś przygniotło moje plecy, przypierając mnie do boku auta.

- Co?! - krzyknęłam z paniką w głosie.

Ktoś chwycił mnie za włosy i pociągnął w dół, tak że widziałam jedynie stopy, beton, rozsypaną dokoła zawartość mojej torebki i jajka, które przeciekały przez dno papierowej

torby.

- Stul dziób! Jeśli piśniesz choćby słowo, poderżnę ci gardło
- warknął mi do ucha jakiś facet, przygniatając mnie jeszcze mocniej swoim ciałem.

Oddychałam szybko, płytko, starając się pojąć, co się dzieje i co, do cholery, powinnam zrobić. I wtedy odezwał się we mnie instynkt przetrwania; odepchnąwszy się od wozu, zaczęłam się szarpać i wić, próbując się uwolnić. Już otworzyłam usta, żeby wrzasnąć ile sił w płucach, gdy nagle poczułam na szyi coś zimnego i ostrego. Załkałam i zacisnąwszy oczy, natychmiast przestałam się szamotać.

Umrę. Zaraz zginę. W głowie kołatała mi się tylko ta jedna myśl.

Wtem na parking wpadł jakiś samochód, zatrzymując się za mną z piskiem opon. Mężczyzna szarpnął mnie do tyłu i lekko drasnął nożem. Zachłysnęłam się powietrzem i natychmiast chwyciłam jego rękę, próbując odciągnąć ją od szyi. Oczy zaszyły mi łzami. Rozejrzałam się w lewo i w prawo, szukając pomocy, modląc się, by ktoś przyszedł mi na ratunek. Ale w pobliżu nie było widać żywej duszy. Znajdowaliśmy się na tyłach sklepu, więc z ulicy też nikt nas nie mógł zobaczyć.

- Załaduj ją na tył - za moimi plecami odezwał się kolejny głos. Gdy usłyszałam, jak otwierają się drzwi, ogarnęła mnie panika. W uszach czułam dudnienie własnego serca. Czyjaś ręka objęła mnie w pasie, praktycznie podnosząc z ziemi i wlokąc w stronę ciemnoniebieskiego auta, które przed chwilą zajechało. Wiedząc, że nie mogę dać się wpakować do środka, zaczęłam wierzgać dziko nogami, drapać paznokciami

i wymachiwać rękami, byle tylko się wyswobodzić.

- O cholera! Czy to...? - syknął ten nowy koleś i nagle ten, który mnie trzymał, zwolnił chwyt w pasie i puścił moją szyję. Upadłam ciężko na ziemię i poleciałam twarzą do przodu, raniąc sobie przy tym dłonie i kolana. Coś przygniotło moje nogi, przygważdżając mnie do podłoża.

Z trudem złapałam oddech i odwróciłam głowę do tyłu, aby zobaczyć, co się stało, jednocześnie zbierając siły, żeby się uwolnić, wstać i pobiec ile tchu w piersiach w stronę ulicy.

Potrzebowałam chwili, żeby ogarnąć to, co ujrzałam. Facet, który mnie trzymał, i jak się okazało, ten sam, który obserwował mnie przed sklepem, leżał w poprzek moich nóg, przygniatając je skutecznie poniżej kolan. Oczy miał zamknięte, a ciało wiotkie. Z tyłu jego głowy powoli sączyła się krew, spływając mu cienką strużką za uchem i po policzku.

Niecały metr dalej moje oczy wychwyciły jakiś ruch. Gdy zrozumiałam, co to było, trochę się uspokoiłam. Jamie. Natychmiast wiedziałam, że to on, choć jego twarz zasłaniała czerwona czapka z daszkiem. Wszędzie bym go rozpoznała. Stał nonszalancko z kijem bejsbolowym w dłoni, którym obracał tak jak bejsboliści pragnący się popisać. Nie patrzył na mnie; wbijał wzrok w drugiego koleśia, tego, który podjechał autem.

- Chłopie, teraz to masz przesrane - prychnął, podchodząc do drugiego mężczyzny i grożąc mu kijem.

Koleś energicznie potrząsnął głową, podnosząc ręce w geście kapitulacji, ale Jamie albo miał to gdzieś, albo tego nie widział, bo się na niego zamachnął. Wzdrygnęłam się,

słyszając odrażający głuchy jęk drewna uderzającego o ciało i kości w kolanie. Mężczyzna zawył z bólu i natychmiast zwałił się na ziemię, jedną dłonią sięgając za siebie i czegoś szukając, a drugą osłaniając twarz. Jamie opuścił kij i tym razem walnął nim z całej siły w rękę faceta.

Wygramoliłam się spod bezwładnego ciała i wstałam. Niestety, nogi odmówiły mi posłuszeństwa i potoczyłam się do przodu, wpadając na garbusa. Zdołałam utrzymać pion, a kiedy się odwróciłam, ten drugi typ leżał na boku, z ręką wykrzywioną pod tak makabrycznie dziwnym kątem, że żołądek podjechał mi do gardła. Zdrową ręką nadal gmerał za plecami. Patrzyłam na tę scenę z przerażeniem, a serce biło mi jak szalone.

Oprych w końcu wyjął rękę z za pleców, ściskając w pięści czarny pistolet, i ruchem tak zwinnym, że tylko mignął mi w oczach, wycelował go w Jamiego.

- Uważaj! - krzyknęłam, ale Jamie był już przygotowany. Zamachnął się nogą i kopnął wyprostowaną rękę zbira tak, że odskoczyła w bok, zanim ten zdążył pociągnąć za spust.

Kiedy typ ponownie w niego wymierzył, Jamie uniósł stopę i opuścił energicznie, przydeptując jego nadgarstek. Następnie pochylił się i szybko wyjął mu broń z dłoni. Stał odwrócony do mnie plecami, ale widziałam po jego posturze, że był wściekły - ramiona sztywne, mięśnie naprężone. Podniósł pistolet i rąbnął nim bokiem w twarz mężczyzny. Krew momentalnie chlusnęła mu z nosa, a jego ciało przestało się ruszać.

Jamie przykucnął i podciągnął mu rękaw, odsłaniając tatuaż

na jego przedramieniu. Usłyszałam, jak wciąga gwałtownie powietrze.

- Sukinsyn - wymamrotał pod nosem, po czym wstał i wetknął pistolet za pasek z tyłu spodni.

Spojrzałam na zmasakrowane ciała nieprzytomnych mężczyzn leżące we krwi obok kałuży rozbitych jajek i nagle zaczęło mi się robić ciemno przed oczami. Oparłam się ciężko o samochód, czując pulsowanie w uszach i mrowienie w dłoniach.

Jamie ruszył w moją stronę, po drodze schylając się po duży, srebrny nóż, którym mi grożono; jego również wsunął sobie za pasek. Nogi chwiały się pode mną. Staralam się głęboko oddychać, ale czułam, że tracę przytomność. Byłam tego pewna, bo mój oddech znacznie przyspieszył i nie mogłam nad nim zapanować. Ogarnęła mnie panika.

- Ellie, już dobrze - wyszeptał Jamie, upuszczając z hukiem zakrwawiony kij u moich stóp. Podszedł bliżej, ujął moją twarz w dłonie i uniósł mi głowę, odciągając mój wzrok od skatowanych ciał. Jego brązowe oczy patrzyły na mnie czule i z troską. - Nic się nie stało, maleńka. Ciii. Wszystko będzie dobrze - uspokajał. Przysunął się jeszcze bliżej i objął mnie jedną ręką, podtrzymując, kiedy zaczęłam osuwać się na ziemię. Moja głowa poleciała bezwładnie do przodu, zatrzymując się w zagięciu jego szyi. Powieki opadły mi z lekkim drzeniem. Jego zapach otoczył mnie bezpiecznie niewidzialną peleryną; doskonale go pamiętałam, jakby zawsze przy mnie był. Właśnie to w połączeniu z łagodnym głosem Jamiego sprawiło, że mój oddech się wyrównał, a serce

przestało galopować.

Staliśmy tak może przez minutę, gdy nagle dobiegł do nas jęk. Czuły, zatroskany wyraz twarzy Jamiego zniknął w jednej chwili. Wyglądał teraz jak wcielenie furii. Zmrużył oczy, wykrzywiając usta w pogardliwym uśmiechu. Spojrzałam za niego i zobaczyłam, że facet, który mnie złapał, odzyskuje przytomność. Był wyraźnie otumaniony; mrugał szybko, usiłując podźwignąć się na kolana.

Jamie odsunął się ode mnie i natychmiast zrobiło mi się zimno, a po plecach przeszedł dreszcz. Zacisnął mocno pięści, a oszołomiony mężczyzna nawet nie zauważył, co go uderzyło. Jamie zamachnął się nogą i kopnął go w brzuch z taką siłą, że ten przetoczył się na plecy, wyjąc z bólu.

To, co wydarzyło się później, przypominało scenę z filmu. W prawdziwym życiu nie widziałam jeszcze takiej przemocy i nie chciałam już więcej widzieć. Jamie usiadł okrakiem na klatce piersiowej bandyty, okładając go raz po raz pięściami po twarzy; za każdym ciosem głowa mężczyzny odskakiwała jak piłeczka. Trysnęła krew, oczy spuchły mu tak, że nie mógł ich otworzyć, twarz momentalnie pokryła się sińcami, a ciało zwiotczało i opadło bezwładnie.

- Jamie, przestań - błagałam szeptem. Oparłam się o stojący za mną samochód i podciągnęłam, modląc się, by nogi mnie utrzymały. - Jamie?

Jakby na zawołanie, przerwał brutalny atak i wstał. Odetchnęłam z ulgą, która nie trwała długo, ponieważ chwycił za broń wystającą mu ze spodni i wyciągnął ją, celując w twarz nieprzytomnego mężczyzny. Załkałam i chwiejnym

krokiem podeszłam do niego, zaciskając mu dłoń na ramieniu i ciągnąc za nie resztką sił.

- Nie! - krzyknęłam z desperacją. - Jamie, nie rób tego, proszę. - Znałam jego przeszłość, wiedziałam, że już raz pozbawił kogoś życia. Opowiedział mi, że stracił nad sobą kontrolę, kiedy zabito jego siostrę - ale to było coś zupełnie innego. Widziałam, że nad sobą panuje; teraz zabiłby z zimną krwią, kierowany żądzą zemsty. Nie mogłam się na to zgodzić.

Gdy odwrócił się do mnie, miał wzrok mordercy i zaciętą minę. Nie przypominał już tego chłopaka, którego kiedyś znałam - zmienił się nie do poznania. Aż przykro było na to patrzeć.

- Ellie, muszę. Dla twojego bezpieczeństwa. - Zmrużył oczy, w których dostrzegłam udrękę, rozpaczliwą potrzebę.

Potrząsnęłam głową i podeszłam bliżej, nie spuszczać z niego wzroku.

- Nie, Jamie. Nie jesteś taki, nie możesz taki być - łkałam.

Zacisnął szczęki, spoglądając na mężczyznę leżącego na ziemi; twarz wykrzywił mu odpychający grymas nienawiści.

Przełknęłam ślinę, niepewna, czy nie toczyłam z góry przegranej walki.

- Nic mi już nie grozi - zapewniłam go, kładąc mu dłoń na policzku. - Nic mi nie jest. Widzisz? - Błagałam go wzrokiem, by nie wyzbywał się dobra, które zawsze w nim widziałam i które nadal w nim tkwiło, choć przysłoniła je wściekłość.

Zamknął oczy i skinął głową, opuszczając rękę. Poczułam ulgę. Zbliżyłam się, obejmując go w pasie ciężkimi, odrętwiałymi rękami.

Zamknął mnie w swoich ramionach i przycisnął brodę do mojej głowy.

- Tak mało brakowało. Nie wiem, co bym zrobił. Nie wiem...
- wymamrotał z ustami przy moich włosach, jeszcze mocniej mnie przytulając.

- Nic mi nie jest - powtórzyłam, wiedząc, że też potrzebuje pocieszenia.

Staliśmy tak przez dobrą minutę; trzymałam się go kurczowo jak tratwy ratunkowej. W końcu się oderwał i odsunął na odległość wyciągniętej ręki.

- Musimy stąd iść. Tam jest mój wóz - oznajmił, wskazując głową czarną beemkę, którą wracałam do domu tego wieczoru, gdy spotkałam go w klubie.

Podążyłam za nim w milczeniu. Zatrzymał się przy garbusie i schylił po moją torebkę, pospiesznie wpychając jej zawartość z powrotem do środka. Gdy wszystko zebrał, ruszyliśmy w kierunku jego samochodu. Przez cały czas obejmował mnie mocno w pasie, bo zataczałam się i chwiałam na nogach. Otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł mi wsiąść, kładąc torebkę przy moich nogach.

- A co z moim autem? - zapytałam ochryłym głosem, opierając głowę na zagłówku i zamykając oczy na kilka sekund. Ujął moje dłonie, oglądając otarcia, które musiały powstać wskutek upadku.

- Nie martw się. Zajmę się tym. - Uniosłam powieki i patrzyłam, jak otwiera schowek, a następnie sięga za siebie po broń i nóż i wkłada je do środka, szybko zamykając skrytkę.

Odwróciwszy się do mnie, chwycił za pas bezpieczeństwa i przypiął mnie nim do fotela, po czym wycofał się, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Gdy obchodził samochód, usłyszałam stłumioną rozmowę, ale nie byłam w stanie się na niej skupić. Usiadł za kierownicą, przerywając połączenie, i wrzucił komórkę do wgłębienia na kubek. Nie miałam nawet siły, żeby zapytać, kto dzwonił.

Uruchomił silnik i zaczął wytaczać się z parkingu.

- Co będzie z nimi? - zapytałam, spoglądając do tyłu na nieprzytomnych mężczyzn. Nie powinniśmy wezwać karetki?

- Naprawdę cię to obchodzi? - odparł cierpko; zerknął we wsteczne lustro i zacisnął szczęki.

Czy naprawdę mnie obchodziło?

- Nie - przyznałam szczerze, kręcąc głową.

- No właśnie.

W trakcie jazdy nie mogłam zebrać myśli. Ulice zlewały się w moich oczach w jedno zamglone pasmo umykające do tyłu. Spojrzałam na swoje zdrętwiałe dłonie; wyraźnie się trzęsły. Kilkakrotnie zacisnęłam je w pięści, próbując opanować drżenie, ale bez powodzenia. Zrezygnowana wsunęłam je sobie pod uda.

Kolejne minuty mijały w milczeniu, a moje myśli wciąż krążyły wokół tego, co się wydarzyło. Ci mężczyźni chcieli wepchnąć mnie do swojego wozu. Kto wie, co by ze mną zrobili, gdyby w porę nie zjawił się Jamie.

Gdy przeniosłam na niego wzrok, dostrzegłam zakrwawione kostki palców zaciśnięte na kierownicy. Mięśnie przedramion miał napięte jak struny; całe jego ciało było spięte i czujne.

Widać było, że w środku kipi ze złości. Gdy przypomniałam sobie czający się w jego oczach morderczy zamiar, musiałam przełknąć ślinę.

Co by się stało, gdybym nie chwyciła go za ramię i nie kazała mu przestać? Czy naprawdę pociągnąłby za spust? Jego spojrzenie mówiło mi, że tak. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie; ta żądza krwi, która płonęła w jego oczach, była przerażająca. W zasadzie powinnam się go bać, powinnam się zastanowić, dlaczego wsiadłam z nim do samochodu po tym, czego przed chwilą doświadczyłam, ale Jamie nigdy nie budził we mnie lęku. On nigdy by mnie nie skrzywdził. Jego ciało skrywało rozdartą, zranioną duszę. Znałam jego demony i wiedziałam, że w jego sercu nie ma zła.

Przynajmniej tak myślałam o Jamiem, którego kiedyś znałam. Człowiek siedzący obok mnie w aucie był inny – niepohamowany, bezwzględny; coś się w nim zmieniło, coś go znieczuliło i uczyniło obojętnym na przemoc. Wiedziałam, że robił różne odrażające rzeczy, kiedy pracował dla Bretta. Widywałam już u niego poranione knykie, nawet je opatrywałam, ale zawsze było mu przykro z tego powodu; czasami bywał milczący i nieobecny, a na jego twarzy malowała się udręka. Teraz nie widziałam na niej ani smutku, ani skruchy, jedynie furiacką złość. Co stało się z chłopakiem, którego kochałam? Gdzie się podział?

- Hej, dobrze się czujesz?

Podskoczyłam, wracając do teraźniejszości, i obejrzałam się na Jamiego. Popatrzył na mnie z troską i odgarnął mi za ucho pasmo włosów, delikatnie muskając palcami mój policzek, na

którym zatrzymał się na ułamek sekundy. Poczułam ciepło na twarzy, przyjemne pieczenie i mrowienie skóry w miejscu, które dotykał.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że siedział na wpół obrócony w fotelu, a silnik już nie pracował. Rozejrzałam się wokół. Podziemny parking.

- Gdzie jesteście? - zapytałam ochryplym głosem, ponieważ zaschło mi w gardle.

- Yyy... to moje nowe lokum - odparł, opuszczając rękę z powrotem na kolana. Zachowywał się teraz bardziej jak Jamie z początku naszej znajomości; był tym samym zdenerwowanym, nieśmiałym kolesiem, który uważał, że nie zasługuje na dobre traktowanie. Serce mi się krajało, widząc, że nadal tak myśli.

- Aha - stwierdziłam, lecz nagle się stropiłam. - Dlaczego mnie tu przywiozłeś? Dlaczego po prostu nie odwiozłeś mnie do domu? - I dlaczego dopiero teraz to do mnie dotarło?!

Wtem na parking zajechał inny samochód i zaparkował obok nas.

- Świetnie, już jest - oznajmił Jamie, gdy z auta wygramoliła się samotna postać. Nie odpowiedział na moje pytanie, tylko wysiadł i zamknął za sobą drzwi, zwracając się do drugiego mężczyzny.

Instynkt podpowiedział mi, że tej rozmowy warto posłuchać, dlatego trzęsącymi się rękami zaczęłam majstrować przy pasie i wreszcie, po kilku nieudanych próbach, wyswobodziłam się z niego. Wydostałam się na zewnątrz i stanęłam tak, aby widzieć obu mężczyzn. Gdy ujrzałam twarz przybysza, jeszcze

bardziej się zasępiłam. Znałam go, spotkaliśmy się już kilka razy. Ray. Facet, który zjawił się na lotnisku zamiast Jamiego i pozbawił mnie złudzeń.

- Jamie? - wymamrotałam niepewnym głosem, opierając się ciężko o drzwi, ponieważ nogi miałam jak z waty i trochę się chwiałam. Pewnie byłam w szoku. Czytałam o tym, ale nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam.

Powiedział coś jeszcze do Raya, odczepił klucz od breloka i podał mu go, po czym odwrócił się do mnie z przyklejonym uśmiechem.

- Ellie, pamiętasz Raya? - zapytał.

Przytaknęłam ruchem głowy i spojrzałam ponownie na Raya, niechętnie przywołując w pamięci wspomnienie z lotniska i ogromne rozczarowanie, jakiego doznałam, kiedy zamiast Jamiego ujrzałam jego twarz. Gdy podeszli, znieruchomiałam.

- Muszę coś załatwić. To nie potrwa długo. Tymczasem Ray dotrzyma ci towarzystwa i zaopiekuje się tobą - oświadczył Jamie, nachylając się do środka samochodu, z którego wyjął moją torebkę i podał Rayowi.

- Chcę po prostu wrócić do domu. Nie potrzebuję niańki - zaprotestowałam, starając się brzmieć stanowczo, niestety z marnym skutkiem, ponieważ głos drżał mi z emocji.

Jamie westchnął głęboko i podszedł bliżej. Za blisko. Wystarczył jeden krok, by się w nim zatopić, objąć go i ukryć w jego ramionach, aż wszystko, co złe, przeminie. To pragnienie było zbyt silne, przytłaczające.

- Nie możesz wrócić do domu, na pewno nie teraz. Ellie, ci kolesie napadli na ciebie, bo chcieli dopaść mnie, dlatego ktoś

musi cię pilnować, dopóki nie załatwię pewnej sprawy. To ważne - wyjaśnił.

Byłam ich celem? To nie była przypadkowa napaść? I to wszystko przez Jamiego? Nic z tego nie rozumiałam. Spojrzałam ponownie na deskę rozdzielczą i schowek. Na myśl o ukrytych broni i nożu przełknęłam nerwowo ślinę, a po plecach przebiegł mi dreszcz. Poczułam czyjś dotyk na ramieniu i podskoczyłam, przenosząc wzrok z powrotem na Jamiego.

- Wyjaśnię ci wszystko, jak wrócę. Obiecuję. Proszę, idź z Rayem na górę, żebym nie musiał się o ciebie martwić. Muszę się teraz skupić. Proszę, zrób to dla mnie. - Patrzył na mnie błagalnie, hipnotyzując głębokim kolorem oczu i tak jak zwykle zmuszając mnie do uległości.

Skinęłam głową. Właściwie nie miałam wyboru. Wiadomo było, że nie ustąpi, a ja nie miałam już siły, by stać, a tym bardziej, żeby upierać się przy swoim.

- Dziękuję. Niedługo wrócę i wszystko ci wytłumaczę - zapewnił z uśmiechem.

Ray podszedł do mnie i chwycił mnie pod ramię, ujmując mi trochę ciężaru, kiedy ruszyłam z miejsca na chwiejnych nogach.

- Wjedźmy na górę. Zaparzę ci herbatę. Pomoże na skołatane nerwy - powiedział łagodnie, prowadząc mnie w nieznanym kierunku.

Gdy zatrzymał się przy windzie i nacisnął przycisk, by ją przywołać, zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że Jamie już wsiadł do samochodu. Pochwycił moje spojrzenie przez szybę.

Przeróżający, bestialski Jamie spod sklepu powrócił i tym razem nie będzie mnie przy nim, by go powstrzymać.

Rozdział 19

JAMIE

Wytoczyłem się z parkingu, zostawiając Ellie pod opieką Raya. Zacisnąłem dłonie na kierownicy i ściągnąłem brwi, myśląc o tym, jak niewiele brakowało, żebym jej nie ocalił. Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy, naprzeciw sklepu; nie przypuszczałem, że coś jej groziło, więc nie pojechałem za nią. Nie chciałem, żeby mnie zobaczyła. Gdyby ten drugi typ nie przemknął obok mnie i nie wparował jak wariat na postój, nigdy bym się nie zorientował, że coś jest nie tak.

- Dureń, kompletny dureń - warknąłem z frustracji, kilkakrotnie uderzając dłonią w kierownicę. Gdy przypomniałem sobie Ellie w łapskach tego oprycha, załała mnie wściekłość. Docisnąłem pedał gazu. Narastający gniew domagał się, by go uwolnić. I tak zamierzałem zrobić, nie bacząc na jej zdanie. Mateo musiał przyplacić to życiem.

Przez jakiś czas jechałem w ciszy, kipiąc ze złości. Wreszcie wstukałem kilka przycisków na desce rozdzielczej i z głośnika dobiegł sygnał nawiązywania połączenia. Dodger odebrał po trzecim dzwonku.

- Cześć, Młody - odezwał się jak zwykle radosnym głosem. Czasami strasznie mnie to wkurzało.

- Dodge, dwóch ludzi Salazarów przed chwilą zaatakowało Ellie. Próbowali ją porwać. - Praktycznie wyplułem te słowa

z odrazą.

- Co takiego? Nic jej nie jest?

- Nie, jest cała. - Dzięki Bogu! - Ale jej napastnicy mieli mniej szczęścia.

- Co to za typy? - dopytywał Dodger.

- Nie wiem, ale na pewno robili dla Salazarów. Widziałem ich dziary. - Przywołałem w pamięci całe zajście i tatuaż węża owiniętego wokół sztyletu na przedramieniu tamtego gościa. - Zrobisz coś dla mnie? - Spojrzałem w lusterka i włączyłem migacz, kierując się na południe do najbliższego z moich klubów.

- Jasne. Co takiego? - Słyszałem w tle, że się przemieszcza, pewnie w jakieś ustronne miejsce, gdzie mógł swobodnie rozmawiać.

- Zadzwoń do detektywa Lewistona i powiedz mu, że masz informacje, które mogą go zainteresować, ale sam musi się postarać o jakąś podkładkę.

Wszystko miałem zaplanowane, ale nie mogłem uderzyć w kilka miejsc naraz. Salazarowie musieli pójść z torbami, wynieść się z miasta albo zginąć. A do tego potrzebowałem pomocy. Detektyw Lewiston już kiedyś okazał się przydatny i teraz też mógł się nam przysłużyć.

- Okej, co mam mu powiedzieć?

- Przekaż mu, że wiesz o trzech fabrykach narkotyków powiązanych z Salazarami. Podaj mu ich adresy w Greenwich Village, Lower East Side i Bronksie. Uczul, że policja powinna jak najszybciej przeprowadzić nalot, bo słyszałeś, że się zwijają i za kilka godzin przenoszą do nowych lokalizacji -

poinstruowałem, zajeżdżając na parking jednego z mniejszych klubów, których byłem właścicielem. Lokal działał tylko wieczorami i w weekendy, więc o tej porze był pusty. Idealnie. - Ja tymczasem pojedę do ich wytwórni na Long Island. Czuję, że znajdę tam Matea. - Sięgnąłem na tylne siedzenie po torbę sportową i wyciągnąłem z niej stary T-shirt, w którym ćwiczyłem na siłowni. Nie przerywając rozmowy, rozdarłem go na pół z głośnym trzaskiem, a potem jeszcze raz na mniejsze kawałki.

- W takim razie weź mnie ze sobą na wypadek kłopotów - zaproponował Dodger.

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością, ale pokręciłem odmownie głową.

- Nie ma takiej potrzeby. Nie spodziewam się tam zbyt wielu osób, a nawet jeśli, to i tak będą na haju.

- Zapomniałeś o Mateo - dodał Dodger; w jego głosie słychać było troskę.

- Poradzę sobie z tą mendą - syknąłem. - Słuchaj, muszę lecieć. Zadzwoń do Lewistona, tylko powiedz mu, żeby przekupił jakąś dziwkę albo ćpuna, którzy potwierdzą tę wersję. Oficjalnie w papierach ma być, że to od nich dostał cynk, nie od nas - objaśniłem, paląc się do akcji.

- W porządku. Gdzie zostawiłeś tych dwóch typów?

Podąłem mu adres, a wtedy on spytał:

- Żyją?

Zamknąłem oczy, żałując, że Ellie nie pozwoliła mi ich wykończyć.

- Tak.

- Dobra, wyślę do nich kogoś.

- I niech ktoś odprowadzi samochód Ellie pod jej dom. To zielony garbus.

- Załatwione. Gdzie jest teraz Ellie? Ktoś ma po nią pojechać? - dociekał.

- U mnie. Ray jej pilnuje, dopóki nie wrócę.

- To dobrze. W takim razie idę dzwonić. Młody, uważaj na siebie, okej?

- Jasne. - Rozłączyłem się, wysiadłem z auta i ruszyłem w kierunku tylnych drzwi. Wszedłem do środka i ciężko stąpając po schodach, skierowałem się prosto do baru, z którego zabrałem cztery butelki whiskey. Zgodnie z moimi przypuszczeniami o tej porze lokal był pusty.

Tyle powinno wystarczyć, pomyślałem, zabierając się do szykowania butelek, które następnie ostrożnie wstawiłem pionowo do torby. Upewniłem się, że mam wszystko, co niezbędne, i pojechałem do naszego magazynu, gdzie przesiadłem się do jednego z samochodów zarejestrowanych na fałszywy adres i nazwisko, żeby nie można mnie było namierzyć. Przebrałem się błyskawicznie w bluzę i na wszelki wypadek naciągnąłem kaptur na czapkę z daszkiem.

Stąd udałem się do opuszczonego budynku, w którym bracia Salazar pichcili swój gówniany towar, licząc, że zastanę tam Matea i szybko się z nim rozprawię. Chciałem wrócić do Ellie i z całym przekonaniem powiedzieć jej, że jest już bezpieczna.

Zaparkowałem na końcu ulicy i przebiegłem kawałek, chowając się za małym sypiącym się murkiem naprzeciwko wytwórni. Zakradłem się dalej, żeby mieć lepszy widok,

zatrzymując się obok dużego wypalonego śladu na trawie. To tutaj pozbywali się chemikaliów. Odwróciłem nos z niesmakiem i wyjrzałem ponad mur, badając teren.

Duży budynek po przeciwnej stronie wyglądał na porzucony; w zasadzie była to pokryta graffiti blaszana rudera z przyciemnionymi oknami. Kiedyś zapewne mieścił się tu magazyn jakiegoś zakładu przemysłowego albo czegoś podobnego, ale teraz barak służył do produkcji setek kilogramów metamfetaminy, czyli „kryształu”, jak mówiło się na nią w ulicznym slangu.

Pozostając w ukryciu, rozejrzałem się w prawo i lewo, mierząc wzrokiem inne budynki na tym małym przemysłowym osiedlu. Jeden był w połowie zawalony, z boku brakowało ściany, a panele dachowe zwisały niepewnie, jakby lada moment miały spaść. Oprócz niego w pobliżu znajdował się tylko mały ceglak, który dawniej mogli zajmować stróże pilnujący tego miejsca. Dach był dziurawy, szyby w oknach powybijane – ewidentnie nikt z niego teraz nie korzystał. Na pustym placu po mojej prawej parkowały trzy samochody, żaden nie dość odjazdowy, by mógł należeć do któregoś z Salazarów.

W ciszy i skupieniu obserwowałem okolicę, czekając na sprzyjający moment i rozważając, czy po prostu nie wparować do środka. Ale nie minęły nawet trzy minuty, kiedy okazja sama się nadarzyła. Zza rogu wyszedł jakiś facet wpatrzony w ekran telefonu komórkowego, wyraźnie pochłonięty tym, co oglądał. To ochroniarz, robił obchód. Uśmiechnąłem się pod nosem, przewieszając sobie torbę przez pierś, żeby jej nie

upuścić, i wyciągnąłem pistolet, skonfiskowany wcześniej koleśowi, który napadł na Ellie. Mogłem użyć własnej niezarejestrowanej broni, ale uznałem, że będzie zabawnie, jeśli zabiję Matea ze spluwy należącej do jego człowieka – taka ironia losu.

Ochroniarz zatrzymał się plecami do mnie, położył rękę na klamce, po czym ponownie ją opuścił i oparł się o ścianę, żeby dokończyć oglądanie.

Przycisnąłem torbę do biodra i podbiegłem do niego. Był tak pochłonięty filmem, że nawet mnie nie zauważył, dopóki nie przystawiłem mu lufy do tyłu głowy. Nagle cały zeszywniał, odruchowo podnosząc ręce do góry, i wtedy zobaczyłem, że oglądał odcinek serialu *Żywe trupy*.

– Ani drgnij, jeśli chcesz wyjść z tego cało – rozkazałem, dociskając lufę do głowy. Zabrałem mu komórkę i wyłączywszy serial, wsunąłem ją do torby. – Ręce na kark – poinstruowałem, cofając się i wbijając mu gnata między łopatki. Mężczyzna posłusznie splótł dłonie za głową, ukazując na przedramieniu tatuaż gangu braci Salazar.

– Dobra. Ilu jeszcze jest ochroniarzy? – Obszukałem go i znalazłem przy nim nóż oraz mały pistolet przypięty do pasa. Zabrałem jedno i drugie, i schowałem ostrożnie do torby.

– Jestem sam – odpowiedział; jego głos brzmiał dużo młodziej, niż się spodziewałem.

– Jeśli kłamiesz... – Jeszcze mocniej wbiłem mu broń w plecy.

– To prawda, przysięgam – odparł pospiesznie. Odwrócił głowę i jego oczy się rozszerzyły. – O cholera, Młody Cole.

Moja reputacja znowu mnie wyprzedziła.

- Uhm. Mateo jest w środku? - warknąłem, gotując się ze złości na dźwięk jego imienia.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie pokazywał się tu od kilku dni.

Jęknąłem w duchu. Naprawdę liczyłem, że tu będzie.

- Ilu jest tam ludzi?

- Trzech, tylko trzech.

- Spodziewasz się wkrótce jakichś dostaw albo odbioru towaru? - zapytałem, spoglądając na ulicę. Nadal była pusta; jak okiem sięgnąć ani żywej duszy.

- Nie, rano mieliśmy dostawę - odpowiedział. Chciałem mu wierzyć, ale musiałem zachować ostrożność. Nie wiedziałem, co lub kogo zastanę w środku.

- Jak się nazywasz?

- Stan.

- W porządku, Stan. Powoli otwórz drzwi, żebym mógł zajrzeć do środka - wskazałem głową drzwi, ku którym się wcześniej kierowałem. - I pamiętaj: jeśli ktoś zacznie strzelać, ty zginiesz pierwszy.

Przełknął ślinę i pokiwał ze zrozumieniem.

- Nie ma nikogo oprócz chemików - zaręczył, otwierając drzwi wystarczająco szeroko, bym mógł zobaczyć, że prowadziły do małej dyżurki z biurkiem, na którym stał monitor.

- Właź do środka - rozkazałem, popychając go nieco do przodu, żeby w końcu się ruszył, bo jego nogi nie za bardzo chciały współpracować. Wszedł do pomieszczenia, a ja ostrożnie omiotłem je spojrzeniem, upewniając się, że jest

puste. – Podejź do biurka. – Ponownie zrobił, jak kazałem. Szedłem za nim krok w krok, nie opuszczając wymierzonej w niego broni.

Na monitorze wyświetlały się trzy czarno-białe obrazy – jeden przedstawiał widok z tyłu budynku, gdzie nic się nie działo; drugi z przodu, gdzie przed chwilą staliśmy; trzeci ukazywał wnętrze laboratorium. W środku było troje ludzi w białych kitlach, gumowych rękawiczkach, okularach ochronnych i maskach, zgodnie z tym, co powiedział Stan.

– Dobra, wejdziemy tam spokojnie i powolutku. Ty pierwszy – chwyciłem go wyciągniętą ręką za bark i uniosłem broń, trzymając ją w gotowości tuż nad jego ramieniem.

Skinął i ruszył powoli przed siebie, tak abym mógł za nim nadążyć. Następnie otworzył metalowe drzwi, które sprawiały wrażenie ciężkich i wiodły do przestronnego laboratorium. Gdy tylko się uchyliły, poczułem w nozdrzach piekący zapach amoniaku i rozpuszczalników i nieprzyjemne drapanie w gardle.

Zajęci pracą chemicy nawet nie podnieśli na nas wzroku. Rozejrzałem się szybko po pomieszczeniu, w którym piętrzyły się przeróżne rzeczy: stosy tabletek na przeziębienie, niezliczone ilości butelek wybielacza, wielkie worki soli, puste butelki po napojach, puszki ze środkiem do udrażniania rur, butle ze sprężonym gazem i wiele innych artykułów gospodarstwa domowego – poczułem się trochę jak w supermarkecie w dziale z chemią.

Ściany szpeciły plamy po chemikaliach, a pośrodku stały długie stoły, przy których chemicy pichcili towar. Na innym

stole po prawej leżał gotowy produkt zapakowany w foliowe torebki; czysty kryształ wart – lekko licząc – kilkaset tysięcy dolarów. W miarę jak posuwałem się w głąb pomieszczenia, zasłaniając się Stanem, oczy zaczęły mi łzawić od gryzących oparów środka czyszczącego. To zastanawiające, jak ci kolesie wytrzymywali tu cały dzień; mieli zwykłe szmaciane maski zakrywające usta i nos, ale to z pewnością nie ochroniłoby ich dróg oddechowych przed działaniem żrących chemikaliów. Stan zaczął kasłać, głośno się krztusząc, po czym splunął na podłogę, a z jego gardła wyrwał się odgłos wyrażający obrzydzenie.

To przykuło uwagę dwóch chemików, którzy natychmiast podnieśli wzrok. Trzeci nie odrywał się od pracy: nucił pod nosem piosenkę Disneya „Pod łapą cały świat”, odmierzając przy tym pipetą składniki i dodając je do żaroodpornego naczynia.

- Nie ruszać się! - rozkazałem, mierząc po kolei do każdego z nich. Na widok pistoletu trzeci kolesz przestał nucić.

Cała trójka stała nieruchomo z szeroko otwartymi przerażonymi oczami; nie byli członkami gangu ani żadnymi zbirami – ot, zwykli ćpuni pichcący metę w zamian za swój przydział.

- Ręce na kark i stanąć w rozkroku! Nie ważcie się nawet drgnąć. - Sięgnąłem do torby, wydobyłem komórkę Stana i podałem mu ją. - Masz zadzwonić do Matea i powiedzieć mu, że chcę z nim rozmawiać.

Przełknął ślinę, powoli wyjmując mi z dłoni telefon. Wolną ręką odblokował ekran i zaczął przeszukiwać listę kontaktów.

Gdy przyłożył komórkę do ucha, ponownie przystawiłem mu lufę do skroni, bacznie go obserwując.

- Mateo, jestem w wytwórni na Long Island. Przed chwilą zjawiał się tu Młody Cole. Jest uzbrojony i chce z tobą rozmawiać. - Nie wiem, co powiedział mu Mateo, ale Stan zbladł na twarzy, po czym przekazał mi telefon.

Uśmiechnąłem się i odebrałem komórkę, cały czas mierząc do niego z pistoletu i spoglądając na pozostałych, aby upewnić się, że stoją z rękami założonymi na karku i rozstawionymi nogami, tak jak kazałem.

- Mateo - warknąłem.

- Młody, co ty wyprawiasz? - W jego głosie wyczułem nutę paniki.

Ogarnęła mnie dzika złość; ze wściekłości pociemniało mi w oczach i musiałem się bardzo starać, żeby nad sobą zapanować.

- Nasłałeś swoich oprychów na Ellie i przez to trafiłeś na moją czarną listę. Spalę tę twoją pieprzoną budę do gołej ziemi, tak jak obiecywałem. A potem zajmę się tobą. Wytropię cię i zadam powolną śmierć. Będziesz mnie błagał, żebym ukrócił twoje męki. Dobrze ci radzę, Salazar: zabieraj się z mojego miasta. Daję ci małe fory, ale na niewiele ci się to zda. I tak cię znajdę. - To nie było czcze gadanie. Już raz kogoś zabiłem i zrobiłbym to ponownie, gdyby Mateo ją skrzywdził. Rozłączyłem się, nie czekając na odpowiedź, i rzuciłem telefon Stanowi.

Wszyscy patrzyli wielkimi oczami, jak sięgam do torby i wyciągam z niej pierwszą butelkę whiskey zatkaną

kawałkiem podartej koszulki. Postawiłem ją na stole i wyjąłem zapalniczkę.

Stan wciągnął z sykiem powietrze.

- Zastanów się, co robisz. Tu jest propan, wszystko wyleci w powietrze! - wrzasnął, kierując wzrok na zbiorniki z gazem i chemikalia.

- Wiem. - Skrzesałem ogień i przyłożyłem zapalniczkę do materiału, który natychmiast stanął w płomieniach, po czym podniosłem butelkę, śmiejąc się szelmowsko. - Jeśli chcesz przeżyć, lepiej bierz nogi za pas - ostrzegłem, wykonując silny zamach ręką i miotając wybuchowy koktajl przez całe laboratorium. Butelka roztrzaskała się o ścianę, obryzgując ją płonąca ciecżą. W tym miejscu nie trzymano żadnych składników, dlatego obrałem je za pierwszy cel.

Cofnąłem się, z uśmiechem patrząc, jak cała czwórka obraca się na pięcie i rzuca do drzwi. Wyciągnąłem drugą butelkę i zapaliwszy prowizoryczny lont, cisnąłem ją na stół z narkotykami. Patrzyłem, jak ogień rozlewa się na cały blat i pełza po podłodze, trawiąc prochy Salazarów. Grzmotnąłem ponownie trzecim koktajlem o ścianę, którą błyskawicznie ogarnęły płomienie, wspinające się teraz ku górze. Temperatura w pomieszczeniu była nie do zniesienia; czułem, jak kurczy mi się skóra. Oślepiony blaskiem ognia, musiałem zmrużyć oczy.

Właściwie to nawet dobrze się bawiłem. Śmiejąc się, wyjąłem kolejną butelkę i wycofałem się ku otwartym drzwiom. Wiedziałem, że ten ostatni wybuch pogrzebie wszystko pod gruzami.

Obejrzałem się przez ramię. Widząc, jak ostatni bandzior zniknął za drzwiami i biegnie do wyjścia, zapaliłem lont i rzuciłem koktajl prosto w butle ze sprężonym gazem i inne łatwopalne chemikalia składowane w kącie. Następnie ile sił w nogach wybiegłem z budynku za pozostałą czwórką mężczyzn pędzących na drugą stronę ulicy w kierunku trawiastego wzniesienia, za którym wcześniej się przyczaiłem.

Za moimi plecami rozległ się wybuch, który odrzucił mnie do przodu; dookoła posypały się odłamki i fragmenty budynku częściowo strawione przez płomienie.

Runąłem z łomotem na ziemię, a kiedy odwróciłem głowę, wytwórni już nie było – została zrównana z ziemią. Języki ognia strzelały w górę na wysokość kilku metrów. Kłęby czarnego dymu zasnuły błękitne niebo.

Podparłem się rękami i wstałem. Otrzepując dzinsy, patrzyłem z zadowoleniem na płonące laboratorium.

Jedno z głowy, pomyślałem, a pozostałymi, miejmy nadzieję, zajmie się detektyw Lewiston. Tym sposobem Salazarowie straciliby cały interes, wszystkie pieniądze i kryjówki.

Z mojego gardła wydobył się śmiech przypominający złowieszczy rechot. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku samochodu. Czwórka mężczyzn stała naprzeciw na trawniku, przyglądając mi się szeroko otwartymi oczami.

Przechodząc obok, zasalutowałem.

- Młody Cole się odmeldowuje - zażartowałem, mrugając do nich. To była kolejna cegiełka do budowy mojej reputacji, coś nowego, o czym będą mówić, słysząc moje nazwisko.

Gdy wsiadałem do auta, myślałem już tylko o Ellie.

Rozdział 20

ELLIE

Gdy Ray i ja wyszliśmy z windy, kierując się do mieszkania, nie mogłam przestać myśleć o mściwym wyrazie twarzy Jamiego. Czyżby planował wrócić pod sklep i dokończyć to, od czego go odwiodłam? Bo co innego miałyby „załatwić”?

Ray otworzył drzwi i wszedł do pokoju, pociągając mnie lekko za łokieć.

- Co Jamie pojechał załatwić? - zapytałam, nie ustępując. Z pewnością wyjawiał kumpłowi powód, dla którego musiał tu zostać i mnie niańczyć; nie chciał tylko, żebym i ja wiedziała.

Ray zmrużył oczy.

- Po prostu wejdź do środka. Powiedział, że po powrocie wszystko wyjaśni, więc nie zamierzam się w to mieszać. - Ponownie szarpnął mnie za rękę. Moje słabe, słaniające się ciało uległo, choć umysł wciąż stawiał opór.

Drzwi zatrzasnęły się za mną, a Ray zamknął je na klucz, pochylając się i spoglądając przez wizjer, z zupełnie niezrozumiałego powodu, bo przecież nikogo oprócz nas tam nie było.

Założyłam ręce na piersi, chowając dłonie pod pachami, by zapanować nad ich drzeniem. Ray nadal czatował przy judaszu, odwróciłam się więc i przeszłam do dalszej części mieszkania.

Trzeba przyznać, że nowe lokum Jamiego było niczego sobie – dużo lepsze niż to, na które było go stać, kiedy się spotykaliśmy. Za dużym oknem widokowym ciągnącym się przez całą szerokość salonu i otwartej kuchni roztaczała się panorama miasta, która na pewno wyglądała zjawiskowo o zmierzchu lub w nocy w blasku rozświetlających mrok świateł.

Ray w końcu oderwał się od drzwi i z pewną ulgą widoczną w jego postawie zwrócił się do mnie:

– Dobrze, czyli herbata. Z dużą ilością cukru. Siadaj – poinstruował, wskazując spore i niewątpliwie drogie siedziska obite brązową skórą, rozmieszczone wokół wspaniałego kominka i wiszącego nad nim największego telewizora, jaki w życiu widziałam.

Posłuchałam jego rady i usiadłam, żeby nie upaść. Ray postawił mi torebkę przy nogach i ruszył do kuchni. Z westchnieniem rozejrzałam się dookoła, lekko skołowana, analizując, co ten piękny, luksusowy apartament mówił o swoim właścicielu. Całe wnętrze było wymuskane, sterylne, chłodne i ociekało pieniędzmi. Czyżby taki był „nowy” Jamie?

Ray wrócił po kilku minutach, stawiając na małym stoliku kubek z herbatą i talerz ciastek.

– Powinnaś coś zjeść, szybciej otrząśniesz się z szoku – powiedział, wpatrując się we mnie zmartwionym wzrokiem. Odruchowo pochyliłam się do przodu i sięgnęłam po kubek, a potem poczęstowałam się ciastkiem. Herbata naprawdę pomogła i w końcu przestałam się trząść.

Nie byłam pewna, ile czasu już upłynęło – w każdym razie

wystarczająco dużo, by wypić cały kubek gorącej herbaty. Nagle zadzwonił telefon. Ray spojrział na wyświetlacz, a potem na mnie i wyszedł do przedpokoju, żeby odebrać.

Gdy wrócił do salonu i usiadł, wyglądał na spiętego. Pochylił się po ciastko, unikając mojego wzroku.

- Dzwonił Jamie? - zapytałam, pełna nadziei.

Ray pokręcił przecząco głową.

- Ile jeszcze mu to zajmie? - warknęłam z rosnącym zniecierpliwieniem. - Jak długo jeszcze mam tu siedzieć i czekać? Chcę do domu! Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje? Wiesz, kim byli tamci goście? Czy Jamie będzie miał przez to jakieś kłopoty? Oni mieli broń i w ogóle... - To było ponad moje siły. Teraz, gdy przestałam się trząść, a mój umysł zaczął normalnie pracować, powróciło racjonalne myślenie i gniew. Domagałam się odpowiedzi.

Ray westchnął głęboko i wreszcie zaszczycił mnie spojrzeniem.

- Ellie, nie możesz teraz wrócić do domu. Proszę, poczekaj na Młodego. On ci wszystko wyjaśni. Nie chcę się mieszać, więc przestań mnie wypytywać.

Popatrzyłam na niego gniewnie, lecz on tylko wzruszył ramionami i pokręcił przepaszająco głową, więc wiedziałam, że łatwo nie ustąpi.

- No dobrze. Gdzie jest łazienka? - zapytałam, żeby nie siedzieć beczynn timer i nie zamartwiać się.

Ray wskazał brodą jedyne drzwi znajdujące się w mieszkaniu.

- Prosto przez sypialnię i po lewej.

Sypialnia. Na myśl o miejscu, w którym spał Jamie, poczułam nerwowe ściskanie w żołądku. A potem dotarło do mnie coś jeszcze. Na pewno nie sypiał tam sam.

Gdy tylko to sobie uzmysłowiłam, ściskanie w dołku zastąpiło inne, bardzo nieprzyjemne uczucie. Nie chciałam przyznać, że to zazdrość, lecz kiedy przekroczyłam próg sypialni i zamknęłam za sobą drzwi, moje oczy zaczęły badać pomieszczenie, szukając śladów obecności innej dziewczyny – dekoracyjnych poduszek, damskich ubrań, kosmetyków, czegokolwiek.

Ulżyło mi, gdy zobaczyłam, że ten pokój był równie chłodny i sterylny jak salon, z jednym wyjątkiem. Na nocnym stoliku i komodzie stało kilka fotografii oprawionych w ramki.

Nogi odruchowo zawiodły mnie w ich stronę. Podniosłam zdjęcie stojące najbliżej łóżka – z jego siostrą Sophie – to samo, które odtworzyłam z podartej odbitki. Uniosłam kąciki ust w uśmiechu. Naprawdę była urocza.

Podeszłam do komody i przyjrzałam się kolejnej fotografii: Jamie trzymający na rękach małą dziewczynkę w sukience do chrztu. Wyglądał prawie tak samo jak teraz; był trochę bardziej zarośnięty niż wtedy, gdy go poznałam. Uśmiechał się, ale nie do końca szczerze. Ostatnie zdjęcie przedstawiało grupkę ludzi. Tu Jamie także trzymał dziecko, ale obok stał jeszcze Ray z dwoma kobietami. Już miałam je podnieść, gdy mój wzrok padł na młodszą z nich.

Jej twarz wydała mi się znajoma.

I nagle mnie olśniło. Natalie.

Ale przecież to nie mogła być ona. Skąd miałyby znać

Jamiego? Poznałam ją w Rzymie. Wiedziałam, że świat jest mały, ale chyba nie aż tak?

W głowie miałam mętlik. Podniosłam zdjęcie, by lepiej się mu przyjrzeć, ale tak, to z pewnością była ona. Natalie Rowson. Moja towarzyszka podróży. Miała tu krótsze włosy, ostrzyżone modnie „na chłopaka”, i z uśmiechem patrzyła na małą dziewczynkę, którą Jamie trzymał na rękach.

Zaraz, czyżby Jamie spotykał się teraz z Natalie? Czy to... było ich dziecko?

Ścisnęło mnie w żołądku, tym razem o wiele mocniej.

Natalie wróciła do domu, a ja postanowiłam zostać w Anglii, ale pozostałyśmy w kontakcie. Choć nie byłyśmy już tak blisko, czasami rozmawiałyśmy na facebookowym Messengerze, lajkowałyśmy sobie posty i wpisy na Twitterze. Nie pisała, że z kimś chodzi, a tym bardziej z Jamiem. O czymś takim na pewno by wspomniała, wręcz by się pochwaliła. I raczej skojarzyłaby jego imię – tyle razy powtarzałam je przez łyż. Tyle razy wznosiłyśmy toast za to, żeby sczeźł, że powinna pamiętać, jak się nazywa, i połapać się, że to właśnie ten facet zrujnował mi życie. A jednak stała obok niego na zdjęciu z dumnym uśmiechem na twarzy.

Serce podeszło mi do gardła. Zacisnęłam palce na srebrnej ramce i odwróciłam się, zmierzając z powrotem do salonu. Ray podniósł głowę, gdy podsunęłam mu zdjęcie pod nos.

- Kto to jest? - wskazałam dziewczynę w krótkiej fryzurze, starając się nie podnosić głosu; wciąż miałam nadzieję, że się pomyliłam. Jeśli nie, to nic już nie miało sensu. Nie miała powodu, by być na tym zdjęciu, w każdym razie nic takiego nie

przychodziło mi do głowy.

- To Nat, moja szwagierka - oświadczył Ray z uśmiechem.

Nat. To rzeczywiście ona! Ale chwila, czyżbym się przesłyszała? Jego szwagierka?!

Na te słowa wciągnęłam gwałtownie powietrze. Szwagierka Raya. Czyli Jamie ją znał. Pozostało pytanie, czy poznał ją przed czy dopiero po tym, jak się spotkałyśmy. Z Rayem przyjaźnił się od dawna. Na pewno widywał ją wcześniej. I akurat tak się złożyło, że wpadłyśmy na siebie na targu w Rzymie? To nie mógł być przypadek. Mój umysł z trudem próbował nadążyć za myślami, które w jednej chwili przegalopowały mi przez głowę.

Żrenice Raya nagle się rozszerzyły. Drgający mięsień jego szczęki zdradzał, że żałował swojej pochopnej odpowiedzi. Wstał i wyjął mi zdjęcie z dłoni, kładąc je frontem do dołu na stoliku kawowym.

- Słuchaj, nic więcej nie powiem, więc daruj sobie to przesłuchanie. O to też będziesz musiała zapytać Młodego. Tylko nie traktuj go zbyt ostro, okej?

- Powiedz mi tylko jedno i już nie będę cię męczyć - negocjowałam. - Są razem? Czy to ich dziecko? - Wstrzymując oddech, wymierzyłam palcem wskazującym w tył fotografii. Proszę, powiedz „nie”, powiedz „nie”, błagałam w myślach.

Ray uśmiechnął się niewesoło.

- Nie, nie są razem. A to moja najmłodsza córka. Młody jest jej ojcem chrzestnym.

- To dlaczego... - zaczęłam, lecz nie pozwolił mi dokończyć.

- Ty naprawdę o niczym nie wiesz? - Pokręcił głową, po czym się wyprostował. - Nic więcej ci nie powiem. Porozmawiaj z nim o tym, jak wróci - dodał kategorycznym tonem, patrząc mi prosto w oczy.

To były ostatnie słowa, jakie zamieniliśmy na ten temat. Za każdym razem, gdy próbowałam go o to zagadnąć, zbywał mnie i pogrążał w ogłupiającej ciszy, siejąc mętlik w mojej głowie; nie mogłam przestać myśleć o tym, co Jamie teraz porabiał i w jakie tarapaty się wpakował. Jedyna pocieszająca rzecz... Jamie i Natalie nie byli parą. I nie mieli dziecka. To okropne, że tak bardzo się tym przejęłam.

W milczeniu upłynęła nam przeszło godzina, gdy nagle z holu dobiegło pukanie. Ray poderwał się i pognął zobaczyć, kto to. Obróciwszy się na kanapie, patrzyłam, jak nachyla się do wizjera, po czym szybko otwiera drzwi. Jamie wszedł do mieszkania i natychmiast odszukał mnie wzrokiem; na jego twarzy dostrzegłam nieznaczną ulgę. Następnie zwrócił się do Raya i odbył z nim kolejną szeptaną rozmowę. Ray skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Zapadła cisza. Jamie wkroczył do pokoju i przeczesał brudną dłonią włosy, zagarniając je do tyłu.

- Hej, przepraszam, że to tak długo trwało. - Usiadł na przeciwnym końcu kanapy i odwróciwszy się twarzą do mnie, zmrużył z troską oczy, powoli taksując mnie wzrokiem. - Wszystko w porządku?

Bił od niego silny zapach dymu. Zmarszczyłam nos z niesmakiem, lecz gdy dotarła do mnie inna woń, wściekłam się nie na żarty. Alkohol: cuchnął nim tak, jakby się w nim

wykąpał.

- Nie mów, że kazałeś mi tu siedzieć i czekać, a sam byłeś w barze! - warknęłam z niedowierzaniem.

Wyraźnie się zdziwił, marszcząc czoło.

- Skądże znowu!

- Nie kłam, czuć od ciebie alkohol! - zarzuciłam mu, wstając i zgarniając torebkę z podłogi. - Nie mogę uwierzyć, że byłam taka naiwna! Siedziałam tu i odchodziłam od zmysłów, kiedy ty się alkoholizowałeś! - fuknęłam, przydając całości melodramatycznego wydźwięku. - Chcę do domu! Natychmiast! Zawieszasz mnie, czy mam wezwać taksówkę?

Jamie poderwał się i zaprzeczył energicznym ruchem głowy. Chwycił mnie za rękę, którą rozpinałam torebkę, by wyjąć telefon.

- Nie piłem, przysięgam. Ellie, proszę, daj mi wyjaśnić!

Posłał mi błagalne spojrzenie, któremu nigdy nie mogłam się oprzeć.

- Słucham! - Wyszarpnęłam rękę z jego uścisku i odsunęłam się.

Usiadł na brzegu kanapy, patrząc na mnie proszącymi oczami.

- Ci kolesie, którzy cię napadli, pracują dla braci Salazar. To źli ludzie, gangsterzy, i to oni ich na ciebie nasłali.

Nic z tego, co mówił, nie miało sensu.

- Tylko po co? Dlaczego miałyby im na mnie zależeć?

- Dlatego, że mnie na tobie zależy - odparł bez wahania.

Prychnęłam i stanowczo pokręciłam głową, krzyżując ręce na piersi.

- Nieprawda. Nigdy ci na mnie nie zależało.

- Ellie, proszę, nie mów tak. Nawet tak nie myśl - jęknął, chowając twarz w dłoniach.

Wzdrygnęłam się, nie mogąc opanować złości.

- Jamie, sam mi to powiedziałeś przez telefon! Nie pamiętasz? Najpierw mnie zdradziłeś, a potem zadzwoniłeś i złamałeś mi serce, i to w dniu, który miał być początkiem naszej wspólnej przyszłości! - warknęłam głosem pełnym bólu i goryczy, mierząc w niego oskarżycielsko palcem.

Zamknął oczy i zwiesił ramiona.

- To było kłamstwo - powiedział cicho.

- Słucham? - spytałam skołowana. - Co było kłamstwem?

- Wszystko. - Podniósł wzrok i spojrzał mi prosto w twarz. Ujął moją rękę i zamknął w swojej szorstkiej zgrubiałej dłoni, lekko mnie pociągając, żebym usiadła obok niego. - Nie zdradziłem cię, nigdy bym tego nie zrobił. Byłaś dla mnie wszystkim, Ellie.

„Byłaś dla mnie wszystkim”. On dla mnie też. Na dźwięk jego słów ścisnęło mnie w żołądku, po plecach przeszły ciarki i zaschło mi w ustach.

- Nie rozumiem... - wydukałam.

Westchnął ciężko. Mięsień w jego szczęce drgał gwałtownie, kiedy zaciskał zęby.

- Nie byłem z tobą szczery i nienawidzę siebie za to, ale nadal uważam, że postąpiłem słusznie. - Przysunął się bliżej, tak blisko, że jego kolano napierało na moje. Kciukiem gładził wierzch mojej dłoni; nawet nie zauważyłam, że nie wypuścił jej z uścisku. - Tamtej nocy... miałem do wykonania jeszcze jedną

robotę dla Bretta, pamiętasz?

Potwierdziłam ruchem głowy, słuchając w osłupieniu.

- Spotkaliśmy się wtedy z bossami narkotykowymi z innego stanu, rodziną Lazlo. Chodziło głównie o ustalenie warunków współpracy i dogadanie się w kwestii wzajemnej pomocy. Jak się okazało, policja od jakiegoś czasu obserwowała ludzi Lazlo. Mieli ich na podsłuchu i tego wieczoru przeprowadzili nalot. Doszło do wielkiej strzelaniny, w której zginęło kilka osób. Między innymi Brett. - Gdy wypowiadał te ostatnie słowa, w jego głosie wyraźnie było słychać smutek. - A pozostałych aresztowano - dodał, spoglądając na mnie ze zboląłą miną.

- Zostałeś aresztowany? - wycedziłam przez zęby, próbując nadążyć za tym, co powiedział.

- Tak. Miałem przy sobie pistolet, tylko na pokaz, taka manifestacja siły. Nie użyłem go, nawet go nie wyciągnąłem. Postawiono mi zarzut posiadania broni palnej. Mój prawnik postarał się, by nie oskarżono mnie o nic innego, ale i tak musiałem pójść za to do więzienia i jeszcze odsiedzieć resztę poprzedniego wyroku, który mi skrócono za dobre sprawowanie.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

- Jamie, znowu mnie okłamujesz? Nie wiem już, kiedy mówisz prawdę.

- Nie kłamie! To szczerą prawdą - zarzekał się, błagając mnie wzrokiem, bym go wysłuchała. - Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do mojego adwokata. Jest nim Arthur Barrington, ojciec Milesa. Zapytaj kogoś z rady więziennej albo po prostu

wygoogluj. Wszędzie rozpisywano się o tej akcji; wspomniano także, że w strzelaninie zginął Brett. Proszę, sama sprawdź. – Wyciągnął telefon, podając mi go.

Odtrąciłam jego dłoń. Szczery wyraz jego oczu mówił mi wszystko. Skłamałam, twierdząc, że nie wiem, kiedy mówi prawdę. Zawsze potrafiłam go rozgryźć.

Jego wyznanie sprawiło, że wszystko nabrało sensu. Wcześniej nie potrafiłam do końca zrozumieć, dlaczego ze mną zerwał.

Nie chciałam pogodzić się z tym, że mnie zdradził; Jamie nie był tym typem faceta. Zawsze czułam, że kryło się za tym coś więcej, ale nie wiedziałam co. Teraz, gdy usłyszałam, jak było naprawdę, wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Mój mózg ciężko pracował, próbując połączyć fakty i wymazać wszystko, w co wierzyłam przez ostatnie trzy lata. Jamie trafił do więzienia. Jamie mnie okłamał. Jamie mnie nie zdradził.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Siedziałaś w areszcie i zamiast wyznać mi prawdę, zadzwoniłaś po to, żeby złamać mi serce?

Popatrzył mi w oczy i odparł:

– Nie. Zadzwoniłem, żeby zwrócić ci wolność.

– Nic z tego nie rozumiem – wyszeptałam. – Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego mnie okłamałaś? Nawet nie wiesz, jak bardzo mnie zraniłaś. – Łzy płynęły po moich policzkach, mocząc bluzę.

Jamie jeszcze mocniej ścisnął moją dłoń.

- Ellie, czekał mnie co najmniej rok odsiadki. Nie dało się od tego wykręcić, sprawa była przesądzona. Kochałem cię ponad życie i nie chciałem, żebyś musiała przez to przechodzić i czekać, aż wyjdę na wolność. Zasługiwałaś na kogoś lepszego niż ja.

Wszystko było kłamstwem. Ból, żal, miazdzący zawód, który wówczas poczułam, ponieważ mężczyzna, którego kochałam, mnie zdradził - to wszystko nagle wróciło. A można było tego uniknąć. Kazał mi przejść przez tę gehennę, bo nie chciał, żebym na niego czekała, bo zasługiwałam na kogoś lepszego? A czy zasługiwałam na to, by mieć złamane serce? By przez rok zasypiać we łzach? Czy zasługiwałam na to, by - nawet teraz - czuć w środku ogromną pustkę?

Krew zawrzała mi w żyłach.

- Nie sądzisz, że sama powinnam była o tym zdecydować?
- rzuciłam mu w złości, wyszarpując dłoń z jego ręki. Poderwałam się i odsunęłam od niego. Potrzebowałam trochę dystansu. Tak bardzo mnie skrzywdził, że miałam ochotę przywalić mu pięścią w twarz, by poczuł choć odrobinę bólu, jaki zadał mnie. - Tak samo było, gdy ukrywałeś przede mną swoją przeszłość i nie powiedziałaś mi o siostrze. A potem znowu zdecydowałaś za mnie, bo wydawało ci się, że wiesz, co będzie dla mnie najlepsze. I wiesz co, Jamie? Znów się myliłeś! Przez ten telefon przeżyłam piekło. Minęły wieki, zanim się otrząsnęłam i zapomniałam o tobie i twoich słowach!

Być może nadal się nie pozbierałam - na pewno nie czułam się tak, jakbym miała to za sobą. Ból jeszcze nie minął; dawał o sobie znać, ilekroć patrzyłam na Jamiego. I na dodatek

okazało się, że wcale nie musiałam tyle cierpieć; byłam tak wzburzona, że nie mogłam ustać spokojnie. Przez trzy lata żyłam w przeświadczeniu, że to moja wina; że nie chciał ze mną być, bo w niego zwątpiłam, sądząc, że mógł zabić Sophie. A teraz się dowiedziałam, że nie chodziło o to, co zrobiłam bądź czego nie zrobiłam. Nie wiedziałam, jak dojść do ładu z tą nową informacją.

Jamie również wstał, wykonując rękami gest, który miał mnie uspokoić.

- Przepraszam. Naprawdę myślałem, że tak będzie dla ciebie najlepiej.

- To wiedz, że nie było! - krzyknęłam, ciskając z impetem torebkę na kanapę, żeby choć trochę wyładować gniew. - Po prostu nie chciałeś walczyć o nasz związek, ot co. Bałeś się mnie poprosić, bym zaczekała. Co się stało, Jamie? Nie było warto o mnie walczyć? - Głos załamał mi się na ostatnim słowie i zanosłam się szlochem.

Na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji. Podeszedł do mnie i ujął moje policzki; był tak blisko, że nasze ciała ocierały się lekko o siebie, a moje serce zaczęło walić. Gładził mnie delikatnie kciukami, zgarniając kapiące z oczu łzy.

- Za ciebie warto umrzeć - wyszeptał, patrząc na mnie z miłością.

Takie cudowne banały płynące z jego ust niegdyś wprawiały mnie w zachwyt i szczerze mówiąc, nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Jego słowa zawisły w powietrzu, moja twarz tonęła w jego dłoniach. Staliśmy wpatrzeni w siebie, oddaleni zaledwie

o centymetry, w ciszy, którą wypełniły niewypowiedziane myśli i uczucia. Zatraciłam się w jego spojrzeniu i zatęskniłam za tym, co było. Zapragnęłam, by pochylił się jeszcze bardziej, by przywarł do mnie delikatnymi wargami i zamknął mi usta w namiętym pocałunku, który rozpali moje ciało.

- A zatem chciałeś ze mną wyjechać? - zapytałam.

- Ponad wszystko - potwierdził bez namysłu.

- Tak bardzo mnie zraniłeś - powiedziałam z westchnieniem, lecz te słowa nie oddawały w pełni mojego smutku i cierpienia.

- Wiem i bardzo cię za to przepraszam. Gdybym mógł cofnąć czas... - Zawiesił głos, odwracając ode mnie wzrok i wbijając go w podłogę.

- Postąpiłbyś inaczej?

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Tkwiący we mnie egoista nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Część mnie, która kochała cię do bólu i która nadal bez chwili wahania zginęłaby za ciebie, chce wrócić do przeszłości i powiedzieć ci prawdę, błagać cię, byś poczekała, aż mnie wypuszczą, żebyśmy mogli ułożyć sobie razem życie. Ale rozsądny i opiekuńczy Jamie, który chce dla ciebie jak najlepiej, zapewne zachowałby się tak samo. Nie zasługuję na ciebie, Ellie. Nigdy nie zasługiwałem. Nawet gdybym miał pokutować przez tysiąc lat za wszystkie złe rzeczy, które zrobiłem, i tak bym na ciebie nie zasługiwał.

Spojrzał na mnie, z jego oczu biła szczerłość. Rozpłynęłam się z wrażenia.

- Co za banał - stwierdziłam prowokacyjnie, nie mogłam się powstrzymać.

- Nie wyszedłem z wprawy, co? - Pokazał wszystkie zęby w cudnym uśmiechu, który, jak chciałam wierzyć, był zarezerwowany tylko dla mnie, i znów zobaczyłam na jego policzku dołek; och, jakże za nim tęskniłam. Zwalczyłam pokusę, by dotknąć go palcem, lecz mimo wszystko uśmiechnęłam się.

Wiedziałam, że muszę nad sobą zapanować. Nie mogłam się przy nim zachowywać jak napalona małolata, cofnęłam się więc, a jego ręce opadły bezwładnie. Nadal na mnie patrzył i rozbrajał swoim spojrzeniem, które topiło moją złość i żal. Chciałam być na niego wściekła, chciałam obwiniać go za to, jak wielką wyrządził mi krzywdę, odbierając mi możliwość zdecydowania o własnym losie.

Rozumiałam jednak, dlaczego to zrobił. Jamie nie myślał tylko o sobie. Poza tym nigdy nie dostrzegał w sobie tego, co dobre. To, że nie chciał mnie prosić, abym na niego zaczekała, było pokłosiem jego okropnego dzieciństwa, kiedy aż nadto odczuł, że nie zasługuje na miłość i uczucie drugiej osoby. Sam to przyznał - uważał, że nie jest dla mnie wystarczająco dobry. Ale mylił się i to bardzo. Myślałam, że już dawno go przekonałam, iż ma prawo kochać i być kochany, ale najwyraźniej nie, bo inaczej nie podjąłby za mnie tej decyzji.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego ci kolesie się na mnie uwzięli. Co mają z tobą wspólnego? - drażylałam dalej.

Usiadł z westchnieniem i poklepał puste miejsce obok siebie.

- To długa historia. Lepiej usiądź.

Przycupnęłam na brzegu kanapy, zachowując pewien dystans, by móc skupić się na tym, co mówi, i nie dopuścić do

siebie wizji naszych gorących, spoconych ciał wijących się w miłosnej ekstazie.

Odchrząknął, spuszczaając wzrok, jakby nie chciał na mnie patrzeć.

- Siedziałem w więzieniu przez półtora roku i początkowo po odsiadce zamierzałem cię odnaleźć i wyznać ci prawdę. Długo to w sobie nosiłem, ale w końcu pogodziłem się, że i tak nic by z tego nie wyszło. Przebywając w zamknięciu z tymi ludźmi, z czasem zrozumiałem, że lepiej ci będzie beze mnie. Zwiedzałaś świat, spełniałaś swoje marzenie, a ja nie miałem prawa pakować się z buciorami w twoje życie. Zdałem sobie sprawę, że straciłem wszystko, co motywowało mnie do tego, by stać się lepszym człowiekiem. Ty odeszłaś, Sophie odeszła. Nie miałem nic, żadnych kwalifikacji, żadnych perspektyw, tylko moją reputację. Kiedy mnie wypuścili, po prostu wróciłem do tego, w czym byłem najlepszy. Brett zapisał mi w testamencie trochę pieniędzy, a dzięki mojej renomie ludzie byli gotowi na mnie postawić. Przez ostatnie półtora roku pracowałem na to, by moja organizacja urosła do rangi największej tego typu w Nowym Jorku. Salazarowie to moja konkurencja. Byli w klubie w zeszłym tygodniu, kiedy doszło między nami do... kontaktu. - Długo rozmyślał, szukając właściwego słowa. - Chyba uznali, że gdy dorwą ciebie, dopadną też mnie.

Zaschło mi w ustach. Jamie przewodził teraz własnemu gangowi, choć tak ciężko walczył o to, żeby wyrwać się z tego światka? Tego się po nim nie spodziewałam. Wiedziałam, że się zmienił, było to widać gołym okiem. Ale nie

przypuszczałam, że aż tak bardzo, by zapomnieć o wszystkim, co mi mówił, i powrócić do życia, którego, jak twierdził, nienawidził.

Spojrzał na mnie, błagając mnie wzrokiem o zrozumienie. Dostrzegłam w nim także żal i wstyd, jakby czuł się zażenowany, że przyznał się do tego.

- Ci ludzie, bracia Salazar i ich siatka, nie mają żadnych zasad moralnych. Nie obchodzi ich, kogo skrzywdzą, by dostać to, czego chcą.

- A ty jesteś inny? - zapytałam prawie szeptem.

Skinął głową, a jego czoło pokryło się zmarszczkami.

- Tak. To, czym się zajmuję, nie ma praktycznie nic wspólnego z przemocą. Czasami trzeba robić rzeczy, na które nie mam ochoty, ale nie jesteśmy tacy jak oni. Naszym priorytetem zawsze były samochody.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem.

- Jamie, ty taki nie jesteś. Nie mogłeś aż tak się zmienić w ciągu tych kilku lat.

- Uwielbiam, gdy zwracasz się do mnie po imieniu - powiedział z chłopięcym uśmiechem. - Nikt już tak do mnie nie mówi - przyznał ze smutnym westchnieniem. - W pewnym sensie do więzienia poszedł Jamie, a wyszedł z niego Młody Cole. To nim teraz jestem. - Wzruszył z rezygnacją ramionami, ale jego oczy nie kłamały - zdradzały smutek i tęsknotę za czymś innym, choć tak usilnie starał się to ukryć, nawet przed samym sobą.

- Nie wierzę, widzę to w twoich oczach. Tkwi w tobie dobro. Jesteś dobrym człowiekiem, zawsze taki byłeś. Po

prostu życie rzucało ci kłody pod nogi – zaprotestowałam. – Kiedyś walczyłeś z tym, co ludzie o tobie sądzili; chyba zwyczajnie trochę się pogubiłeś. Łatwiej jest się dostosować i być takim, jakim inni chcą cię widzieć, niż się zmienić. Znam to. Przez całe liceum starałam się być kimś, kim nie byłam, tylko dlatego, że tego po mnie oczekiwano. A potem poznałam ciebie i zrozumiałam, że mogę być tym, kim chcę. Chrzanić oczekiwania innych i reputację! Mogłam robić to, co chciałam.

– A konkretnie co takiego chciałaś, co było wbrew cudzym oczekiwaniom? – dociekał, jeszcze mocniej marszcząc czoło.

Wzruszyłam ramionami.

– Ciebie. – Zapadła cisza, a Jamie uniósł brwi w zdziwieniu. – Walczyłam o ciebie. Walczyłam z ludźmi, którzy sądzili, że szkolny sportowiec był dla mnie bardziej odpowiednią partią. Walczyłam z moją matką, która w kółko mi powtarzała, że nie jesteś dla mnie wystarczająco dobry. Walczyłam o ciebie jak lwica, ponieważ widziałam tkwiące w tobie dobro. I nadal je widzę, nawet jeśli ty tego nie dostrzegasz. Gdybyś i ty o mnie walczył, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Kochałam cię; zrozumiałabym wszystko, poczekałabym, aż wyjdiesz na wolność. Jamie, naprawdę mogliśmy ułożyć sobie razem życie. – Bolało, gdy to mówiłam. Taka była prawda. Choćby świat się skończył, zaczekałabym na niego, a potem żylibyśmy długo i szczęśliwie.

– Zakładam, że teraz już na to za późno? – zapytał, przeszywając mnie pełnym nadziei wzrokiem.

Nie byłam przygotowana na taką reakcję i w pierwszym odruchu wzdrygnęłam się.

- Ja... Jestem... - Nie wiedziałam, co mu właściwie powiedzieć.

- Zaręczona. Wiem. To porządny facet - dokończył za mnie, po czym przybrał zdeterminowaną minę. - Tylko czy kochasz go tak jak kochałaś mnie?

Było tak? Nie. Wiedziałam to w głębi duszy; nikogo nie kochałam tak jak Jamiego i pewnie nigdy już nie pokocham.

- Nie. - Mówiąc to na głos, czułam się, jakbym zdradzała Toby'ego.

Jamie, jak zwykle taktowny, nie triumfował, gdy to usłyszał. Zauważyłam, że lekko uniósł kąciki ust w uśmiechu, ale trwało to tylko sekundę, i szybko zmienił temat.

- Kupiłem ci kiedyś pierścionek. Zamierzałem się oświadczyć. Rozmawiałem nawet o tym z twoim tatą, ale potem... - Zmarszczył brwi. - Wszystko się posypało.

Nie potrafiłam ukryć zdziwienia.

- Słucham? - Ojciec nigdy mi o tym nie mówił. Wyjechałam ze złamanym sercem, a on nigdy mi nie powiedział, że rozmawiał z Jamieem o tym jakże ważnym kolejnym kroku. - I co powiedział tata? - Musiałam wiedzieć. Teraz, gdy go straciłam, chciałam poznać jego zdanie. Czy dałby nam swoje błogosławieństwo?

Jamie uśmiechnął się smutno.

- Zgodził się, pod warunkiem że zadbam o twoje szczęście, ale kazał mi obiecać, że poczekam jeszcze kilka lat, zanim staniami przed ołtarzem.

Moje emocje wzięły górę i wybuchnęłam płaczem, chowając twarz w dłoniach. I wtedy Jamie znów przyszedł mi na

ratunek. Objął mnie silnymi ramionami i przygarnął do siebie, po czym przycisnął policzek do moich włosów. Uczepiłam się go kurczowo i jeszcze bardziej zalałam łzami, oplakując nas jako niedoszłą parę i śmierć taty.

- A ty zgodziłabyś się? - zapytał Jamie, gładząc mnie kojąco po plecach, gdy zanosłam się szlochem.

Potwierdziłam ruchem głowy. Naturalnie, że bym się zgodziła! Pewnie wyrwałabym mu pierścionek z ręki, wykrzykując na całe gardło „tak”, a potem z dumą nosiłabym go na palcu.

Wtulił się we mnie i delikatnie pocałował w ramię. Poczułam pożądanie, a moje serce zabiło gwałtowniej. Przełknęłam ślinę i zamknęłam oczy.

Bałam się, co się stanie, jeśli się poruszę. Może się odsunie i przeprosi, a może pochłonie nas namiętność. Nie byłam pewna, czego bardziej pragnęłam.

- Dlaczego śmierdzisz dymem? - zapytałam po chwili, gdy zapanowałam nad ciałem i łzami. Smród, którym było przesiąknięte jego ubranie, drapał mnie w gardło.

- No więc... pojechałem rozprawić się z ludźmi Salazarów - odpowiedział z zakłopotaniem.

Szybko od niego odskoczyłam, wycierając nos wierzchem dłoni.

- Słucham? Co to ma znaczyć?

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Nie mogłem pozwolić, by uszło im to na sucho - wyjaśnił, drapiąc się po karku.

- Co dokładnie zrobiłeś? - dopytywałam, choć nie byłam

pewna, czy chcę wiedzieć.

Wstał, poprawiając koszulę, i zmienił temat.

- Chcesz się czegoś napić? Może jesteś głodna? Nadal marny ze mnie kucharz, ale czasami coś ugotuję. - Ruszył w kierunku kuchni, zostawiając mnie samą w grobowej ciszy. Ewidentnie unikał odpowiedzi. Co miałam przez to rozumieć?

Również wstałam, a gdy się odwróciłam, ujrzałam go myszującego w lodówce.

- Jamie, pytam, co zrobiłeś? - powtórzyłam drżącym głosem.

Spiął się, ale nie spojrzał na mnie.

- Mniej, niż chciałem.

Wiedziałam, że tym razem z nim nie wygram. Nie zamierzał mi odpowiedzieć, choćbym nie wiem jak bardzo naciskała. Spojrzałam z rozżaleniem na stół oraz leżące na nim zdjęcie, i nagle w głowie zaroilo mi się od różnych pytań.

- Jamie, kim jest dla ciebie Natalie? - zapytałam podejrzliwie, patrząc, jak ręka, którą sięgał po chleb, zamiera w połowie drogi.

- Słucham? - Odchrząknął dziwnie. - Nie znam żadnej Natalie - zaprzeczył i odwrócił się, taksując mnie nieufnym i czujnym wzrokiem.

- Kolejne kłamstwo. - Podniosłam fotografię i po chwili na twarzy Jamiego pojawił się wyraz rezygnacji.

Westchnął głęboko i potarł nerwowo kark. Zapadła głucha cisza. W końcu odpowiedział:

- Jest szwagierką Raya. Nie chciałem, żebyś podróżowała sama. Nie mogłem być przy tobie i wiedziałem, że byłaś przybita, więc... - Urwał, przełykając ślinę. - Zapłaciłem za jej

podróż, żeby mogła dotrzymać ci towarzystwa i spróbowała choć trochę cię pocieszyć.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewałam. Nawet przez myśl mi to nie przeszło, gdy wertowałam w głowie możliwe scenariusze, czekając, aż Jamie wróci.

- Co zrobiłeś? - wykrztusiłam z niedowierzaniem.

Jego oczy zwięzły się, a ciało spięło gwałtownie.

- Chciałem mieć cię na oku nawet z daleka. Nie mogłem tak po prostu przestać się tobą interesować. Musiałem wiedzieć, czy jesteś bezpieczna - wyjaśnił.

Nie wiedziałam, jak zareagować. W pewnym sensie świadomość tego, że nadal się mną opiekował, nadal mnie chronił, będąc daleko w więzieniu, zmniejszyła mój ból. Jamie zawsze był nadopiekuńczy, jednak to była lekka przesada, nawet jak na niego. Ten gest chwycił mnie za serce, ale także trochę rozzłościł.

- Nie wierzę - powiedziałam cicho. - Podróżowałam z nią prawie przez rok. I nic mi o tobie nie powiedziała. Myślałam, że jest moją przyjaciółką. - Teraz zrozumiałam, dlaczego nigdy nie brakowało jej gotówki; to były brudne gangsterskie pieniądze Jamiego, na które tak ciężko pracował. Ta wiadomość była dla mnie jak cios w brzuch. Otworzyłam się przed nią, opowiedziałam jej o naszym rozstaniu, a ona przez cały czas ze mną pogrywała w zamian za darmową wycieczkę?

Jamie potrząsnął głową i chwycił mnie za rękę.

- Bo jest twoją przyjaciółką. Jedynym kłamstwem było to, jak się spotkałyście. Ale wasza przyjaźń jest prawdziwa. Nie

złość się na nią. Pomogła ci przetrwać ciężki okres, była przy tobie, gdy jej potrzebowałeś.

To prawda. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

Jamie pochylił się, tak że nasze twarze znalazły się na tym samym poziomie. Utkwił we mnie oczy, a serce zabiło mi mocniej w piersi.

- Mnie też pomogła w trudnych chwilach - ciągnął dalej. - Informowała mnie o tym, jak się czujesz. - Uśmiechnął się smutno. - Gdyby nie to, szczerze mówiąc, nie wiem, czy dałbym radę. Byłem tak samo nieszczęśliwy jak ty i również miałem złamane serce. - Wyciągnął rękę i odgarnął z mojej twarzy kosmyk włosów, zatykając mi go za ucho i muskając palcami delikatną skórę na mojej szyi; w jednej chwili całe moje ciało pokryło się gęsią skórką.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Chciałam mu podziękować, że się o mnie troszczył, i jednocześnie skarcić za naruszenie mojej prywatności; chciałam się przysunąć i przytulić do niego, i zarazem dać mu w twarz. Sama już nie wiedziałam, co czuję.

Postawiłam na szczerłość.

- Gdy zobaczyłam jej zdjęcie w twojej sypialni, pomyślałam, że może jest twoją dziewczyną - oświadczyłam, czyniąc sobie wyrzuty, że mój głos lekko zadrżał na słowie „dziewczyna”.

Uniósł w uśmiechu kącik ust.

- Nie jest. Po tobie nie było nikogo.

- Nikogo? - To nie mogła być prawda. Od naszego rozstania minęły trzy lata, a przecież ktoś taki jak on nie mógł narzekać na brak powodzenia u kobiet!

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił mój telefon, ratując

Jamiego przed kolejnymi sondującymi pytaniami. Oboje spojrzeliśmy na moją torebkę. Przez chwilę rozważałam, czy go nie zignorować, żebyśmy mogli sobie wszystko wyjaśnić, raz na zawsze, ale później pomyślałam, że to pewnie babcia zastanawia się, gdzie jestem, bo powinnam była wrócić kilka godzin temu z zakupami, o które prosiła.

Wyciągnęłam komórkę i jęknęłam z przerażenia na widok kilku dużych pęknięć na ekranie. Telefon na szczęście działał; był podświetlony i wibrował w mojej dłoni. Na wyświetlaczu udało mi się odczytać, że dzwoni numer zastrzeżony. Stuknęłam palcem w ikonę odbierania połączeń, uważając, żeby się nie skaleczyć, i przyłożyłam komórkę do ucha.

- Halo? - powiedziałam spokojnie.

- Dzień dobry, czy rozmawiam z Ellison Pearce? - odezwała się jakaś kobieta mrukliwym, lecz uprzejmym tonem.

Zmarszczyłam brwi, zachodząc w głowę, kim była.

- Tak, przy telefonie.

- Witaj, Ellison. Mówi siostra Partridge z OIOM-u, na którym leży twoja mama.

Moje serce zamarło i zaschło mi w ustach; spodziewałam się najgorszego.

- Coś się stało? - zapytałam zachrypniętym głosem.

- Mam dobre wieści. Twoja mama właśnie się obudziła - oświadczyła radośnie.

- Naprawdę? O Boże! - wyszeptałam, podnosząc rękę do ust. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. - Jak się czuje?

- Dobrze. Ma prawidłowe ciśnienie i samodzielnie oddycha, a nawet pije. Teraz znów śpi, ale to normalne.

Prawdopodobnie jeszcze przez dzień czy dwa będzie się na zmianę budzić i zasypiać – wyjaśniła pielęgniarka. – Wiem, że byłaś tu rano, ale pomyślałam, że zadzwonię, w razie gdybyś chciała się z nią ponownie zobaczyć.

Pokiwałam entuzjastycznie głową. Wstąpiła we mnie nadzieja: może naprawdę słyszała mnie tego ranka, może całe to gadanie o tym, że mówienie do pacjentów w śpiączce pomaga, nie było kompletną bzdurą.

– Niedługo będę! Bardzo dziękuję za telefon. – Rozłączyłam się i spojrzałam na Jamiego, który obserwował mnie z zaciekawieniem. – Mama się obudziła! – rzuciłam z podnieceniem w głosie.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Wspaniała wiadomość! Wsiadaj, zawiozę cię do szpitala – zaproponował, wyjmując kluczyki z kieszeni.

Natychmiast zapomniałam o naszej rozmowie. Myślałam już tylko o tym, żeby przytulić mamę i powiedzieć jej, że ją kocham.

Kto wie, być może los wreszcie uśmiechnął się do rodziny Pearce'ów.

Rozdział 21

Wychodząc z mieszkania Jamiego, zadzwoniłam do babci i przekazałam jej dobre wieści o mamie. Kelsey też była już w domu. Jamie miał mnie do nich zabrać, abyśmy wspólnie pojechały do szpitala. Po tym wszystkim, co przeszłyśmy, ta wiadomość była jak dar z nieba i dodała mi otuchy.

Pod domem dostrzegłam moją kochaną zieloną przerdzewiałą paskudę zaparkowaną na podjeździe.

- Co tu robi mój samochód? - spytałam zdziwiona.

- Kazałem go tu przyprowadzić spod sklepu - odparł bez troski Jamie.

Dotknęłam kieszeni, czując wbijające się w biodro kluczyki.

- Ale jak? Przecież nie miałeś... - odwróciłam się do niego i ujrzałam, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu.

- Mnie i moim kumplom klucze są niepotrzebne, nie pamiętasz? - zażartował.

Mój pochmurny wyraz twarzy zastąpił grymas dezaprobaty.

- No tak - wymamrotałam cicho. - Cóż, dzięki za podwiezienie i za, no wiesz, uratowanie mnie z rąk tych zbirów, choć to przez ciebie chcieli mnie dopaść. - Uśmiechnęłam się niezręcznie. - Trzymaj się.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale te słowa zabrzmiały bardziej ostatecznie, niż chciałam. Nie wszystko jeszcze zostało powiedziane; Jamie miał sporo do wyjaśnienia, ale nie

byłam do końca pewna, czy chciałam to usłyszeć. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym dała sobie z tym spokój i nie rozpamiętywała przeszłości.

Gdy pochyliłam się, próbując odpiąć pas, położył dłoń na moim kolanie.

- Ellie, bracia Salazar nadal mogą chcieć cię dorwać. Moi ludzie ich szukają. Nie sądzę, żeby byli tak głupi, by spróbować jeszcze raz, ale na wszelki wypadek każę cię pilnować.

Obróciłam się na siedzeniu, patrząc na niego z zaciekawieniem.

- Jak to pilnować? Ktoś będzie za mną chodził? Nie zgadzam się.

Uniósł kącik ust w półuśmiechu.

- Do tej pory nie przeszkadzało ci to.

Do tej pory? Co to ma znaczyć? - pomyślałam.

- Nie rozumiem?

Odwrócił ode mnie wzrok i wyjrzał przez szybę, wpatrując się w mój dom.

- Od naszego spotkania w klubie w zeszłym tygodniu moi ludzie mieli cię cały czas na oku, żeby mieć pewność, że jesteś bezpieczna i nikt cię nie śledzi.

Zaczerpnęłam gwałtownie powietrza. Teraz wszystko pasowało.

- Facet w sedanie! Widziałam go także na pogrzebie taty!

Jamie potwierdził ruchem głowy.

- To mój przyjaciel Dodger. Sam też często pełniłem wartę, ale każdy musi kiedyś spać i jeść...

Jamie czatował przed moim domem, przez cały czas był tak blisko, a ja nie miałam o tym pojęcia? Poczułam lekkie ukłucie w dołku.

- Siedziałaś przed moim domem i mnie obserwowales?

- Chyba nie czyni to ze mnie prześladowcy? - zażartował, uśmiechając się krzywo.

Również się uśmiechnęłam i pokręciłam przecząco głową. Nie miałam czasu, by teraz to roztrząsać. Miałam coś ważniejszego do załatwienia.

- Tak czy siak, jeszcze raz dzięki za podwiezienie. - Nacisnęłam kłamkę i otworzyłam drzwi.

- Poczekaj, zapiszę ci mój numer telefonu. - Wyciągnął rękę po moją komórkę. Ściągnęłam brwi, jednak sięgnęłam do torebki i podałam mu popękany telefon. Wstukał swój numer, po czym zadzwonił do siebie, żeby mój też się mu zapisał. Uśmiechnął się z zakłopotaniem i dodał: - Wiesz, tak na wszelki wypadek, gdybyś potrzebowała mojej pomocy.

- Okej - przytaknęłam. - Pa, Jamie.

- Jeśli chcesz, mogę was zawieźć do szpitala - zaoferował, gdy wysiadłam i zarzuciłam torebkę na ramię.

- Dzięki. Mamy transport - zbyłam go, wskazując małego garbusa stojącego na podjeździe. Zamknęłam za sobą drzwi samochodu i pomachałam mu na pożegnanie. Spodziewałam się, że zaraz odjedzie, ale nawet nie włączył silnika; siedział i patrzył, jak pędzę radośnie do domu.

- Już jestem. Gotowe?! - zawołałam, wparowując do środka.

Kelsey natychmiast zbiegła w podskokach po schodach, uśmiechając się od ucha do ucha, a babcia, już w płaszczu,

wyłoniła się z kuchni. Spojrzałam na Kelsey, unosząc znacząco brwi.

- Powiem mamie, że biegałaś po domu w butach - zażartowałam, kierując wzrok na jej stopy.

Nie odpowiedziała, tylko rzuciła się na mnie i uściskała mocno, niemal pozbawiając mnie tchu.

- No już, jedźmy - zarządziłam, odrywając się od siostry.

Wyszłam na zewnątrz i zauważyłam, że Jamie nadal parkuje przed domem. Posłałam w jego kierunku posępne spojrzenie. Ponieważ jednak jego samochód miał przyciemnione szyby, nie byłam pewna, czy to widział. Wgramoliłyśmy się do mojego auta i skierowałyśmy do szpitala. Z niepokojem zauważyłam, że Jamie również wyjechał na ulicę i ruszył za mną. Nie żartował, mówiąc, że ktoś będzie musiał mnie pilnować. Czyżby naprawdę myślał, że ci kolesie - Salazarowie czy jakoś tak - jeszcze raz się na mnie zasadzą?

Dotarwszy na miejsce, szybkim krokiem przemierzyłyśmy znajomą trasę do hałaśliwej windy, którą ślimaczym tempem, przy wtórze zniecierpliwionego mlaskania babci, wjechałyśmy na właściwe piętro.

Gdy weszłam do pokoju mamy i zobaczyłam, że śpi, mój entuzjazm nieco przygasł. Kelsey ściągnęła brwi i wsunęła rękę w moją dłoń, ściskając ją mocno.

- Mówiłaś, że się obudziła.

Rozejrzałam się i zauważyłam subtelne różnice w stosunku do tego, co zastałam rano. Wykres na ekranie EKG wciąż pokazywał miarowy rytm, wnosząc się i łagodnie opadając jak zwykle, ale statyw infuzyjny stał pusty pod ścianą, mama miała

odłączoną kroplówkę, a z jej ust i nosa nie wystawały już żadne rurki.

- Teraz po prostu śpi - wyjaśniłam szeptem, przesuważąc się dalej w głąb pomieszczenia i ciągnąc za sobą Kelsey, która przylgnęła do mnie mocno.

- Siadajcie, ja postoję.

Obeszłam łóżko, pozwalając im zająć oba krzesła dla gości po drugiej stronie. Czekaliśmy w milczeniu dobre pięć minut. W końcu zaczęliśmy szeptać między sobą, planując, jak ją delikatnie wybudzić, i rozważając możliwe konsekwencje. Nagle mama uniosła powieki i szybko je zamknęła - to było coś wspaniałego, jeden z najpiękniejszych widoków. Podeszłam bliżej i wtedy całkiem się obudziła, zawieszając na mnie wzrok.

Mrugnęła dwa razy, marszcząc czoło, jakby się czemuś dziwiła, po czym otworzyła usta i westchnęła.

- Ellison?

Przytaknęłam, posyłając jej promienny uśmiech.

- Cześć, mammo.

Z jej gardła wydarł się zdławiony szloch. Wyciągnęła rękę i nieśmiało dotknęła mojego policzka.

- Och, Ellison! Jak dobrze cię widzieć. Cieszę się, że tu jesteś. - Głos miała słaby i chropawy od rurki intubacyjnej.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - odparłam zgodnie z prawdą.

Przesunęła dłoń w kierunku moich włosów, chwytając w palce kosmyk.

- Obcięłaś włosy od czasu naszej ostatniej wideorozmowy. -

Uśmiechała się ciepło i czule; jej oczy były przepelnione uczuciem, którego nigdy wcześniej z nią nie kojarzyłam. – Są teraz krótsze niż moje. Zawsze wolałaś, jak były dłuższe. Tak krótkie nosiłaś chyba tylko, jak byłaś mała.

Kelsey podeszła z drugiej strony łóżka i ujęła jej dłoń. Mama odwróciła ku niej głowę, rozciągając usta w jeszcze szerszym uśmiechu.

– Kelsey – wyszeptała i przeniosła wzrok na babcię, która wstała, lecz trzymała się nieco z tyłu, zostawiając miejsce dla Kelsey. – Betty, witaj.

– Cześć, Ruth. Jak dobrze, że w końcu się obudziłaś; zaczynałyśmy się już martwić. – Babcia uśmiechała się łagodnie do synowej.

Mama pociągnęła mnie i Kelsey za ręce, przyciągając nasze dłonie do swojego brzucha i mocno ściskając.

– Co się stało? Powiedzieli mi, że miałam jakiś wypadek. – Uniosła brwi, wyraźnie pogubiona. – Ale niczego nie pamiętam.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem, w głębi ducha czując wdzięczność, ponieważ nikt nie powinien czegoś takiego pamiętać.

– Ty i tata mieliście wypadek samochodowy. Byłaś w śpiączce.

Przełknęła ślinę z rosnącym zdziwieniem.

– Jak długo?

– Prawie dwa tygodnie – wtrąciła Kelsey. – Lekarze nie byli pewni, czy się ockniesz.

Mama spojrzała na mnie, szukając potwierdzenia.

- Doznałaś poważnych obrażeń głowy - wyjaśniłam.

Była w szoku, gdy to usłyszała; jeszcze mocniej ścisnęła moją dłoń. Na krótką chwilę zapadła cisza. Mama rozejrzała się po pokoju i zawieszając wzrok na nas, zapytała z niepokojem:

- Gdzie jest Michael?

Wstrząsnął mną wielki żal, jakbym dostała cios w brzuch. Lekarze jej nie powiedzieli. O niczym nie wiedziała. Wszystko przespała i nie zdawała sobie sprawy, że mężczyzna, który od ponad dwudziestu lat był jej mężem, jej studencka miłość, nie żyje. Spodziewałam się, że dla niej będzie to jeszcze większy szok niż dla nas.

Nabrałam powietrza w płuca i otworzyłam usta, a wtedy mama spojrzała na babcię i odezwała się, unosząc głos.

- Betty, gdzie jest Michael?

Kelsey wybuchnęła płaczem; wielkie jak groch łzy stoczyły się po jej policzkach. Odchrząknęłam, starając się, by mój głos zabrzmiał mocno i spokojnie, po czym przeniosłam wzrok na babcię. Popatrzyła na mnie z przerażeniem i zacisnęła pomarszczone usta w wąską kreskę.

- Babciu, może pójdziesz z Kelsey po kawę? I przy okazji kupcie na później dla mamy jakieś czasopisma i słodczyce - zasugerowałam.

Babcia skinęła głową, a na jej twarzy pojawił się wyraz wdzięczności. Podeszła do Kelsey i objęła ją ramieniem.

- Dobry pomysł. Chodź, Kelsey, kupimy mamie coś na poprawę humoru.

Kelsey spojrzała na mnie, a potem na mamę, której oczy

otwarły się szeroko. Jej przerażone spojrzenie skakało między mną i Kelsey; przygryzała wargę tak mocno, że zaczęła krwawić.

- No dalej, Kels - zachęcałam ją, ruchem głowy wskazując drzwi. Gdy w końcu wyszła za babcią z pokoju, z nerwów ścisnęło mnie w żołądku.

- Co się stało? - zapytała ochrypłym głosem mama, gdy tylko drzwi się zamknęły.

Przełknęłam ślinę, szukając właściwych słów.

- Mamo, tak mi przykro - wydusiłam z siebie, kładąc jej dłoń na ramieniu i lekko ściskając. - Tata, on... - Pokręciłam głową, a napływające do oczu łzy rozmyły mi obraz.

Mama wciągnęła głęboko powietrze w płuca i zeszywniała.

- Nie! - krzyknęła. - Nie, to nieprawda! Nie mógłby mnie opuścić, nie zrobiłby tego! Musiała zajść jakaś pomyłka, gdzieś po drodze komuś się pomieszało, to nie może być prawda! - Jej głos załamał się kilka razy; utkwionym we mnie spojrzeniem błagała, bym zaprzeczyła.

- Przykro mi, mamo. Nawet nie wiesz, jak bardzo - wyszeptalam, nachylając się nad nią i całując ją w policzek.

Potrząsnęła gwałtownie głową, łapiąc w przerażeniu powietrze.

- Nie żyje? Twój ojciec nie żyje? - szlochała.

Przytaknęłam, patrząc, jak jej serce roztrzaskuje się na maleńkie kawałki.

- Ale ja nie... On nie może nie żyć. - Ukryła twarz w dłoniach, zanosząc się płaczem, a wykres na monitorze EKG skakał jak oszalały. - Nie chcę żyć bez niego, dlaczego ja też

nie umarłam? – rozpaczała.

Poczułam w sercu bolesne ukłucie. Wyciągnęłam dłoń i odgarnęłam jej włosy z czoła.

– Mamo, już dobrze, ja tu jestem i Kels. Zaopiekujemy się tobą. – Nie wiedziałam, co powiedzieć; mogłam tylko patrzeć i dodawać jej otuchy. Nienawidziłam tego uczucia bezradności.

– Och, Michael! – zawodziła.

Przeniosłam wzrok na monitor EKG, z niepokojem patrząc na szybko rosnące cyferki w rogu ekranu. Powinna się uspokoić. Dopiero co wybudziła się ze śpiączki; emocje mogły jej zaszkodzić.

Pokój wypełniła cisza. Mama odjęła dłonie od twarzy i przycisnęła jedną z nich do piersi. Wciąż tonąc we łzach, utkwiała we mnie czerwone oczy.

– Twój ojciec był moją bratnią duszą, moim absolutnym dopełnieniem. Powinnam była mu to powiedzieć. A teraz jest już za późno. – Przygryzła mocno drżącą wargę, oddychając nierówno.

– On wiedział, mamo. – Byłam tego pewna. Świadczyły o tym te wszystkie pełne uwielbienia spojrzenia, które rzucał jej ukradkiem przez tyle lat, te potajemne uśmieшки i płynące prosto z serca słowa „kocham cię”, które jej szeptał, myśląc, że nikt nie słyszy. Wielbił ziemię, po której stapała, nawet w te gorsze dni, i wiedział, że ona czuje to samo.

– Powinnam była częściej to okazywać. Czasami byłam dla niego naprawdę okropna – chlipała, jeszcze mocniej zalewając się łzami. Nie wiedziałam, co zrobić, by poczuła się lepiej,

więc tylko się pochyliłam, wtulając twarz w zagięcie jej szyi i obejmując ją ramieniem. Mama podniosła rękę i wczepiła się palcami w moje włosy, a drugą ręką tak mocno ścisnęła moją dłoń, że prawie bolało.

Czułam, jak cała się trzęsie i zanosi od płaczu. Trzymała się mnie kurczowo, rozpaczając, a jej łzy skapywały na moje włosy i twarz. Przełknęłam ślinę, starając się zapanować nad emocjami i nie pogrążyć wraz z nią w głębokim smutku. Nigdy nie czułam się jej bliższa niż w tym momencie wspólnej żałoby. Po raz pierwszy widziałam, jak płacze – kilka pojedynczych łez, które uroniła, kiedy wyjeżdżałam w podróż, było niczym w porównaniu z tym rozpaczliwym, rozdzierającym serce lamentem.

Wreszcie jej oddech wyrównał się. Czas płynął, a ja nie spuszczałam oczu z monitora EKG, obserwując, jak cyferki w rogu ekranu powoli wracają do normalnych wartości. Cofnęłam się ostrożnie, spoglądając na matkę, teraz pogrążoną w głębokim śnie; od tego szlochania czoło i policzki miała czerwone i całe w plamach.

Odetchnąwszy z ulgą, podniosłam dłoń, żeby otrzeć własną zapłakaną i spuchniętą twarz. Siadłam na krześle przy łóżku i ujęłam jej dłoń. Patrząc, jak śpi, z przerażeniem myślałam o chwili, kiedy znów się ocknie i ponownie będzie musiała zmierzyć się z bólem po stracie. W ciszy pokoju zaczęłam się nawet zastanawiać, czy śmierć nie byłaby dla niej bardziej łaskawa i sprawiedliwa.

Po kilku minutach drzwi za moimi plecami zaskrzypiały i do środka wszedł lekarz.

- Znowu zasnęła. Czy to normalne? - zapytałam szorstkim beznamiętnym głosem.

- Jak najbardziej. Jej organizm szybciej się regeneruje podczas snu. Dużo przeszła; przez chwilę jej życie wisiało na włosku. Miała sporo szczęścia.

- Wiem - odparłam sucho. Bałam się przyznać, że gdzieś po drodze prawie straciłam nadzieję, że ta chwila nadejdzie.

- Ile jeszcze potrwa, zanim wydobrzeje na tyle, by móc wrócić do domu? - dopytywałam, odgarniając mamie włosy z czoła.

- Twoja mama ma przed sobą długą i, obawiam się, że wyboistą drogę - wyjaśnił lekarz. - Musimy ją jeszcze zatrzymać przynajmniej na kilka dni. Później prawdopodobnie przez parę tygodni będzie się musiała poruszać na wózku inwalidzkim z uwagi na rozległość obrażeń. Będzie potrzebować intensywnej rehabilitacji i fizjoterapii, zanim znów stanie na nogi i wróci do normalnego życia, ale wyjdzie z tego. W przypadku urazów mózgu można liczyć na dobre dni z przebłyskami świadomości, ale i na złe. Niezbędne będzie ciągłe fizyczne i emocjonalne wsparcie.

Skinęłam ze zrozumieniem i uniosłam dłoń matki do ust, składając na niej delikatny pocałunek.

- To nic. Będę przy niej.

Zawsze.

Rozdział 22

Nastrój w drodze powrotnej ze szpitala był zdecydowanie bardziej ponury, niż kiedy tam jechałyśmy. Byłyśmy strasznie podekscytowane wieścią, że się obudziła; tak bardzo się cieszyłyśmy, że nawet nie przyszło nam do głowy, iż miała dwutygodniowe zaległości i nie wiedziała o śmierci taty. Teraz, gdy poznała smutną prawdę, cierpialiśmy razem z nią.

Podczas odwiedzin jeszcze kilkakrotnie odpływała i przytomniała. Za każdym razem, gdy odzyskiwała pamięć i wybuchała histerycznym płaczem, krajało nam się serce. Najgorszy był moment, gdy powiedziałam, że pogrzeb już się odbył. Była zdruzgotana, że nie mogła pożegnać się z mężem, i rozpaczała, co by sobie o tym pomyślał. Poczucie winy, które mnie ogarnęło, skręcało mi wnętrzności. Jednak rozum podpowiadał, że nie powinnam się obwiniać. Lekarze mówili, żeby nie zwlekać, że nie mieli pewności, czy kiedykolwiek się obudzi. Przecież nikt nie potrafił przewidzieć przyszłości.

Poniekąd to dobrze, że mama przespała pogrzeb. Dzięki temu jej wspomnienia pozostały bez skazy; nie mogła sobie przypomnieć wypadku, więc ostatnią rzeczą, jaką zachowała w pamięci, było to, że jechała z tatą, który śpiewał – dość marnie – jakąś piosenkę Spandau Ballet graną w radiu, próbując ją rozśmieszyć.

Zazdrościłam jej tego. Teraz, ilekroć myślałam o tacie,

widziałam tylko pogrzeb, grupki płaczących żałobników i trumnę spoczywającą na niewielkim podwyższeniu. Chyba lepiej, że ją to ominęło; też bym tak chciała.

Cieężko mi było zostawiać mamę samą. Była taka załamana i słaba, w niczym nie przypominała tej silnej, panującej nad wszystkim kobiety, którą znałam i kochałam. Wyglądała jak mała zagubiona dziewczynka. Ktoś z personelu w końcu podał jej środek na uspokojenie, by mogła zasnąć, ponieważ tętno ponownie gwałtownie podskoczyło. Gdy zmorzył ją sen, wyszliśmy, gramoląc się z powrotem do garbusa.

Wizyta u mamy odbiła się na nas wszystkich. We wstecznym lusterku widziałam, że Kelsey siedzi z głową opartą o szybę i pustym wzrokiem wpatruje się w nicość, trzymając splecione dłonie na kolanach. Od wyjazdu ze szpitala nie odezwała się ani słowem.

Gdy zajechałyśmy pod dom, spostrzegłam, że jakiś samochód również zatrzymuje się przy krawężniku. Jamie, pomyślałam. Wsiadłszy z auta, obejrzałam się i zauważyłam, że tym razem zaparkował bardziej na widoku, na skraju naszego podwórka, a nie kilka domów dalej jak ten poprzedni wóz. Być może przestał się kryć, bo już wiedziałam, że mnie obserwuje. Kelsey rzuciła okiem w jego stronę i na jej czole wykwitła mała zmarszczka. Wstrzymałam oddech, mając nadzieję, że nie rozpozna w nim mojego byłego chłopaka i nie będzie zadawać pytań. Naprawdę nie potrzebowałam kolejnych dramatów. Szczerze mówiąc, potrzebowałam raczej porządnego drinka. Szczęśliwie Kels nic nie powiedziała; tylko na chwilę zawiesiła wzrok na aucie Jamiego, a potem jakby

nigdy nic pomaszerowała z babcią do frontowych drzwi.

Pomachałam mu szybko ręką - wypadało przynajmniej zasygnalizować, że go widzę - i też skierowałam się do domu.

- Przyszykuję kolację - powiedziała babcia, ruszając do kuchni. Kiedy wspomniała o jedzeniu, zaburczało mi w brzuchu, i nagle zdałam sobie sprawę, że nie dotarłam do domu z zakupami, o które mnie prosiła. Pewnie nadal leżały porozrzucane na parkingu, gdzie je zostawiłam. Na szczęście w całym tym zamieszaniu babcia ani razu o nich nie wspomniała. Spojrzałam na zegarek; było dopiero po ósmej. Ten dzień wyjątkowo się dłużył.

Razem z Kelsey siedziałyśmy w salonie, zgodnie udając, że oglądamy telewizję, by nie silić się na rozmowę, a babcia tymczasem krzątała się w kuchni. Po kwadransie wróciła z trzema talerzami, na których piętrzyły się quesadillas z serem i pomidorami. Na ich widok pociekła mi ślinka. Ale z jedzeniem było już gorzej; nie mogłam się skupić i większość tylko rozgrzebałam po talerzu, nieustannie odtwarzając w głowie słowa mamy. W końcu dałam za wygraną.

- Pójdę się wykąpać - oświadczyłam, wstając i zanosząc do kuchni praktycznie nietknięte dania - moje i Kelsey. Zeskrobałam zawartość talerzy do młynka na odpadki, czmychnęłam na piętro i zniknęłam za drzwiami łazienki. Odkręciłam wodę, wsypałam trochę soli do kąpieli i przysiadłam na brzegu wanny, wpatrując się tępo w przestrzeń przed sobą, otoczona kłębamii unoszącej się pary, którą zaszło lustro.

Zanurzyłam się w gorącej pianie i zamknęłam oczy. Woda

chlupotała przy mojej szyi i policzku, a kwiatowy zapach soli łaskotał mnie w nos. Leżałam tak dość długo; woda stygła, a ja rozmyślałam o matce, jej przyszłości i o tym, jak jej los splótł się z moim. Przez myśli przelatywały mi rozmowy z Tobym, te wszystkie niewypowiedziane słowa, które zawisły między nami na lotnisku, i to jego pełne zrozumienia spojrzenie, kiedy całował mnie na pożegnanie.

Z westchnieniem usiadłam w wannie, odgarniając z twarzy mokre włosy, i utkwiłam wzrok w suficie. Musiałam z nim porozmawiać; ta niepewność mnie wykańczała. Chciałam zostać tu, gdzie moi bliscy, a on nie mógł zostawić swojej rodziny. Sytuacja była bez wyjścia i przysparzała jeszcze więcej zbędnego cierpienia.

Wyszłam z kąpeli, owinęłam się dużym puchatym ręcznikiem i poczłapałam do pokoju. Podsuszyłam moje niesforne rude loki i bezlitośnie potraktowałam je grzebieniem, po czym wyjęłam moją najwygodniejszą piżamę – tę ze śpiącymi pandami – i odkopałam w szafie jedną z moich starych bluz z kapturem, które nosiłam w liceum. Była trochę za mała, zwłaszcza w talii i w biuście. W czasach licealnych pięknie podkreślała mój płaski brzuch i układała się perfekcyjnie na biodrach. Zmarszczyłam nos, rozważając przejście na dietę, żeby zgubić te pięć czy sześć kilogramów, których mi przybyło w ciągu ostatnich dwóch lat, ale potem uświadomiłam sobie, jak bardzo lubiłam ciasto czekoladowe, i natychmiast zarzuciłam ten pomysł. Nie miałam nadwagi, po prostu nie byłam już tą samą idealnie smukłą cheerleaderką co kiedyś.

Uśmiechnęłam się do siebie i podniosłam popękany telefon, ostrożnie przewijając listę kontaktów na ekranie w poszukiwaniu numeru Toby'ego. Dopiero gdy usłyszałam jego ochrypy, zaspany głos, przypomniałam sobie o różnicy czasu. Dochodziła dziesiąta, czyli u niego była prawie trzecia nad ranem.

- Przepraszam! Zapomniałam o różnicy czasu.

Zakasłał, a w tle usłyszałam szelest pościeli.

- Nic się nie stało.

- Przepraszam, że cię wyrwałam ze snu, Toby - jeszcze raz wyszeptalam.

- Serio, nie ma sprawy. Uwielbiam z tobą rozmawiać, nie musisz przeproszać - odparł czułym głosem, który tuż po przebudzeniu nabrał zmysłowego tonu. - Co u was?

- Mama się obudziła - oznajmiłam z uśmiechem.

- A niech mnie! Świetne wieści!

- No - przytaknęłam.

- Coś nie tak? Nie masz zbyt radosnego głosu. - Nawet ja to zauważyłam, więc nie zdziwiło mnie, że on także to wyczuł.

Westchnęłam głośno i pochyliłam się, opierając głowę na rękę.

- Po prostu nie było lekko. Nie wiedziała o tacie, więc musiałam jej o wszystkim opowiedzieć. - Przygryzłam wewnętrzną stronę policzka, starając się nie przywoływać w pamięci jej zdruzgotanej miny.

- Psiakrew, ciężka sprawa - skomentował tonem pełnym współczucia. - Trzymasz się?

- Daję radę. - Muszę, pomyślałam. Wszystkie jakoś

musiałyśmy dać radę.

- Obudziła się, czyli wkrótce wróci do domu, tak? - zapytał Toby.

Zamknęłam oczy. Na to czekałam; to był mój sygnał, żeby powiedzieć mu, że nie wracam. Choć wiedziałam, że muszę to z siebie wydusić, wcale tego nie chciałam. Nie przypuszczałam, że tak się to skończy. W zasadzie nie sądziłam, że to się w ogóle skończy. Gdyby to wszystko się nie wydarzyło, spędziłabym z nim resztę życia: byłabym szczęśliwa, matkując jego synom, którzy odwiedzaliby nas w weekendy, prowadziłam z nim pub i każdej nocy zasypiałabym u boku wspaniałego faceta. Ale los miał dla mnie inne plany.

- Mówią, że jeszcze przez kilka dni musi zostać w szpitalu, a gdy ją wypiszą, będzie potrzebować naszego wsparcia i intensywnej rehabilitacji, żeby dojść do siebie po wypadku. - Odchrząknęłam i wzięłam głęboki wdech. - Toby, musimy o czymś porozmawiać - podjęłam, lecz nie mogłam znaleźć właściwych słów. - Ja... ja... - Boże, dlaczego robienie tego, co słuszne, nigdy nie przychodzi łatwo?

Westchnął ciężko; w telefonie rozległy się trzaski i szum.

- Wiem.

Zamurowało mnie.

- Naprawdę? - upewniłam się niemal szeptem.

- Uhm - potwierdził, ponownie wzdychając. - Widziałem to w twoich oczach. Nie chcesz opuszczać rodziny. Chcesz tam zostać i nie wracać do domu.

Przytaknęłam. Miał rację, z jednym wyjątkiem - właśnie tu

był mój dom. W Londynie tak naprawdę nigdy nie czułam się jak w domu, nawet przy Tobym. Po prostu nie chciałam się do tego przyznać.

- Tak mi przykro. - Szczerze żałowałam. Nie chciałam sprawiać mu bólu, ale nie dało się tego uniknąć. Mieszkaliśmy po przeciwnych stronach globu.

- Już dobrze, Ellie. Rozumiem, serio. Nie myśl sobie, że się nie załamam, ale wiem, ile znaczy dla ciebie rodzina, a po tym, co się stało, nic dziwnego, że tak postanowiłaś.

- Nigdy nie chciałam cię zranić - oświadczyłam wzniósł.

- Wiem, słońce. Wszystko przez tę cholerną geografę. Nasz związek nigdy tak naprawdę nie miał szans na przetrwanie. - Robił dobrą minę do złej gry, starając się brzmieć radośnie, mimo to wyczułam w jego głosie smutek. Rozumiał to, ale i tak cierpiał. - Kocham cię i chciałbym, żeby sprawy potoczyły się inaczej, ale wiesz, jak jest. Z geografą nie wygrasz - żartował.

- Ja też cię kocham. - Nie kłamałam, te słowa płynęły z głębi serca. W pewnym sensie uratował mnie; gdy go poznałam, byłam zupełnie inną osobą. Pomógł mi stanąć na nogi i wspierał mnie, gdy dochodziłam do siebie. Chyba nigdy nie zdołam się mu za to odwdzięczyć. Zawsze sądziłam, że to, co dla mnie zrobił, wystarczy jako fundament dla związku, ale teraz zdałam sobie sprawę, że to nieprawda.

- Będzie mi ciebie brakować. - Tak samo jak jego żartów, jego zaraźliwego śmiechu, jego niepoprawnej dobroci i całej tej jego londyńskiej bezceremonialności.

- Możemy utrzymywać kontakt, gadać przez telefon

i w ogóle. Nie chcę cię całkiem stracić. – Mówił szczerze; w jego głosie pobrzmiewał smutek, który starał się zamaskować.

Pozostaniemy przyjaciółmi, byłam tego pewna. Tobo przyjaźnił się ze wszystkimi, nawet ze swoją byłą żoną, więc wiedziałam, że nie zerwiemy kontaktu.

– Nie stracisz – obiecałam.

– To dobrze, bo tego bym nie zniósł. – Odchrząknął. – Słuchaj, muszę już iść spać. Wstaję wczesnym rankiem. Porozmawiamy w tygodniu, dobrze?

Wiedziałam, że po prostu chciał zakończyć rozmowę. Rozstania przez telefon nie należały do najprzyjemniejszych.

– Jasne – zgodziłam się. – Zadzwoń do ciebie za parę dni.

– Okej, ale jeśli coś się zmieni albo będziesz chciała wcześniej pogadać, daj znać. Nadal możesz na mnie liczyć, jeśli będziesz chciała się komuś wyzalić albo coś w tym stylu.

Uśmiechnęłam się. Jedną z rzeczy, które kochałam w Tobym, była jego dobroć – to i jego talent do obracania wszystkiego w żart, nawet jeśli był to suchy dowcip rzucony w supermarkecie.

– Dziękuję. I wzajemnie. Pozdrów ode mnie chłopców, jak będziesz się z nimi widział. – Na myśl o tym, że już go nie zobaczę ani jego dzieci, serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Bolało. Ale nie tak bardzo, jak się obawiałam.

Rozłączył się. Wyciągnęłam się na łóżku, wiedząc, że postąpiłam słusznie. Zrobiłam to, co dla mnie najlepsze, i choć teraz Tobo mógł tego nie widzieć, w końcu zrozumie, że tak było lepiej również dla niego. Kochałam go, ale nie byłam

w nim zakochana, a zasługiwał na to. Był naprawdę wspaniałym facetem; zasługiwał na kogoś, komu serce zaczyna łomotać, kiedy wchodzi do pokoju przepasany jedynie ręcznikiem, na dziewczynę, której uda zaciskają się z podniecenia, gdy jej dotyka, na kogoś, komu miękną kolana, kiedy się uśmiecha. Ja po prostu nie byłam tą dziewczyną – nigdy. Przez pewien czas myślałam, że to nie szkodzi, ale tylko oszukiwałam siebie i jego. Zadowolaliśmy się tym, co mieliśmy, ale ludzie tacy jak Toby zasługują na coś więcej.

Ucieszyłam się, że w końcu to wyjaśniliśmy. Teraz każde z nas mogło pójść w swoją stronę, a ja wreszcie mogłam zająć się sklejeniem mojej rozbitej rodziny, kawałek po kawałeczku. Wsunęłam stopy w puchate, różowe kapcie, które dostałam od Kelsey na osiemnaste urodziny, i poczłapałam na dół do kuchni z zamiarem zrobienia gorącego kakao.

Pokonawszy schody, podeszłam do drzwi. Uchyliłam zasłonę i wyjrzałam na zewnątrz. Samochód Jamiego nadal stał w tym samym miejscu. Zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, jak długo jeszcze zamierzał sterczeć przed moim domem i obserwować każdy mój ruch. To było trochę dziwne, ale rozumiałam, dlaczego tak się przejmował.

Przypomniałam sobie, jak ocierał mi łzy w swoim mieszkaniu, jak mówił, że planował ze mną życie, i pytał, czy nie jest na to za późno.

Przełknęłam ślinę. Moja decyzja o pozostaniu nie miała nic wspólnego z Jamiem. Podjęłam ją podświadomie, na długo, zanim spotkałam go w klubie. Chciałam być bliżej rodziny; chciałam być tu, w domu, a nie w jakimś obcym miejscu,

w którym mieszkałam z Tobym. Wcale nie chodziło o Jamiego... w każdym razie nie na początku - teraz nie byłam już taka pewna.

Odpędziłam od siebie te myśli i weszłam do salonu. Kelsey i babcia siedziały skulone na kanapie, oglądając telewizję.

- Ktoś ma ochotę na gorące kakao? Chyba gdzieś w szafce widziałam pianki - powiedziałam kusząco.

Obie pokiwały energicznie głowami. Poszłam zatem do kuchni, wyjęłam mleko z lodówki i nalałam trochę do rondla. Odstawiając karton z powrotem na miejsce, zauważyłam resztki kurczaka z wczorajszej kolacji i natychmiast pomyślałam o Jamie. Czy on w ogóle coś jadł? Wyciągnęłam kurczaka oraz majonez i zabrałam się do robienia kanapki, podczas gdy mleko bulgotało lekko na ogniu.

Gdy wszystko było gotowe, przyniosłam do salonu dwa kubki i postawiłam je na stole, po czym wróciłam do kuchni po talerz z jedzeniem oraz kakao, które przyszykowałam dla Jamiego. Ponieważ nieszczególnie chciało mi się odpowiadać na dociekliwe pytania Kelsey i babci, wymknęłam się na palcach z domu.

Ostrożnie zamknęłam za sobą drzwi i z włosami rozwiewanymi przez wiatr ruszyłam w kierunku samochodu. Jamie opuścił szybę. Uśmiechnęłam się, podając mu talerz i kubek, które przyjął z wdzięcznością.

- Głodny? - zapytałam. - Nie widziałam, żebyś coś jadł.

Podniósł kanapkę do ust i odgryzł wielki kęs, szybko przeżuując.

- Jak wilk - wymamrotał z pełnymi ustami. - Dziękuję. - Jego

oczy błysnęły w ciemnościach, gdy przykucnąłam przy drzwiach, żeby lepiej go widzieć.

- Jamie, jak długo zamierzasz mnie jeszcze pilnować? - Wzruszył ramionami, stawiając kubek na desce rozdzielczej, obitej drogą tapicerką, na której z pewnością odcisnę okrągły ślad. W duchu zaczęłam sobie wyrzucać, że nie przyniosłam mu jakiejś podkładki albo czegoś innego, co mogło mu się przydać.

- Za kilka godzin ktoś mnie zastąpi i przejmie nocną zmianę. Ale jutro wrócę.

- Nie o to mi chodziło.

Westchnął głęboko i odwrócił się bokiem na siedzeniu, tak że patrzyłam mu prosto w twarz.

- Nie wiem. Moi ludzie cały czas szukają gościa, który zlecił twoje porwanie, ale nie jestem pewien, ile to jeszcze potrwa. - Patrzył na mnie przymkniętymi oczami, przejęty gniewem i troską.

- Aha - wydukałam. Nie byłam zadowolona z faktu, że ktoś musiał mnie niańczyć. Wsunęłam dłonie do kieszeni bluzy, splatając palce na brzuchu. - Musimy jeszcze porozmawiać, no wiesz, o tym, co się wcześniej wydarzyło.

Potwierdził ruchem głowy, odkładając talerz na deskę rozdzielczą, obok kubka.

- Może teraz? Moglibyśmy skoczyć na kawę - zaproponował nadzwyczaj ochoczo. Staralam się zignorować przyjemne ściskanie w żołądku; podobało mi się, że chciał spędzić ze mną więcej czasu.

Spojrzałam na swoje puchate, różowe kapcie, piżamę oraz

przymął bluzę i uniosłam znacząco brwi.

- Nie jestem ubrana.

Powoli przesunął po mnie wzrokiem, unosząc kąciki ust w uśmiechu; od tej intymnej inspekcji zapiekły mnie policzki.

- To nic. Dla mnie zawsze wyglądasz pięknie.

Musiałam się uśmiechnąć. Taki banał. Westchnęłam i pokręciłam głową, czując ogarniające mnie zmęczenie.

- Innym razem, okej? Padam z nóg. - Obejrzałam się na dom, próbując zatknąć za ucho nieposłuszne, wciąż wilgotne włosy, ale chłodny wiatr znów je rozwiewał. - Muszę wracać. Dobranoc, Jamie. - Ruszyłam do środka, nie czekając na odpowiedź.

- Ellie?

Zatrzymałam się i odwróciłam, patrząc, jak z samochodu wynurza się jego wysoka wysportowana sylwetka i zmierza w moją stronę. Bez słowa wziął mnie w ramiona, zamykając w uścisku i przyciągając mocno do siebie. Z głębokim westchnieniem przytuliłam się do niego i zamknęłam oczy, obejmując go w pasie. Słyszałam, jak wali mu serce. Wdychając jego zapach, nagle poczułam się bezpiecznie.

Wtuliłam twarz w jego szyję, łaskocząc ją nosem. Przytulił mnie mocniej do siebie. Tak dobrze było znaleźć się znów w jego ramionach. Przez tę krótką chwilę wreszcie poczułam się jak w domu.

Muskał ustami moje włosy, budząc do życia wszystkie komórki mojego ciała, które już dawno uznałam za martwe. Podniecenie w moim brzuchu przerodziło się w rozkoszne nieznośne pieczenie. Moja skóra napięła się pod jego dotykiem

i zapragnęłam czegoś więcej. Chciałam się w nim zatopić i trwać tak w nieskończoność, zapominając o wszystkich zmartwieniach.

Odchylił się powoli, wciąż mnie obejmując. W jego oczach widziałam pożądanie, pragnienie być może dorównujące mojemu. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością – rozpaczliwie potrzebowałam tego uścisku. Nawet nie wiedziałam, jak bardzo.

Oderwałam się od niego ogromnym wysiłkiem woli, ponieważ nie chciałam opuszczać jego ramion.

- Dobranoc, Jamie.

Opuścił ręce i uśmiechnął się szczerze, ukazując dołeczek.

- Dobranoc, maleńka. - Jego głos był tak przepiękny, że poczułam przyjemne ściskanie w podbrzuszu; ten pieszczotliwy zwrot sprzed lat tylko podsycił gorącą atmosferę.

Miałam nadzieję, że mrok skryje moje rumieńce; nie chciałam, by wiedział, że nadal uwielbiam, gdy tak do mnie mówi. Odwróciłam się i pomaszerowałam w kierunku domu, głęboko wierząc, że wreszcie, po raz pierwszy od dwóch tygodni, uda mi się zasnąć.

Rozdział 23

Zakładając buty i kurtkę przy drzwiach, odchyliłam zasłonę i zerknęłam na ulicę, gdzie dostrzegłam tę samą niebieską astrę, zaparkowaną na końcu podjazdu; za kierownicą siedział młody blondyn, który sprawiał wrażenie znudzonego. Zrobiło mi się ciężko na sercu, jak za każdym z ostatnich trzech razy, gdy okazywało się, że to nie Jamie obserwował mój dom. Dziś rano zwolnił posterunek, a jego miejsce zajął koleś, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Rozczarowanie faktem, że to nie Jamie siedzi na zewnątrz, zabolowało mnie bardziej, niż przypuszczałam. Nie mogłam przestać o nim myśleć od minionej nocy, kiedy przytulił mnie zaledwie kilka metrów od miejsca, w którym teraz stałam. A potem zapadłam w spokojny sen, rozmyślając o tym, jak wspaniale było znów znaleźć się w jego ramionach, jak cudownie pachniał i uśmiechał się, ukazując dołek w policzku, który tak lubiłam.

Westchnęłam tęsknie, pożegnałam się z babcią i wyszłam, kierując się do swojego auta i ignorując kolesia, który również uruchomił silnik, gotowy jechać tam gdzie ja – do szpitala.

Staraliśmy się odwiedzać mamę na zmianę, aby zawsze ktoś przy niej był w porze wizyt. Babcia przyszła rano, kiedy Kelsey była w szkole, ja miałam zjawić się po południu, a wieczorem planowałyśmy przyjść we trzy.

Mama siedziała na łóżku. Miała ściszony telewizor, ale tak

naprawdę niczego nie oglądała, tylko wpatrywała się nieprzytomnym wzrokiem w przestrzeń. Babcia powiedziała, że rankiem czuła się nieco lepiej, nie odpływała tak często jak wczoraj i już tyle nie płakała. Dziś widziałyśmy się po raz pierwszy, odkąd powiedziałam jej o śmierci taty.

- Cześć, mamó - przywitałam ją, kładąc na stoliku torebkę z winogronami.

Mama podniosła wzrok i uśmiechnęła się lekko.

- Dzień dobry, Ellison.

Podeszłam i pocałowałam ją w głowę.

- Jak się dziś czujesz? - zapytałam, przysiadając na brzegu łóżka. Jej widok mnie zaniepokoił: miała zaczerwienione oczy, a jej policzki były pokryte plamami, jakby niedawno płakała.

- Lepiej. - Trzęsącą się ręką odgarnęła włosy z twarzy. - Dali mi dziś jakieś inne leki przeciwbólowe. Czuję się po nich lekko otumaniona, ale ból w biodrze i nodze nie jest już tak dokuczliwy.

- Cieszę się. Nie dlatego, że jesteś otumaniona, tylko dlatego, że mniej cię boli.

- Wiem - stwierdziła, patrząc na mnie dociekliwie. - A ty dobrze się czujesz?

- Pewnie - odpowiedziałam automatycznie, sięgając po torebkę z winogronami i częstując się kilkoma owocami. - Co oglądasz? - zapytałam, spoglądając na telewizor.

- Jakąś koszmarną operę mydlaną - odparła, głośno wzdychając. - Zapomniałam, jak bardzo nie lubię popołudniowych seriali.

Uśmiechnęłam się, wbijając wzrok w ekran; moje myśli

ponownie wbrew mojej woli powędrowały ku Jamiemu. Mama dotknęła lekko mojego ramienia, wyrrywając mnie z zadumy, i dopiero wtedy dotarło do mnie, że coś do mnie mówiła, kiedy bujałam gdzieś w moim własnym małym świecie.

- Ellison, coś się stało? Wyglądasz, jakbyś myśłami była gdzie indziej.

Wzruszyłam ramionami, odrywając z kiści kolejne winogrono.

- Nie, wszystko w porządku. Przepraszam, co mówiłaś?

- Pytałam, kiedy zamierzasz wrócić do Londynu? - powtórzyła z westchnieniem, patrząc na mnie z zatroskaną miną.

- Nie wracam. Postanowiłam zostać. Moje miejsce jest tu, przy was.

Drgnęła.

- Zostajesz?

- Tak. Rozmawiałam o tym wczoraj z Tobym, postanowione.

- A co z wami? - dopytywała, świdrując mnie wzrokiem.

- Rozstaliśmy się - odparłam. - Po przyjacielsku. Nie było innego wyboru. Ja chcę tu zostać, a on nie może się przeprowadzić ze względu na dzieci.

Zanim przemówiła, milczała chwilę, jakby szukała właściwych słów.

- Ellison, nie pomyśl sobie, że się nie cieszę, bo tak nie jest. Bardzo za tobą tęskniłam; czułam się, jakbym straciła część siebie. Ale nie rób tego ze względu na mnie i wypadek. Niedługo wrócę do domu i zaopiekuję się Kels. Chcę, żebyś była szczęśliwa i nie rezygnowała ze swojego życia.

Westchnęłam, ściskając w palcach brzeg prześcieradła. Niko mu o tym nie powiedziałam; sama się z tym jeszcze do końca nie pogodziłam.

- Mamo, sęk w tym, że nie jestem pewna, czy tamto życie było dla mnie. Wydaje mi się, że tylko uciekałam od pewnych spraw. Zostałam tam, bo tak było łatwiej niż wrócić i z tym wszystkim się zmierzyć.

- Co masz na myśli?

Przełknęłam ślinę. Przed oczami natychmiast stanął mi uśmiech Jamiego. Jak w ogóle mogłam myśleć, że moje miejsce było u boku Toby'ego, skoro moje serce wciąż biło dla niego? Zmarszczyłam brwi, wypowiadając na głos pytanie, które od rana tłukło mi się w głowie.

- Mamo, czy można wyleczyć się z pierwszej miłości?

- Chodzi o Milesa? - zapytała.

Parsknęłam śmiechem, kręcąc głową.

- Nie.

- O Jamiego? - zgadywała dalej.

Potwierdziłam ruchem głowy. Był moją pierwszą i, jak się przekonałam, jedyną miłością.

- Tak. Spotkałam go niedawno i znów odżyły we mnie dawne uczucia. Rozmawialiśmy o tym, co się stało i dlaczego się rozstaliśmy. Wyjawił mi coś, co sprawiło, że ujrzałam pewne sprawy w nieco innym świetle.

Oparła się na poduszkach, przeszywając mnie spojrzeniem.

- Niby co?

Utkwiłam wzrok w pościeli. Nie mogłam powtórzyć wszystkiego. Nie znała jego przeszłości. Utrzymywałam ją

w tajemnicy, ponieważ Jamie nie chciał, by ktokolwiek o tym wiedział. Nie mogłam jej teraz wyznać, że tamtej nocy został aresztowany. Przygryzając od środka policzek, myślałam, jak jej to wszystko wyjaśnić i nie zdradzić prawdy.

- Przyznał, że popełnił wielki błąd, zrywając ze mną, i że naprawdę chciał wybrać się ze mną w podróż, ale go... - Rozpaczliwie szukałam lepszego słowa niż „aresztowano”. - Zmroziło - wreszcie wydukałam. - To się działo za szybko i trochę się przestraszył. Dlatego się rozstaliśmy. Żałował swojej decyzji, ale było już za późno, by to odkręcić, bo wyjechałam, i już nie wróciłam, więc...

Mama zamilkła. Spojrzałam na nią, spodziewając się, że będzie zła, ale zamiast tego była pogrążona w myślach.

- Zawsze wydawało mi się to dziwne. Ten chłopak był w tobie zakochany po uszy, nawet ja to widziałam. Nigdy bym się nie spodziewała, że tak postąpi. Myślałam, że wasz związek był solidny. Twój ojciec był wręcz przekonany, że najpóźniej za dwa lata się pobierzecie. Zachodziłam w głowę, co mogło doprowadzić do waszego zerwania, ale nie chciałaś wyjawić nam całej historii - powiedziała w zadumie. - Nadal go kochasz?

- Zawsze będę go kochać, i w tym szkopuł - przyznałam, przełykając ślinę.

- A co z Tobym?

- Łączyło nas coś zupełnie innego. Kocham go, ale... w inny sposób. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy nie trzymałam się go tylko dlatego, że dobrze mnie traktował i po Jamie był pierwszym facetem, z którym poczułam bliską więź -

oświadczyłam. – Chyba nigdy tak naprawdę nie wyleczyłam się z Jamiego. – Co do tego nie miałam żadnych wątpliwości; nie przestałam go kochać i pewnie nigdy nie przestanę.

Mama odchrząknęła znacząco.

– Czy Jamie czuje to samo do ciebie?

Odpowiedziałam wzruszeniem ramion.

– Nie wiem. Tak mi się wydaje. Chyba tak.

Nie powiedział, że chce ze mną być, ale to, co mówił, pozwoliło mi wierzyć, że nie wszystko stracone i nadal możemy być parą.

Mama westchnęła głęboko, podciągając wyżej kołdrę, i rozmarzyła się.

– Ellison, opowiadałam ci, jak poznałam twojego ojca?

Pokręciłam przecząco głową, unosząc lekko kącik ust.

– Wiem, że poznaliście się na studiach, tylko tyle.

Uśmiechnęła się smutno, a oczy zaszyły jej łzami.

– Kiedy go pierwszy raz spotkałam, nigdy bym nie pomyślała, że za kilka lat zostanę jego żoną. Ucieleśniał wszystko, czego nienawidziłam w mężczyznach i czego nigdy bym nie zaakceptowała – podjęła.

Siedziałam jak urzeczona, chłonąc każde jej słowo, bo nigdy nie słyszałam, żeby mówiła tak o tacie.

Uśmiechnęła się i kontynuowała:

– Jak pewnie się domyślasz, zawsze byłam bardzo porządna i zadbana; ubrania starannie wyprasowane, idealnie ułożona fryzura. Twój ojciec, cóż, był oberwańcem, nie ma na to lepszego słowa. Grał na gitarze w naprawdę koszmarnym zespole. W ogóle nie zależało mu na wyglądzie. Nosił tę samą

wyświechtaną koszulkę z *Gwiezdnymi wojnami* przez trzy, a nawet cztery dni z rzędu, rzadko kiedy się czesał, lubił jeździć na festiwale i nocować w namiocie. Pomyśl sama!

Zaśmiała się, potrząsając głową.

- Przedtem nie miałam z kimś takim styczności. Chłopcy z mojego liceum ani trochę nie przypominali twojego ojca. Byli zarozumiałymi, zadufanymi w sobie bubkami z bogatych domów, którzy uważali, że wszystko im się należy z uwagi na nazwisko. Michael otworzył mi oczy na nowe możliwości, których nawet nie rozważałam, odkrył przede mną świat, jakiego jeszcze nie widziałam. Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo takiego jak on. W ciągu kilku tygodni zakochałam się w nim do szaleństwa i zrezygnowałam praktycznie ze wszystkiego, by z nim być. Moi rodzice nie akceptowali go. Nigdy nie potrafili dostrzec w nim tego co ja, ale to mnie nie powstrzymało. Miłość nie wybiera. Gdy znajdziesz osobę, która jest ci pisana, cała reszta przestaje się liczyć i zrobisz dla niej wszystko.

Jej smutny uśmiech rozdarł mi serce. Zawsze podejrzewałam, że między nią i jej rodzicami jest coś nie tak; ilekroć ich odwiedzaliśmy - co nie zdarzało się często - zawsze robiło się jakoś dziwnie i niezręcznie. Teraz wiedziałam już dlaczego. Poczułam nagły przypływ miłości do mamy; tak bardzo kochała tatę, że w zasadzie porzuciła swoje życie i odwróciła się od środowiska, którego miała być częścią. W świetle nowych informacji zrozumiałam także, dlaczego moi dziadkowie nie przyjechali z wizytą do córki, która leżała w stanie krytycznym w szpitalu, i nie dotarli na

pogrzeb zięcia - tłumaczyli się słabym zdrowiem, ale gdyby naprawdę chcieli, poruszyliby niebo i ziemię, by być przy niej w ciężkich chwilach. Być może nie zapomnieli o dawnej urazie, tylko nie chcieli się do tego przyznać. Cóż, ich strata.

Mama podniosła dłoń do twarzy i otarła samotną łzę spływającą po policzku.

- Ellison, wiem, że nie mieliście ze mną łatwo i przepraszam cię za to. Chyba zapomniałam, jak to jest, kiedy się w kimś zakochasz na przekór oczekiwaniom rodziców. Przepraszam, że na ciebie naciskałam, próbując zmusić cię do tego, żebyś została kimś, kim nie chciałaś być. Powinnam była zaufać twojemu osądowi i okazać ci więcej szacunku, niż okazano mnie. Jesteś dobrą dziewczyną. Pragnę jedynie, abyś była szczęśliwa.

- Dzięki, mamó - odparłam ochryplym głosem, bliska płaczu.

Z uśmiechem wyciągnęła ku mnie rękę i mocno ujęła moją dłoń, patrząc mi prosto w oczy.

- Jeśli kogoś kochasz, nie bój się tego okazać. Wykrzycz to całemu światu, jeśli masz na to ochotę. Życie jest ulotne, Ellison. Prawdziwa miłość rzadko się zdarza, więc gdy ją znajdziesz, nie wypuszczaj jej z rąk i nie pozwól, by coś albo ktoś stanął jej na drodze.

Prawdziwa miłość. Właśnie to łączyło mnie i Jamiego.

- Uważasz zatem, że powinnam z nim o tym porozmawiać? - spytałam, lekko zmieszana. Nie zorientowałam się nawet, kiedy nasza rozmowa zeszła na ten temat.

Mama skinęła głową.

- Poszłam za głosem serca i nigdy tego nie żałowałam,

nawet przez chwilę. I tego samego chcę dla ciebie. Chcę, żebyś spotkała mężczyznę, do którego zapalasz wielką, zniewalającą miłością, chociaż chodzi nieogolony i nie opuszcza deski w toalecie lub nie odstawia mleka na miejsce. To wszystko jest bez znaczenia, bo gdy znajdziesz kogoś takiego, będziesz go kochać bezwarunkowo. Pomimo wad.

Wiedziałam, że ma rację. Jamie był dla mnie tym, czym dla niej był tata – absolutnym dopełnieniem.

- A co, jeśli on nie czuje tego samego? Co, jeśli znów mnie zrani? – palnęłam bez namysłu.

Mama uśmiechnęła się smutno i poklepała mnie po dłoni.

- Istnieje taka możliwość, ale jeśli nie spróbujesz, nigdy się nie dowiesz, co masz do stracenia. Ellie, jeśli go kochasz, musisz zdobyć się na odwagę, by dać mu jeszcze jedną szansę.

I tym razem się nie myliła. Mówiła szczerą prawdę, a jej słowa odzwierciedlały moje uczucia z ostatnich dni. Sęk w tym, że sytuacja była bardziej skomplikowana i nie mogłam jej tego wyjaśnić. Nie przeszkadzały mi wady Jamiego – co innego jego nowa kariera lokalnego gangstera. Nie byłam pewna, czy mogłabym z nim być i wiecznie się zastanawiać, czy znów go nie stracę przez jego fach. Nie chciałam żyć w ciągłym strachu. Wiedziałam, że w końcu bym przez to zwariowała. Musielibyśmy to przedyskutować, zanim w ogóle można by zacząć myśleć o czymś więcej – jeśli on chciałby czegoś więcej niż to. Kiedyś chciał i był gotów uciec od takiego życia; może i tym razem tak będzie. Jak słusznie zauważyła mama, powinnam odbyć z nim tę rozmowę i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

- Masz rację. Muszę z nim porozmawiać - przyznałam z westchnieniem. - Jak to się stało, że tak się zmieniłaś?

- To chyba od uderzenia w głowę - zażartowała, podnosząc rękę i dotykając gojącej się rany nad prawym uchem. - Cokolwiek postanowisz, będę cię wspierać. Żałuję tylko, że zrozumienie tego wszystkiego zajęło mi tyle czasu.

Nachyliłam się i gdy objęłam ją mocno, poczułam, że trochę schodzi ze mnie napięcie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wielki ciężar nosiłam na barkach ani jak bardzo potrzebowałam z kimś o tym pogadać. Miała rację, powinnam zebrać się na odwagę i dać mu drugą szansę przez wzgląd na to, co nas łączyło.

Mama również mnie przytuliła; poczułam jej oddech na szyi i łzy na ramieniu.

- Naprawdę, porozmawiaj z nim i to szybko. Nie trać ani chwili. Ciesz się każdą sekundą życia. Nie marnuj go. Nigdy nie wiadomo, kiedy to wszystko może zostać ci odebrane.

Odsunęłam się, składając na jej policzku czuły pocałunek. Nigdy jeszcze tak z nią nie rozmawiałam. Obnażyła przede mną swoją duszę, opowiadając o ojcu, i teraz dostrzegłam w niej zupełnie inną osobę niż ta, przy której dorastałam.

- Kocham cię - powiedziałam łagodnie i szczerze. Chyba po raz pierwszy wyznałam to wprost mojej matce; po prostu czułam, że był to odpowiedni moment.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, wyciągając ku mnie rękę i gładząc mnie po policzku.

- Ja też cię kocham i przepraszam, że tak rzadko ci to mówiłam. Od tej pory to się zmieni. Ja się zmienię. I zawsze

będę cię wspierać we wszystkim, co robisz. Ellison, jestem z ciebie taka dumna. Wyrosłaś na wspaniałą i piękną młodą kobietę. Pod wieloma względami przypominasz mi twojego ojca. - Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - I w głębi ducha cieszę się niezmiernie, że zostajesz.

- Ja też - przyznałam, ponownie ją ściskając.

Rozdział 24

JAMIE

Gdy w sobotę zajechałem przed dom Ellie, była już niemal północ. Ktoś jeszcze nie spał, przez zasłony dostrzegłem mglistą poświatę migającego ekranu telewizora. Byłem ciekaw, czy tym kimś była Ellie i co mogła oglądać.

Po raz ostatni widziałem ją kilka dni temu, kiedy opowiedziałem jej, co tak naprawdę wydarzyło się w dniu naszego rozstania. Staralem się trzymać na dystans, dać jej trochę czasu. Uznałem, że potrzebowała tego po moim szokującym wyznaniu. Liczyłem, że do mnie zadzwoni, ale jak dotąd tego nie zrobiła.

Stojący z przodu samochód warknął silnikiem. Spencer, któremu kazałem pilnować Ellie tego wieczoru, pomachał do mnie ręką i odjechał, zostawiając mnie samego na posterunku. Spencer często stał na warcie; był jednym z moich najbardziej zaufanych ludzi i wiedziałem, że poważnie podejdzie do tego zadania. Dzieląc się dyżurami, on, Ed, Enzo, Dodger i ja byliśmy w stanie zapewnić Ellie całodobową ochronę. Choć i tak właściwie nie bywała nigdzie poza szpitalem, sklepem spożywczym i mieszkaniem Stacey. Przez ostatnie dwa dni nad jej bezpieczeństwem czuwała pozostała trójka, a ja w tym czasie próbowałem wytropić Matea. Jak dotąd moje poszukiwania były bezowocne. Nikt go nie widział, przepadł

jak kamień w wodę.

Gdy tak siedziałem, obserwując dom Ellie, w pewnym momencie zauważyłem poruszające się zasłony; na ułamek sekundy mignęło światło, ktoś wyjrzał i zaraz się schował. Wyjąłem ze schowka iPoda i już miałem włożyć do ucha słuchawkę, kiedy przez drzwi frontowe wyszła Ellie i zamknęła je cicho za sobą.

Zaniepokojony cisnąłem iPoda na siedzenie i wysiadłem z wozu, zastanawiając się, czy stało się coś złego. Patrzyłem, jak przemierza podwórko w obcisłej, różowej koszulce bez rękawków podkreślającej jej apetyczne krągłości, w krótkich spodenkach z wizerunkiem świnki Piggy, które ledwo zasłaniały jej pośladki, i nie mogłem oderwać od niej oczu. Zagryzłem wargi, przesuwając wzrokiem po jej piersiach i udach, wyobrażając sobie dotyk jej gładkiej skóry. Wyglądała nieziemsko, nawet z rozwiewanymi przez wiatr włosami, które smagały jej twarz.

Opuściła oczy, unosząc usta w lekkim uśmiechu. Może podobało jej się to, że wciąż doprowadzała mnie do szaleństwa. Może wyszła tak skąpo ubrana, żeby pokazać mi, co straciłem. Jednak ta myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Przecież nie wiedziała, że dziś tu będę. To była po prostu jej pizama, która okazała się najseksowniejszym ciuszkiem, jaki widziałem od cholernie długiego czasu.

- Hej - wymamrotała, obejmując się i pocierając ramiona, żeby się ogrzać. Odchrząknąłem w nadziei, że nie usłyszy w moim głosie pożądania, i natychmiast rozpiąłem kurtkę.

- Hej, nie powinnaś wychodzić z domu tak lekko ubrana.

Nabawisz się zapalenia płuc - skarciłem ją, po czym okryłem kurtką.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i naciągnęła ją mocniej na ramiona.

- Dzięki - odpowiedziała i skinęła głową na dom. - Przyszłam tylko zapytać, czy nie chciałbyś wejść na chwilę, żeby się czegoś napić. Jeśli jesteś głodny, mogę ci coś przyszykować.

- Hm... czemu nie - przystałem na propozycję, choć nie byłem całkiem pewny, o co tak naprawdę chodziło. Ellie odwróciła się i pomaszerowała do domu. Instyktownie spojrzałem na jej nogi wystające spod mojej kurtki. Od teraz już zawsze, gdy będę ją nosił, będę myślał o nich - nie miałem co do tego wątpliwości.

Podążyłem za nią, zamykając pilotem drzwi, i wszedłem do domu. Przekroczywszy próg, zatrzymałem się, nie mogąc opędzić się od wspomnień. Dawno mnie tu nie było, ale wszystko wyglądało dokładnie tak, jak zapamiętałem. Ellie zsunęła buty. Zrobiłem to samo, patrząc, jak zaczepia moją kurtkę na jednym z wieszaków przymocowanych do ściany.

Mój wzrok powędrował ku rodzinnemu zdjęciu na komodzie; na widok jej uśmiechniętego ojca ogarnął mnie wielki smutek.

- Nic się tu nie zmieniło - skomentowałem, nie wiedząc, co powiedzieć, gdy prowadziła mnie przez salon. Moją uwagę przykuła kanapa. Przystanąłem, kładąc rękę na jej oparciu. Gdy poczułem ją pod palcami, tętno od razu mi przyspieszyło. Uniosłem wymownie brwi i posłałem Ellie domyślny uśmiezek.

- Pamiętam tę kanapę. - Nietrudno było wyczuć aluzję w moim głosie. Nieraz w sobotnie poranki, kiedy wszyscy jechali w odwiedziny do babci, nasze niewinne pieszczoty przeradzały się tu w coś więcej.

Zaczerwieniła się i przygryzła dolną wargę.

- Cóż, to bardzo porządna kanapa.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu rozbawienia. Ellie przewiercała mnie na wylot spojrzeniem, budząc we mnie wspomnienia tych wszystkich sprośnych rzeczy, które wyprawialiśmy na tej sofie. Tak bardzo jej pragnąłem. Przełknęła ślinę i potrząsnęła lekko głową, jakby chciała oczyścić umysł.

- Masz ochotę na kawę, colę czy może coś innego? - zaproponowała. Głos lekko jej drżał, zdradzając, że w pamięci zapewne odtwarzała te same nieprzyzwoite sceny.

- Wystarczy kawa, dziękuję - odparłem.

Skierowała się do kuchni, rozkosznie kręcąc tyłeczkiem, a ja poczułem niepokój w spodniach.

- Jak się ma twoja mama? - zapytałem, próbując zmienić temat i odegnąć od siebie lubieżne myśli. Poszedłem za nią i osunąłem się na jedno z krzeseł.

- Dobrze, z każdym dniem coraz lepiej - odparła, sięgając po czajnik, by nastawić wodę.

- Cieszę się. To oczekiwanie, aż się obudzi, musiało być dla ciebie okropne.

- Fakt. Łatwo nie było.

- Domyślam się. - W powietrzu zawisła cisza. Z nerwów drgała mi noga; nie byłem pewien, dlaczego mnie do siebie

zaprosiła i do czego zmierzała ta konwersacja.

- Jamie, chciałam cię o coś zapytać. Ostatnio tyle się wydarzyło, że nie miałam okazji - podjęła, odwracając się do mnie i opierając o krawędź blatu. - Dlaczego zapłaciłeś za pogrzeb mojego ojca? - spytała z całą powagą, mrużąc oczy, i zrozumiałem, że nadal nie pogodziła się z jego stratą.

Wzruszyłem ramionami. To pytanie zbiło mnie z tropu; w całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniałem, że pokryłem koszty pochówku.

- Nie chciałem, żebyś martwiła się o pieniądze. Miałaś sporo na głowie, a rachunek był nieuregulowany, więc go zapłaciłem. - Tak było, nie miałem żadnych ukrytych motywów. - Po prostu chciałem cię trochę odciążyć. Uznałem, że tylko tak mogę ci pomóc.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, zwiesiła ramiona i zmarszczyła brwi, wbijając wzrok w podłogę.

- Nie musiałeś tego robić. Ale to miło z twojej strony. Dziękuję i doceniam twój gest. Zawsze byłeś bardzo troskliwy - powiedziała, odwracając się ponownie, gdy czajnik na palniku zaczął gwizdać. - Oczywiście, zwrócę ci pieniądze. - Zerknęła nieśmiało przez ramię.

- Nie ma takiej potrzeby. - Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. - Pieniądze nie stanowią już dla mnie problemu.

- Domyśliłam się po tym drogim wozie, którym jeździsz, i luksusowym apartamencie - wymamrotała, wyjmując kubki. Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, lecz gdy sięgnęła do szafki, jej kusa koszulka nieco się uniosła, odsłaniając skrawek ciała na wysokości talii. Pragnąłem przesunąć językiem po tym

pasku, schodząc coraz niżej, poczuć jej smak i sprawić, by tak jak kiedyś zdyszczanym głosem wypowiedziała moje imię.

Skup się, Jamie!

Nagle obejrzała się do tyłu. Jej oczy rozbłysły, a kąciki ust wygięły się w zuchwałym uśmiešku. Przyłapała mnie na gorącym uczynku. Ale w ogóle się tym nie przejąłem.

- Przepraszam, co mówiłaś? - zapytałem ochryplym, pełnym pożądania głosem.

- Mam cię. Gapiłeś się na mój tyłek - drażniła się ze mną, unosząc kokieteryjnie brwi.

- Bo jest tego wart - odparłem zaczepnie.

Na te słowa w jej oczach zaświeciły się małe ogniki. Wzięła dwa kubki i podeszła z nimi do stołu, siadając obok mnie na krześle.

- Dziękuję. Za komplement i spłatę mojego długu.

- Drobiazg, jedno i drugie. - Obróciłem się lekko na krześle, tak że nasze kolana niemal się stykały. - No to co porabiałaś przez ostatnie dni? - zapytałem, żeby zejść z tematu pieniędzy. Coś mi podpowiadało, że nie z tego powodu mnie dziś zaprosiła. Podniosła kawę, zdmuchując wirujący obłok pary, i patrząc na mnie znad kubka, oznajmiła:

- Zerwałam z Tobym.

Zamurowało mnie. Byłem w szoku.

- Naprawdę? - Z trudem próbowałem nie pokazać, jak bardzo mnie to ucieszyło. Ten dupek nie będzie jej już obłapiał ani całował. Nie mogłem się posiąść z radości.

- Uhm - potwierdziła ruchem głowy. - Powrót do Anglii wymagałby ode mnie zbyt wielu poświęceń.

- Cóż, przykro mi słyszeć, że wam nie wyszło. - W ogóle nie było mi przykro, ale czułem, że tak należało powiedzieć.

- Kłamczuch - uśmiechnęła się domyślnie.

Zaśmiałem się, wzruszając ramionami. Ewidentnie nie potrafiłem maskować emocji tak dobrze, jak mi się wydawało.

- No dobrze, przyznaję się. Czy podobało mi się to, że jesteś z innym facetem? Za cholere. Czy musiałem się powstrzymać, żeby nie podejść i nie przyłożyć mu w twarz, gdy zobaczyłem was razem? Jeszcze jak! Ale przykro mi, jeśli wasze rozstanie sprawiło ci ból. - To akurat była prawda. Nie chciałem, żeby cierpiała, a jeśli przy nim była szczęśliwa, musiałem to jakoś przełknąć.

Ellie odstawiła kubek na stół.

- Dlaczego nie podobało ci się, że jestem z kimś innym? - zapytała, przechylając uroczo głowę i patrząc na mnie z zaciekawieniem. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że poddaje mnie sprawdzianowi. Obym tylko udzielił poprawnej odpowiedzi.

- Wiesz czemu, Ellie. - Bo kocham cię do szaleństwa, pomyślałem w duchu.

Prostując się na krześle, pokręciła przecząco głową.

- Nie, właściwie to nie wiem. - Spojrzała mi prosto w twarz i jakby wstrzymała oddech. W jej oczach dostrzegłem pełen nadziei błysk i nagle serce zabiło mi mocniej w piersi.

- Ponieważ powinnaś być ze mną. I byłaś ze mną, dopóki tego nie schrzaniłem. Powinienem był cię poprosić, żebyś na mnie poczekała. - Zrozumiałem, że szczerść popłaca.

Jej źrenice rozszerzyły się lekko, a usta wygięły w uśmiechu.

- W rzeczy samej - potwierdziła.

Odchrząknąłem i postanowiłem w końcu to z siebie wydusić. Wiedziałem, że próbuje mnie podejść. Najwyraźniej chciała usłyszeć, że nadal za nią szaleję.

- Czy byłabyś skłonna dać mi drugą szansę? Może zabrałbym cię kiedyś na randkę?

- Tylko jedną? - Posłała mi zalotne spojrzenie.

- Okej, zdecydowanie więcej niż jedną.

Przeciągle wypuściła powietrze z płuc, jakby zbierając się na odwagę. Odstawiła kubek i obróciła się na krześle, ponownie spoglądając mi w twarz.

- Słuchaj, może skończymy te gierki? Wystarczy, że będziemy ze sobą szczerzy, bo do tej pory kłamstwa tylko nas od siebie oddalały. Jamie, czy ty mnie wciąż kochasz? - Gdy tylko to powiedziała, spuściła wzrok zawstydzona, czekając niepewnie na mój ruch.

Wsunąłem palec pod jej brodę. Chciałem jej patrzeć w oczy, żeby widziała, że nie kłamię.

- Ellie, dopóki żyję, nigdy nie przestanę cię kochać. Jeśli mi pozwolisz, będę cię kochał i dbał o ciebie aż do śmierci. Wszystko, czego pragnąłem, to być z tobą i dzielić z tobą życie - przyznałem szczerze. Jej twarz złagodniała; w oczach, którymi mnie pożerała, dostrzegłem ulgę. Jednak ta radość nie trwała długo. Po chwili znów wyczułem rezerwę.

- O co chodzi? Nie takiej odpowiedzi oczekiwałaś?

Zaprzeczyła ruchem głowy, lekko odpychając moją dłoń.

- Owszem, dokładnie takiej. - Przełknęła ślinę, patrząc na mnie bezradnie. - Ja też cię kocham. I chcę, byśmy do siebie

wrócili.

Serce podskoczyło mi ze szczęścia, jednak po chwili zamarło, kiedy dodała:

- Ale...

Jęknąłem, opuszczając dłoń.

- Zawsze jest jakieś „ale”.

Skinęła głową, robiąc skruszoną, niemal przeproszającą minę.

- Ale... to, jak żyjesz... nie mogę... - powiedziała, marszcząc czoło, jakby starannie dobierała słowa. - Jak w ogóle możemy myśleć o wspólnej przyszłości, kiedy codziennie ryzykujesz, że coś ci się stanie, ktoś cię zabije albo zostaniesz aresztowany? Nie mogę tak żyć. Kocham cię, wierz mi, ale...

To wszystko? To było jej „ale”? Takie „ale” to pryszcz. Jeśli moja praca była jedyną rzeczą, która ją hamowała, to sprawa wydawała się prosta. Zanim pomyślałem, ująłem jej twarz w dłonie, pochyliłem się i wpiłem w jej usta. Odwzajemniła mój pocałunek i zarzuciła mi rękę na szyję. Oszalałem z radości, całując ją jeszcze namiętniej. Cały płonąłem z podniecenia. Byłem spragniony jej bliskości. Chciałem, żebyśmy stopili się w nierozdzielny całość. Uniosłem ją i posadziłem sobie na kolanach. Przyłgnęła do mnie, otulając mnie swoim zapachem; ścisnęła mnie mocno za szyję, zatracając się w dzikim, nienasyconym pocałunku, który trwał, przeobrażając się w coś magicznego.

Kiedy się odsunąłem, brakowało nam tchu.

- Nie musisz się martwić o moją pracę - obiecałem, zsuwając dłonie na jej pośladki; jej gładkie w dotyku,

seksowne spodenki jeszcze bardziej wzmogły moje podniecenie. – Skończę z tym. Wypiszę się z tego całego nielegalnego interesu. Zrobię, co będzie trzeba. Rzucę to wszystko i znajdę normalną pracę, będę zwykłym przeciętnym facetem, tak jak planowaliśmy. Wróciłem do tego życia tylko dlatego, że straciłem motywację, by stać się lepszym człowiekiem. Nie miałem dla kogo nim być, lecz teraz znów mam. – Przyciągnąłem jej biodra do swoich, a ona otarła się o mnie krocem tak zmysłowo, że zrobiło mi się gorąco. Ellie zawsze potrafiła sprawić, że momentalnie twardniałem.

– Mówisz poważnie? – Szukała wzrokiem mojego spojrzenia.
– Wiem, że przesadzam i powinnam cię kochać bez względu na wszystko, ale nie potrafię, wiedząc, że przez to, czym się zajmujesz, mogę cię znów stracić. Nie chcę któregoś dnia usłyszeć, że ktoś cię zastrzelił albo dźgnął nożem ani niczego innego, co złamie mi serce. Nie zniosłabym tego.

Uśmiechnąłem się, słysząc te słowa.

– Potrzebuję tylko ciebie. Tamte sprawy nigdy się dla mnie nie liczyły.

Ellie pokręciła głową bez przekonania, bawiąc się moimi włosami na karku, co wywołało we mnie dreszcz pożądania.

– To nie może być takie proste. Proszę cię, żebyś zrezygnował dla mnie ze swojego życia.

– Nieprawda. Ty jesteś moim życiem, maleńka. Cała reszta to zwykła egzystencja, nie życie – zaprzeczyłem, gładząc ją delikatnie po plecach. Nie mogłem się nadziwić własnemu szczęściu: ta dziewczyna wciąż mnie kochała i była gotowa dać mi drugą szansę – była gotowa dać ją nam.

Na dźwięk moich słów jej oczy zabłyśły. Zapiszczała i przykleiła się do moich ust, wpijając się w nie bez opamiętania. Czułem na sobie jej rozkoszny ciężar i ciepło. Wszystkie moje zakończenia nerwowe wibrowały. Tak mnie to podnieciło, że nie mogłem spokojnie usiedzieć.

Przesunąłem dłońmi po jej plecach, wplątując palce w jej włosy; nasz pocałunek stał się bardziej drapieżny, desperacki i zachłanny.

Atmosfera w pokoju zgęstniała. Ellie wiała się na moich kolanach, pocierając miejsca, które już się zbudziły i domagały uwagi. Gdy chwyciła mnie za włosy, oderwałem się od jej ust i delikatnie skubałem zębami kremową skórę szyi, chłonąc cudowny zapach.

- Kocham cię - szepnąłem.

Westchnęła, odchylając głowę do tyłu, aby ułatwić mi dostęp.

- Ja ciebie też kocham - wyznała cicho.

Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś to usłyszę. Te cztery słowa rozпалиły we mnie dzikie pożądanie. Zsunąłem dłonie niżej, masując jej piersi przez koszulkę i mrużąc z uznaniem. Nie mogłem się nacieszyć jej bliskością, jej smakiem. Zapomniałem już, jakie to cudowne uczucie. Ellie poruszyła biodrami i jęcząc, ocierała się o moje krocze. Chciałem więcej, pragnąłem jej całej. Ona też musiała to czuć, bo zdyszonym głosem wypowiedziała moje imię i przeciągnęła dłońmi po mojej piersi, gładząc widoczny przez dzinsy zarys mojego sztywnego fiuta.

- Tak bardzo cię pragnę - jęknąłem, pochylając głowę i gryząc ją delikatnie w ramię. Wsunąłem rękę pod jej top, by

poczuć dotyk miękkiej, rozgrzanej skóry.

Zacząła gmerać przy moim pasku dłońmi drżącymi z podniecenia.

- Więc weź mnie, teraz - wyszeptała, nie przestając się wić.

Wstałem razem z nią i posadziłem ją na brzegu stołu. Stałem między jej udami i pocałowałem ją zachłannie. Nie przerywając pocałunku, odwiodłem jej ręce do tyłu i rozpiąłem rozporek. Oddech uwiązał jej w gardle. Oplotła mnie w pasie nogami i przyciągnęła do siebie. Odsunąłem się, a ona patrzyła, jak zsuwam dzinsy z bioder i uwalniam boleśnie naprężony członek.

Zacisnęła pięść na moim wzwodzie, a ja zamknąłem oczy i jęknąłem z rozkoszy.

Poruszałem się delikatnie w jej dłoni, zamykając usta Ellie w kolejnym gorącym pocałunku.

Odchyliłem jej szorty, zagłębiając palce w nabrzmiące ciało. Gdy poczułem, jak bardzo jest wilgotna i gotowa, by mnie przyjąć, fiut stwardniał mi jeszcze bardziej. Zacząłem się ślinić na samą myśl o tym, jak pieszczę ją tam ustami, ale to musiało poczekać. Musiałem w nią wejść, musiałem poczuć, jak to gorące ciało mnie otula, i pokazać, że te trzy lata rozłąki nic nie zmieniły, bo kocham ją ponad życie i jesteśmy sobie pisani.

- Rany! Jesteś taka wilgotna - wydyszałem, powoli poruszając w niej dwoma palcami i patrząc, jak wykrzywia twarz w grymasie zadowolenia. - Ellie, dłużej nie wytrzymam. Potrzebna nam prezerwatywa? - Proszę, powiedz „nie”, powiedz „nie”! Pragnąłem poczuć ją całym sobą, nie chciałem,

by coś mnie od niej odgradzało.

Pokręciła energicznie głową.

- Mam implant - wyszeptała i przekręciła rękę, ukazując maleńką bliznę na wewnętrznej stronie bicepsu. Wysunąłem z niej palce, chwyciłem swój sztywny członek i naprowadziłem go na właściwe miejsce.

- Jesteś pewna? - Musiałem wiedzieć, że naprawdę tego chciała.

Spojrzała na mnie ze zniecierpliwieniem.

- Mam cię o to błagać? - zachichotała i jeszcze mocniej opasała mnie nogami, przyciągając niemożliwie blisko do siebie.

- Nie miałbym nic przeciwko - odparłem.

- Jamie! Na Boga, po prostu...

Wdarłem się w nią, przerywając w pół słowa. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, a jej oddech przeszedł w długi jęk. Była tak ciasna, że w przyływie rozkoszy zazgrzytałem zębami. Zapomniałem już, jak dobrze mi z nią było.

Jej palce wbiły się w moją skórę, gdy zacząłem się poruszać - z początku powoli, lecz zaraz tracąc nad sobą kontrolę. Zbyt długo tego nie robiliśmy. Całowała mnie namiętnie, patrząc mi prosto w oczy. Wyzwalała we mnie doznania, o jakich przez kilka ostatnich lat nawet nie śniłem. Było mocno, szybko i intensywnie; oboje desperacko dążyliśmy do celu. Po prostu dwa ciała zjednoczone gorączkową potrzebą bliskości i scementowania naszej odnowionej więzi.

Opadła ponownie na stół, poruszając biodrami w rytm moich pchnięć. Daliśmy się porwać dzikiej, niemal zwierzęcej

namiętności. Zaczęła szczytować, jej ciało wygięło się w łuk, uda zadrżały i, drapiąc mnie paznokciami po plecach, wydyszała moje imię. Czując, jak się wokół mnie zaciska, doszedłem tuż po niej.

Gdy oboje łapaliśmy oddech, przygniotłem ją do blatu i nakryłem swoim ciałem, obejmując wzrokiem każdy centymetr jej zarumienionej twarzy. Moja miłość do niej nie знаła granic. Uczucie, jakim ją darzyłem, zawsze było silne, ale teraz, gdy dała mi drugą szansę, urosło do nieznanej dotąd potęgi. Nie sądziłem, że mógłbym ją kochać jeszcze bardziej. Spojrzała na mnie oczami przepelnionymi blaskiem i ciepłem i odgarnęła włosy z mojego spoconego czoła. Na jej ustach pojawił się leniwy uśmiech zadowolenia.

- Kocham cię - wyszeptała. Z jej oczu biła szczerość. Byłem w siódmym niebie; te słowa spotęgowały euforię, jaką wciąż czułem po orgazmie.

- Ja ciebie bardziej. - Pochyliłem głowę, składając na jej ustach czuły, delikatny pocałunek. - Mogę cię zabrać na górę? - zapytałem, wodząc palcem po cudownie gładkim obojczyku i kreśląc na nim mały wzorek. - Nie zdążyłem pokazać ci tych wszystkich rzeczy, które chciałem z tobą zrobić - wyznałem jej szeptem.

Nie pokazałem nawet ułamka tego, co planowałem; byłem tak spragniony, że nawet jej nie rozebrałem.

Skinęła głową, ujmując mnie za szyję. Odsłoniłem zęby w uśmiechu i przycisnąwszy ją mocno do siebie, podniosłem się razem z nią; nie chciałem się od niej odrywać. Zapiszczała radośnie, obejmując mnie mocniej rękami i nogami, kiedy

pewnym krokiem zmierzałem ku schodom.

- Musimy być cicho, żeby nie obudzić babci i Kelsey.

Przytaknąłem ruchem głowy. Gdy dotarliśmy do sypialni, zatrzymałem się przy drzwiach i przekręciłem od środka zamek, aby nikt nam nie przeszkadzał - tak jak za dawnych czasów. Nie włączyłem światła, nie było takiej potrzeby; zasłony były rozsunięte, a przez okno sączyła się mętna poświata, w której dało się coś zobaczyć. Podeszedłem do łóżka i posadziłem Ellie, ponownie czując wzdół. Miałem nadzieję, że tym razem zdołam poświęcić jej wystarczająco dużo czasu.

Zwinnym ruchem ściągnąłem koszulkę, a ona przyglądała mi się z uwagą. Gdy zacząłem zsuwać dżinsy, włączyła lampkę przy łóżku, i pokój zalało łagodne światło. Znieruchomiałem, spętany przez stare kompleksy. Zacisnąłem szczęki i w napięciu patrzyłem, jak powoli wodzi oczami po moim ciele, po raz pierwszy od trzech lat obejmując wzrokiem moje blizny. Poczułem ściskanie w żołądku, czekałem nerwowo na jej reakcję. Byłem autentycznie przerażony - tylko Ellie potrafiła wzbudzić we mnie taką trwogę. Co, jeśli tym razem ich nie zaakceptuje, co, jeśli ją zniechęca, co, jeśli zmieniła zdanie? Jak miałbym z tym żyć?

- Światło musi być koniecznie włączone? - zapytałem z niepokojem.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, lecz po chwili na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Uniosła kąciki ust w smutnym uśmiechu i uklękła na łóżku, biorąc mnie za rękę.

Patrząc mi prosto w oczy, przyciągnęła mnie do siebie, tak że nasze twarze znalazły się niemal na tym samym poziomie.

- Tak, musi. - Utkwiłem wzrok w łóżku, a ona powoli wodziła drugą dłoń po mojej klatce piersiowej, coraz niżej, dotykając wypukłości oraz brzegów blizn i szram, które nigdy nie znikną. Wzdrygnąłem się, zaciskając szczęki z pogardą, jaką czułem do swojego ciała. - Błagam, tylko nie zaczynaj znowu. Mówiłam ci już. Te blizny stanowią część ciebie. Dzięki nim jesteś tym, kim jesteś. To nie jest powód do wstydu - powiedziała czule i przechyliwszy głowę, pochwyciła moje spojrzenie. - Jamie Cole, kocham cię. Kocham każdy kawałeczek twojego ciała, ze wszystkimi bliznami. - Przesunęła placami po największej bliznie biegnącej od biodra przez cały brzuch, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Ze wszystkimi bliznami? - zapytałem niepewnie, rozcierając kark.

Zsunęła rękę na moje plecy i chwyciła mnie mocno za pośladki, przylegając do mnie całym ciałem i ocierając się o mnie twardymi sutkami skrytymi pod bluzką.

- Ze wszystkimi - potwierdziła. Jej szczere spojrzenie rozwiało moje obawy.

Właśnie to pragnąłem usłyszeć. Poczulem kolejny gwałtowny przypływ miłości i kochaliśmy się tym razem powoli i zmysłowo.

Kiedy w końcu oderwaliśmy się od siebie, moje ciało pokrywał pot i brakowało mi tchu. Zostałem całkowicie zaspokojony i byłem pewny, że ona także: opadła bezwładnie na bok, włosy miała zmierzwione, usta spuchnięte od namiętnego całowania, a policzki płonęły jej blaskiem spełnienia.

- Boże, jestem wyczerpana. Zapomniałam już, jaki jesteś w tym dobry - wymamrotała zdyszczanym głosem, wyrzucając rękę w górę, by zasłonić oczy. - Ile kalorii spala się podczas seksu?

Rozbawił mnie ten nagły skok myślowy. Zaśmiałem się i przetoczyłem na bok, przewieszając ramię przez jej brzuch.

- Nie wiem, a co?

Wzruszyła ramionami.

- Ostatnio trochę przytyłam. Ale jak tak dalej będziemy się bzykać, to nie będę musiała przechodzić na dietę.

Ściągnąłem brwi i odchyliłem się do tyłu, by sprawdzić, czy nie żartuje, ale minę miała poważną.

- Słucham? Nie masz z czego chudnąć! Jesteś idealna! - Na potwierdzenie moich słów opuściłem głowę, niespiesznie zwiedzając językiem całe jej ciało. Zacząłem od szyi, a potem, przesuwając się coraz niżej, przeciągnąłem nim po jej piersiach i brzuchu, zatrzymując się przy biodrze i skubiąc je delikatnie zębami. Dla mnie była chodzącym ideałem. Niczego bym w niej nie zmienił.

- Jeśli naprawdę tak uważasz, to chyba jednak nie zrezygnuję z ciasta czekoladowego. - Zachichotała, uciekając przed moimi pieśczołami, i spojrzała na mnie figlarnie.

Podpełzłem w górę i położyłem się przy niej. Jedną dłoń wsunąłem w jej włosy, a drugą delikatnie, z uznaniem gładziłem jej ciało, zapamiętując jego kształt. Uśmiechnęła się do mnie i posłała tak urzekające spojrzenie, że serce niemal wyskoczyło mi z piersi.

- Uwielbiam cię całą, maleńka. Jesteś najpiękniejszą istotą,

jaką widziałem. I nawet nie waży się myśleć, że jest inaczej – zapewniłem, pochylając się nad nią i całując ją namiętnie w usta.

Przytuliła się do mnie z wymalowanym na twarzy wyrazem absolutnego zadowolenia.

– Śpij już, maleńka. Wyglądasz na wyczerpaną. – Objąłem ją opiekuńczo i westchnąłem z ulgą, czując ją znów w swych ramionach.

– Nie chcę zasypiać. – Wydęła usta i odchyliła głowę do tyłu, by lepiej mnie widzieć.

Ściągnąłem brwi, gładząc ją palcem po policzku.

– Dlaczego?

Wzięła głęboki oddech i odwróciła wzrok.

– Boję się, że nie będzie cię przy mnie, gdy się obudzę, a to wszystko okaże się tylko snem.

Uniosłem kąciki ust w uśmiechu.

– Nie musisz się tego obawiać. Planuję zostać na dłużej.

Rozchmurzyła się, słysząc moje zapewnienia, a strach w jej oczach zastąpił zalotny błysk.

– Na dłużej? A konkretnie na ile? – drążyła dalej, unosząc pytająco brwi.

Zacisnąłem usta, udając, że się zastanawiam.

– Przynajmniej osiemdziesiąt lat.

Przytuliła się mocniej.

– Osiemdziesiąt lat? Myślisz, że nadal będziesz chciał ze mną być, gdy wypadną mi wszystkie zęby, posiwieję i będę potykać się o własne cycki pod prysznicem? – W mglistej poświacie nocnej lampki dostrzegłem, że patrzy na mnie

z wyraźnym rozbawieniem.

- Owszem - potwierdziłem ruchem głowy. - A czy ty nadal będziesz chciała ze mną być, gdy wyłysię, wyhoduję kałdun i będę potykać się o twoje cycki pod prysznicem? - odparłem i przechyliłem głowę tak, że stykaliśmy się czołami, przez chwilę cicho się śmiejąc. W duchu miałem nadzieję, że właśnie tak będzie to wyglądać. Chciałem się z nią zestarzeć; to jedyna rzecz, jakiej naprawdę pragnąłem. - A tak całkiem poważnie, to nigdzie się nie wybieram. Drużyna Jellie do końca dni!

Ellie prychnęła i przewróciła oczami.

- Drużyna Jellie, teraz to wymyśliłeś? - Wyciągnęła rękę, przesuając palcami po bliźnie nad moją brwią, której dorobiłem się w więzieniu.

- Nie, wieki temu, tylko czekałem z tym na odpowiednią okazję.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- To nie był ten moment, kocie.

Przewróciłem oczami i pocałowałem ją w czoło, układając się wygodnie do snu. I nagle przypomniało mi się, że nie przekazałem nikomu porannej warty. Poderwałem się z jękiem niezadowolenia, przechylając się przez brzeg łóżka i sięgając po dzinsy. Gdy znalazłem komórkę, wysłałem do Eda krótką wiadomość, informując go, że jestem w domu Ellie i dlatego mój wóz stoi pusty. Napisałem mu także, żeby przyjechał na dziewiątą.

Ellie przekręciła się na bok, delikatnie muskając palcami moje plecy.

- Do kogo piszesz? Do swojej drugiej dziewczyny? Dajesz jej znać, że nie wrócisz na noc? - droczyła się, przygryzając skórę na moim biodrze, przez co aż podskoczyłem.

Uśmiechnąłem się do niej przez ramię. Stuknąłem „Wyślij” i cisnąłem telefon na stolik przy łóżku.

- Nie, już ci mówiłem. Nie ma innych dziewczyn. Pisałem do Eda, jednego z moich ludzi. Poprosiłem go, żeby przyjechał tu o dziewiątej i popilnował cię rano. Mam parę rzeczy do załatwienia i nie chcę zostawiać cię bez opieki.

- Myślałam, że skończyłeś z tym wszystkim - zaperzyła się.

Szybko pokiwałem głową, dotykając jej wydętych ust.

- Skończyłem. Nie dąsaj się tak - zażartowałem, delikatnie ją całując. - Ale nie mogę tak po prostu odejść i już nigdy nie wrócić. Muszę to wyjaśnić mojej ekipie, przekazać sprawy, oddać pałeczkę i takie tam. Przysięgam, skończyłem z nielegalną robotą. Teraz, kiedy cię odzyskałem, nie naraziłbym ponownie naszego związku. Ellie, jesteś całym moim życiem.

Westchnęła radośnie, kiwając głową ze zrozumieniem. Szczęśliwy położyłem się obok niej, wyciągając rękę, żeby zgasić nocną lampkę, po czym otuliłem ją troskliwie ramieniem. Trzymać ją w objęciach, wiedzieć, że mnie kocha i że wspólnie stawimy czoło światu - to wszystko, czego pragnąłem, odkąd ją poznałem. Wyglądało na to, że plany, jakie snuliśmy na przyszłość, wreszcie zaczną się ziszczać. Tej nocy zasnąłem przytulony do niej z szerokim uśmiechem na twarzy.

Rozdział 25

ELLIE

Gdy obudziłam się rano, Jamie i ja byliśmy jedną wielką płataniną kończyn, nasze nagie ciała leżały złączone w intymnym uścisku. Na wspomnienie minionej nocy moje policzki zapłonęły nagłym rumieńcem, a wnętrzności zawrzały z pożądania. Było cudownie - rozkosznie, seksownie, zmysłowo, dokładnie tak, jak chciałam, a nawet lepiej. Zapomniałam już, jak wspaniały był Jamie w łóżku. Ostatnia noc pokazała, że nadal świetnie współgrał z moim ciałem. Każdy jego dotyk i pocałunek przenikał moją duszę. Nie mogłam się nim nasycić - i podejrzewałam, że zawsze będzie mi mało.

Leżeliśmy zwrócenii do siebie twarzami; moja głowa spoczywała na jego ramieniu, wtulona w załamanie szyi. Westchnęłam z zadowoleniem i zamknęłam oczy, ponownie ciesząc się jego bliskością. Od trzech lat marzyłam, by znów obudzić się w jego objęciach - i rzeczywistość dorównała każdej mojej fantazji.

Jego słowa z minionej nocy nadal dźwięczały mi w głowie. „Drużyna Jellie do końca dni”. Wczoraj naśmiewałam się z tego tekstu, ale w rzeczywistości strasznie mi się spodobał.

Jamie jęknął chrapliwie, a jego dłoń zsunęła się po moich plecach i zatrzymała na pośladkach, zostawiając na mojej

skórze piekący ślad. Wezbrała we mnie tak potężna żądza, że musiałam ścisnąć uda, by choć trochę złagodzić rodzącą się we mnie potrzebę. Pamiętałam to uczucie; Jamie zawsze rozpalał we mnie rozpaczliwe pożądanie. Ucieszyłam się, że po trzech latach nadal tak na mnie działał. Przytuliłam się do niego jeszcze mocniej, czując, jak zamyka mnie w swoich ramionach. Zjechał dłonią po moim udzie, przyciągając lekko moją nogę i zakładając ją sobie na biodro. W tej pozycji nasze ciała ocierały się o siebie w miejscach, które jeszcze przyjemnie bolały po upojnej nocy.

- Gdy się tak poruszasz, wracają dawne wspomnienia - wymamrotał, wyginając usta w sennym półuśmiechu. Jeszcze trochę się powierciłam, z lubością patrząc, jak ogarnięty rozkoszą zamyka oczy.

- Doprawdy? Niby jakie? - zapytałam prowokująco.

- Nieprzyzwoite - odparł, uśmiechając się do mnie szeroko. Przetoczył się i nakrył mnie połową ciała, sunąc palcami po moim policzku, szyi i piersiach. - Chciałbym spędzić z tobą w łóżku cały dzień - wyszeptał z ustami przy mojej skórze.

- Ja też. - Ujęłam jego twarz w dłonie i pokierowałam tak, by na mnie spojrzał. - Ale nie możesz. Muszę się ubrać i jechać do mamy. - Zerknęłam na zegar i zorientowałam się, że minęło wpół do dziesiątej; powinnam niedługo ruszyć tyłek i wziąć prysznic, jeśli chciałyśmy zdążyć na poranną wizytę.

- Czy twój znajomy nie miał się tu czasem zjawić o dziewiątej?

Jęknął, odsunął się i usiadł. Poczułam, że już mi go brakuje; moje ciało natychmiast zatęskniło za jego dotykiem.

- Tak, pewnie już czeka na zewnątrz. - Podniósł telefon ze stolika przy łóżku, wysyłając krótką wiadomość, po czym odłożył komórkę i spojrzał na mnie.

- Dziękuję, że dałaś nam jeszcze jedną szansę - powiedział, pochylając się nade mną. - Nie zawiodę cię, obiecuję. Sprawię, że już do końca życia będziesz rzygać tęczą.

Parsknęłam śmiechem i pokręciłam głową, nie mogąc się nadziwić tej nedorzeczności. Jednak gdy przywarł do mnie ustami, tłumiąc mój śmiech, poczułam, że mówił poważnie - być może nie będę rzygać tęczą, ale na pewno będę przy nim szczęśliwa. Pocałował mnie tak, że zakręciło mi się w głowie.

- Kocham cię, bardzo - wyszeptał.

- Ja ciebie też kocham. - To było szczere i niewymuszone wyznanie. Serce zatrzepotało mi w piersi. Mimo to miałam wrażenie, że to za mało - „kocham” nawet w połowie nie oddawało tego, co czułam.

Gdy byliśmy już ubrani, podeszłam do drzwi i wyjrzałam ukradkiem na zewnątrz, uśmiechając się do siebie, bo było tak jak za dawnych czasów - wtedy też potajemnie wymykał się z mojego pokoju. Trzymając się blisko mnie, powoli, cichutko zszedł za mną po schodach. Chwycił kurtkę i wsunął nogi w buty, a ja w tym czasie uchyliłam bezszelestnie frontowe drzwi, tylko trochę, tak by mógł się przez nie przecisnąć. Za jego autem stał inny wóz; w środku za kierownicą siedział facet po czterdziestce i obserwował nas z papierosem w zębach. Jamie skinął do niego nieznacznie głową i spojrzał z powrotem na mnie. Objął mnie w pasie, zamykając moje usta w ostatnim pocałunku, po czym odwrócił się i pomaszerował

do swojego samochodu.

Westchnęłam rozmarzona i oparłam się o framugę drzwi, patrząc z przyciśniętym do ust palcem, jak odchodzi. Nie przypuszczałam, że jeszcze kiedyś będę taka szczęśliwa, zwłaszcza po ostatnich trzech latach naznaczonych smutkiem i rozpaczą. Zabawne, jak jedna osoba może wszystko odmienić i wywrócić cały twój świat do góry nogami.

Mniej więcej w połowie drogi Jamie odwrócił się i idąc tyłem do auta, zawołał:

- Hej, chciałabyś się wybrać na późny lunch, jak wrócisz ze szpitala?

- Pewnie - przytaknęłam ochoczo.

- Zadzwoń - rzucił, po czym nachylił się do Eda i zaczął z nim rozmawiać. Pomachałam mu na pożegnanie i zamknęłam drzwi, a gdy się odwróciłam, ujrzałam Kelsey, która stała przy schodach z założonymi rękami, znacząco unosząc brwi.

Podskoczyłam zaskoczona. Myślałam, że byliśmy bardzo dyskretni. Najwyraźniej się myliłam.

- Dzieńdoberek! - Miałam nadzieję, że dopiero nadeszła i niczego nie widziała.

- Widziałam, jak ktoś wymyka się z twojego pokoju. Czy to był Jamie?

Cholerny pech!

- Yyy... tak - odparłam zgodnie z prawdą. - Wróciliśmy do siebie. - Nachmurzyła się i wbiła wzrok w podłogę. Zastanawiałam się, ile wiedziała o nas i naszym rozstaniu. Miała wtedy zaledwie dziesięć lat, ale rozumiała i słyszała zdecydowanie więcej, niż nam się zdawało. - Kels, przy nim

jestem taka szczęśliwa. Kocham go. Nigdy nie przestałam.

Zacisnęła usta, pogrążając się w zadumie, i wreszcie skinęła głową na znak akceptacji.

- Jamie to twój *zing*.

- Mój *zing*? - Zmarszczyłam czoło ze zdziwieniem.

- Uhm - potwierdziła. - Nie widziałaś *Hotelu Transylwania*?

Uśmiechnęłam się porozumiewawczo. Oglądałam ten film na DVD z dziećmi Toby'ego. „Zing” to coś, co się czuje, kiedy spotyka się tego kogoś, kto jest ci pisany, twoją bratnią duszę. Jak twierdzą w filmie, zdarza się to tylko raz w życiu.

- Tak, to mój *zing* - potwierdziłam ruchem głowy.

- Cieszę się z tobą, jeśli naprawdę czujesz się przy nim szczęśliwa.

- Owszem - zapewniłam ją, choć „szczęśliwa” to za mało powiedziane. Przy nim czuję się kompletna. Podeszłam do niej i objęłam ją ramieniem, ruchem głowy wskazując kuchnię, z której

dolatywał nęcący zapach smażonego bekonu. - Chodźmy coś zjeść, a potem ruszymy do mamy, okej?

* * *

Kiedy dotarliśmy do szpitala, mama już nie spała. Siedziała przy łóżku na wózku inwalidzkim, patrząc nieprzytomnie przez okno, które wychodziło wprost na ceglana ścianę sąsiedniego budynku. Poczułam ból w sercu, widząc ją w takim stanie, zastygłą w bezruchu i zatopioną w myślach. Nawet nie spojrzała, kiedy weszliśmy do pokoju. Pewnie w ogóle nas nie

zauważyła.

- Cześć, mamó - powiedziała Kelsey; podeszła do niej i przykucnęła, tak że ich twarze znalazły się prawie na jednym poziomie.

- Cześć - odparła chłodno. Oderwała wzrok od okna i obrzuciła każdą z nas spojrzeniem, odwracając się na wózku z wyciągniętą przed siebie złamaną nogą spoczywającą na podpórce. W ogóle nie przypominała kobiety, z którą przed dwoma dniami odbyłam serdeczną rozmowę. Wyglądała na zagubioną i tak smutną, że przykro było patrzeć. Doktor uprzedzał, że będzie miała lepsze i gorsze dni, ale nie przypuszczałam, że w ciągu zaledwie kilku dni z ciepłej, życzliwej osoby zmieni się w przygaszoną i pogrążoną w marazmie kukłę.

- Dzień dobry, Ruth. Masz ochotę coś przekąsić? - Babcia zaczęła szperać w swojej torbie na zakupy, wyciągając pudła z domowym jedzeniem i odkładając je na bok. Otworzyła jeden z kartonów i podsunęła go mamie, zachęcając, by skosztowała świeżo upieczonych bułeczek z cynamonem. - Wiem, że szpitalne jedzenie jest koszmarnie, więc przygotowałam ci to, co lubisz - oświadczyła, uśmiechając się ciepło do synowej.

- Dziękuję, Betty. - Mama poczęstowała się jedną; oczy wciąż miała szkliste i puste. Uniosła kąciki ust, lecz nie był to szczery uśmiech, zupełnie jakby robiła dobrą minę do złej gry, udawała, że wszystko jest w porządku. Jednak my widziałyśmy, że nie było. Jej oczy straciły dawny blask, były zimne i pozbawione życia. Nie miałam pojęcia, jak jej pomóc.

Niemrawo skubała bułkę, rozrywając ją na małe kawałeczki,

a te spadały na serwetkę. Wtem drzwi się otworzyły i do środka wszedł lekarz. Przywitał nas uśmiechem i podszedł do mamy, po drodze biorąc kartę pacjenta.

- Dzień dobry, Ruth. Jak się dziś czujemy? - zapytał.

- Dobrze - odparła beznamiętnie.

Jej krótka, zdawkowa odpowiedź chyba nie zrobiła na nim wrażenia. Wyciągnął latarkę długopisową i nachylił się nad nią, sprawdzając reakcję źrenic i każąc jej wodzić wzrokiem za światłem. Następnie zmierzył ciśnienie i dokonał oględzin rany na głowie, oświadczając w końcu, że mama ma się świetnie i wszystko ładnie się goi.

Miał rację, z każdym dniem przybywało jej sił. Sińce praktycznie zniknęły, więc po wypadku zostały już tylko połamane kości i uraz emocjonalny. Pokiwałam głową, patrząc, jak gryzmoli coś w karcie, gdy nagle odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

- Rozmawiałem już o tym z Ruth i myślę, że jutro, ewentualnie pojutrze, będzie ją można wypisać. Pewnie musicie poczynić pewne przygotowania i przystosować dom do wózka inwalidzkiego - oznajmił, wieszając kartę na skraju łóżka, i ponownie zwrócił się do mamy: - Domyślam się, że nie możesz się już doczekać, jak wrócisz do domu i zaśniesz we własnym łóżku. Prawda, Ruth? - zapytał ciepłym tonem, mrugając do niej, po czym skierował się ku drzwiom.

Odprowadziłam go wzrokiem, radując się w duchu, bo po powrocie mamy do domu będę mogła zająć się nią jak należy, zamiast zostawiać ją tu samą każdego dnia.

- To świetna wiadomość - odwróciłam się do mamy, licząc,

że też się ucieszy. Jednak gdy na nią spojrzałam, oczy rozszerzyły mi się ze zdumienia.

Kręciła zaciekle głową, zaciskając pięści, a po policzkach ciekły jej łzy.

Podbiegłam do niej, klękając przy wózku.

- Hej, co się dzieje? - zapytałam, ocierając jej z twarzy zbłąkaną łzę.

- Nie chcę... - wychrypiała, energicznie potrząsając głową. - Nie chcę! - krzyknęła wyraźnie spanikowanym głosem.

Zakłopotana przełknęłam ślinę, kładąc jej ręce na udach i lekko ściskając dla otuchy, żeby się otrząsnęła.

- Czego nie chcesz?

Popatrzyła na mnie wielkimi oczami, a jej twarz wykrzywił grymas udręki.

- Wrócić do domu.

Zmarszczyłam brwi, wzrokiem prosząc babcię o wsparcie bądź jakieś wyjaśnienie, ale ona także wyglądała na zdziwioną tym wybuchem.

- Dlaczego? - drążyłam dalej, przechylając głowę i przyglądając się mamie ze zmartwieniem.

- Wiąże się z nim zbyt wiele wspomnień. Michael... - Zniosła się jeszcze większym płaczem, coraz bardziej tonąc w rozpacz. Chwyła mnie za dłonie i mocno ścisnęła, wpatrując się we mnie błagalnym spojrzeniem. - Nie mogę tam wrócić. Nie chcę! Ellison, proszę, nie każ mi!

Poczułam się tak, jakby uderzył we mnie pociąg towarowy. Serce ścisnęło mi się z żalu. Nie chciała wracać do rodzinnego domu, bo pełno w nim było rzeczy i ubrań taty. Wspomnienia

o nim były zbyt silne i bolesne, aby mogła się z nimi uporać. Może fizycznie czuła się lepiej, ale pod względem emocjonalnym wciąż była w rozsypce.

- Już dobrze, mamó - uspokajałam ją, tuląc do siebie; czułam, jak cała się trzęsie, szlochając. - Nikt nie każe ci tam wracać, jeśli nie jesteś gotowa - wyszeptalam, głaszcząc jej włosy. Robiła tak samo, gdy byłam chora.

- Nie mogłabym tam mieszkać bez niego - chlipała, wtulając twarz w moje ramię.

Popatrzyłam z desperacją na babcię, zastanawiając się, co robić. Mama nie mogła zostać w szpitalu; skoro chcieli ją wypisać, pewnie potrzebowali łóżka dla innego pacjenta. Nie mogłam jednak zabrać jej do domu, bo nie była gotowa zmierzyć się z nową rzeczywistością.

W oczach babci zalśniły łzy. Podeszła do synowej i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Nie musisz - powiedziała pocieszająco. - Możecie zatrzymać się u mnie tak długo, jak chcecie. Miejsca starczy dla każdego. Mój dom jest za duży dla jednej osoby, miło by było mieć jakieś towarzystwo.

Mama spojrzała na babcię szeroko otwartymi oczami.

- Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem; kiedy to mówiła, drżała jej dolna warga.

Babcia pochyliła się i pocałowała ją w czubek głowy.

- Oczywiście. Przyjmę was z miłą chęcią.

Te słowa przyniosły mamie wyraźną ulgę. Pokiwała głową i poklepała dłoń babci. Jej oczy wyrażały niemą wdzięczność i jakby ożyły. Być może to właśnie perspektywa powrotu do

domu tak ją dręczyła i przybijała.

* * *

Po propozycji złożonej przez babcię atmosfera w pokoju wyraźnie się zmieniła, stała się mniej przytłaczająca i wszyscy wydawali się bardziej zrelaksowani, nawet mama, która trzymała Kelsey za rękę, słuchając, jak opowiada o swoim szkolnym projekcie naukowym.

Przeprowadzka do babci w góry Pocono mogła być trochę problematyczna z uwagi na Jamiego, który mieszkałby półtorej godziny drogi ode mnie, ale byłam pewna, że coś wymyślimy. Nie zamierzałam go znowu stracić z takiego błahego powodu jak konieczność dojazdów – przecież nie dzieliłby nas ocean.

Gdy skończyła się pora odwiedzin i pożegnałyśmy się, zauważyłam, że mama czuła się teraz o niebo lepiej niż w ciągu kilku ostatnich dni.

- Wybierzemy się gdzieś na lunch? – zaproponowała babcia, gdy wsiadałyśmy do samochodu.

Skrzywiłam się, ponieważ miałam się spotkać z Jamiem.

- Nie mogę. Umówiłam się ze znajomym – odparłam, posyłając karcące spojrzenie Kelsey, która zaśmiała się na słowo „znajomy”.

- Kels, a ty masz ochotę? – Babcia odwróciła się na siedzeniu do Kelsey, gdy ta zapinała pasy bezpieczeństwa.

- Pewnie – zgodziła się ochoczo. – Może pójdziemy do tej knajpki z makaronem, a potem na lody?

- Dobry pomysł! – przyklasnęła babcia.

Na myśl o makaronie zaburczało mi w brzuchu. Byłam

ciekawa, gdzie zabierze mnie Jamie. A może by tak zamówić coś na wynos i zjeść w jego łóżku?! Westchnęłam tęsknie, rozochociona tą wizją. Uruchomiłam silnik i wytoczyłam się z parkingu na drogę. Czekający kilka aut za mną Ed również wyjechał; wyglądał na znudzonego.

Podwoziłam babcię i siostrę do baru, a sama ruszyłam w kierunku domu. Jamie jeszcze nie dzwonił, więc nie wiedziałam, kiedy dokładnie mamy się spotkać. Postanowiłam wysłać mu krótką wiadomość z informacją, że jestem głodna. Może dołączę jeszcze pikantną fotkę dekoltu, a potem wybiorę jakieś zabójcze szpilki, w których pójdę na lunch. Zżerała mnie ciekawość, czy nadal kręciły go damskie buty. Uśmiechnęłam się na tę myśl, a moje policzki zalał gorący rumieniec.

Zatrzymałam się na czerwonym świetle, włączyłam radio i zaczęłam śpiewać wraz z Sią o jej elastycznym sercu, kiwając do rytmu głową. Gdy światło zmieniło się na zielone, wrzuciłam bieg i potoczyłam się do przodu, sygnalizując zamiar skrętu w lewo.

Gdybym patrzyła uważnie, zauważyłabym białą furgonetkę, pędzącą ku pustemu skrzyżowaniu przede mną. Zauważyłabym, że przejeżdża na czerwonym i że lekko skręca koła, szykując się do tego, żeby wbić się w bok mojego małego autka. Ale nie patrzyłam. Byłam zbyt pochłonięta śpiewaniem i rozmyślaniami o Jamiem, jedzeniu i mamie.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet nie miałam czasu zareagować ani zadrzeć ze strachu o swoje życie. Furgonetka grzmotnęła we mnie mocno od strony pasażera,

aż odebrało mi dech. Metal tarł o metal, opony szorowały asfalt, w powietrze wzbił się żwir. Przednia szyba nie wytrzymała siły uderzenia i roztrzaskała się na kawałeczki, zasypując moją twarz i ciało odłamkami szkła. Uderzyłam głową o drzwi samochodu i wszystko rozmyło mi się przed oczami.

Poczułam ból w całym ciele. Pas bezpieczeństwa zacisnął się, tak jak powinien, jeszcze bardziej pozbawiając mnie tchu. Trzymałam się kurczowo kierownicy, sunąc bokiem po jezdni. W głowie miałam kompletny mętlik.

Po chwili doświadczyłam dziwnego stanu nieważkości; wszystko, co było na podłodze, znalazło się nagle na dachu, a potem znów na podłodze i znów na dachu. Ale najgorszy był hałas; chrobotanie, głośny grzechot i trzaski dzwoniły mi w uszach.

Samochód w końcu przestał koziółkować i wylądował do góry nogami w rowie na poboczu, kilka metrów od miejsca zderzenia. Ręce zwisały mi bezwładnie i dotykały dachu, który teraz był tam, gdzie powinna być ziemia.

Mrugnęłam kilka razy i odwróciwszy głowę, zobaczyłam zawartość mojej torebki rozsypaną po podsufitce, usłanej szkłem i fragmentami mojego kochanego garbusa. Jęknęłam, czując ogromny ucisk w okolicach klatki piersiowej i talii. Ledwo łapałam oddech; płuca zgniatał mi pas bezpieczeństwa, na którym wisiałam głową w dół przypięta do fotela.

Krew ściekała mi z boku po twarzy, łaskocząc moją skórę, i skapywała – kap, kap, kap – na dach pode mną.

Stęknęłam, próbując unieść ręce, ale były niesamowicie

ciężkie i nie miałam nad nimi kontroli. Miotalam nimi chaotycznie, usiłując osiągnąć klamry i wyswobodzić się z pasów – może wtedy byłoby mi łatwiej oddychać. Niestety, moje palce nie były w stanie poradzić sobie z zapięciem.

W powietrzu czułam benzynę; jej gryzący zapach piekł mnie w gardle, kiedy dyszałam ciężko, próbując nabrać powietrza. Musiałam się stąd wydostać!

- Pomocy – wychrypiałam, mrugając powiekami, by złapać ostrość, ponieważ wszystko zaczęło mi ciemnieć w oczach. Poruszyłam nogami i stwierdziłam, że są sprawne, niestety kolana przygniatała deska rozdzielcza i nawet gdybym rozpięła pas, byłoby mi trudno się uwolnić. – Na pomoc – podjęłam kolejną próbę, praktycznie szepcząc.

Odwróciłam głowę, ignorując ostry ból w szyi, i zobaczyłam czyjeś stopy zmierzające w kierunku auta. Nie spieszyły się, tylko kroczyły pewnie w moją stronę; czarne buty wyglądały na znoszone i toporne. Ponownie zamrugałam; moje powieki stawały się coraz cięższe i same się zamykały. Usłyszałam jakieś skrobanie o drzwi od strony kierowcy i trzask podważanego metalu. Oblizałam wargi i poczułam smak krwi. Powoli traciłam przytomność. Wreszcie drzwi ustąpiły; jakiś mężczyzna nachylił się nade mną, upuszczając łom, i wyjął zza pleców duży srebrny nóż. Zbliżył go do pasa bezpieczeństwa i zaczął mnie odcinać. Otworzyłam usta, żeby mu podziękować, ale głos uwiązł mi w gardle. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam, zanim zemdlałam, był duży tatuaż pająka na szyi mojego wybawcy.

Rozdział 26

JAMIE

Gdy drzwi do domu Ellie zatrzasnęły się za moim plecami, triumfalnie uderzyłem pięścią w powietrze. Nigdy bym nie przypuszczał, że przyjmie mnie z powrotem; nie uważałem, bym zasługiwał nawet na pierwszą szansę, a co dopiero na drugą. Kto by pomyślał, że dziś rano obudzę się obok jej boskiego ciała i przepięknego uśmiechu? Nie posiadałem się ze szczęścia. Podszedłem do sedana i nachyliłem się, żeby zamienić z Edem parę słów przez okno.

- Jak tam, stary? - powitałem go, szczerząc zęby w uśmiechu.

Uniósł pytająco brwi.

- Upiłeś się?

Zaśmiałem się i przeczesalem palcami włosy.

- Nie, po prostu wstałem właściwą nogą z łóżka. - A raczej z właściwego łóżka, pomyślałem. - Muszę iść. Wrócę po lunchu, żeby cię zmienić.

Pokiwał głową, ponownie przenosząc wzrok na dom.

- Taaa, standard.

- Odezwę się później - rzuciłem i ruszyłem w kierunku samochodu, nie czekając na odpowiedź. Zanim odjechałem, wysłałem krótką wiadomość Rayowi i Dodgerowi, prosząc, by spotkali się ze mną jak najszybciej w magazynie. Nie miałem

ochoty przekazywać im złych wieści, ale byli dobrymi przyjaciółmi i liczyłem, że zrozumieją.

Zajechałem na miejsce po dziesiątej i nikogo jeszcze nie było. Otworzywszy magazyn, włączyłem wszystkie światła i mały grzejnik, ponieważ w środku było zimno jak w psiarni, i postanowiłem pomajstrować trochę przy moim aucie. Byłem zbyt nakręcony, żeby skupić się na czymś innym, a nie mogłem się zająć dokumentami transferowymi, dopóki nie porozmawiam o tym z chłopakami. Wiedziałem, że prędko się nie zjawią. Ray odpisał, że jest na treningu piłkarskim swojej najstarszej córki, więc nie dotrze przed jedenastą. Dodger powinien być jeszcze później; wprawdzie nie odpowiedział na moją wiadomość, ale był nocnym markiem i długo spał; zaczął dzień dopiero po lunchu.

Tak oto kolejne dwie godziny spędziłem, dłubiąc w subaru i podrasowując to i owo. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie. I tak już bym się nim nie ścigał. Obiecałem Ellie, że zerwę z dawnym życiem, a to było jego częścią. Teraz, gdy ją odzyskałem, nie musiałem ryzykować w wyścigach, skoro mogłem leżeć z nią w objęciach i oglądać film. To przebijało nawet adrenalinowy haj, jaki wyzwalaly we mnie szybkie samochody i ich kradzieże. Ellie była wszystkim, czego potrzebowałem.

Ray przyszedł pierwszy, rozplywając się w zachwytach nad swoją córką; chwalił się, jaką miała siłę w lewej nodze, i z dumą podkreślał, że grała tak, jakby się urodziła na boisku. Dodger dotarł kilka minut później, i choć było już po wpół do dwunastej, nadal przecierał zaspane oczy i ziewał.

- Siemka - powitałem go radośnie.

Dodger tylko burknął coś w odpowiedzi i podszedł natychmiast do dzbanka z kawą; przyrządził świeżą porcję i nalał sobie duży kubek.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego. Zostawiłem w łóżku ostrą baletnicę. W życiu nie widziałem bardziej giętkich nóg.

Uśmiechnąłem się, wycierając ręce w szmatę, po czym wskazałem głową schody.

- Chodźmy na górę. Muszę z wami porozmawiać.

Gdy weszliśmy do biura, zająłem miejsce na czarnej skórzanej kanapie i czekałem, aż oni też usiądą. Już miałem się odezwać, lecz Dodger mnie uprzedził.

- Pewnie liczysz na jakieś nowiny, ale nie ma za wiele do opowiadania. Od wczoraj nic się nie zmieniło. Lewiston twierdzi, że Alberto prędko nie wyjdzie.

Szczęśliwie dla mnie - dla niego nieco mniej - Alberto był w czwartek w wytwórni kokainy, kiedy detektyw Lewiston wraz z grupą dziesięciu zaufanych funkcjonariuszy policji przeprowadził jednocześnie kilka nalotów na przybytki Salazarów. Zgarnęli niemal wszystkich z ich ekipy i skonfiskowali cały towar. Mieli wystarczająco dużo dowodów, by posłać ich do więzienia i to na bardzo długo. Z tego, co słyszałem, starszy z braci Salazar miał spędzić tam większość życia. Jednak to nie rozwiązywało problemu młodszego brata, którego głowę chciałem dostać na srebrnej tacy.

- Jakies wieści w sprawie Matea? - Wystawiliśmy czujki, nasi ludzie wszędzie go szukali, ale ślad po nim zaginął. Nikt go nie widział od czwartku, kiedy rozmawiałem z nim przez

telefon i kazałem mu uciekać.

Dodger pokręcił przecząco głową, pociągając kolejny łyk kawy.

- Nic. Zniknął.

- Szukajcie dalej - obruszyłem się. - Muszę mieć pewność, że Ellie nic nie grozi.

Dodger pochylił się i odstawił kubek na stół, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Jest bezpieczna. Mateo nie ośmieliłby się teraz wrócić. Stracił wszystko, co ma; jego brat siedzi w więzieniu, a dobrze wiemy, że to Alberto był mózgiem całego przedsięwzięcia. Większość ekipy Matea została zapuszkowana, więc po co miałyby wracać? Wie, że go szukasz. Nie jest na tyle głupi, by jeszcze raz spróbować ją dopaść. Nie odważyłby się.

Spojrzałem pochmurnie na stół, wpatrując się w smużkę wirującej pary unoszącej się nad kubkiem. Dodger był pewny swego, i być może miał rację, ale nie mogłem się pozbyć tej upiornej myśli, że Mateo tylko czekał na odpowiedni moment. Ludzie, którzy nie mieli nic do stracenia, byli najbardziej niebezpieczni. Nie zaznałbym spokoju, nie mając całkowitej pewności, że Ellie nic nie grozi, a to oznaczało, że musiałem znaleźć tego sukinkota i go zabić.

- Po prostu szukajcie dalej - poinstruowałem. - Być może przesadzam z tą ostrożnością, ale dopóki go nie znajdziecie, Ellie ma być pod stałą obserwacją.

Ray pokiwał głową ze zrozumieniem, wpatrując się we mnie współczującym wzrokiem. Wiedział lepiej niż wszyscy, jak bardzo kochałem tę dziewczynę; po moim aresztowaniu

widział, jak daleko się posunąłem w trosce o Ellie, i to jego szwagierkę wysłałem za nią w kosztowną podróż. To również on zatrudnił prywatnego detektywa, aby informował mnie o jej poczynaniach w Anglii. Wiedział, że była dla mnie wszystkim, i pewnie wyobrażał sobie, jak sam by się czuł, gdyby to jego żonie coś groziło. Dodger nie mógł tego do końca zrozumieć, bo nigdy nie był w poważnym związku; wdawał się jedynie w przelotne romanse z dziewczynami, a potem je rzucał, gdy tracił nimi zainteresowanie.

Dodger ziewnął głośno, zakrywając usta dłonią.

- Nie mów, że tylko po to mnie tu ściągnąłeś! Pół nocy nie spałem. Zobaczyłem twoją wiadomość przez przypadek, gdy poszedłem się odlać. Gdyby nie to, nadal leżałbym w łóżku u boku mojej tancereczki - narzekał.

Pokręciłem przecząco głową i rozsiadłem się na krześle, mając cichą nadzieję, że nie będą na mnie bardzo wkurzeni.

- Nie, nie tylko po to. Chciałem powiedzieć to najpierw wam... Zszedłem się wczoraj z Ellie - oświadczyłem dumnie z szerokim uśmiechem i ściśniętym sercem.

Ray rozdziawił usta, lecz zaraz rozciągnął je w uśmiechu; Dodger wznosił pięść w powietrze, po czym wystawił dłoń do przybicia piątki.

- To świetnie, stary! Czy to znaczy, że przestaniesz się snuć ze skwaszoną miną?

Roześmiałem się, wzruszając ramionami. Przybiłem mu piątkę, a następnie, jak dorosły, uścisnąłem dłoń Rayowi. Uśmiechał się, a jego oczy promieniowały radością.

- Cieszę się z twojego szczęścia, Młody. Zaslugujesz na nie.

Wiem, że bardzo ci na niej zależy. Wiem też, jak bardzo oboje cierpiełście po rozstaniu.

Serce zakłuło mnie z żalu. Powiniennem być z nią szczery od samego początku; wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej i nie zmarnowalibyśmy kilku lat, udając, że jesteśmy szczęśliwi.

- Dzięki, chłopaki. Nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy. Niestety, wiąże się z tym pewne zmiany. - Obaj patrzyli na mnie wyczekująco. - Wycofuję się z interesu.

Dodger parsknął śmiechem, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- A to dobre! - zarechotał. Jednak Ray stężał; odchylił się na krześle i spoglądał na mnie w skupieniu spod przymkniętych powiek. Zrozumiał. Siedziałem cicho, czekając, aż Dodger przestanie się śmiać i pojmie, że mówię poważnie. W końcu zamilkł, zerkając nerwowo to na mnie, to na Raya.

- Cholera, to nie żart? - zapytał zaskoczony, marszcząc czoło.

- Niestety nie. - Odchrząknąłem i spojrzałem na nich przepraszająco. - Chcę sobie ułożyć z nią życie, a to oznacza, że muszę z tego wszystkiego zrezygnować - oświadczyłem, zataczając ręką dookoła.

- Z kradzieżami też kończysz? - drażył dalej Ray.

- Ze wszystkim. Ellie zasługuje na takiego faceta, za którego mnie uważa i z którym kiedyś już była. Ja też tego chcę - wyjaśniłem. - Każę prawnikom przygotować dokumenty i przepisać na was firmę przewozową oraz kontrakty na ochronę, w równych częściach. Sprzedam jeden z lokali

w centrum, żeby mieć jakiś kapitał, i zatrzymam Red's, bo, jak wiecie, nazwałem ten klub na jej cześć i w ogóle. Pozostałe kluby są wasze. Możecie zrobić z nimi, co chcecie: sprzedać, zrównać z ziemią, cokolwiek. – To był mój prezent pożegnalny: wielomilionowy interes, który otrzymałem w spadku, i który teraz sam przekazywałem w dobre ręce.

– Chwila, moment. – Dodger podniósł rękę. – Dlaczego nam to dajesz? Przecież możesz to wszystko sprzedać, kupić sobie ogromny jacht i zabrać swoją ukochaną w rejs dookoła świata lub gdziekolwiek. Nic z tego nie rozumiem.

Wzruszyłem ramionami. Myślałem o tym, ale nie potrzebowałem aż tyle i byłem przekonany, że Ellie nie chciałaby korzystać z tych pieniędzy, wiedząc, skąd pochodziły. Na pewno zamierzałem sprzedać jeden z klubów. Chciałem być w stanie opłacić piętrzące się rachunki za leczenie mamy Ellie, żeby odciążyć jej rodzinę. Z kolei Red's miał dla mnie wartość sentymentalną, a poza tym potrzebowałem jakiegoś źródła dochodu. Ale wystawny styl życia, który teraz prowadziłem, był mi zbędny.

Wystarczyła mi Ellie.

Oboje zasługiwaliśmy na nowy początek. Gdybyśmy nie zerwali z przeszłością, nigdy nie udałoby się nam zbudować wspaniałej przyszłości.

– Po prostu chcę zacząć od nowa, na własnych warunkach – tłumaczyłem.

Dodger zacisnął usta, zastanawiając się nad moimi słowami, ale Ray natychmiast zrozumiał. Pokiwał głową i głośno westchnął.

- Czyli ty tak na poważnie? I co teraz ze sobą poczniesz? - dopytywał.

Wzruszyłem ramionami, czując ogromną ulgę, jakby spadł z nich wielki ciężar odpowiedzialności. Mogłem robić, co tylko chciałem.

- Jeszcze nie wiem. Może otworzę własny warsztat samochodowy albo coś w tym rodzaju. Zamiast kraść, będę naprawiał auta, tak dla odmiany. Gdy byłem młodszy, chciałem zostać mechanikiem. - Możliwości było nieskończenie wiele, a ja miałem przed sobą całe życie u boku Ellie, by coś wymyślić. Przede wszystkim nigdy nie chciałem robić tego, co robię, i oto teraz stałem wobec nowej szansy, by wyrwać się z przestępczego światka. Nie zamierzałem przepuścić takiej okazji.

- Nie będzie ci tego brakować? Tego dreszczyku i adrenaliny? - zapytał sceptycznie Dodger.

- Nie będę miał czasu, by za tym zatęsknić - wyjaśniłem, głupio szczerząc zęby. - Będę zajęty wielbieniem Ellie. - I to począwszy od dziś!

Na ustach Dodgera pojawił się uśmiech.

- Ale z ciebie pantoflarz!

Wzruszyłem ramionami bez cienia zażenowania.

- Kiedy spotkasz tę jedyną, zrozumiesz, o czym mówię - oznajmiłem, uśmiechając się porozumiewawczo do Raya, który przytaknął ruchem głowy; on znalazł ją dawno temu. - Ellie jest dla mnie wszystkim. To będzie całkiem nowa przygoda i już nie mogę się jej doczekać! - dodałem. - We dwóch musicie się teraz zastanowić nad przyszłością tej organizacji.

Teraz wy tu rządźcie. – Rozsiadłem się na krześle i splotłem palce za głową, kompletnie wyluzowany. Ray i Dodger wymienili się spojrzeniami i przystąpili do dyskusji.

Dwa kubki kawy później nadal byli pogrążeni w rozmowie, gdy nagle na moim telefonie wyświetlił się numer Ellie.

– Cześć, maleńka.

Na linii usłyszałem stłumione trzaski, a potem ją.

– Jamie? – Jej głos zdradzał, że coś było nie tak; to, jak wypowiedziała moje imię, niemal błagalnie, przejęło mnie dreszczem. Pełen bólu jęk, jaki wydarł się z jej ust, zmroził całe moje ciało. – Na pomoc.

Te dwa słowa były jak nóż wbijany w moje serce. Zrobiło mi się niedobrze.

– Ellie? – odezwałem się niemal szeptem, a potem usłyszałem kolejny głos. Wiedziałem, do kogo należał; na dźwięk tego hiszpańskiego akcentu zamknąłem usta z taką furją, że moje zęby szczęknęły o siebie.

– Jeśli chcesz ją odzyskać, przyjedź po nią. Jestem w dokach, tam gdzie kiedyś prowadziłem cholernie dobrze prosperujący biznes, dopóki wszystkiego nie rozpieprzyłeś. Masz dokładnie pół godziny, zanim poderżnę jej gardło i pozwolę jej się wykrwawić na śmierć – poinstruował Mateo Salazar.

Ścisnąłem telefon tak mocno, że aż dziw, że go nie zmiażdżyłem. W głowie miałem mętlik. Doki. Znałem to miejsce i wiedziałem, że potrzebuję przynajmniej czterdziestu minut, żeby tam dotrzeć.

– To zajmie mi więcej czasu!

– Więc lepiej się pośpiesz – warknął. – I przyjedź sam. Jeśli

zobaczę jeszcze kogoś, ona zginie. Jeśli spóźnisz się chociaż o minutę, ona zginie. Jeśli komuś o tym powiesz, już po niej.

Rozdział 27

Zajechałem do doków po dwudziestu siedmiu minutach, mocno zaciskając dłonie na kierownicy mojej beemki. Nie wiem, jakim cudem udało mi się dotrzeć na czas. Wiedziałem tylko, że zrobiłbym wszystko, byleby Ellie nie stała się krzywda.

Zachowanie spokoju kosztowało mnie wiele wysiłku; w środku cały gotowałem się ze złości i z trudem nad sobą panowałem. Zgasilem silnik i zaczerpnałem kilka głębokich oddechów, próbując rozładować wściekłość, która mnie ogarnęła, gdy tylko usłyszałem jej zduszony krzyk w słuchawce. Musiałem mieć jasny umysł. Nie wystarczyło wparować tam w złości, urządzić demolkę i wybić wszystko, co się rusza.

Gdy trochę się uspokoiłem, zgarnąłem broń leżącą na siedzeniu pasażera; jeden pistolet wsunąłem sobie z tyłu za dzinsy i ukryłem pod bluzą, a drugi, załadowany, z jednym nabojem w komorze, trzymałem w dłoni.

Uderzyła mnie niepokojąca cisza. Ta część doków zawsze była opustoszała, ale to, rzecz jasna, nie znaczyło, że nikogo tu nie było, że nikt mnie nie obserwował z ukrycia. Podniosłem gnata i zakradłem się pod bramę z jasnym celem: odbić Ellie, a całą resztę pozabijać.

Świadomy uciekającego czasu i zbliżającego się

nieubłaganie terminu wyznaczonego przez Matea zacisnąłem mocniej szczęki. Nogi instynktownie zawiodły mnie przez bramę z rozpiętą w poprzek żółtą taśmą policyjną na plac pełen rdzewiejących kontenerów i zużytego sprzętu. Nie opuszczając broni, wytężonym wzrokiem wypatrywałem jakichś ludzi, kogokolwiek, ale na próżno.

Parłem naprzód, obchodząc ostrożnie kontenery i nasłuchując oznak życia. Po kilku minutach doszedłem do pasa pustego terenu. Opierając się plecami o jeden z kontenerów, wyjrzałem zza rogu, spodziewając się, że właśnie tu czekał Mateo. Pewnie zaszył się gdzieś w głębi, z dala od wzroku przypadkowych przechodniów, z dala od uszu, które mogłyby usłyszeć coś, czego nie powinny. Gdyby to ode mnie zależało, właśnie tu umówiłbym się na spotkanie. Rozejrzałem się po otwartej przestrzeni, badając wzrokiem każdy zacieniony kąt, ale nikt się tam nie czaił.

Przełknąwszy ślinę, wyszedłem z ukrycia i choć świadomie się wystawiłem, powoli zaczęła ogarniać mnie panika. Czy to aby właściwe miejsce? Co, jeśli chodziło o jakieś inne doki i to tam Ellie czekała na ratunek? Przez moją głowę przetoczyły się potworne scenariusze - wizje Matea wbijającego nóż w delikatne gardło, które całowałem zaledwie przed kilkoma godzinami, wizje rzeki krwi zalewającej Ellie, w której szeroko otwartych oczach powoli gasło światło.

- Mateo! - wydarłem się na całe gardło. - Mateo, ty sukinsynu! Gdzie jesteś?!

- Tutaj.

Cały się napiąłem i wycelowałem pistolet w kierunku,

z którego dobiegł głos. Poczułem ulgę, wiedząc, że jestem we właściwym miejscu, niestety nie trwała ona długo, bo nagle zza kontenera przede mną wyszedł Mateo, zasłaniając się Ellie jak tarczą.

Na jej widok serce zamarło mi w piersi. Mateo chwycił ją z tyłu za włosy. Zza taśmy, którą miała zaklejone usta, słychać było stłumione łkanie. Trzymała przed sobą ręce, związane niebieską linką. Na twarzy i włosach miała zaschniętą krew oraz podbite oko, a na policzku ogromny siniak. Jej ramiona pokrywały dziesiątki maleńkich ran; dzinsy były podarte i ubrudzone.

Wściekły przestąpiłem z nogi na nogę, w głowie wirowały mi mordercze myśli.

- Cholera, co ty jej zrobiłeś? - warknąłem niskim złowróżbnym głosem. Miałem ochotę natychmiast ukręcić mu ten pieprzony łeb.

Mateo wyszczerzył zęby i postąpił naprzód kilka kroków, wciąż używając jej jako tarczy.

- Miała mały wypadek samochodowy. Prawda, złotko? - zwrócił się do niej, nachylając się i zanurzając nos w jej włosy.

Ellie zmarszczyła z niesmakiem twarz, a mój palec zadrżał na spuście. Wypadek samochodowy. Pewnie zepchnęli ją z drogi i porwali. Była sama, czy jechała z rodziną, która także czekała na wybawienie z tej beznadziejnej sytuacji?

- Teraz rozumiem, dlaczego ci się podoba. Zdziorna z niej lalunia. Musiałem związać tę małą zdzirę, bo dwukrotnie próbowała uciec. Za pierwszym razem udało jej się nawet powalić jednego z moich ludzi. - Zachichotał jakby z dumą,

obrzucając ją spojrzeniem.

Uniosłem broń ostrzegawczo.

- Puść ją. Nie jest ci potrzebna - argumentowałem, próbując przemówić mu do rozsądku; w tej chwili spróbowałbym wszystkiego. - Ellie, wszystko w porządku? Nic ci nie jest, maleńka?

Podniosła spanikowany wzrok i utkwiała go we mnie. Strach, który dostrzegłem w jej oczach, jeszcze bardziej mnie rozsierdził. Nie mogąc poruszyć głową, jedynie lekko skinęła.

- Puść ją, śmieciu! - rzuciłem do Matea. - Zabierz od niej swoje brudne łapska, a może pozwolę ci żyć. - Mierzyłem mu prosto w głowę; jeden szybki strzał i mogłem to skończyć, ale stał zbyt blisko Ellie i wolałem nie ryzykować. Rozważałem to na poważnie, gdy nagle z cienia wyłoniło się czterech ludzi z wycelowanymi we mnie gnatami. Prawdopodobnie byli ostatnimi z jego załogi, którzy nie trafili w ręce policji podczas nalotów bądź nie zdezerterowali po aresztowaniu Alberta.

Mateo zarechotał tak, że zjeżyły mi się włosy na karku.

- Młody, to nie ty tu dyktujesz warunki, tylko ja. - Wyjął zza paska nóż z rękojeścią z kości słoniowej i zbliżył go do twarzy Ellie, która zacisnęła oczy i pięści. Gdy przyłożył ostrze do jej gardła, starałem się zachować spokój i zapanować nad złością.

- Nie! - krzyknąłem, kręcąc gwałtownie głową.

Biłem się z myślami, szukając wyjścia z tej sytuacji. Ich pięciu, ja jeden, a pośrodku tego wszystkiego Ellie, która mogła zginąć od zbłąkanych kul. Nie taki był plan. Jak długo już tu stałem? Trzy minuty, może cztery? A wydawało się, jakby minęła wieczność.

- Jeśli ją skrzywdzisz, to, jak Boga kocham, żywcem cię wypatroszę - zagroziłem.

Mateo uśmiechnął się i wskazał brodą jednego ze swoich ludzi. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem kolesia, który zbliżał się niepewnie z podniesioną bronią. Był nim typ z klubu, który narzucał się Ellie. Nic dziwnego, że bał się do mnie podejść - już raz spuściłem mu łomot.

- Chcę widzieć twoje ręce - zażądał.

Uśmiechnąłem się sarkastycznie i sięgnąłem błyskawicznie za siebie po drugi pistolet, który wymierzyłem w jego stronę, cały czas mając na celu Matea.

- Proszę, oto one - odparłem z przekąsem, ponownie przenosząc wzrok na jego szefa. - Wypuść ją i załatwmy to między sobą, po męsku. Nie bądź pieprzonym mięczakiem, Salazar. Naprawdę będziesz się krył za kobietą? - Splunąłem z pogardą na ziemię, próbując wszystkiego, byleby zabrał nóż z szyi Ellie.

W reakcji na tę zniewagę Mateo zmrużył oczy i szarpnął Ellie za włosy, odciągając jej głowę do tyłu. Z jej ust wyrwał się stłumiony krzyk, a gdy docisnął jej nóż do gardła, moim ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Posunę się do wszystkiego, by dostać to, czego chcę! - warknął.

Musiałem go zająć rozmową, przynajmniej do czasu.

- Okej, okej, tylko spokojnie!

Mateo uśmiechnął się powoli i odwrócił głowę, patrząc na coś w tyle.

- Pokaż się. Niech się przekona, jak działamy!

Niemal natychmiast zza kontenera wyłoniła się kolejna postać. Ed. To dlatego nie odbierał, gdy wydzwaniałem do niego, jadąc tutaj. Ed podszedł do Matea, ściskając broń w prawej ręce, i nagle wszystko zrozumiałem.

Zdradziecki sukinsyn!

Na twarz Eda wpełzł leniwy uśmiech. Podniósł pistolet i podrapał się lufą po policzku, taksując mnie zimnym drapieżnym wzrokiem rekina.

- Zdziwiony? - zapytał prowokacyjnie. - Sądziłeś, że zginąłem, walcząc dzielnie w obronie twojej laseczki? Nadeszła chwila prawdy, Młody: zaufałeś niewłaściwej osobie.

- Ed, w coś ty się wpakował? - Nie mogłem w to uwierzyć. - Ile ci za to zaproponowali? - Był ze mną, odkąd wyszedłem z więzienia; wcześniej pracował dla Bretta. Znałem go od jedenastego roku życia. Jego zdrada bardzo mnie zaboląła.

- Nie chodzi o kasę - prychnął, ściągając brwi. - W tej kwestii zawsze się myliłeś. Chodzi o szacunek.

Przełknąłem ślinę; teraz wszystko nabrało sensu. Ed nigdy nie był zadowolony z pracy dla mnie. Powinienem był dostrzec znaki; nie bagatelizować jego poirytowanej miny, ilekroć odstawiałem go na boczny tor; nie zbywać go, gdy prosił, bym powierzył mu bardziej odpowiedzialne zadanie. Byłem zbyt arogancki, zbyt pewny swojej pozycji, by zauważyć wzbierający w nim bunt. Przegapiłem to wszystko, choć miałem to tuż przed oczami.

- Teraz to i tak bez znaczenia - ciągnął dalej, odwracając się do Matea. - Ja i Mateo zakładamy nowy biznes. Ale najpierw musimy się pozbyć pewnego problemu... ciebie. - Uniósł brwi,

a kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu. - Gdy tylko przypomniałem sobie o tej rudej wiewióreczce, dla której byłeś gotów ze wszystkiego zrezygnować, zrozumiałem, że już nie jesteś nie do ruszenia. Z początku nie byłem pewien, czy to wypali; nie wiedziałem, czy nadal będziesz nią zainteresowany, czy może już dawno o niej zapomniałeś, ale mimo to postanowiliśmy zaryzykować. I wyszło lepiej, niż się spodziewałem. Plan był prosty: śledzimy jej rodziców, rozbijamy ich wóz, i *voilà*, ona wraca, a ty tracisz czujność i opuszczasz gardę.

Wtedy zrozumiałem - ojciec Ellie zginął przeze mnie.

- Ty chory bydlaku! - warknąłem.

Spojrzałem na Ellie: twarz miała ściągniętą z bólu, a w jej oczach płonęła wściekłość - ona też rozumiała. Zaczęła się miotać z dziką furją, próbując uwolnić się z rąk Matea i kopnąć Eda.

Ed pogładził palcem jej policzek, ocierając cieknące po nim łzy gniewu.

- Oj, myszko, nie złość się - drażnił się z nią. - Musieliśmy cię tu jakoś ściągnąć. - Opuścił rękę, a Ellie nadal się szamotała, wykrzykując coś, czego nie można było zrozumieć, ponieważ usta miała zaklejone taśmą.

Mateo uśmiechnął się szeroko.

- Nie mieliśmy stuprocentowej pewności, czy nasz plan się powiedzie, aż do tego wieczoru w klubie, kiedy rzuciłeś się na Manny'ego za to, że jej dotykał. Szczęśliwym trafem była tam i mogliśmy przejść do działania - wtrącił dumnie. - Dla jasności: Alberto nie chciał brać w tym udziału, od samego

początku był temu przeciwny; chciał, żebyśmy dali ci spokój. W pewnym sensie wyświadczyłeś mi wielką przysługę, posyłając go do pudła. Mieliśmy odmienne poglądy na to, jak prowadzić nasz biznes. W przeciwieństwie do mnie jemu nie przeszkadzało, że zostawiasz nam same ochłapy.

Ellie nie przestawała rzucać się w jego objęciach, usiłując podrapać Edowi twarz związanymi dłońmi. Ed burknął, odtrącając jej rękę, i przystawił jej pistolet do czoła.

- Spróbuj się jeszcze raz poruszyć, a przestaniesz być potrzebna - zagroził, piorunując ją wzrokiem.

Ledwo nad sobą panowałem. Podeszedłem bliżej, nie zważając na cztery wycelowane we mnie lufy.

- Zabierz tę przeklętą broń z jej twarzy - rozkazałem. Trzęsa mi się ręka, lecz nie ze strachu ani niczego takiego; to wrząca ze złości krew pulsowała mi w palcach. Wystarczył jeden fałszywy ruch, żebym wpakował mu kulkę w głowę. Zanim by się zorientował, dawno padłby trupem.

Oko Eda drgnęło nerwowo, lecz nie oderwał wzroku od Ellie, która nagle zamilkła i zesztyniała.

- Ciekawe, jak jej śliczna buźka będzie potem wyglądać - dumał, jeszcze mocniej przyciskając pistolet do jej skroni. Ellie załkała, cofając się przed lufą. Jęknąłem z frustracji; teraz to on był górą. - Zrób jeszcze jeden krok, Młody, i przekonamy się - wygrażał.

Zacisnąłem szczęki i zastygłem w bezruchu.

- Ed, co się z tobą stało? Kiedy zamieniłeś się w gnidę, gotową zabić niewinną dziewczynę dla własnych korzyści? - Nigdy za nim nie przepadałem; owszem, uważałem go za

egoistyczną świnię, ale tego się po nim nie spodziewałem. Nie sądziłem, że posunie się tak daleko. Zawładnęła nim żądza władzy, widziałem to w jego oczach; zabiłby ją bez namysłu, żeby dopiąć swego. To spojrzenie przeraziło mnie do szpiku kości.

- Na kolana - rozkazał z bronią wciąż wymierzoną w twarz Ellie.

Przełknąłem ślinę, czując w gardle rosnącą gulę, kiedy spojrzałem Ellie w oczy, pełne bólu i cierpienia. Na znak protestu wydała stłumiony okrzyk, po cichu błagając mnie o pokrzepienie, którego nie mogłem jej dać. Szanse na to, bym zdjął ich wszystkich, zanim któryś ze zbirów dopadnie Ellie lub mnie, były raczej nikłe. Wtem na szczycie kontenera po mojej prawej dostrzegłem jasny błysk - pojawił się i zniknął w ułamku sekundy - i serce zabiło mi mocniej w piersi. Moje nikłe szanse nagle znacznie wzrosły.

Uśmiechnąłem się słabo do Ellie i pokiwałem głową w odpowiedzi na rozkaz Eda. Podniosłem ręce do góry i powoli ukląknąłem na ziemi, udając pokonanego, lecz tak naprawdę dopiero szykując się do walki - o życie moje i jej.

Rozdział 28

Na twarzy Eda malowała się dzika, złośliwa satysfakcja, kiedy patrzył, jak przed nim klęczę. W końcu opuścił broń.

- Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek zobaczę Młodego Cole'a na kolanach, błagającego o litość. Nie zapomnę tego widoku do końca życia.

Jakkolwiek krótkiego, pomyślałem w duchu, tłumiąc szelmowski uśmiech.

To oczywiste, że nie przyjechałem sam. Nie byłem skończonym idiotą. Chyba nie sądzili, że byłem na tyle głupi, by uwierzyć, że puszczą Ellie wolno, jeśli zrobię, co mi każą?

Modliłem się, żeby mój plan wypalił, a Ellie nie ucierpiała w strzelaniu. Tylko tak miała szansę ująć z życiem.

Sygnal świetlny, który ujrzałem przed chwilą, oznaczał, że Ray zajął ustaloną pozycję, i lada moment Dodger rozpocznie dywersję, dokładnie tak, jak to zaplanowaliśmy.

Zerknąłem na Ellie. Na rzęsach drżały jej łzy; wyglądała na zrezygnowaną i tak zdruzgotaną, że serce ścisnęło mi się boleśnie. Mogłem jedynie rzucić jej porozumiewawcze spojrzenie, prosząc w milczeniu, by była gotowa na wszystko.

- Połóż broń na ziemi. Powoli! - rozkazał Ed, odrywając pistolet od Ellie i mierząc we mnie.

Odłożyłem broń tak wolno, jak to możliwe bez wzbudzania podejrzeń, że gram na zwłokę. Co z tą cholerną dywersją?

Ruchy, Dodge!

Nagle za mną rozległ się wybuch. Wszyscy spojrzeli przerażeni. Piach i odłamki poleciały w naszą stronę, wytracając nas na chwilę z równowagi. Odwróciłem się i ujrzałem kłęby czarnego dymu wzbijające się w niebo.

Powstrzymałem się od uśmiechu. Mateo przeklął po hiszpańsku i wysłał dwóch ludzi, żeby sprawdzili, co się stało. Ed nadal niewzruszenie celował w moją głowę, więc nie ośmieliłem się drgnąć. Wstrzymałem oddech, błagając w myślach, by Ray wreszcie zainterweniował.

Palec Eda zadrżał na spuście i wtedy wydarzyły się dwie rzeczy: z dachu kontenera po mojej prawej padł ogłuszający strzał, a dłoń Eda zamieniła się w krwawą miazgę. Pocisk przeszył jego nadgarstek. Z gardła Eda wydarł się wysoki rozdzierający krzyk. Upuścił broń i spojrzał na ociekającą krwią bezkształtną masę, która kiedyś była jego ręką.

Nie miałem czasu siedzieć i temu się przyglądać. Zanurkowałem po jeden z moich pistoletów, a gdy podniosłem głowę, zobaczyłem, że Mateo owinął ramię wokół gardła Ellie i przyciągnął ją gwałtownie do siebie, używając jako tarczy. Przymknąłem jedno oko i wymierzyłem w jego stronę, starając się naprowadzić broń na niewielki cel, jedyne odsłonięte miejsce na jego ciele.

Nacisnąłem spust. Pistolet odskoczył mi lekko w rękę, wyrzucając pocisk, który świsnął w powietrzu i strzaskał bandycie kolano. Mateo wrzasnął z bólu i zatoczył się wraz z Ellie.

Ellie, wykorzystując chwilę jego nieuwagi, wbiła mu łokieć

w brzuch. Serce urosło mi z dumy. Mateo jęknął, wychylając się nieco w lewo – na to czekałem. Wystrzeliłem ponownie i tym razem kula przewierciła mu bark.

Poleciał do tyłu, ciągnąc za sobą Ellie, i oboje runęli na ziemię.

Zamarłem, błagając w duchu, by nic jej nie było. Lecz wtedy Ellie uwolniła się z jego uścisku i dźwignąwszy się na klęczki, pochwyciła moje spojrzenie.

- W nogi! - krzyknąłem. - Ellie, uciekaj! - Podparła się związanymi rękami i z trudem wstała, tylko po to, by ponownie upaść.

Kątem oka uchwyciłem ruch. Odwróciłem się szybko i ujrzałem jednego z ludzi Salazarów stojącego kilka metrów dalej z bronią wymierzoną w moją pierś. Uskoczyłem w bok, oddając strzał w locie. Wystrzelone przez niego pociski zaryły w ziemię tam, gdzie przed chwilą stałem. Moja kula trafiła go prosto w klatkę. Wytrzeszczył oczy i spojrzał na ranę, po czym, charcząc krwią, zwałił się na kolana i upadł twarzą w piach.

Mrugnawszy kilkakrotnie, odwróciłem się do Ellie. Zdażyła wstać i biegła teraz, wyraźnie kuśtykając, w kierunku kontenerów po lewej stronie. Uśmiechnąłem się, czując ulgę, lecz wtedy spostrzegłem Eda i srebrny nóż połyskujący w jego zdrowej dłoni. Rzucił się na mnie z furią w oczach. Ostrze śmignęło w powietrzu tuż przy mojej twarzy, ale w porę odchyliłem głowę do tyłu.

Ed ponownie natarł na mnie z nożem. Wyrzuciłem nogę w górę i trafiłem go w bok. Jęknął i zgiał się wpół. To

wystarczyło, żebym zamachnął się ręką i rąbnął go bronią prosto w twarz. Trzask, jaki się rozległ, sprawił mi ogromną satysfakcję. Z nosa Eda trysnęła krew, a oczy rozbiegły się mu w przeciwnych kierunkach. Upuścił nóż i padł bezwładnie na ziemię, wzbijając wokół mnie tuman kurzu. Zgarnąłem nóż, na wypadek gdyby oprzytomniał.

Gdy wstałem, rozganiając ręką unoszący się pył, dobiegły do mnie odgłosy walki. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Dodgera bijącego się wręcz z człowiekiem Salazarów. W dali słyszałem dwa głosy krzyczące po hiszpańsku - prawdopodobnie należały do tych dwóch, którzy poszli na zwiady i teraz wracali pospiesznie z odsieczą. Ale Ray zajął się nimi, posyłając w ich stronę salwę z karabinu.

Rozejrzałem się w popłochu, szukając Ellie, ale nigdzie jej nie widziałem. Zobaczyłem za to, że Mateo podnosi się z ziemi i siada. Klatkę piersiową i twarz miał zalaną krwią; wyglądał jak statysta z horroru.

Gmerał ręką przy boku, jakby czegoś szukał, a gdy znalazł broń, podniósł ją i wycelował w Dodgera, który nadal mocował się z jego człowiekiem.

Trochę późno się zorientowałem, że w prawej dłoni, zamiast pistoletu, trzymam nóż. Nie było czasu na dumanie; wziąłem duży zamach i cisnąłem go z całej siły, modląc się, żeby rzucanie do tarczy nie poszło na marne. Nóż był spory i ciężki, niepodobny do tych, którymi wcześniej rzucałem. Patrzyłem szeroko otwartymi oczami, jak ostrze przeszywa powietrze i zatapia się w gardle Matea.

Jego ciałem szarpnął wstrząs. Złapał się ręką za szyję

pokrytą strugami sikającej spod noża krwi. Poruszał ustami, jakby chciał coś powiedzieć, po czym zwiesił ramiona i przewrócił się do tyłu. Oczy miał nadal otwarte i powoli się wykrwawiał – wcześniej tym samym groził Ellie.

Ironia losu, pomyślałem. Fakt, że go zabiłem, nie napawał mnie szczególną radością, ale nie żałowałem tego, nawet przez sekundę.

Uniosłem dłoń, osłaniając oczy przed zawieszonym nisko nad horyzontem popołudniowym słońcem, i spojrzałem w kierunku kontenera, na którym koczował Ray, machając mi w podziękowaniu. Wcześniej Dodger powalił innego oprycha na kolana ciosem w gardło, który pozbawił go tchu, i teraz z budzącą postrach miną rozglądał się, wypatrując potencjalnych zagrożeń. Odprężyłem się, czując schodzące ze mnie napięcie. Było po wszystkim. Wyszliśmy z tego żywi i prawie bez szwanku.

- Ellie?! - zawołałem i zamknąłem oczy, biorąc kilka głębokich oddechów; ręce drżały mi od pulsującej w żyłach adrenaliny. Uniosłem powieki i skierowałem wzrok tam, gdzie ostatnio ją widziałem. Podszedłem do ciała Eda, chowając broń z tyłu za dzinsy. - Ellie, gdzie jesteś?

Wychyliła głowę zza jednego z kontenerów i pochwyciła moje spojrzenie. Uśmiechnąłem się z ulgą, postępując krok w jej kierunku. Ellie zaczerpnęła głęboko powietrza i ruszyła chwiejnie w moją stronę; po policzkach płynęły jej łzy. Wreszcie przywarła do mojego ciała i wtuliła się w nie nieporadnie wciąż ze związanymi rękami.

- Przepraszam, że cię w to wplątałem. Jesteś cała? -

dopytywałem, odchylając się i delikatnie ujmując jej twarz w dłonie. – Cholera, twoja twarz! – Wzdrygnąłem się na widok jej przekrwionego oka, siniaków, otarcia, które powstało, kiedy zrywała z ust taśmę klejącą, oraz zaschniętej krwi na włosach. – Gdzie cię boli?

Załkała i, odtrąciwszy moje dłonie, przytuliła się do mojej piersi, zanosząc się płaczem. Objąłem ją, przyciskając policzek do czubka jej głowy.

– Nic mi nie jest – wymamrotała mi prosto w ramię. – Tak bardzo się bałam.

– Wiem, maleńka. Wiem. Ale już po wszystkim – uspokajałem łagodnym głosem, głaszcząc ją po plecach. Całując jej włosy, zauważyłem, że z boku miała głęboką ranę.

– Na pewno nic ci nie jest? Pojedziemy do szpitala, żeby cię przebadali. – Spojrzałem w jej załzawione oczy; przypominała przerażone, spłoszone zwierzątko. Nie mogłem tego ścierpieć.

– Wszystko w porządku. Jestem tylko poobijana po wypadku.
– Pociągnęła nosem i uniosła dłoń, ostrożnie ocierając twarz.

Z ulgą odstałem od niej i spostrzegłem, że Dodger siedzi oparty o jeden z kontenerów i wydłubuje z boku coś, co wyglądało jak kawałek spalonego materiału. Twarz miał ściągniętą z bólu.

– Dodge, żyjesz?! – zawołałem zmartwiony.

Skinął głową, cały czas gmerając przy boku.

– Tak, po prostu stałem trochę za blisko samochodu, kiedy wybuchł – odpowiedział.

Taki był jego plan? Wysadzić w powietrze samochód?

Nieźle.

- Muszę usiąść - stwierdziła Ellie, odchodząc do tyłu; podeszła do najbliższego kontenera i osunęła się na ziemię. - Idź do niego i sprawdź, czy na pewno jest cały; wygląda na twardego, który nie przyzna się, że coś mu jest, nawet jeśli zaraz odpadnie mu noga. - Uśmiechnęła się lekko, unosząc dłoń i ostrożnie badając ranę na głowie.

Przypatrywałem się jej przez chwilę, żeby się upewnić, że faktycznie nic jej nie jest, po czym ruszyłem w stronę Dodgera.

Wtem za plecami usłyszałem krzyk Ellie:

- Uważaj!

W tej samej sekundzie Ed rzucił się na mnie z boku i obaj runęliśmy na ziemię. Ciężko dyszałem, z trudem łapiąc powietrze, ponieważ wylądował na mnie i natychmiast chwycił mnie za gardło, wbijając mi w żebra kolano. Złapałem go za koszulę, przetaczając się na niego. Odchyliłem rękę do tyłu i wyprowadziłem cios w jego twarz. W ostatniej chwili uchylił głowę, a moja pięść zaryła w twardego gruntu. Rozległ się głośny trzask pękającego knykcia. Gwałtowny, wibrujący ból szarpnął moimi palcami, rozlewając się na całe ramię.

Zawyłem głośno przez zaciśnięte zęby i wymierzyłem cios lewą pięścią, tym razem celnie. Głowa Eda odskoczyła w bok niczym piłka. Sięgnąłem ranną ręką za siebie, szukając pistoletu, ale go nie znalazłem. Musiał wypaść, kiedy Ed mnie zaatakował. Uderzyłem go ponownie w bok i pozbawiłem tchu.

- Ellie, nie! - krzyknął Dodger, odwracając moją uwagę.

Obróciłem głowę w prawą stronę i ujrzałem Ellie trzymającą broń. Trzęsącymi się dłońmi wymierzyła ją w Eda, który leżał na ziemi i szamotał się pode mną.

Nagle Ed zdzielił mnie pięścią w bok głowy, odrzucając mnie w prawo... akurat gdy rozbrzmiał strzał. Mój biceps przeszył piekący, rozdzierający ból. Nigdy wcześniej nie byłem postrzelony; bolało bardziej, niż się spodziewałem. Gdy za plecami usłyszałem pełen rozpaczony krzyk Ellie, serce zabiło mi szybciej, ale nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Ed był teraz górą; wykorzystując moją nieuwagę, wbił pięść w moje ramię, prosto w ranę po kuli. Wrzasnąłem z bólu, a obraz rozmył mi się przed oczami.

Następnie chwycił mnie za gardło i ścisnął. Podniosłem zdrową rękę, próbując go odepchnąć, lecz nagle zamarł i niemal z przerażeniem spojrzał na mnie rozszerzonymi źrenicami. Gdy mnie puścił, z trudem łapałem powietrze.

Odzyskawszy ostrość widzenia, zobaczyłem broń przyciśniętą do jego skroni. Zamrugałem powiekami, usiłując to zrozumieć, i gdy przesunąłem wzrokiem po lufie, ujrzałem kolejno związane nadgarstki, podrapane ręce i pałającą nienawiścią twarz mojej dziewczyny. Drżała jej broda, ale nawet na chwilę nie spuszczała oczu z Eda.

Otworzyłem usta, by ją powstrzymać, wyjaśnić, że nie będzie mogła tego cofnąć, że będzie musiała z tym żyć, ale jej mina była nieprzejednana.

- To za mojego tatę - powiedziała i pociągnęła za spust, strzelając mu w głowę.

Rozdział 29

Wzdrygnąłem się, gdy krew Eda obryzgała mi twarz. Przewrócił się w moją stronę z otwartymi, martwymi oczami.

Ellie stała bez ruchu z wciąż wyciągniętym pistoletem, wpatrując się w osłupieniu w nieruchome ciało Eda oraz szybko rosnącą kałużę krwi wokół jego głowy.

- Ellie. Już dobrze - uspokajałem ją, z trudem dźwigając się na łokciach do pozycji siedzącej.

Dłoń, a raczej cała moja ręka pulsowała. Kiedy się poruszyłem, moje przedramię przeszył okropny ból i poczułem krew spływającą cienką strużką po ramieniu z miejsca, w które zostałem przypadkowo postrzelony. Ellie nie ruszała się i nie reagowała na moje słowa. Nie byłem nawet pewny, czy oddycha. Nieprzerwanie świdrowała wzrokiem Eda. Nie zważając na ból, podniosłem się i stanąłem przy niej. Wyciągnąwszy powoli zdrową dłoń, położyłem ją na jej ręce, zmuszając do opuszczenia broni.

- Ellie, spójrz na mnie - błagałem, zaciskając palce na lufie. Nadal nie odpowiadała. - Ellie, maleńka, proszę cię, popatrz na mnie - nakłaniałem czule, lekko pociągając za pistolet.

Drgnęła jej powieka i puściła rękojeść. Odwróciła głowę w moją stronę, nie spuszczając oczu z trupa.

- Zabił mi ojca. I ciebie też by zabił - jej słowa zlewały się w jedno.

Pospiesznie wsunąłem pistolet z tyłu za spodnie.

- Masz rację. Uratowałaś mnie. Postąpiłaś słusznie.

Wolałbym, żeby tego nie robiła. Owszem, chciałem, by zginął, ale byłoby lepiej, gdybym to ja go zabił, żeby oszczędzić jej późniejszych wyrzutów sumienia. Chciałem ją chronić, bez względu na wszystko, nawet samemu brudząc rękę.

Zdrową dłońią rozsuptałem węzły krępujące jej nadgarstki i rzuciłem linkę na ziemię. Ellie pokiwała głową, lecz nadal nie podniosła wzroku. Ująłem jej twarz w dłonie, uważając na swoje i jej rany, i stanąłem na wprost niej, zasłaniając sobą widok zwłok Eda.

- Ellie? - wyszeptałem i ugiąłem kolana, tak że nasze twarze były na jednym poziomie.

Wreszcie nasze spojrzenia się spotkały.

- Zabił mi tatę - odparła, również szeptem. - Niczego nie żałuję. Gdybym musiała, zrobiłabym to ponownie.

- Nigdy więcej nie będziesz musiała robić takich rzeczy. Skończyłem z tym wszystkim. Od teraz jesteśmy tylko ty i ja. Koniec z szemranymi interesami. Żadnych zmartwień i oprychów próbujących cię dopaść. Tylko ty i ja. Jeśli mnie zechcesz, to znaczy jeśli... - Zawiesiłem głos, patrząc jej w oczy; ból, który malował się na jej twarzy, ścisnął mi serce.

- Tak - powiedziała cicho. - Kocham cię.

Przywarłem ustami do jej spierzchniętych, popękanych warg.

- Ja ciebie też kocham i to bardzo - oświadczyłem stanowczo.

Pociągnęła nosem i uniosła dłonie, dotykając mojego ramienia. Po chwili oderwała palce śliskie od krwi i skrzywiła się, przybierając przeproszący wyraz twarzy.

- Postrzeliłam cię!

Uśmiechnąłem się słabo, żeby nie widziała, jak bardzo cierpiałem.

- To nic takiego, ledwie draśnięcie. - Teraz, gdy minął początkowy ból, nie było tak źle; czułem już tylko pieczenie i bardziej bolała mnie dłoń. - Fatalnie strzelasz - zażartowałem.

Ellie nie odpowiedziała, tylko chwyciła za suwak przy mojej bluzie i zaczęła ją rozpinąć, gorączkowo próbując odsłonić moje ramię z wyraźnym zmartwieniem w oczach.

- Zdejmij to, niech no spojrzę - nalegała. Uparcie ciągnęła za materiał, dopóki nie syknąłem z bólu przez zęby. - Przepraszam, przepraszam - wymamrotała, wykrzywiając twarz.

- Sam to zrobię - stwierdziłem, odsuwając jej drżące dłonie. Wyswobodziłem rękę z rękawa, uważając na spuchnięte, połamane palce, i zrzuciłem bluzę na ziemię.

Wszyscy wbili wzrok w moje ramię i postrzępioną kilkucentymetrową bruzdę przecinającą biceps tuż pod barkiem. Nie myliłem się, to było tylko draśnięcie - pocisk rozdarł skórę, lecz nie wniknął w głąb tkanek. Miałem szczęście, ale i tak obficie krwawiłem.

Ellie załkała na ten widok.

- Tak mi przykro. Celowałam w niego i nagle się poruszyłeś, i... - tłumaczyła ze łzami w oczach.

Dodger podszedł bliżej i patrząc z góry na ranę, uśmiechnął się szeroko.

- Daj spokój, nie zadręczaj się tym. Nic mu nie będzie, to zwykły mazgaj - droczył się, próbując rozluźnić atmosferę, ponieważ Ellie zaczynała panikować i cała się trzęsła. - Kilka szwów i będzie jak nowy.

Podniósł moją bluzę i wyciągnął nóż, odcinając jeden z rękawów, po czym nachylił się nade mną, by przewiązać nim ranę.

Zazgrzytałem z bólu zębami i wyciągnąwszy zdrową rękę ku Ellie, dotknąłem jej twarzy, śledząc palcem zarys sińca na jej policzku.

- Przepraszam, tak mi przykro - powtórzyła, odwracając głowę i całując mnie delikatnie w otwartą dłoń.

Objąłem ją i przyciągnąłem do siebie, ignorując ból, jaki mi to sprawiło. Ellie przegrała walkę z napływającymi do oczu łzami. Wtuliła twarz w moje ramię i zaniosała się rozpaczliwym płaczem. Urywany szloch wstrząsał jej ciałem.

Trzymałem ją mocno, spoglądając na Dodgera, który patrzył na Ellie z zatroskaną współczującą miną.

- Dodge, a ty jak? - zapytałem, zawieszając wzrok na jego boku. Z tej odległości z łatwością dostrzegłem przypaloną, zdartą do żywego mięsa skórę, na której tworzyły się pęcherze; to musiało boleć.

- W porządku. - Machnął lekceważąco dłonią. - Później się przebadam, posmaruję to czymś i będzie dobrze.

Tymczasem Ray zlął z kontenera i podszedł do mnie, wsuwając karabin do worka marynarskiego.

- Co z tym zrobimy? - zapytał Dodger, omiatając wzrokiem sześć ciał leżących wokoło.

Ray wystąpił do przodu.

- Ja się tym zajmę, a wy dwaj zabierzcie ją do lekarza. Zadzwoń do was, gdy się z tym uporam.

- Dzięki, Ray. - Był naprawdę oddanym przyjacielem. Szczęściarz ze mnie, że go miałem, że miałem ich obu. Odchyliłem się, zerkając na Ellie. - Możesz iść?

Pociągnęła nosem i skinęła głową, cały czas płacząc, wtulona w moje ramię. Gdy człapaliśmy z powrotem do samochodu, spojrzała w tył na porozrzucane zwłoki i zbladła. Wpiła się mocno palcami w mój bok i wytrzeszczyła oczy z przerażenia, jakby dopiero dotarło do niej, co zrobiła.

- Nie patrz tam - doradziłem, ponownie skupiając na sobie jej uwagę. Przytaknęła, pozwalając, bym poprowadził ją do miejsca, w którym zaparkowałem. Po drodze natknęliśmy się na szczątki spalonego wozu, który posłużył Dodgerowi do przeprowadzenia dywersji. Jego wrak nadal płonął; kłęby dymu wypełniły powietrze i trudno było oddychać, dopóki nie znaleźliśmy się za bramami portu.

Gdy dotarliśmy do auta, rzuciłem Dodgerowi kluczyki; otworzył drzwi i przesunął fotel, żebyśmy mogli wraz z Ellie zająć miejsce z tyłu. Ellie wsunęła się pierwsza do środka; cała się trzęsła, tonąc we łzach. Wgramoliłem się na siedzenie obok i objąłem ją opiekuńczo ramieniem, przyciągając bliżej do siebie. W głowie miałem mętlik. Próbowałem wymyślić, jak pomóc jej się z tego otrząsnąć. Zabicie Eda mogło odcisnąć na niej trwałe piętno i prześladować ją do końca życia.

Wiedziałem, że dzisiejszy dzień będzie miał konsekwencje, ale byłem gotów na wszystko, by pomóc jej przez to przejść.

- Gdzie mam jechać? - zapytał Dodger z przedniego siedzenia, uruchamiając silnik. - W szpitalu nie obejdzie się bez pytań. Gdy zobaczą, że zostałeś postrzelony, wezwą gliny - stwierdził, odwracając się w fotelu i wskazując głową moją rękę.

Zacisnąłem usta, wyteżając umysł.

- Jedź do Marlona - poinstruowałem. Marlon był lekarzem w miejscowym szpitalu i szwagrem Bretta, ale wciąż z nami współpracował. Płaciliśmy mu, a nasi ludzie mogli liczyć na specjalną opiekę lekarską, jeśli była taka potrzeba.

Dodger przytaknął i wyjechał z portu. Łzy Ellie dawno wyschły, ale nadal trzymała się mnie kurczowo, wtulając twarz w moją szyję. Odchyliłem się nieco, żeby móc ją lepiej widzieć.

- Ellie, nie możemy pisać słowem na temat tego, co się dziś wydarzyło. Słyszysz? - zapytałem, bacznie się jej przyglądając.

Pociągnęła nosem, podnosząc na mnie wzrok.

- Ale musimy powiedzieć policji, bo... zabiliśmy kogoś. Musimy to zgłosić.

- Nie - zaproponowałem, ujmując jej poranioną twarz w dłonie. - To byli naprawdę źli ludzie, handlowali narkotykami, i mieli na swoim koncie wiele złych uczynków. Zapracowali sobie na to, co się im dziś przytrafiło. Rozumiesz? Nas tu nigdy nie było. Braliśmy udział w wypadku samochodowym i stąd nasze obrażenia. - Mój głos był stanowczy, nieuznający sprzeciwu. Prawda nie mogła wyjść na

jaw. Ellie zamrugła oczami, w których dostrzegłem konsternację i rozterkę. – Chcesz spędzić resztę życia w więzieniu za zabicie tej kanalii? – zapytałem prowokacyjnie.

Pokręciła niepewnie głową, ściągając brwi.

– Nie.

– Więc rób, co mówię. Wszystkim się zajmę. Wszystko załatwię. Zatroszczę się o ciebie, ale musisz się mnie słuchać. Okej? Zrobisz to dla mnie, maleńka? – Proszę, powiedz „tak”, pomyślałem.

Przez chwilę milczała, lecz wreszcie pokiwała twierdząco głową. Złączyłem nasze usta w delikatnym pocałunku, niesamowicie wdzięczny za to, że oboje żyjemy i będę mógł się nią opiekować do końca moich dni.

* * *

Dwa dni później sprawa przycichła i znalazła pomyślne zakończenie. Ellie powiedziała mi, gdzie ją dopadli, i wysłałem kogoś po jej auto. Policji nakłamaliśmy, że jechaliśmy samochodem, gdy nagle Ellie złapała gumę i straciła kontrolę nad pojazdem, w efekcie wpadając do rowu. A potem zmyśliliśmy historyjkę o tym, jak się wydostaliśmy z wraku i autostopem pojechaliśmy do kliniki. Dokumentacja medyczna potwierdziła, że nasze obrażenia powstały w wyniku wypadku samochodowego, wykluczając inne okoliczności. Nie musieliśmy się martwić. Zeznania spisywał nie kto inny, jak detektyw Lewiston; wypełnił kilka papierków i w zamian otrzymał grubą kopertę z pieniędzmi.

W ogóle nie przesłuchano nas w sprawie sześciu ciał, które

odkryto w dokach w dniu naszego wypadku. Policjanci znaleźli na miejscu - dzięki Rayowi - kilka kilogramów kokainy oraz gotówkę, a ponieważ Salazar był znanym dilerem, zrzucili wszystko na karb nieudanej transakcji narkotykowej. W wiadomościach donoszono o braku świadków i podejrzanych, dodając, że teraz, gdy obaj bracia Salazar zniknęli z ulic, mieszkańcy mogli czuć się bezpieczniej. W pełni się z tym zgadzałem.

Ellie zrobiła wszystko, o co ją prosiłem; nie rozmawiała z nikim o tym, co zaszło w dokach, i potwierdziła moją bajeczkę o przebitej oponie i lądowaniu w rowie. Początkowo się wahała i dopytywała, czy na pewno postępujemy dobrze, nie oddając się w ręce policji, ale wtedy przypomniałem jej, co to byli za ludzie i że nie mieli żadnych skrupułów, by zabić ją i jej rodziców tylko po to, żeby mnie dopaść. To wystarczyło, żeby przestała zadawać pytania. Nie żałowała tego, że zastrzeliła Eda; twardo przy tym obstawała.

W ciągu tych dwóch dni wiele się wydarzyło. Przede wszystkim poznałem babcię Ellie. Bardzo ją polubiłem; była serdeczną kobietą o wspaniałym poczuciu humoru. Kochała Ellie i Kelsey z całego serca, i za to lubiłem ją jeszcze bardziej. Poza tym pozwalała mi zostawać na noc, więc mogłem trzymać Ellie w ramionach, kiedy spała i popłakiwała przez sen albo wzywała mnie lub ojca, po czym zrywała się z łana zimnym potem. Za każdym razem całowałem ją delikatnie i zapewniałem, że koszmar minął i jestem przy niej. A ona uśmiechała się do mnie z wdzięcznością i przytulała do mojej piersi, ponownie zapadając w niespokojny sen.

Wiedziałem, że któregoś dnia wymaże z pamięci te okropne obrazy i znów będzie spać spokojnie. Wiedziałem, że zrobię wszystko, by jej w tym pomóc.

Kolejnym ważnym wydarzeniem było to, że po trzech latach ponownie spotkałem się z mamą Ellie. Odwiedziłem ją wczoraj w szpitalu. Szczerze mówiąc, zapomniałem już, jak niesympatyczna potrafiła być Ruth. Na początku traktowała mnie chłodno, z rezerwą, pewnie dlatego, że stałem przed nią z posiniaczoną twarzą i pogruchotaną dłonią w bandażach. Naprawdę musiałem wyglądać jak drań, przez którego jej córka uciekła z kraju. Jednak kiedy Ellie uśmiechnęła się do mnie, trzymając mnie z dumą za rękę, a jej oczy zaświeciły się, Ruth jakby złagodniała. Zdobyła się na wysiłek i zamieniła ze mną parę słów, a nawet zaszczyciła mnie kilka razy uśmiechem, zanim sobie poszliśmy.

Wraz z Ellie wiedzieliśmy, że trochę potrwa, zanim całkiem się do mnie przekona, ale najważniejsze, że akceptowała nasz związek i chciała, by Ellie znów była szczęśliwa. Kiedyś ją sobie zjednam; miałem na to mnóstwo czasu.

- Mamy wszystko? - zapytała Ellie w roztargnieniu, zaglądając do bagażnika samochodu, który dla niej zorganizowałem, jako że jej garbus był doszczętnie zniszczony; pełno w nim było walizek, pudeł i worków na śmieci wypchanych ubraniami.

Stacey prychnęła wymownie, wracając do domu po kolejny worek.

- Jestem pewna, że o niczym nie zapomnieliście. Chyba widzę tam nawet zlew - droczyła się, wskazując palcem mój

wóz, również załadowany po dach rzeczami należącymi do rodziny Pearce'ów.

Ellie uśmiechnęła się szeroko, po czym zwróciła się do mnie.

- Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym wiedziała, na jak długo wyjeżdżamy - oznajmiła.

Wzruszyłem ramionami i objąłem ją w pasie, przyciągając do siebie.

- Niewykluczone, że na stałe. Twoja mama dała dość jasno do zrozumienia, że nie chce tu wracać. - Przyglądałem się jej uważnie w oczekiwaniu na reakcję.

Skinęła głową.

- Tak, wiem. Wygląda na to, że trochę się najeździmy, chcąc się spotkać. - Podniosła dłoń, wodząc palcem po kołnierzyku mojej koszulki i przyprowadzając mnie o ciarki.

- Mógłbym jeździć codziennie nawet na koniec świata, żeby się z tobą zobaczyć - odparłem. To prawda, traciłbym sporo czasu, jeżdżąc każdego dnia w góry, by się z nią spotkać, ale Ellie warta była każdej sekundy spędzonej w trasie.

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu rozbawienia.

- Baaanał.

- Wiem, że je uwielbiasz. - Pochyliłem głowę, zamykając jej usta w czułym pocałunku, który szybko stał się bardziej zmysłowy. Przy niej wszystko przeradzało się w coś więcej; zupełnie jakby moje ciało nie mogło się nią nasycić i usilnie starało się nadrobić stracone trzy lata.

Ogarnięty pożądaniem zsunąłem rękę na jej pośladki i przyparłem ją do samochodu, mocno do niej przywierając. Przez jej ciche pomrukiwanie straciłem zmysły i zapomniałem

o całym bożym świecie; nasze ciała ocierały się o siebie w taki sposób, że chciałem już tylko zerwać z niej ubranie i doprowadzić ją do ekstazy.

Wsunąłem dłoń pod jej bluzkę, muskając delikatną skórę na brzuchu. Moje palce wędrowały coraz wyżej, z każdym centymetrem potęgując moje podniecenie.

Nagle rozległo się głośne chrząknięcie i oboje podskoczyliśmy. Obróciwszy głowę, zobaczyłem babcię Ellie, która stała z uniesionymi brwiami i rękami założonymi na piersi. Uśmiechnąłem się nieśmiało, przestępując nerwowo z nogi na nogę, niczym uczeń przyłapany na gorącym uczynku.

- Na miłość boską, jeszcze wam mało? - zapytała żartobliwie.

Ellie westchnęła i parsknęła śmiechem. Odszedłem kawałek, starając się nie odwracać w stronę jej babci, by nie widziała, jak bardzo podniecił mnie zwykły pocałunek.

Staruszka mrugnęła do nas i roześmiała się.

- Dużo nam jeszcze zostało? Powiedziałam Ruth, że będziemy o trzeciej.

Ellie obciągnęła bluzkę i zatknęła włosy za uszy; na jej twarzy widać było zakłopotanie.

- Możemy jechać - oznajmiła. - Kelsey jest spakowana?

- Tak! - krzyknęła Kelsey, wychodząc z domu z plecakiem na ramieniu. - Spakowana i gotowa do drogi. Jedźmy po mamę.

Upchnęła plecak w nieistniejącą lukę w bagażniku, a potem siłowała się, by go zamknąć. Tymczasem jej babcia wgramoliła się na siedzenie pasażera, kładąc torebkę przy

nogach.

- Czas na mnie - oznajmiła Stacey, podchodząc z wyciągniętymi ramionami do Ellie, i mocno uściskała przyjaciółkę. - Zadzwoń, jak dotrzecie na miejsce. Zobaczymy się w weekend. Zaklepuję największą sypialnię, najlepiej jak najdalej od waszej, żeby nie wysłuchiwać przez całą noc, jak nadrabiacie łózkowe zaległości.

Zaśmiałem się i wbiłem czubek buta w trawę, czekając, aż skończą się żegnać. Właściwie to nie było pożegnanie, tylko coś w stylu „Do zobaczenia wkrótce”. Były ze sobą tak zżyte, że żadna siła by ich nie rozdzieliła.

- Zdzwonimy się. I dzięki za pomoc przy pakowaniu - rzuciła Ellie, ponownie ściskając Stacey.

- Nie ma za co. Pozdrów ode mnie mamę. - Stacey cmoknęła ją głośno w policzek i pochyliwszy się, pomachała do siedzących w aucie Kelsey i babci Ellie. Potem posłała mi dziwny uśmiech. Chyba wciąż miała mi za złe, że zraniłem jej przyjaciółkę. Nie szkodzi; byłem pewny, że w końcu ją też do siebie przekonam. - Jamie, zaopiekuj się nimi.

- Się wie - obiecałem, patrząc, jak oddala się do swojego samochodu, krzycząc po raz ostatni: „Narka!”. Wreszcie odjechała, machając energicznie ręką przez okno.

Ellie westchnęła i ruszyła w stronę domu. Weszła do środka, sprawdzając, czy wszystkie światła są zgaszone, po czym stanęła nieruchomo, obejmując wzrokiem pusty salon.

Podszedłem do niej i położyłem jej rękę na plecach.

- Wszystko w porządku? - spytałem troskliwie.

Pokiwała głową.

- Tak, tylko dziwnie jest patrzeć na nasz dom bez zdjęć i całej reszty - odparła.

Rozejrzałem się po pokoju - wszystkie fotografie rodzinne, wszystko to, co czyniło to miejsce domem, spakowały do dwóch samochodów stojących na podjeździe. Pozostała jedynie pusta skorupa.

- To tylko kilka cegieł, Ellie.

Westchnęła i popatrzyła na mnie z zastygłym na ustach uśmiechem.

- Tam dom twój, gdzie serce twoje, prawda?

Uśmiechnąłem się do niej czule.

- Prawda. - Moim domem była ona, bo to jej oddałem swoje serce.

Wsunęła dłoń w moją zdrową rękę i skierowała się ku wyjściu. Zamknęła drzwi na klucz i pomaszerowaliśmy do samochodów. Widziałem, że było jej ciężko opuszczać dom, w którym dorastała, dom pełen wspomnień z dzieciństwa i wspomnień o ojcu. Ale właśnie dlatego jej matka nie chciała tu wracać i wszyscy to szanowali.

Odprowadziłem Ellie do auta, w którym czekały już Kelsey i babcia.

- Jestem z ciebie dumny, maleńka - wyszeptałem, a Ellie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

To prawda - byłem dumny. Przed niczym się nie cofnęła, wszystko dzielnie zniosła, i teraz była jeszcze silniejsza. Pocałowałem ją w czoło i ruszyłem do swojego wozu.

- Widzimy się w szpitalu! - krzyknąłem, oddalając się.

Szedłem pewnie, sprężystym, optymistycznym krokiem. To

była dobra zmiana dla nas wszystkich; zamiast przeżyć życie, mieliśmy szansę zbudować razem przyszłość.

Patrzyłem, jak Ellie uruchamia silnik i wytacza się na ulicę, kierując się w stronę szpitala. Odebrawszy jej matkę, zamierzaliśmy wyjechać z miasta i udać się w góry Pocono. Nikt z nas nie wiedział, czy Ellie z rodziną zostanie tam na stałe - czas miał pokazać - ale nawet jeśli tak, nie miałbym z tym problemu. Za nią poszedłbym nawet na koniec świata.

Epilog

ELLIE

Zamknęłam oczy i westchnęłam z zadowoleniem, słuchając piosenek świątecznych grających cicho w radiu. Tak, tu byłam szczęśliwa.

- Ellison, zrobiłam ci kawę! - zawołała mama z głębi domu.

- Dzięki, mamó - odpowiedziałam, unosząc powieki i uśmiechając się na widok śnieżnych płatków wirujących za oknem. Zapowiadali na dziś opady śniegu, ale mama upierała się, że nic na to nie wskazuje. Chyba jednak synoptycy mieli rację - tak dla odmiany.

Uwielbiałam tę porę roku, uwielbiałam śnieg i chłód. Zimy w Poconos były najpiękniejsze, a już za kilka tygodni mieliśmy spędzić tu nasze pierwsze prawdziwe święta Bożego Narodzenia.

Minęło prawie dziewięć miesięcy od czasu, gdy zapakowałyśmy samochód i przeniosłyśmy się do babci, wspólnie postanawiając, że nie wracamy. Prawie dziewięć miesięcy wdychania świeżego górskiego powietrza, rozmyślań i pracy włożonej w odbudowanie naszej rodziny, lecz już bez taty. Było ciężko, ale sprawy układały się coraz lepiej: Kelsey uwielbiała swoją nową szkołę, babcia cieszyła się z naszego towarzystwa, a mama, cóż, dopiero teraz odnalazła swoje powołanie, zajmując się ekspozycją towarów i księgowością

w moim sklepie.

W Jellie's Boutique - taką nazwę wymyślił Jamie, a ja z miejsca się w niej zakochałam - sprzedawałyśmy unikatowe ubrania, szyte własnoręcznie przez miejscową projektantkę... Zgadza się, przeze mnie! W ofercie miałyśmy także piękną modną biżuterię, którą zamawiałam u innej lokalnej artystki, oraz powidła mojej babci. Sklep działał od sześciu miesięcy i całkiem dobrze prosperował. Nie byłyśmy co prawda milionerkami, ale radziłyśmy sobie i zarabiałymy przyzwoite pieniądze.

Pracowałam na okrągło, często szkicowałam albo szyłam do późna w nocy, kiedy mój umysł był najbardziej płodny i nie chciał spać, ale lubiłam to. Jeżeli robisz to, co kochasz, praca przestaje być żmudnym obowiązkiem. Widok ludzi noszących moje ubrania dawał mi dużą satysfakcję. W zeszłym tygodniu skończyłam pięć sukni dla druhen na zamówienie klientki, która przyjechała tu aż z Filadelfii, gdy zobaczyła moje projekty w internecie - na stronie, którą moja mama sama założyła! Kto by pomyślał, że taki z niej zdolny marketingowiec?! Świadomość tego, że coś, co stworzyłam, uświetni czyjś wyjątkowy dzień, napawała mnie ogromną dumą i dawała poczucie spełnienia. Uwielbiałam swoje obecne życie; lepiej chyba już być nie mogło.

Ten sklep był pomysłem Jamiego. Zawsze przepadał za moimi projektami. Kiedy się tu przeprowadziliśmy, znowu porwała mnie wena, i to z podwójną siłą, niestety moje nowe kreacje tylko marnowały się w szkicowniku. To Jamie przekonał mnie, żebym uszyła kilka z nich i wystawiła w sieci

na sprzedaż. Okazały się wielkim hitem i rozeszły jak świeże bułeczki. Od tamtej pory nie przestawał mówić o tym, że powinnam otworzyć własny butik. Dla mnie była to tylko piękna mrzonka, utopia – przecież nie było mnie na to stać – aż do dnia, w którym Jamie wręczył mi klucze do mojego nowego sklepu. Sprzedał swoje mieszkanie, samochody i jeden z należących do niego klubów, by go kupić. Zrezygnował ze wszystkiego, co posiadał, żebym mogła zrealizować marzenie o własnej marce odzieżowej. Włożyliśmy wiele trudu, żeby postawić butik na nogi. Harowaliśmy po nocach, dekorując go, odnawiając i zaopatrując w towar, ale udało się i już po sześciu miesiącach interes się kręcił.

Nigdy nie pozwoliłam sobie na rozpamiętywanie tych wszystkich okropnych rzeczy, które wydarzyły się przed naszym wyjazdem, włącznie z faktem, że zabiłam człowieka. Zablockowałam te wspomnienia i po prostu żyłam dalej. Postanowiłam, że Ed i zbiry Salazarów nie odbiorą mi radości z życia. Zostawiliśmy to wszystko za sobą i byliśmy teraz szczęśliwsi, niż wydawało się to możliwe po stracie taty.

Dzwonek zawieszony nad drzwiami zadźwięczał gwałtownie i do środka weszła genialna kreatorka przepięknej biżuterii, którą tu sprzedawałam. Trzydziestokilkuletnia Simone była samotną matką, we włosach miała różowe oraz zielone pasemka i wyróżniała się ekscentrycznym stylem. Mieszkała na tej samej ulicy co babcia i była wspaniałą kobietą.

– Cześć, Ellie.

– Cześć, Simone. – Utkwiłam wzrok w pudle, które niosła, i zapiszczałam. – Czy to ta twoja nowa kolekcja, o której mi

mówiłaś? – zapytałam, odwieszając niedbale ostatnie sukienki na stojak wystawowy, i podbiegłam do niej rozgorączkowana.

Potwierdziła i uniosła wieko. Wstrzymałam oddech. Moja mama także się nachyliła i patrzyła z podnieceniem. Wszystkie sięgnęłyśmy do pudła, wyciągając błyskotki i rozkładając je na ladzie.

– Są piękne! Już widzę, jak się w mig rozchodzą – zapałam z zachwytu, biorąc do rąk srebrną bransoletkę z misternie grawerowanym motywem trzmiela.

Mama pokiwała głową na znak zgody i otworzyła szufladę, z której wyjęła aparat fotograficzny.

– Zaraz zamieszczę je na naszej stronie i w serwisach społecznościowych. Świetna robota, Simone.

Twarz Simone rozpromieniła się; wszyscy lubili komplementy mojej mamy i brali je do serca.

– Dziękuję, kochane – zaćwierkała, po czym zwróciła się do mnie: – Hej, przed chwilą widziałam, jak twój facet wsiada do wozu i odjeżdża. Gdzie go niesie w środku dnia?

– Nie mam pojęcia – odparłam i półprzytomnie podbiegłam do frontowego okna, wyglądając na ulicę. Gdy Jamie sprzedał swoje mieszkanie, klub i wszystkie samochody, żeby sprezentować mi sklep, kupił także coś dla siebie – wielki ceglany magazyn, i to po drugiej stronie ulicy, który po wyburzeniu przedniej ściany przemienił w warsztat samochodowy. On także realizował swoje marzenie – zamiast kraść naprawiał auta.

Podobało mi się, że był tak blisko, bo dzięki temu mogłam codziennie jadać z nim lunch, a jeśli naszła mnie taka ochota,

o każdej porze dnia mogłam wyglądać przez okno i obserwować z zachwytem, jak w utyłanym smarem kombinezonie i czapce z daszkiem pochyła się nad samochodem, wypinając swój apetyczny tyłek. I choćbym nie wiem jak często na niego patrzyła, za każdym razem miękły mi kolana.

Początkowo Jamie nie mieszkał z nami. Przez dwa miesiące praktycznie dzień w dzień przyjeżdżał do domu babci, aż w końcu mama zaproponowała, żeby się do nas wprowadził, skoro i tak bywał tu niemal bez przerwy.

Dopóki nie mieszkaliśmy razem i nie budziłam się przy nim każdego ranka, sądziłam, że już bardziej nie mogę go kochać. Myliłam się i to bardzo.

Simone miała rację; zakład Jamiego był zamknięty, a jego wóz zniknął. Ściągnęłam brwi. Miałam nadzieję, że nie będzie szarżował, brnąc przez śnieg. Na pewno wybrał się po jakąś część do samochodu. Nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego miałby gdzieś wyjeżdżać, chyba że...

Nabrałam powietrza i odwróciłam się do mamy.

- Ojej, myślisz, że sprzedaż doszła do skutku? Może pojechał odebrać klucze?! - Podskoczyłam, podekscytowana jak mała dziewczynka. Nie mogłam spokojnie ustać. - Prawnik powiedział, że będzie wiadomo dopiero późnym popołudniem, ale przecież mogło się wyjaśnić wcześniej, prawda? - szczebiotałam radośnie.

Simone przechyliła głowę z zaciekawieniem.

- Mówisz o domu, który wspólnie kupujecie? Dziś ma zapaść decyzja?

Przytaknęłam, łapiąc się za policzki, które zapłonęły mi z podniecenia.

- Tak!

- Uspokój się, Ellison. Pewnie pojechał po jakąś część do wozu, nad którym pracuje. Skoro transakcja ma zostać sfinalizowana wieczorem, to pewnie dopiero wtedy się okaże, a nie w porze lunchu. - Mama jak zwykle była głosem rozsądku; zresztą w pierwszej chwili też pomyślałam o tym samym.

Mój entuzjazm nieco ostygł. Przez cały dzień siedziałam jak na szpilkach, czekając na telefon z wiadomością, że dom jest nasz, ale chyba mogłam wytrzymać jeszcze kilka godzin.

- Może masz rację - westchnęłam, kiwając głową z rezygnacją. - Lepiej zrobimy zdjęcia tym cudёнkom i wystawmy je - zaproponowałam i żeby nie myśleć o naszym nowym domu, skupiłam się na nowej kolekcji biżuterii, którą mieliśmy w sprzedaży.

* * *

Niespełna godzinę później przed sklepem rozległ się ryk silnika. Jamie wrócił. Zwalczyłam pokusę, by podbiec do okna, i dalej wpatrywałam się w telefon, czekając, aż zadzwoni prawnik z dobrymi wieściami.

Kiedy nad drzwiami zadźwięczał dzwonek, podniosłam wzrok i ujrzałam miłość mojego życia z naręczem bładoróżowych róż i szerokim uśmiechem na twarzy. Na jego widok serce zabiło mi mocniej.

- Cześć, maleńka - rzucił na powitanie.

Obróciwszy się na stołku, na którym przycupnęłam, zeskokczyłam i wybiegłam przed ladę, by go przywitać.

- Cześć. - Wspięłam się na palce, a on pochylił głowę i złączył nasze usta w pocałunku.

Twarz miał zimną od wiatru, a włosy w nieładzie, ponieważ przez cały ranek chował je pod czapkę, ale nigdy nie wyglądał bardziej przystojnie. Nawet gdyby był oblepiony błotem, to i tak miałabym ochotę rzucić się na niego.

Gdy się odsunął, oczy błyszcząły mu z podniecenia. Posłałam mu uśmiech i spojrzałam na kwiaty.

- To dla mnie? - spytałam, zagryzając wargę.

Zaprzeczył energicznym ruchem głowy, po czym wyjął z bukietu pojedynczą różę.

- Ta tak - sprostował, podając mi ją. - Pozostałe są dla... - Podniósł wzrok i uśmiechnąwszy się do mojej mamy, podszedł do niej. - ...dla pani - dokończył.

Tym uroczym gestem jeszcze bardziej ujął mnie za serce. Mamie zaparło dech w piersiach, a jej źrenice rozszerzyły się w zachwycie. Podniosła różę do twarzy, wdychając ich słodką woń.

- Ojej, Jamie, są śliczne. Dziękuję!

W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy mój chłopak kompletnie oczarował mamę swoim wdziękiem i dobrocią. Początkowo nie pochwałała naszego związku, ale po stracie męża przyjęła nową filozofię - żyć każdym dniem i podążać za szczęściem. Po prostu chciała, żebym była szczęśliwa, i wreszcie zrozumiała, że on był tym, który o to zadba. Traktowała go teraz jak syna, którego nigdy nie miała.

- Czym sobie na nie zasłużyłam? - dociekała, ponownie wachając kwiaty i obrzucając go pełnym wdzięczności spojrzeniem.

Jamie wzruszył ramionami i odwrócił się w moją stronę.

- Tym, że ma pani taką wspaniałą córkę i pozwala mi być częścią jej życia. - Sięgnął do kieszeni i wyjął pęk kluczy, zawieszając go na palcu. - To także prezent pożegnalny, ponieważ wkrótce się przeprowadzamy.

Pojechał wcześniej po klucze!

- Nie żartuj! Czy to naprawdę to, co myślę? - Podskoczyłam z radości, wbijając wzrok w klucze i ciesząc się na nasz nowy początek, który czekał tuż-tuż.

- Tak. Przed chwilą je odebrałem. - Jamie uśmiechnął się, ukazując wszystkie zęby. - Chcesz obejrzeć nasze nowe gniazdko?

Zapiszczałam z radości i skinęłam głową, w podskokach biegnąc na zaplecze po kurtkę i szalik. Gdy wróciłam ciepło opatulona, Jamie akurat kończył pić gorące kakao, to, które mama przyrzadziła mi przed dziesięcioma minutami.

Mama podeszła z szerokim uśmiechem. Podciągnęła mi suwak pod samą szyję i zaczęła poprawiać szalik.

- Cieszę się waszym szczęściem i chcę, żebyś wiedziała, że twój ojciec byłby niezmiernie dumny, widząc, na jaką kobietę wyrosłaś.

Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam ku niej rękę, zamykając ją w mocnym uścisku.

- Dziękuję, mamo. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - odparła.

To kolejna rzecz, która zmieniała się od czasu wypadku – mama nie kryła się już z uczuciami i otwarcie je okazywała. Początkowo trudno mi było do tego przywyknąć, ale teraz byłam tym zachwycona. Miałyśmy świetne relacje.

Oderwałam się od niej i odwróciłam w stronę Jamiego.

– Gotowa? – zapytał.

Skinęłam głową.

– Jeszcze jak!

Byłam gotowa z nim zamieszkać, odkąd skończyłam dziewiętnaście lat. Dość się już naczekałam.

JAMIE

Kiedy wyszliśmy ze sklepu na mroźny wiatr, moją uwagę przykuła para całujących się dzieciaków na drewnianym ogrodzeniu. Uśmiechnąłem się i złożony dłonie wokół ust, krzyknąłem:

– Kelsey Pearce, natychmiast odklej się od tego chłopaka!

Kelsey podskoczyła, oblewając się rumieńcem, tak samo jak Ellie, kiedy była zawstydzona.

– Spadaj, Jamie – odparowała, śmiejąc się i wycierając usta dłonią w rękawicze z jednym palcem.

W zeszłym tygodniu Kelsey skończyła czternaście lat. Jak na nastolatkę była całkiem w porządku; Ellie nie mogła na nią narzekać. Ja też dobrze się z nią dogadywałem. Gdyby żyła moja siostra, byłaby mniej więcej w tym samym wieku co ona, więc czasami się wtrącałem i odgrywałem rolę starszego brata.

- Daj znać, jak zrobi się poważnie, żebym wiedział, kiedy skopać mu tyłek - zażartowałem, mrugając do niej, a chłopak aż zeszywniał i zabrał rękę z jej ramion. Kelsey uśmiechnęła się szeroko i odprawiła mnie machnięciem ręki.

Naprawdę dobrze tu sobie radziła; mieszkanie w tym pięknym miejscu miało na nią - i na nas wszystkich - dobroczynny wpływ.

Ellie spojrzała na mnie oczami błyszczącymi z podniecenia. Pochyliłem głowę, celowo cmokając ją głośno w usta, i poszedłem z nią do samochodu. Przez piętnaście minut, bo tyle trwała podróż do naszego nowego domu, ledwo mogła usiedzieć w spokoju; cały czas się wierciła i trajkotała o tych wszystkich rzeczach, które powinniśmy kupić. Szczęśliwie dla nas poprzedni właściciele przeprowadzali się do czegoś mniejszego, dlatego sprzedali dom częściowo umeblowany - zostawili nam kanapę i kilka innych najbardziej niezbędnych mebli, które powinny nam wystarczyć, dopóki nie uzbieramy na coś własnego.

Gdy zajechaliśmy na miejsce i ogarnęliśmy wzrokiem stojący przed nami budynek, Ellie westchnęła radośnie. Piętrowy dom mieścił trzy przytulne sypialnie i położony był w malowniczej scenerii pośród drzew. Wijący się podjazd prowadził prosto do garażu. Elewacja wykończona była drewnianą oblicówką pomalowaną na szaro z nutą błękitu. Dom był naprawdę piękny, ale pochłonął cały nasz limit kredytu hipotecznego, więc jeśli chcielibyśmy coś w nim zmienić, musielibyśmy poczekać, aż będzie nas na to stać. Na szczęście podobał się nam taki, jaki był.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem brelok z kluczami, pobrząkując nimi, by odwrócić uwagę Ellie od naszego nowego gniazdka.

- Chcesz wejść do środka i rozejrzeć się?

Wyciągnęła rękę po klucze i zapiszczała - na ten dźwięk aż zadrżałem ze szczęścia. Widząc ją taką radosną, poczułem łopotanie serca.

- Jasne! Na co jeszcze czekamy?

Wysiadła pospiesznie z samochodu i poślizgnęła się na lodzie, tracąc równowagę. Zachichotałem i przeszedłem na przód auta, czekając, aż do mnie dołączy.

Ptaki ukryte w ośnieżonych koronach drzew wysoko ponad nami głośno ćwierkały, gdy idąc pod rękę, zbliżaliśmy się do frontowych drzwi. Ellie wsunęła klucz do zamka, wstrzymując oddech, a moja dłoń spoczęła na jej plecach. Udało się: uciekliśmy od tego wszystkiego i oto kupiliśmy nasz pierwszy wspólny dom.

Drzwi otworzyły się z lekkim trzaskiem - odnotowałem w pamięci, żeby się tym zająć. Ellie wypuściła przeciągle powietrze z płuc i odwróciła się do mnie; w jej oczach połyskiwały łzy.

- Nie mogę uwierzyć, że jest nasz. Jestem taka szczęśliwa.

- Ja też - przytaknąłem, nachylając się i łącząc nasze usta w delikatnym pocałunku.

Nagle jej ekscytacja wzięła górę. Złapała mnie za rękę i wciągnęła do środka, szeroko otwartymi oczami rozglądając się po holu. Na szafce stała butelka szampana i wsparta o nią koperta z naszymi imionami. Ellie niecierpliwie podniosła

liścik i rozerwała kopertę, wydając z siebie odgłos wzruszenia.

- To od poprzednich właścicieli. „Mamy nadzieję, że będziecie tu tak samo szczęśliwi jak my. Cieszymy się, że ten dom stanie się częścią wspomnień tak uroczej pary”.

Ten życzliwy gest wywołał uśmiech na mojej twarzy.

- Powinniśmy otworzyć go na balkonie. - Podnosząc szampana, wskazałem wzrokiem schody.

Ellie pokiwała energicznie głową, nie mogąc opanować uśmiechu. Splotła palce z moimi i poprowadziła mnie w górę po drewnianych stopniach. Zakochała się w tym domu od pierwszego wejrzenia; nietypowy, odwrotny układ pomieszczeń naprawdę się sprawdzał. Część mieszkalna urządzona na górze pozwalała cieszyć się pięknymi widokami. Gdy tylko Ellie ujrzała wielkie panoramiczne okno wychodzące na jezioro, odwróciła się do mnie i wyszeptała mi do ucha, że jest to dom jej marzeń. Nie chcąc czekać na odpowiedź od pośrednika, pominąłem standardowe procedury i natychmiast złożyłem ofertę właścicielom. Widząc urzeczoną minę Ellie, przystali na moją cenę, a reszta to już historia. To było osiem tygodni temu i dziś po raz pierwszy tam wróciliśmy.

Z ogromnego okna w salonie roztaczał się widok na nasze małe podwórko obsadzone drzewami, w oddali zaś majaczyło jezioro i wznoszące się nad nim górskie szczyty pokryte śniegiem. Składane drzwi prowadziły na spory drewniany balkon, ze stołem i krzesłami, zapraszającymi do podziwiania zjawiskowej panoramy.

Po prawej stronie od strefy wypoczynkowej niemal na całej

ścianie rozciągało się kolejne wielkie okno. Nad stolikiem kawowym unosił się samotny powitalny balon, wypełniony helem.

- Jak słodko, kupili nam też balonik - Ellie cieszyła się jak dziecko; podeszła do balonika i chwyciła tasiemkę.

- Właściwie, to ja go kupiłem - poprawiłem ją. - Przemyciłem go tu po odebraniu kluczy. - Z zakłopotaniem wyszczerzyłem zęby w uśmiechu, czując, że serce wali mi jak oszalałe. Poderwałem się nerwowo i postawiłem butelkę na stole.

Ellie odwróciła się do mnie z czułym uśmiechem.

- Jamie, jesteś kochany.

Wziąłem głęboki wdech i podszedłem do niej, zaciskając i otwierając pięści, by uspokoić nerwy.

- Zauważyłaś, co jest na końcu? - spytałem, wskazując głową tasiemkę, którą owinęła sobie wokół palca.

Przesunęła wzrokiem po wstążce, aż dotarła do małego, czerwonego pudełeczka. Jej oczy rozszerzyły się lekko, lecz ani drgnęła. Rozbawiony widokiem jej zdziwionej miny cieszyłem się, że jej mama, babcia i siostra dochowały tajemnicy; gdy wyjawiałem im swoje plany, nie mogły opanować ekscytacji.

Ellie zaczerpnęła gwałtownie powietrza, gdy ukląknę na kolano i wyplątawszy pudełeczko z tasiemki, podniosłem wzrok na jej twarz. Zakrywała teraz usta dłońmi, a gdy na mnie spojrzała, w oczach miała łzy.

No dalej, Jamie, nie schrzań tego!

- Ellie, wiem, że to nie Paryż i nie jesteśmy teraz na szczycie

wieży Eiffla lub w jakiejś wykwintnej restauracji w Rzymie ani nie płyniemy statkiem po morzu. I choć nie robimy niczego spektakularnego, czuję, że to odpowiedni moment, by zadać ci to niezwykle ważne pytanie, właśnie tu, w naszym nowym domu. - Trzęsącymi się dłońmi uniosłem wieczko pudełka. Ellie zapiszczała, a po policzku pociekła jej łza. - Kocham cię całym sercem i nigdy nie przestanę - kontynuowałem, próbując opanować własne łzy wzruszenia. - Obiecuję ci, że zadbam o to, abyś do końca życia była szczęśliwa, tak jak obiecałem twojemu tacie. - Słyszając to, załkała, a wtedy na mojej twarzy pojawił się uśmiech. - Wyjdiesz za mnie, maleńka?

- Tak! Pewnie, że tak! - odparła bez wahania, nie musiała się wcale namyślać.

Zaśmiałem się, patrząc, jak podskakuje z radości, gdy wyciągnąłem ku niej pudełko. W środku znajdował się ten sam pierścionek, który kupiłem dla niej przed laty, ten sam, który pokazałem jej tacie. Nigdy się go nie pozbyłem. Jednak teraz miał pewien dodatek.

- Wewnątrz jest grawerunek - oświadczyłem, patrząc, jak mruży oczy, by przeczytać inskrypcję po wewnętrznej stronie obrączki.

- „Ze wszystkimi bliznami” - wyrecytowała. Podniosła na mnie wzrok, a jej twarz rozpromienił szeroki uśmiech, który zaparł mi dech w piersi. - Kocham cię - wyszeptała.

- Ze wszystkimi bliznami - skinąłem porozumiewawczo głową, po czym objąłem ją w pasie, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem; ten pocałunek wyrażał moje uwielbienie dla

niej i wdzięczność za to, że dała mi jeszcze jedną szansę.

Gdy oderwałem się od jej ust, obojgu nam brakowało tchu. Wziąłem pierścionek i wsunąłem jej na palec, gdzie miał pozostać przynajmniej przez najbliższe osiemdziesiąt lat.

Okazało się, że bajkowe zakończenia przytrafiają się nawet takim jak ja. Wystarczyło mieć coś, o co warto walczyć.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym podziękować mojej niezwyklej agentce Lorelli Belli. Twoje oddanie nie ma sobie równych.

Dziękuję fantastycznemu zespołowi Forever, a zwłaszcza działowi graficznemu, który zaprojektował okładkę, redaktorom, korektorom i wszystkim innym z wydawnictwa, którzy tak ciężko pracowali, by stworzyć tę książkę!

Leah, dzięki, że wybrałaś się ze mną w tę przejażdżkę rollercoasterem i zachęcałaś mnie, bym nie ustawała w staraniach i uczyniła z historii Jamiego i Ellie coś wyjątkowego.

Moim dziewczynom, Kerry Duke i Chloe Meyer, dziękuję za nieustanne wsparcie i niesamowity doping, kiedy tak bardzo go potrzebowałam. Kocham Was!

Dziękuję mojej rodzinie – jesteście wspaniali, a ja jestem prawdziwą szczęściarą, że Was mam.

A Ciebie, drogi Czytelniku, w pierwszej kolejności muszę przeprosić za tak dramatyczne zawieszenie akcji w *Chłopaku*, który *chciał zacząć od nowa...* ups... moja wina. #SorryNotSorry. Po drugie, dziękuję Ci, że wyruszyłeś ze mną w tę podróż. Mam nadzieję, że zakończenie historii Jamiego i Ellie spodoba Ci się tak bardzo, jak mnie podobało się jej pisanie.

Jak zwykle, składam wielkie podziękowania wszystkim

fantastycznym, ciężko pracującym i oddanym blogerom z całego świata, którzy na to, co robią, poświęcają wiele godzin z czystej miłości do książek. Moja wdzięczność nie zna granic. Jesteście dla mnie gwiazdami.

I wreszcie, dziękuję Terrie Arasin, mojej przebojowej osobistej asystentce. Przyszłaś mi z pomocą, kiedy tonęłam w morzu postów w mediach społecznościowych i praktycznie nie miałam czasu na pisanie. Nie wiem, co bym bez Ciebie zrobiła (i bez Twojego seksownego teksańskiego akcentu, który mnie rozbija, nawet gdy odczytuję Messengera!). Pewnie nadal tkwiłabym po uszy w tym bałaganie, daremnie starając się nad wszystkim zapanować. Jak wspomniałam w dedykacji, gdyby nie Ty, ta książka po prostu by nie powstała. Kocham Cię, złotko! (lepiej po teksańsku nie potrafię). Stawiam pączki!

Tytuł oryginału: *Worth Fighting For*
Pierwsze wydanie: Forever, Hachette Book Group Inc., 2016
Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda
Opracowanie redakcyjne: Barbara Żebrowska
Korekta: Jolanta Rososińska

© 2016 by Kirsty Moseley
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Shutterstock.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-2954-8

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.